

Tom  
Savage

3XV WALENTYNI



Alfo

Tom Savage

# WALENTYNYKI

Przełożyła  
Ewa Pankiewicz

Wydawnictwo ALFA  
Warszawa 1998

Tytuł oryginału *Valentine*

Copyright © 1996 by Tom Savage

Opracowanie graficzne serii

Jacek Tofil

Redaktor serii

Marek S. Nowowiejski

Redaktor tomu

Ewa Witan

Redaktor techniczny

Teresa Jędra

For the Polish edition Copyright © 1998

by Wydawnictwo ALFA-WERO Sp. z o.o.

ISBN 83-7179-134-8

WYDAWNICTWO ALFA-WERO Sp. z o.o.

WARSZAWA 1998

Wydanie pierwsze

Drukarnia WN ALFA-WERO Sp. z o.o.

Zam. 2059/98

Cena zł 28,00

Dla Suzy i Marcii

Wszystkie postaci i wydarzenia opisane w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żyjących lub zmarłych – jest przypadkowe i nie zamierzone przez autora.

# Spis treści

Prolog – OGIENÍ	9
<b>I JILL</b>	17
1. Czwartek, 29 stycznia	19
2. Sobota, 31 stycznia	43
3. Niedziela, 1 lutego	57
4. Wtorek, 3 lutego	64
<b>II ZIEMIA, WIATR I OGIENÍ</b>	79
5. Szesnaście lat wcześniej	81
<b>III JILL</b>	97
6. Środa, 4 lutego	99
7. Środa, 4 lutego (wieczorem)	117
<b>IV ZIEMIA</b>	133
8. Trzy lata wcześniej	135
<b>V JILL</b>	151
9. Czwartek, 5 lutego	153
<b>VI WIATR</b>	169
10. Dwa lata wcześniej	171
<b>VII JILL</b>	185
11. Piątek, 6 lutego	187
12. Sobota, 7 lutego	211

VIII „WALENTYNKA”	225
13. Poniedziałek, 9 lutego	227
IX WODA	249
14. Wtorek, 10 lutego	251
15. Czwartek, 12 lutego	275
16. Piątek, 13 lutego	287
17. Sobota, 14 lutego – Walentynki – Dzień Zakochanych	310
Epilog – czerwiec	327
<i>Podziękowanie</i>	333

# **PROLOG**

# **OGIEŃ**



Upewniwszy się, że jest martwa, wstał i podszedł do okna. Stał teraz w ciemności nagi, spoglądając na frontowy dziedziniec i mroczne kształty wiecznie zielonych drzew, otaczających jej posiadłość. Światło przedśmionka rzuciło przyćmiony złocisty blask, który migotał na lekko oszronionej trawie. Za oknem panował chłód, ale mała sypialnia była przytulna i ciepła. Cieplesza, pomyślał, po tym, jak się kochali...

Zachichotał cicho i wyciągnął rękę, by wytrzeć palce w delikatną, białą koronkową firankę. Powróciły wspomnienia. Koronki... Koronkowe zasłony, koronkowe obrusy, koronkowe serwetki na małym stoliku do kawy i pianino w domowym saloniku. Koronki matki...

Teraz, po owych wszystkich latach, chwycił te tak podobne firanki w wielkie dłonie i gwałtownie zerwał z karnisza. Szarpał je i gniótł, niszcząc wspaniałe kwiatowy wzór i słuchając cichego, jakże dlań miłego, szorstkiego odgłosu, który wydawały, gdy rozdzierał je na kawałki. Gdy były już całkiem zniszczone, cisnął je na wypolerowaną drewnianą podłogę. Chodził teraz po tych strzępach i czując pod bosymi stopami ostry materiał, gniótł go palcami. Chichotał coraz głośniejsze, gdy podskakując tratował owe śliczne, czyste koronki. Kopnął w końcu słabe, martwe strzępy i zamknął oczy, gdy dreszcz zadowolenia powoli przepłynął przez całe jego ciało. Potem podniósł powieki i odwrócił się z wolna.

Poczuł drugą wspaniałą falę rozkoszy, gdy przez panującą wokół ciemność bacznie przyjrzał się nagiej postaci na łożku. Leżała na atlasowej kołdrze, z rozłożonymi ramionami i nogami; piękną twarz oraz kasztanowe włosy częściowo zakrywała teraz poduszka, której użył, by ją udusić. Pod takim kątem wyglądała, jakby miała uciętą głowę. Ale nie, tego nie było w programie... Jej koniec będzie bardzo szczególny; zaplanował to już dawno.

Oderwał wzrok od spokojnego kształtu na łożku i spojrzął na niewielki zegar stojący na nocnym stoliku. Sześć minut po północy. Uśmiechnął się do siebie. Ledwie się doczekałem, pomyślał.

Dokładnie o północy, gdy leżąc pod nim, ogarnięta rozkoszą z trudem chwytając powietrze, uniósł się i usiadł na niej okrakiem, z obydwu stron ściskając kolanami szczupłą talię. Pochylił się, delikatnie pocałował miękkie usta, a potem powoli powędrował wargami do ucha.

I właśnie wtedy wyszeptał swoje imię.

Wyprostował się szybko, z wielką satysfakcją spoglądając w dół, bo dosłyszała to imię i wyraz jej twarzy zmienił się gwałtownie. Potem nadszedł ów lodowaty moment, gdy wpatrywała się weń zielonymi oczami, nagle rozszerzonymi ze zdumienia. Zanim przerażona zdołała się poruszyć, uśmiechnął się do niej i zanucił te ostatnie słowa, jakie ona i wszystkie inne zawsze słyszały:

– Dziś są walentynki, kochanie. Wszystkiego najlepszego!

Szybko przycisnęła poduszkę do jej twarzy. Walczyła krótko, tak jak przedtem inne, a krzyki stłumił miazdzący nacisk. Szarpanina i jęki – dziwnie podobne do owych ruchów i odgłosów, jakie wydawała kilka chwil wcześniej, gdy był w niej – trwały niemal całą minutę. Potem przelotnie ją dreszcz i znieruchomiła. Zaśmiał się w ciemności, myśląc o tym, jak bardzo są do siebie podobne akt miłości i akt śmierci.

Stanął obok łożka. Przypomniawszy sobie inną chwilę: ów moment, gdy po raz pierwszy stał właśnie tak – nagi przed kobietą. Przypomniawszy sobie muzykę; różową bombonierkę w kształcie serca, którą przyciskał do piersi; swoje długie, blade, kościste ramiona i nogi trzęsące się w zimnym

pokoju, umysł sparaliżowany z pragnienia i te grubą, twardą rzecz wystającą mu wprost z gniazda włosów między udami. Czekał tak w ciemności, z uczuciami żądy, lęku i przewidywania mieszanymi się w jego krwi i przykuwającymi go do miejsca. Właśnie wtedy, w jednej, krótkiej, oślepiającej sekundzie zapaliły się światła.

Nigdy, przenigdy nie zapomni owej chwili. Właśnie dlatego przez kilka lat czekał na ten moment... i na inne... takie same. Uśmiechnął się, dostrzegając ironię swego działania, wyciągnął rękę i zaświecił przyćmioną różowym abażurkiem nocną lampkę stojącą obok bombonierki. Łagodny blask oświetlił pokój, łóżko i leżącą na nim kobietę. Wystarczy już światła, pomyślał, jest go wystarczająco dużo na to, co muszę teraz zrobić.

Podszedł do stojącego w rogu krzesła, na którym zostawił ubranie. Szybko wsunął na siebie bieliznę i skarpetki, a potem dżinsy, koszulę, sweter, buty, szalik, rękawiczki, czapkę i na końcu skórzany płaszcz. Ubrany, wyszedł z sypialni i schodami wyłożonymi dywanem zbiegł na parter. Przez salon przeszedł na werandę i dalej, ku frontowym schodom. Jego buty skrzypiały na oszronionej trawie, gdy szedł do samochodu. Otworzywszy bagażnik, wyjął dwa duże czerwone plastikowe pojemniki i wrócił z nimi do domu. Jeden zostawił na podłodze we frontowych drzwiach, z drugim zaś ponownie wszedł na górę do sypialni. Odkręcił korek, stanął obok łóżka i przyglądał się jej, na zawsze zapisując ów widok w pamięci. Potem uniósł plastikowy pojemnik i wylał jego zawartość na prześcieradła, poduszki, atlasową kołdrę i na nieruchomą postać leżącą w środku tego wszystkiego. Spryskał też resztę pokoju i ponownie ruszył ku drzwiom, rozlewając za sobą silny strumień. Gdy pojemnik był pusty, cisnął go na podłogę i ruszył po drugi. Przeszedł przez całe mieszkanie i pogwizdując cicho, oblał kuchnię, jadalnię i salon. Potem opuścił dom i zanim zbiegł po frontowych schodach, zatrzymał się na chwilę, uświadomiwszy sobie, co właściwie gwizdał. To t a m t a piosenka; ta, którą usłyszał po raz pierwszy owej strasznej, zimnej nocy... dawno temu... gdy nagle zapaliły się wszystkie światła...

„My funny Valentine”...

Przypomniął sobie, że tamtej nocy grano ją w radio, tak jak on zagrał ją dziś w nocy dla niej – śpiewała tę melodie Sarah Vaughan...

Jego ostry, radosny i dumny śmiech wypełnił mroźną noc, gdy opróżnił pojemnik, wylewając resztę zawartości do niewielkiego otworu w dolnym stopniu, a następnie rzucił kanister przez otwarte drzwi wejściowe na środek salonu.

Wsiadł do samochodu i uruchomił silnik. Przy tej pogodzie potrzeba będzie kilku chwil, by się rozgrzał. Gdy silnik mruczał leniwie, wysiadł i wrócił do schodów.

Wyciągnął z kieszeni pudełko zapalek i spoglądał na nie z poczuciem siły. Oddychał ciężko, z podniecenia ledwo chwytając powietrze. Jego oddech wytwarzał kłęby pary. Mimo mrozu czuł strużki potu pod warstwami ubrania. Tak, pomyślał, warto było; warto było marzyć, fantazjować, czekać... Właśnie na to, na tę chwilę... Teraz!

Szybkim ruchem wyciągnął jedną zapalną, zapalił i przyłożył do pozostałych. Zafascynowany, wpatrywał się w tę łańcuchową reakcję, która przebiegała na ich czubkach; w końcu wybuchły jednym wielkim, wspaniałym płomieniem. Zamknął oczy, delektując się ostatnią, poruszającą chwilą oczekiwania, a potem ze śmiechem wrzucił płonące pudełko zapalek do kałuży u podstawy schodów.

Samochód dotarł już do pierwszej kępy drzew, które zasłaniały dom od strony drogi, gdy nacisnął na hamulec i odwrócił się, by spojrzeć za siebie. Cały parter stał już w płomieniach. Kiedy się temu przyglądał, nagły wybuch światła rozjarzył sypialnię. Z tej odległości mógł jedynie usłyszeć słabe trzaski, gdy żar panujący wewnątrz domu w zderzeniu z przejmującym chłodem na zewnątrz powodował pęknięcie szyb, a migotliwe kryształki szkła lśniącym deszczem opadały na trawnik. Po chwili zajął się dach i cudowny słup jasnego ognia wystrzelił w nocne niebo.

Drzewa, pomyślał, drzewa... Trzeba jechać.

Przejechał przez las i skręcił w wiejską drogę, która w końcu wyprowadziła go na autostradę. Utrzymywał spokojną, niewielką i nie budzącą

podejrzeń prędkość. Gdy samochód wmieszał się w strumień aut kierujących się do miasta, zanucił:

– My funny Valentine...

Roześmiał się, myśląc o ostatnim imieniu ze swej listy. Przestał śpiewać i powtarzał je szeptem raz za razem, aż zmieniło się w pomruk, a pomruk w krzyk, który wypełnił samochód i dzwonił mu w uszach, rozbrzmiewając w lodowatej nocy.

**I**  
**JILL**

## I. Czwartek, 29 stycznia

To Jillian Talbot!

Podniosła gwałtownie wzrok i zebrawszy się w sobie, odstawiła parującą filiżankę na stolik. Tutaj także, pomyślała i przywołując zdawkowy uśmiech, bacznie spojrzała na zbliżające się ku niej przez mrok ogromne kształty. Wybrała najciemniejszy, najspokojniejszy kącik kawiarni, by uniknąć takiej ewentualności. Jednak tu także nie ma szans, zrozumiała. Znowu to samo...

Kształty wyłoniły się z mroku i przybrały postać dwu dość mocno zaawansowanych w latach pań w futrach. Była pewna, że to całkiem miłe kobiety, ale patrząc, jak ku niej zacierają, nie zdołała uniknąć mimowolnego skurczu przerażenia. Wyższa, przechodząc przez salę, machała w jej stronę. Nieco niższa, o siwych włosach połyskujących błękitnymi refleksami, biegła posłusznie za koleżanką, z przeproszającym uśmiechem na przyjaznej twarzy.

– Ależ Phyllis... – jęknęła niższa, gdy dotarły do stolika – pani Talbot na pewno jest bardzo...

– Nonsens, Schatzi! – zagrzmiała wyższa. – Ja tylko chcę mieć autograf. Dzień dobry, pani Talbot. Nazywam się Phyllis Beamish, a to jest Charlene Miller. Widziałyśmy panią w programie „Dzisiaj” w naszym hotelu wczoraj rano. Jesteśmy tu na wycieczce kulturalnej z naszym kołem pań. Tak to nazywamy, wie pani, Broadway, muzea i...

– To miło – przerwała jej Jill z pustym uśmiechem na twarzy. – Witam panią w Nowym Jorku, pani...

– Beamish. Phyllis Beamish. Przeczytałam wszystkie pani książki i nie mogę się doczekać kolejnej. Są takie ekscytujące. Zastanawiam się... – sięgnęła do torebki, wyjęła sfatygowany, oprawny w skórę notes z długopisem i podsunęła go siedzącej kobiecie – czy mogłabym...

– Oczywiście.

Dwie kobiety przyglądały się, jak znalazłszy pierwszą wolną stronę, szybko napisała swoje nazwisko.

– Dziękujemy, bardzo dziękujemy – pani Beamish wręcz promieniała porywając notes i chowając go do torebki. – Właśnie rozkoszowałyśmy się maleńką cappuccino w kawiarni tej autentycznej Greenwich Village przed spotkaniem z koleżankami w World Center i... jak pani myśli, kogo spotykamy? Autentyczną nowojorską znakomitość! Więc mówię do Schatzi...

Jill Talbot wciąż miała uśmiech na twarzy, ale myślą szybko powędrowała gdzie indziej, oddalając się od stolika, tych kobiet i kawy. Myślała o swoim domu położonym niedaleko od tej kawiarni i o wszystkim, co będzie jej potrzebne do zrobienia kolacji, Nate przyjdzie, gdy tylko skończy robotę, jaką zaplanował sobie na ten dzień w pracowni. Przez wszystkie te miesiące, od kiedy się spotykają, ani razu nie przygotowała dlań posiłku; w każdym razie prawdziwego posiłku, bo ciasto i kawę, albo jakieś chińskie dania, zamawiała. Ale dzisiejszego wieczoru zaskoczy go swymi kulinarnymi umiejętnościami, zyskanymi przez lata przyglądania się matce i pomagania jej w kuchni. Najpierw hiszpańska zupa *gazpacho*, potem włoskie *pesto* z orzechami, świeżą bazylią, czosnkiem i oliwą oraz zielona sałata z sosem cytrynowo-ziołowym i...

– ... i po prostu pokochałam pani pierwszą książkę. Kupiłam ją też dla wszystkich moich przyjaciółek... kiedy ukazała się w broszurowym wydaniu, oczywiście...

Wino, myślała Jill. Pinot Grigio, ulubione wino Nata, będzie wprost idealne do *pesto*. Myślała o tym, bo był to sposób równie dobry jak każdy inny, by znieść jakoś potok słów pani Beamish. Nie miała pojęcia, jak długo ta kobieta będzie paplać.

– ... więc czuję się tak, jakbym panią znała, jeśli rozumie pani, co mam na myśli – ciągnęła pani Beamish. – W ten sposób każdy, kto poznał pani książki, zna i panią. Jak to się mówi: pisarz należy do świata... wszak jest artystą? Artysta należy do... och, cóż, mniejsza z tym. Jakże miło było



panią poznać, pani Talbot. Chodźmy, Schatzi, zabrałyśmy pani dość czasu. Do widzenia!

– Do widzenia – odpowiedziała automatycznie Jill, doznając osobliwego uczucia, jakby właśnie wróciła do swej cielesnej powłoki z jakiegoś innego świata.

– Bardzo mi miło, naprawdę – wyszeptała Schatzi, uśmiechając się, zanim odeszła za swą przyjaciółką.

Jill ponownie zagłębiła się w fotelu i sięgnęła po filiżankę, pozwalając powoli zniknąć pustemu grymasowi uśmiechu. Ta rola nigdy jej nie bawiła; nie lubiła rozdawania autografów i wysłuchiwania pochwał zupełnie obcych ludzi. Zresztą, no cóż, stwierdziła, są gorsze rzeczy – brak pochwał i próśb o autografy. Należę do grona szczęściarzy...

Westchnęła, spoglądając na leżący obok filiżanki własny notatnik i długopis. Była w połowie swej piątej powieści sensacyjnej, czwarta właśnie w tym miesiącu trafiła do księgarń. Broszurowa edycja trzeciej, którą zatytułowała *Zabij mnie*, przed miesiącem stała się dla wydawcy najlepszym gwiazdkowym tytułem i utrzymała się na liście bestsellerów *New York Timesa*. Za sześć tygodni Jill miała wyjechać w promocyjną podróż po kilku większych miastach kraju a w tej chwili jej życie było nie kończącym się pasmem uprzejmego podpisywania się, uprzejmych przyjęć i koktajli i uprzejmych telewizyjnych rozmówek ze ślicznymi blondynkami w porannych programach telewizyjnych.

„Cóż, Joano, moja nowa książka nosi tytuł *Pamięć Alicji Lanyon*. To powieść o młodej kobiecie; jasnovidzącej, która otrzymuje telepatyczne przesłania od pewnej nieznanym, jak się okazuje, będącej martwą. Ta nieznanym kobieta została Zamordowana i najwyraźniej stara się przekazać informację o tożsamości mordercy.”

»Ojej, to brzmi ekscytująco, Jillian! Bardzo mi się podobała twoja ostatnia powieść, ta której broszurowe wydanie właśnie się ukazało, a która nosi tytuł *Zabij mnie*. Opowiedz nam o niej.”

„Bardzo proszę, Joano: *Zabij mnie* to powieść o nowojorskiej policjantce, którą FBI wykorzystuje jako przynętę, aby znaleźć seryjnego zabójcę...”

Jill uśmiechnęła się, przypominając to sobie. „Cóż, Joano... tak, Joano... oczywiście, Joano...” Pusta rozmowa, która sprawia, że książki wydają się raczej głupie. Jednak w rzeczywistości nie było to takie złe... a raczej nie byłoby takie złe, gdyby tylko umiała się przyzwyczaić do obecności w centrum zainteresowania ludzi. Jednak zdawała sobie sprawę, że właśnie w tym tkwi problem. Stając się powszechnie znaną pisarką, Jill niczego nie pragnęła tak bardzo, jak anonimowości. „Dziękuję, Joano...”

Kilka par i grup wchodziło do mrocznej, staroświeckiej kawiarni. Rzut oka na zegarek upewnił Jill, że jest piętnaście po piątej. To miejsce – współczesny odpowiednik baru samotnych – wkrótce zapełni się ludźmi wracającymi z pracy. Wstała, szybko włożyła szary wełniany płaszcz i naciągnęła elastyczną czapkę na krótkie kasztanowe włosy. Biorąc notatnik i rękawiczki z marmurowego blatu niewielkiego stolika, rzuciła okiem na leżący tam rachunek i sięgnęła do torebki, by znaleźć portfel. Zawsze tu przepłacała, bo George, kelner, był „jak dotąd nie publikowanym pisarzem”. Fakt, iż miał przynajmniej czterdzieści pięć lat – co oznaczało, iż jest ponad dziesięć lat od niej starszy – wprawiał Jill w takie zakłopotanie, że często zostawiała na stoliku kwotę dwukrotnie przewyższającą cenę kawy. Dziś również tak zrobiła, przypominając sobie, iż George jest prawdopodobnie bardzo utalentowanym pisarzem, a ona ma szczęście, bo jej książki zostały, wydane w pierwszej kolejności.

Lekki śnieg wciąż prószył na już pokrywający ziemię biały dywan, gdy Jill wyszła z kawiarni w gwarną, ruchliwą rzeczywistość Sheridan Place i skierowała się ku Seventh Avenue, ruszyła w drogę do domu. Znowu myślała o kolacji. Przeszła zaledwie kilka kroków, gdy poślizgnęła się na kawałku lodu i niemal straciła równowagę. Upuściła notatnik i z pewnością by się przewróciła, gdyby nie ta ręka, która pojawiła się nagle i mocno chwytając jej ramię, zapobiegła upadkowi. Jill rzuciła przelotne

spojrzenie na czarną męską rękawiczkę i czarny rękaw skórzanego płaszcza. Schyliła się, aby podnieść notatnik i otrzepując go ze śniegu, odwróciła się, by podziękować swemu samarytaninowi, lecz ów zdążył już oddalić się pospiesznie.

Wszyscy się spieszą, zauważyła w myślach, wkładając notatnik do torebki przewieszonej przez lewe ramię. Kilka razy potrącili ją ludzie gnający ku wejściu do metra przy Christopher Street. Inni pędzili wzdłuż krawężników, przywołując taksówki, zanim śnieg rozpada się na dobre i wszystkie znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jill uśmiechnęła się, Oglądając ruch panujący na ulicy. Ja nic nie muszę, pomyślała, mieszkam tuż za rogiem, w samym sercu Village, i pracuję w domu. Nie muszę denerwować się metrem ani taksówkami.

Nie zawsze tak było, przypominała sobie. Jej względna wolność była niedawnym osiągnięciem zdobytym ciężką pracą. Jill urodziła się w Nowym Jorku, więc kilka jej najwcześniejszych wspomnień wiązało się z tym czy innym środkiem miejskiej komunikacji. Wyczekiwanie na chodniku przed stojącą przy Central Park West kamienicą, gdzie dorastała, i ściskanie ręki matki, podczas gdy ojciec – a później ojczym – przywoływał taksówkę. Wbieganie i wybieganie ze szkoły średniej i gnanie do autobusu wraz z dwiema przyjaciółkami.

Kiedy przed dwunastoma laty wróciła do tego miasta z uniwersytetu, jej pierwszą posadą była praca w słynnym wydawnictwie właśnie tutaj, w Greenwich Village. Wciąż mieszkała wtedy z matką, która do owego czasu zdążyła się rozwieść i zaczynała już objawiać pierwsze symptomy choroby. Każdego dnia, przez niemal cztery lata, Jill wsiadała w metro linii biegnącej wzdłuż Houston Street i jechała pół godziny w jedną stronę, pokonując wtedy drogę zawodową od korektorki tekstów do redaktorki książek. Bardzo dużo się dowiedziała o edytorstwie, nie mówiąc już o mężczyznach: jej pierwszym, prawdziwym, „dorosłym” romansem, był związek z właśnie rozwiedzionym starszym redaktorem. I każdego wieczoru przez owe cztery lata, gdy kończyła przynoszoną do domu pracę i ułożyła matkę do łóżka, siadała przy komputerze stojącym w jej małym

pokoju i pisała niemal do świtu. Pierwsze trzy teksty pozostały zamknięte w szufladzie; instynktownie czuła, że nie są dość dobre, by je komukolwiek pokazać.

Po czterech latach pracy w pierwszym wydawnictwie obietnicą edytorskiej samodzielności znęciło Jill ku sobie następne, położone w centrum Manhattanu. Nie awansowano jej tam, gdzie dotąd była, a romans ze starszym redaktorem wygasł, więc przyjęła propozycję. Minęły trzy lata, nim sobie uświadomiła, że redagowanie książek innych ludzi – choć jest zajęciem wzbogacającym, a często także kształcącym – utrzymuje ją z dala od najważniejszego marzenia o pisaniu i wydawaniu własnych książek. Złożyła wymówienie, znalazła w wydawnictwie odpowiednich, mogących ją zastąpić redaktorów dla swojej małej, ale utalentowanej grupy pisarzy i poszła do domu.

Czwarta próba pisarska Jill była jej pierwszą powieścią sensacyjną. Nosiła tytuł *Ciemność*. Jill pisała ją w nielicznych chwilach, jakie miała dla siebie, gdy nie rozpraszał jej ówczesny krótki, nieszczęśliwy związek z doradcą podatkowym. Uśmiechnęła się teraz, wspominając Teda i jego oświadczyzny – propozycję normalnej, bezpiecznej egzystencji. Wtedy jednak była już bliska ukończenia swej powieści i w głębi serca przekonana, że właśnie to, co robi – pisanie – jest dla niej znacznie ważniejsze niż wszystko inne, a już z pewnością ważniejsze niż Ted. Wiedziała, tak jak może to wiedzieć jedynie prawdziwy artysta, że *Ciemność* zostanie przyjęta do druku i wcale nie czuła się zdumiona ani kiedy ją wydano, ani kiedy odniosła sukces. Dzięki *Ciemności* Jill już nigdy nie miała być uzależniona od publicznej komunikacji...

... I dzięki matce, pomyślała, przechodząc przez skrzyżowanie i skręcając ku Barrow Street, przy której mieszkała. Przypomniała sobie tamten dzień, trzy lata temu, kilka miesięcy po ukazaniu się pierwszej książki, gdy w końcu dotarło do jej świadomości, że lekarze mieli rację. Matka musiała się znaleźć w prywatnej klinice, gdzie otoczono by ją całodobową opieką i troską, której najwyraźniej wymagała. Nie była to łatwa decyzja, ale przynajmniej ten dom... no, dobrze, s z p i t a l ... w Port Jefferson w

stanie Long Island miał piękne zielone trawniki i widok z okien na Long Island Sound. Właśnie to powiedziała sobie Jill, gdy zabrała tam matkę, a potem wróciła do miasta, by doglądać sprzedaży mieszkania przy Central Park West, gdzie spędziła całe dotychczasowe życie. Pożegnanie z tym miejscem okazało się łatwiejsze, niż przewidywała; przede wszystkim nie było tam matki, a na dodatek w owym mieszkaniu pozostało zbyt wiele nieprzyjemnych wspomnień o ojczymie.

A potem wprowadziła się tutaj, do tego ślicznego zakątka u zbiegu Barrow Street i Commerce, prosto z Hudson Street. Wkroczyła do owego mieszkania i na nową drogę zawodowej kariery w następnej części miasta. Do pięknego apartamentu na szczycie siedmiopiętrowego, narożnego budynku, z niewielką windą i wychodzącym na północ oknem widokowym, przez które podziwiała wyższe budynki, oraz z bocznymi oknami, skąd mogła patrzeć na rzekę Hudson płynącą w odległości trzech ulic na zachód. Z okien wychodzących na wschód spoglądała w dół na spokojny ślepy zaułek, jaki utworzył się w miejscu, gdzie koniec Commerce Street stykał się z Barrow. Był tu mały teatrzyk Cherry Lane, jedna z najstarszych, wciąż działających scen off-broadwayowskich. Naprzeciwko zaś znajdowały się Twin Sisters, dwa identyczne, niewielkie, jednopiętrowe domki stojące tuż koło siebie, z niewielkim wspólnym ogrodem między nimi. Wiele lat temu zbudował je pewien kapitan marynarki dla swych dwóch córek, które z powodów, jakich naprawdę nikt nie pamiętał, nie chciały ze sobą rozmawiać. Mówiono, że chodziło o jakiegoś mężczyznę, którego obie kochały i który postanowił je ożenić się z żadną z nich. Jednak dwie kobiety nigdy sobie nie wybaczyły i przemieszkały całe życie po sąsiedzku, ale w odosobnieniu i milczeniu. Jill przypomniała sobie, jak wpatrywała się w te dwa domy, gdy po raz pierwszy opowiedziano jej ową historię, i jak dziwna była dla niej ta opowieść, jak osobliwie romantyczna... Mała przystań, jak nazywała owe domki, stała się miejscem głębokiej namiętności, jeśli można tak nazwać siostrzaną urazę, która trwa przez całe życie...

Gdy przecięła Bedford Street i weszła do swego kwartału ulic, śnieg

padał coraz gęściej, a przechodnie gdzieś zniknęli. Mrok owej śnieżnej zawiei pogłębił ciemność zbliżającego się wieczoru, a przejmujący chłód wiatru szalejącego nad Manhattanem ostro uderzył Jill w twarz. Była teraz sama; sama w śniegu i nadchodzącym mroku. Przystanąła na chodniku przed domkami dwóch sióstr, rozcierając dłońmi w rękawiczkach policzki, by złagodzić ich ścierpięcie.

To wrażenie ogarnęło ją nagle i przez chwilę nie była pewna, co oznacza. Jill poczuła się jakoś dziwnie, osobliwie, odmiennie. Coś kryło się w powietrzu wokół niej. Stała na rogu, wpatrując się w stojący po drugiej stronie zaśnieżonej ulicy swój własny dom i powoli opuściła ręce. Czuła to z tyłu głowy, na karku, między łopatkami. Jakaś siła, moc, ciepło, które przedzierało się przez mróz, drażniąc jej skórę. Czuła szorstkość włosów, wełnianego płaszcza, paska zwieszającej się z ramienia torebki, ubrania, a nawet miękkich płatków śniegu; czuła wszystko, co ją otaczało. Poczowała też coś jeszcze; coś, co nie stykało się z nią bezpośrednio, a jednak było tym samym. Wbrew narastającej panice Jill zamknęła oczy, a potem wzięła głęboki oddech, otworzyła je i odwróciła się nagle.

Na rogu Bedford Street, w odległości około pięćdziesięciu metrów, stał wysoki mężczyzna. Zauważyła, że ubrany był na czarno; dżinsy, wełniana czapka, skórzany płaszcz, rękawiczki. Stał zupełnie spokojnie, ale przez padający śnieg, nie widziała go wyraźnie. Był wysoki, dobrze ponad metr osiemdziesiąt, i szczupły. Czapka zasłaniała mu włosy oraz znaczną część twarzy i właśnie wtedy, gdy Jill spojrzała na niego, odwrócił głowę, kierując wzrok ku Bedford Street, jakby szukał jakiegoś konkretnego miejsca. Po chwili wahania ruszył w tamtym kierunku, znikając jej z pola widzenia.

Wpatrywała się w pusty teraz róg, gdzie przed chwilą stał, nieznajomy, a potem szybko popatrzyła wokoło po innych zakątkach i widocznych odcinkach chodnika. Uważnie zajrzała nawet do bram i okien, zerkając też we frontowe okna stojącego za nią domu dwóch sióstr i w witrynę niewielkiej restauracji mieszczącej się na parterze jej własnego domu. Nikogo... nigdzie...

Potrząsnęła z niedowierzaniem głową i mocniej przycisnęła torebkę. Co u licha, pomyślała, mogłabym przysiąc...

Nie, stwierdziła, *to* niedorzeczne. Jednak przez chwilę była przekonana, że ktoś ją obserwował. Wciąż czuła jeszcze to intensywne spojrzenie skierowane prosto w tył jej głowy. Zabawne... Jedynym człowiekiem w zasięgu jej wzroku był ów mężczyzna, który najwyraźniej szukał jakiegoś domu...

Potrząsając głową, uśmiechnęła się na myśl o swej własnej dziwacznej wyobraźni, przecięła niewielką uliczkę i weszła do bramy tuż obok drzwi do restauracji. Przygotowała pierwszy z dwóch kluczy, tak jak robiły to Tara, Gwen, Mary i wszystkie inne kobiety, jakie знаła. Lekcje samoobrony... niefortunny, uboczny efekt urodzenia się kobietą i zamieszkiwania w tym mieście. Właśnie o byciu kobietą i życiu na tej planecie myślała ponuro, otwierając drzwi wejściowe i bacznie spoglądając przez szybę, by najpierw się upewnić, że żadna złowroga męska postać nie czai się w mrokach korytarza. Właściwie Jill zaczęła chodzić na te zajęcia wraz z przyjaciółkami, przygotowując się do trzeciej powieści, ponieważ jej bohaterka – policjantka – musiała kilka razy wykazać się sprawnością fizyczną, teraz jednak doceniała ów kurs, choć były to jedynie podstawy.

Właśnie otwierała wewnętrzne drzwi, gdy przypomniała sobie o skrzynce na listy. Spojrzała na długi rząd lśniących brązem przegródek. Poczta zazwyczaj oznacza rachunki, więc zawartość skrzynki sprawdzała jedynie co drugi dzień. Jednak Mary, jej agentka, mówiła coś dzisiaj rano przez telefon o jakiejś nowej umowie na broszurowe wydanie *Pamięci Alicji Lanyon* – korzystniejszej umowie, co było miłe. Te zdumiewające ilości pieniędzy, jakie ludzie chcieli płacić jej za pisanie, zawsze robiły na Jill głębokie wrażenie. Była teraz w komfortowej sytuacji; księgowy, makler oraz Mary Daley nie omieszkali szybko jej o tym przypomnieć. Niech Bóg błogosławi listę bestsellerów *Timesa*, pomyślała Jill, wybierając teraz małe kluczyk do skrzynki na listy. I niech też błogosławi czytelników w dwunastu – a może nawet trzynastu – krajach.

W skrzynce znajdowała się umowa, w dużej kopercie ze Znakiem firmowym agencji nad naklejką z nazwiskiem i adresem. Oprócz umowy

przyszło też coś jeszcze: kwadratowa koperta w kolorze różowym. Chyba karta z życzeniami, pomyślała Jill zastanawiając się, jaką okazję przeczyła. Spóźnione życzenia świąteczne czy noworoczne? Urodziny miała w czerwcu, więc nie mogła to być karta urodzinowa. Jej imię, nazwisko i adres starannie wypisano na maszynie, ale na kopercie nie było adresu nadawcy.

Wzruszywszy ramionami zabrała korespondencję i przesłała przez wewnętrzne drzwi oraz długi korytarz i klatkę schodową. Wjechała na siódme piętro i wyszła z windy wprost na niewielkie foyer na szczycie schodów przed swymi drzwiami.

Wewnątrz, przez duże frontowe okno przebijało jeszcze słabo ostatnie światło późnego popołudnia. Jill odłożyła torebkę i pocztę na duży, ciężki mahoniowy stolik i skierowała się do gabinetu położonego w głębi mieszkania tuż obok sypialni. To niewielkie pomieszczenie, stanowiące niegdyś mniejszą z dwóch sypialni, było teraz zdominowane przez biurko, na którym stał komputer. Obok znajdował się mały stolik na laserową drukarkę, a w rogu trójszufladowa metalowa szafka z dokumentami. Ściany i półki z książkami były jedynym ustępstwem na rzecz próżności i pychy; wypełniały je projekty okładek do czterech powieści i pierwsze wydania wszystkich książek Jill w kilku językach. Honorowe miejsce na półce obok ciemnego okienka nad biurkiem zajmował „Edgar” – nagroda, którą dostała trzy lata temu od Stowarzyszenia Amerykańskich Autorów Powieści Sensacyjnych za *Ciemność*. Na szafce stał telefon z automatyczną sekretarką. Włączywszy automat, Jill stwierdziła, że pozostawiono jej dwie wiadomości.

– Cześć! – Głęboki baryton Nate'a wypełnił cały pokój. – Będę nad czymś pracował dziś po południu, więc nie dzwoń między trzecią a piątą. Zadzwoń po piątej, chyba, że chcesz usłyszeć automatyczną sekretarkę. Wpadłem z Dougiem na jakąś kanapkę. On mówi, że dziewiąta trzydzięści będzie dobra. Mam nadzieję, że to urządzenie działa. Ty i twoje wspańiałe pomysły! Zastukaj w podłogę i powiedz Tarze, że o dziewiątej trzydzięści, deser i kawa, czy co tam jeszcze planujesz. Wtedy przyłączy się do nas ten odpowiedni kawaler. Obiecał nawet włożyć czystą koszulę.



Do zobaczenia około siódmej. Będę głodny, więc mnie nakarm albo ucieknę z Tarą. Kocham cię. Cześć!

Jill uśmiechnęła się do automatycznej sekretarki, która zaczęła przekazywać drugą wiadomość. Planując w myślach wieczór, nie dosłyszała początku. Kiedy jednak nieznany głos nie milkł, wpatrzyła się w aparat, czując w pamięci kompletną pustkę. Co? Co on... a może ona... mówi?

Powoli wyciągnęła rękę, by jeszcze raz nacisnąć przycisk automatycznej sekretarki. Najpierw rozległ się szum przewijanej taśmy, a potem głos Nate'a.

– Cześć. Będę nad czymś pracował...

Uruchomiła szybkie przewijanie i głęboki męski głos przyspieszył, aż stał się przeciągłym gwizdem. Gdy pierwsza wiadomość się skończyła, Jill zdjęła palec z przycisku i słuchała.

Był to drażniący, ostry szept, tak wysoki i – jakby to powiedzieć... – „rozdźwięczniony”, jeśli w ogóle jest takie słowo, że nie potrafiła określić płci rozmówcy, ale na końcu nagrania znalazł się krótki chichot, który przeszył ją zimnym dreszczem.

– Witaj, Jillian. Dostałaś moją kartę? Prześliczna, nieprawdaż? Odezwę się. Niebawem naprawdę mnie poczujesz. Żegnaj! – Po tych słowach rozległ się ów chichot i trzask odkładanej słuchawki.

Zareagowała automatycznie i dopiero o wiele później zrozumiała, że to był błąd. Jednym szybkim ruchem nacisnęła odpowiedni przycisk, aby skasować wiadomość. Znowu rozległ się szum przewijanej taśmy, która już po chwili były czysta. Jill stała, drżąc i zaciskając dłonie na krawędzi biurka.

Brian Marshall, pomyślała. Ale to niemożliwe; on jest...

Zatrzymała się w połowie myśli. Co: on? Wyjechał. Ostatnio słyszała, że jest w Cleveland, a może w Cincinnati? Nie mogła sobie przypomnieć, nie mogła jasno myśleć.

Nie, pomyślała, to nie może być Brian, to zbyt absurdalne. Na pewno jest jakieś wyjaśnienie; ktoś zrobił jakiś żart...

Ta karta. Nawet nie otworzyła koperty.

Włączyła lampę na biurku obok komputera, a potem górne światło

w gabinecie. Powoli wróciła do salonu i przystanąła, wpatrując się w torebkę i koperty leżące na mahoniowym stoliku. Zapadł już wieczór, mieszkanie pogrążone było w mroku. Jill obeszła pokój dookoła, zatrzymując się, by włączyć każdą stojącą lampę i każdy kinkiet. Tary nie ma jeszcze w domu, pomyślała, zadzwoniłabym do niej, żeby zaraz tu przyszła. Nie zatrzymała się przy stoliku, ale przeszła do części jadalnej znajdującej się w kuchni. Kontakt. Białe i żółte kafelki oraz kuchenne akcesoria zajaśniały życiem. Łazienka na wprost kuchni. Kontakt. Białe kafelki i przybory toaletowe. Szklane „oszronione” drzwi zasłaniające wannę. Po tem sypialnia. Kontakt. Górne światło i lampka na nocnym stoliku nappełniły błękitny pokój radosnym, bezpiecznym światłem.

Włączywszy wszystkie światła, Jill wróciła do salonu. Jej buty wydawały głośny, głuchy, uspokajający stukot na wypolerowanej drewnianej podłodze, gdy przeszła obok dużego stołu, a potem orientalny dywan stłumił wszelkie dźwięki. Jill stanęła nad mahoniowym stolikiem, wpatrując się w błyszczącą, krzykliwie różową kopertę.

Kolacja, pomyślała, chcąc odwlec tę chwilę. Muszę zrobić kolację.

Powoli usiadła na kanapie zwróconej ku oknu, wyciągnęła rękę, podniosła kopertę i otworzyła ją.

Była w niej duża, różowa karta w kształcie serca, z koronkowym wzorem wokół brzegów. W środku owego serca krwistoczerwone wytłaczane litery układały się w słowo „Walentyńko...”, a zagięcie wskazywało, że ciąg dalszy znajduje się w środku. Jill otworzyła kartę. Taki sam czerwony napis wołał: „... Bądź Moja!”.

Było tam również coś jeszcze, co starannie wykaligrafowano pod życzeniami wydrukowanymi przez producenta kart. Wciąż na nowo, oczami z wolna rozszerzającymi się ze zdumienia, Jill odczytywała te cztery słowa. Po zdumieniu nadeszło niedowierzanie, a potem, na końcu, pierwszy, słaby dreszcz przerażenia.

OBSERWUJĘ CIĘ  
POZDROWIENIA  
„WALENTYNKA”

Okna. Pobiegła wzrokiem od kart ku wielkiemu, zajmującemu niemal całą frontową ścianę oknu, które przez podniesione rolety i rozsunięte zasłony wpatrywało się w nią mrocznie i przez które ona mogła widzieć światła w oknach domu po przeciwnej stronie Barrow Street, a także dalej, w wyższych budynkach wytwornej dzielnicy miasta. Okna, tysiące okien... Poczowała się bezbronna, wystawiona na cios, nie zabezpieczona przed atakiem. Obserwowano ją. Jill zerwała się i uczyniła krok ku oknu, gdy nagle uderzyła ją nowa myśl. Przystanąła, a jej spojrzenie jeszcze raz padło na kartę, którą trzymała w dłoni.

Zamrugnęła oczami.

I wtedy, całkiem sama w rześścicie oświetlonym mieszkaniu, wybuchnęła śmiechem. Wielkie nieba, pomyślała, gdy objęły ją kolejne fale ulgi, Nate, jakież to okropnie niegustowne, wprost pozbawione smaku! To był oczywiście Nate; jedyny człowiek, jakiemu kiedykolwiek pozwoliła czytać książkę, nad którą właśnie pracuje. A to jest właśnie...

To był koniec pierwszego rozdziału jej nowej powieści; powieści, której jeszcze nie nadała tytułu. Różnica polegała jedynie na tym, iż nie było w niej walentynkowej karty, tylko zwyczajny arkusik białego papieru w kopercie wsuniętej pod drzwi bohaterki, na którym ktoś napisał: ZABIJĘ CIĘ. Wiadomość zostawiona telefonicznej sekretarce – ów wysoki, niemal dziewczęcy szept – była własnym pomysłem Nate'a. I trzeba przyznać, że dobrym; nigdy w życiu nie rozpoznałaby jego głosu, nawet gdyby wsłuchiwała się w nagranie przez milion lat. Zabiję go, pomyślała, trzymając się klimatu własnej prozy.

Zaśmiewając się Jill odłożyła kartę na niewielki stolik i poszła do kuchni, by zagotować wodę na makaron.

Okno przestało ją dręczyć.

Niewielka wizytówka przyklejona do drzwi pracowni w dzielnicy East Village informowała:

NATHANIEL  
LEVIN ARTYSTA

Niewinny żarcik. Była to pierwsza rzecz, jaką zrobił półtora roku temu, pierwsza formalna czynność po tym, jak wszedł do owego dużego, pustego parterowego wnętrza przy First Avenue, między Fifth i Sixth Streets, postawił turystyczną torbę oraz sztalugi na środku pokoju i powiedział starzejącej się hippisowskiej gospodyni, że się wprowadza. Evening („mów mi Eve”) Blanchard, która naprawdę, o czym dowiedział się później – miała na imię Selma – była tak zachwycona, że oddała mu niewielkie mieszkanie mieszczące się wprost nad pracownią za cenę znacznie niższą, niż się spodziewał. Co prawda później, jak wyznała, podejmując Nate'a na powitanie ciasteczkami i tanim czerwonym winem (niczego nie tknął), zaczęła rozpaczać, że w ogóle wynajmuje to pomieszczenie.

Nic dziwnego, pomyślał Nate, rozglądając się wokół po dużym, jasno oświetlonym wnętrzu, którego frontowe okna zasłaniały teraz stale opuszczone – i zawsze zamknięte – metalowe żaluzje. Właściwie nie było to zachęcające miejsce, a znajdujące się na piątym piętrze dwa pokoiki z niewielką kuchenką sprawiały wrażenie, iż z trudem da się do nich wejść. Nie chciał nawet myśleć o mieszkaniu na drugim piętrze ani o owej długowłosej parze, która je wynajmowała; od czasu do czasu mijał ich na schodach i to mu wystarczało. Ale jestem t u t a j, powtórzył sobie jeszcze raz, odkładając szpachlę i sięgając po pędzel. W Nowym Jorku, właśnie tu, gdzie chciał być. W East Village, w samym środku, w centrum artystycznego świata. Ato, myślał uśmiechając się, to jest środkiem owego środka.

Otarł pot z czoła, wypił łyk ze stojącej obok butelki wody mineralnej i wyciągnął rękę, by skierować wprost na siebie niewielki elektryczny wentylator. Ubrany był jedynie w wyplamione farbami jeansy i sandały, bawełnianą koszulę zrzucił już przed trzema godzinami, gdy zaczął malować. Setki razy zastanawiał się, dlaczego tu jest zawsze tak gorąco. Nawet teraz, w styczniu. Przecież na dworze pada śnieg! Spojrzał na zasłonięte żaluzjami szyby, a potem w górę na długie świetlówki i wzruszył ramionami. Odgarnął z czoła gęste, ciemne, falujące włosy, przeciągnął się, rozprostowując wysoką, szczupłą figurę i wytrwale wrócił do pracy.

Żeby to skończyć, pomyślał. Spojrzał w stronę płócien opartych o

ścianę, licząc je w myśli. Wystawa, jego druga wystawa w Nowym Jorku, będzie się składać z dwunastu obrazów. Dziesięć już namalował. Ten, zatytułowany „Lato”, był czwartym z cyklu „Cztery Pory Roku”. Ostre plamy żywej czerwieni, oranżu, słonecznej żółci i bieli zaczynały sprawiać wrażenie letniego żaru, być może stanowiąc kolejny powód ciepła panującego w tym pomieszczeniu. Gdyby skończył ku swemu zadowoleniu ten obraz – cóż, w istocie nigdy nie był w pełni zadowolony – wzięłby się za ten wielki; ten, który zostawił sobie na koniec. „Cztery Pory Roku” dołączyłyby do „Siedmiu Wieków Człowieka” i wieńczącego całość „Życia”, komponując się w wystawę, którą zatytułował „Zależności”. Henry Jason spodziewał się wielu gości w swej galerii w SoHo; liczył, że będzie ich jeszcze więcej niż na pierwszej wystawie Nathaniela Levina, która odbyła się w marcu. Jason uwierzył w Nate'a i to właśnie Jason był jednym z jego inspiratorów i inicjatorów wystawy. Znalazł się na jego drodze.

Do diabła, pomyślał Nate z krzywym uśmiechem, dodając więcej żaru w lewym górnym rogu płótna, teraz nawet sprzedaje! Pieniądze nigdy nie miały dlań pierwszorzędno znaczenia, ale posiadanie ich było z pewnością przyjemniejsze niż ich brak. Mieszkał w Nowym Jorku, odnosił sukcesy w świecie artystycznym, miał interesujący krąg nowych przyjaciół, a co najważniejsze – miał Jill.

Jill. Pracując wspominał ów wieczór, kiedy się poznali. To już prawie rok... Zatłoczony, gwarny klub przy Seventh Avenue. Miała krótką, obcisłą, czerwoną sukienkę, siedziała przy małym stoliku obok oświetlonego stroboskopowym światłem parkietu, z uśmiechem rozglądając się wokół, podczas gdy jej przyjaciółka Tara Summers tańczyła ze swym chłopakiem. Jill była sama; Nate upewnił się co do tego bezzwłocznie. Sącząc jakiś drink, lekko kiwała głową w rytm ogłuszającej muzyki, która rozrywała wprost kolumny nagłaśniające. Później dowiedział się, że Tara wymusiła na niej przyjście do tego klubu. Tara – aktorka telewizyjna, jak się okazało – najwyraźniej prowadziła jednoosobową kampanię mającą na celu znalezienie partnerów dla siebie i Jill. Ale owego wieczoru Nate o tym nie wiedział; wiedział jedynie, że siedzi sama przy stoliku i że jest piękna.

Przedarł się więc przez tłum, by znaleźć się obok krzesła pięknej nieznamomej i właśnie chciał poprosić ją do tańca, gdy wdał się w to los: jakiś hałaśliwy facet wpadł nań z drinkiem i oblał mu koszulę. Przyjmował właśnie donośne przeprosiny, gdy usłyszał cichy śmiech i zobaczył przed sobą miękką serwetkę. To właśnie Jill unosiła ową serwetkę ku górze.

– Proszę – powiedziała z miłym uśmiechem. – Chyba się przyda.

Roześmiali się oboje. Nate wytarł koszulę.

– Dzięki. Straszny tu tłok.

– Tak. I wszyscy mają w rękach pełne szklanki.

– Niebezpieczne.

– Jak widać.

Rozśmieszyło ich to ponownie. Pochylił się i wyciągnął rękę.

– Nathaniel Levin – przedstawił się. – Dla przyjaciół: Nate. Jesteś wśród nich, oczywiście.

Wciąż uśmiechając się ujęła jego dłoń.

– Jillian Talbot. Dla przyjaciół: Jill.

– Chyba nie Jillian Talbot, pisarka!

Zaczerwieniła się lekko.

– To ja, panie sędzio – odrzekła niskim, dzwięcznym głosem, śmiejąc się znowu.

Na jego twarzy malował się wyraz zaskoczenia.

– Właśnie przeczytałem twoją nową książkę! Fantastyczna! Naprawdę, nie żartuję! – Też poczerwieniał. – O Boże, to brzmi jak...

Oboje znów wybuchnęli śmiechem.

– Cieszę się, że ci się podobała – powiedziała Jill. – A ty czym się... co robisz?

– Jestem artystą. Malarzem. Masz ochotę zatańczyć? Chciałem powiedzieć... no cóż... to pomogłoby wyschnąć mojej koszuli...

– Jeśli tak, to dobrze. Nie chcę, żebyś się przeziębiał...

Zaśmiewali się, gdy prowadził ją przez zatłoczony parkiet, gdy tańczyli i później, gdy przedstawiała go Tarze Summers i jej partnerowi. Siedzieli razem przy małym stoliku i w końcu zdobył się na odwagę, by

zaprosić Jill na swoją pierwszą wystawę w galerii Henry'ego Jasona przy Spring Street. Nie omieszkał zaprosić również jej przyjaciół.

Przyszła na wernisaż. I właśnie ów wernisaż był jego pierwszą oficjalną randką z Jill.

Jill...

O mój Boże, Jill! Rzucił okiem na zegarek: za dwadzieścia siódma. Powinien tam być za dwadzieścia minut! Spojrzał na płótno, a potem jeszcze raz na zegarek i zmusił się do odłożenia pędzla.

Stał właśnie pod prysznicem, gdy zadzwonił telefon. Ociekając wodą, wybiegł z ciasnej łazienki do ciasnego pokoju będącego zarazem sypialnią i wyciągnął aparat telefoniczny spod sterty poduszek, gdzie go ostatnio schował.

- Tu pracownia Nathaniela Levina – wysapał do słuchawki.
- Witaj, pracownio Nathaniela Levina – zabrzmiała rozbawiona odpowiedź. – Tu biuro Jillian Talbot, pisarki. Jesteśmy dziś umówieni na kolację, pamiętasz? Czy może twoja muza usidliła cię na ten wieczór?
- Nie, kochanie, tylko straciłem poczucie czasu. Już pędzę.
- Jeśli chcesz pracować, Nate, to dobrze. Ale w końcu udało mi się uzgodnić z Tarą...
- Dobrze. Doug przyjdzie punktualnie, a ja już pędzę.
- Już to mówiłeś! Kup po drodze jakieś Pinot Grigio, ale tylko jedną butelkę, nie piję w takich dniach.
- Dobrze. Już pędzę!
- Przestań to powtarzać! Poza tym pośpiech ci nie pomoże. Jesteś w niełasce, mój przyjacielu.
- Co?! W jakiej niełasce?
- Ta sprawka z pewną ozdobną kartą i złowróbną wiadomością pozostawioną telefonicznej sekretarce... och, nieważne Ale nie podoba mi się twoje chore, wypaczone poczucie humoru, szczególnie jeśli jest wycelowane w moją książkę. Nate słyszał, że Jill się zaśmiewa, udając surowość.

- Co? O czym ty, do diabła...
- Zapomnijmy o tym. Później będę na ciebie wrzeszczeć. Już pędzisz, pamiętasz?
- Tak, już pędzę.

Odłożył słuchawkę i przez chwilę stał jeszcze, wpatrując się w telefon, a potem wzruszył ramionami i ponownie wskoczył pod prysznic.

Siedem minut później wyłonił się z wyjścia obok zamkniętego pomieszczenia na parterze ubrany w gruby rybacki sweter i czarne dżinsy pod swoją ulubioną lotniczą kurtką. Włożył szalik i rękawice, a potem wcisnął na głowę lśniący, czarny motocyklowy kask. Ryk potężnego silnika na krótko przeraził innych mieszkańców tego kwartału ulic, z których żaden, o czym Nate był przekonany, nie mówił po angielsku. Głównie mówiono tu po ukraińsku... jeśli ukraiński był językiem. Nate obrzucił spojrzeniem rosyjskie... och, *pardon*, ukraińskie... restauracje i sklepy, które zgromadziły się w sąsiedztwie, zaśmiał się i ruszył przez First Avenue w kierunku Ninth Street.

Cztery minuty później – po balansowaniu i prześlizgiwaniu się między taksówkami i autobusami na zamarzniętych ulicach – zeskoczył z hondy przed domem, w którym mieszkała Jill, założył łańcuchy na obydwie koła i pobiegł na róg Hudson Street. Kupił wino i drogą brandy na deser, a może na jakieś sam-na-sam, które przyszło mu do głowy. Następnie biorąc głęboki oddech, pognął z powrotem, by stanąć przed domem z wybiciem siódmej.

Pchnął wejściowe drzwi i sięgnął do dzwonka, nieświadomy faktu, że ktoś obserwował go od chwili, gdy honda z rykiem wjechała w tę ulicę; że czyjeś oczy przyglądały mu się bacznie, gdy wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

- Czy to jest ta cholerna rzecz? – zapytał Nate.
- Tak – szepnęła Jill.

Siedzieli na kanapie, wpatrując się w jaskraworóżową kopertę. Po chwili milczenia Nate sięgnął po nią i trzymając dość ostrożnie za krawędź, obejrzał uważnie z przodu i z tyłu.



– Nowojorski stempel pocztowy – powiedział. – Wczorajsza data. Karta wyprodukowana w Ameryce... Boże, Jill, do dnia świętego Walentego pozostały dwa tygodnie. W każdym amerykańskim kiosku i sklepie mają setki takich kart.

– Tak – powtórzyła i opierając się o kanapę, wzięła głęboki oddech, by zmusić się do jasnego myślenia. To żart, powtarzała sobie. To musi być żart. Myśl, myśl, Jill Talbot. Ale jeśli nie Nate, to kto?... Przyglądała się, jak odsunął od siebie kartę i badał ją wzrokiem.

– „Obserwuję cię” – przeczytał. – Chyba nie przypuszczasz, że Tara...

– Oczywiście, że nie! – wykrzyknęła. – To jest Nowy Jork, Nate. Co dwadzieścia minut popełnia się tu zbrodnię, której ofiarą jest kobieta. Chyba tylko jakiś wyjątkowo głupi mężczyzna mógłby sądzić, że to zabawne, ale żadnej kobiecie coś takiego nie przyszłoby w ogóle do głowy!

Podniósł ręce w geście obrony.

– Dobrze, dobrze. Powiedziałaś tylko, że głos zarejestrowany na taśmie magnetofonowej mógł być głosem kobiety...

– To mógł być każdy – odpowiedziała stanowczo.

Po chwili, gdy zdali sobie sprawę ze znaczenia tych słów, spojrzeli na siebie szeroko otwartymi oczami. Zapadła długa cisza.

– O Boże! – wyszeptała Jill, przerywając milczenie. – John Hinckley! Wiesz, ten chłopak, który nękał Jodie Foster.

– Słuchaj, spokojnie, nie rzucajmy się po omacku – odezwał się Nate szybko. – To tylko... nie wiem... to tylko karta.

– A ten telefon? – zapytała, przysuwając się bliżej i biorąc go za rękę. Ścisnęła jej dłoń.

– Nie rozpoznałaś tego głosu?

– Nie. Ktokolwiek to był, zadał sobie dużo trudu, by go zmienić. Boże, nie powinnam była kasować tego nagrania!

Nate pochylił się ku niej i zauważyła, że mówiąc, przygląda się jej twarzy.

– Zdaje się, że gdzieś czytałem, iż w dziewięciu na dziesięć podobnych wypadków, zna się tych ludzi. Masz jakiś pomysł?

Spojrzała na kartę, którą odłożył na stolik i potrząsnęła głową.

– Nie. Naprawdę nie. Początkowo... Nie.

– Mów dalej, Jill – nalegał. – Początkowo... Co?

Wzięła głęboki oddech i podniosła wzrok.

– Początkowo myślałam, że mógłby to być mój ojczym.

Widziała, że oczy Nate'a jeszcze raz się rozszerzyły. Zadzwoił dzwonek u drzwi.

Jill jednym szybkim ruchem chwyciła kartę ze stolika, wcisnęła ją do szuflady od strony kanapy i skierowała się w stronę jadalni.

– To na pewno Tara. Otwórz jej, dobrze? I ani słowa o tej sprawie.

Nate skinął głową i poszedł ku drzwiom, a ona zebrała ze stołu talerze i szklanki i pospieszyła do kuchni. Talerze wędrowały właśnie do zmywarki, a szklanki do zlewu, gdy usłyszała ów jasny śmiech, który zawsze towarzyszył nieco teatralnemu wejściu zamieszkałej piętro niżej sąsiadki.

– Nate, kochanie! Melduję się na rozkaz! Jak to miło, że organizujesz moją pierwszą randkę w ciemno! Czy on już tu jest? Dobrze wyglądam? I gdzież u licha jest nasza *femme des lettres*? Och, nie bądź taki zakłopotany, kochanie; to czysto retoryczne pytania.

Gdy Jill wyszła z kuchni, by przywitać Tarę Summers, była już roześmiana. Zobaczyła zgoła oszałamiający obraz: wydekoltowaną białą suknię i burzę kasztanowych włosów, które były przedmiotem zazdrości wszystkich amerykańskich gospodyń domowych w popołudnia od poniedziałku do piątku, od trzynastej trzydzieści do czternastej. Jill poznała aktorkę w windzie, gdy obie zamieszkały w tym domu – i natychmiast zapałyły do siebie sympatią. Teraz Jill uważała sąsiadkę za jedną ze swych najbliższych przyjaciółek.

– Witaj, Taro! – powiedziała. – Nie do wiary! Muszę powiedzieć że jak na osobę dotkniętą chorobą, o której się nie mówi, jak na tę, którą mąż porzucił dla innej kobiety, wyglądasz bardzo dobrze!

– Och, proszę cię! – wykrzyknęła Tara, gdy Nate prowadził ją w stronę kanapy. – Mówiłam ci już tysiąc razy, żebyś nie oglądała tej szmiry. Poza tym owa choroba nie jest już „wstydliva”, w każdym razie nie w filmach dla gospodyń domowych. Do licha, przez połowę tego serialu nawet nie nosimy żadnych ubrań...

Jill roześmiała się ponownie, opadając na kanapę obok przyjaciółki i śmiała się jeszcze kilka minut później, gdy dołączył do nich Doug Baron.

Doug był wysokim, ciemnowłosym, przystojnym mężczyzną o szerokim uśmiechu i spokojnym usposobieniu, które natychmiast przyciągnęło uwagę Tary. Nate poznał go kilka tygodni wcześniej w galerii, gdzie nibawem miała się odbyć wystawa jego nowych obrazów i zostali kumplami. Jill zobaczyła Douga dzisiaj po raz pierwszy i nie była pewna, co o nim myśleć. Odnotowała wąski krawat i buty z wężowej skóry, włosy zebrane z tyłu głowy w kucyk i dwudniowy zarost oraz kolczyk w uchu oraz wszystkie pozostałe atrybuty hippisa, które nigdy nie budziły jej entuzjazmu. Co w nim jest, zastanawiała się pospiesznie. Ten dziwnie intensywny sposób patrzenia na każdą osobę...

– A więc jesteś fotografem – powiedziała, podając mu kawę i brandy. – Jakiego rodzaju zdjęcia robisz?

– Och, różne – odrzekł, cedząc słowa, z lekkim południowym akcentem. – Krajobrazy, pejzaże miejskie... właśnie skończyłem serię portretów...

– Aktów, jak mi powiedział. – Nate ze śmiechem uzupełnił te informacje.

– Och, kochany – wymamrotała Tara – nie jesteś jednym z tych fotografów, nieprawdaż?

Wszyscy się roześmiali; Jill czekając na odpowiedź, obserwowała tego przystojnego mężczyznę o głębokich brązowych oczach.

– Nie – odparł, uśmiechając się szeroko. – Większość moich modeli stanowią mężczyźni i nie wykorzystuję tego, że jestem fotografem, do nakłaniania kobiet, by się rozbierały. – Po tych słowach zwrócił się do siedzącej obok niego aktorki. – Prawdę mówiąc, w ostatnim okresie z

nikim się nie spotykałem. Ja... jestem wdowcem i w rzeczy samej nie myślałem o... – wydusił z siebie ze słabym uśmiechem i wzruszeniem ramion.

Jill natychmiast się uspokoiła. Wdowiec. To wyjaśniało ową odmienność, która początkowo tak ją niepokoiła. Spojrzała na Nate'a. Uchwycił jej wzrok, dając do zrozumienia, że jest to dla niego równie zaskakujące, jak dla obydwu kobiet. Potem przyglądała się z rozbawieniem, gdy Tara w jednej chwili przeistoczyła się z uwodzicielskiej aktorki w rolę Marii von Trapp z *Dźwięków muzyki*, którą grała przed dwoma laty w czasie letniego tournée jednego z zespołów.

Od tej chwili wszystko potoczyło się gładko. Jill podała orzechowe ciasto i lody, a kieliszki i filiżanki wciąż wypełniały się brandy i kawą. Nate opowiedział kilka ze swoich ulubionych okropnych dowcipów, a Tara stała się tak doskonałą kombinacją miłej dziewczyny z sąsiedztwa i kobiety pełnej zgoła macierzyńskich uczuć, że Jill była niemal przekonana, iż, niebawem zaśpiewa porywającą „Piosneczkę o ślicznym pastuszkach”. Pod koniec wieczoru Doug i zachwycona Tara umówili się na kolację, a Nate zaczął dawać zawiłe znaki, że zostanie na noc i Jill całkiem zapomniła o walentynkowej karcie leżącej w szufladzie stolika.

W końcu przyjaciele się rozeszli: Tara poszła do swego apartamentu znajdującego się pod apartamentem Jill, a Doug udał się gdzieś, gdzie mieszkał. Na dworze wciąż padał śnieg, więc Nate i Jill wyciągnęli się na kanapie i trzymając się za ręce, obserwowali słabnącą już śnieżycę, omawiając wszelkie romantyczne ewentualności, jakie mogą zaistnieć między Dougiem i Tarą. Po pewnym czasie wstali i poszli do sypialni. Jill, jak zwykle zostawiła włączone światło w salonie.

Nie opuściła żaluzji we frontowym oknie.

Obserwował, jak Jillian Talbot wstała, wzięła Nate'a za rękę i zaprowadziła go do sypialni w głębi mieszkania. Potem odłożył lornetkę, włączył lampę koło fotela, który uprzednio przyciągnął do okna i otworzył nową paczkę papierosów marlboro.

Wrócił niedawno, musiał wybiec w tę śnieżycę do małej narożnej wiarni po papierosy. Wkalkulowane ryzyko: była tylko kilka minut poza zasięgiem jego wzroku. Teraz znowu siedział w fotelu, zaciągał się dymem i myślał o swoim szczęściu.

Ten pokój – dokładnie po przeciwnej stronie ulicy i dokładnie na wprost jej mieszkania – okazał się osiągalny. Pierwszego dnia po przyjeździe, dwa tygodnie temu, gdy zlokalizował ten dom i badał najbliższą okolicę, szukając właśnie takiej okazji, zauważył wywieszkę na frontowych drzwiach.

A to, przypomniał sobie, nie był jego jedyny szczęśliwy traf. Łatwo było ją obserwować. W ciągu pierwszych trzech dni tego tropienia dowiedział się, że niemal wszędzie chodzi pieszo i porusza się głównie po swej dzielnicy. Taksówki zaś, mimo jego początkowych obaw, także były stosunkowo łatwe do śledzenia. Poszedł za Jill na dwa autorskie spotkania z czytelnikami, do wydawcy, do biura agenta, do mieszkania Nate'a w East Village i – zaledwie wczoraj – do studia telewizyjnego w środkowej części Manhattanu, a ona przez cały ten czas nie miała pojęcia, że tam był.

Dzisiaj jednak szczęśliwy los omal go nie zawiódł i to dwukrotnie. Obejrzała się – akurat wtedy, gdy myślał, że przetnie ulicę, by wejść do swego domu – i spostrzegła go. Ale to była mniejsza z jego dwóch błędnych kalkulacji. Pierwszej dokonał kilka minut wcześniej, gdy ta kobieta, wychodząc ze swej ulubionej kawiarni, poślizgnęła się na lodzie, a on wyciągnął rękę i dotknął ramienia Jill.

Dopuścił do kontaktu fizycznego.

Dureń, powtórzył samemu sobie, głęboko zaciągając się dymem. Gdyby się rzeczywiście przewróciła, gdyby sytuacja okazała się chociaż odrobinę inna, mogło się to stać poważnym błędem.

Wszystko było w porządku, jak przypuszczał. Wszak potem obserwował, jak weszła do domu; widział ją z małą różową kopertą. A później siedziała z Nate'em na kanapie; oglądali tę kartę i rozmawiali, dopóki nie przyszła Tara Summers. Wiele by dał, aby usłyszeć ową rozmowę. Wiedział, co robi. Zamek w drzwiach jej klatki schodowej to dziecinada – był pewien, że z drzwiami do mieszkania także się upora. Jeśli nie – z tyłu

domu są przecież schody przeciwpożarowe i wejście do małego okna. W Nowym Jorku urządzenia podsłuchowe były zdumiewająco łatwe do zdobycia. Jutro albo pojutrze...

Przez padający śnieg spojrzął w okno po przeciwnej stronie ulicy. Ona i Nate z pewnością spędzą razem noc. Zgniół papierosa, wstał, a potem zdjął marynarkę, koszulę, buty i dzinsy. Zgasił ciemną lampkę i wyciągnął się na wąskim łóżku w rogu pokoju.

Nie spał. Leżał bezsennie, jak co noc, myśląc o trzech martwych kobietach. I o Jill Talbot.

Był piątek, trzydziesty dzień stycznia. Dwa tygodnie, pomyślał. Dwa tygodnie dzieli ich od soboty 14 lutego. Od dnia świętego Walentego. Od walentynek.

## 2. Sobota, 31 stycznia

Co się stało, Jill? – zapytała Tara. – Coś złego?

Jill podniosła wzrok znad karty dań. – Co masz na myśli?

– Och, daj że spokój! – zawołała przyjaciółka, pochylając się do przodu i kładąc łokcie na stół. – Przez całe popołudnie jesteś bardzo zdenerwowana. Wiem, że nie lubisz publicznych wystąpień, ale dziś kryje się w tym coś więcej. O co chodzi?

Jill potrząsnęła głową i uśmiechnęła się słabo. Nie wiedziała, jak poruszyć ten temat, aby nie wydać się fantastką lub co najmniej histeryczką. Ale przyjaciółka miała rację: była zdenerwowana.

Wczorajszy dzień przeszedł jej dobrze... no cóż, prawie dobrze, bo coś jednak wydarzyło się podczas zakupów. Niemal przez cały dzień pisała i zrobiła sobie przerwę tylko po to, aby wyjść do najbliższego sklepu. Złapała się na tym, iż nieustannie patrzy wokoło i za siebie przez całą drogę tam i z powrotem. W pewnej chwili, gdy zastanawiała się, czy kupić drobiowe kotlety czy małego pieczonego kurczaka, jej wzrok padł na wysokiego, ciemnowłosego, młodego mężczyznę w skórzanym płaszczu, który nieoczekiwanie zjawił się nieopodal, najwyraźniej rozważając podobną decyzję. Stała całkiem nieruchomo, ściskając kurczaka i kotlety i obserwując ukradkiem, jak nieznajomy zaczął przesuwać się w jej stronę. Zaglądał do regału chłodniczego ale Jill nagle i nieoczekiwanie uświadomiła sobie jego obecność z całą wyrazistością. Rozejrzała się wokół: tu, w głębi sklepu, w zasięgu jej oczu nie było nikogo innego. Mężczyzna podchodził bliżej i bliżej. Czowała ciepło emanujące z jego ciała i z nagłą, straszną pewnością uprzytomniła sobie, że nie może się ruszyć. Potem, gdy nieuchronnie otarł się ramieniem o jej ramię, głośno chwyciła powietrze. Nieznajomy podniósł wzrok, uśmiechnął się i przeszedł dalej, jeszcze bardziej zainteresowany mrożonym drobiem. Dopiero wtedy odetchnęła, rozluźniając zaciśnięte kurczowo dłonie, w których trzymała dwie plastikowe tacki. W jednej chwili rozpoznała ten uśmiech: sama codziennie

nim się posługiwała – uprzejmy, ale pusty i pozbawiony znaczenia. Kiedy młoda, ładna kobieta w zaawansowanej ciąży, która pojawiła się obok lady, wyjęła mężczyźnie z ręki mrożone ćwiartki kurczęcia i wskazała na duży rożen, mruknął coś z wyraźnym niezadowoleniem i Jill naprawdę zachichotała. Kobieta uśmiechnęła się do niej, wznosząc wzrok ku niebu. Ach, ci mężczyźni, zdawały się mówić jej oczy, wystarczy powierzyć im zakupy, a nie będziemy jeść niczego prócz mrożonek. Jill pokiwała głową i pchnęła dalej swój wózek, starając się zapanować nad zgoła idiotycznym chichotem. Kilka osób spojrzało na nią, gdy podążając głównym przejściem, zaśmiewała się przez całą drogę do kasy.

Była już przy ladzie, gdy uświadomiła sobie, że wrzuciła do wózka obie tacki z mięsem. Zbyt zakłopotana, by wyjaśniać pomyłkę dziewczynie, która już podliczyła jej zakupy, wzięła obydwie paczki. No dobrze, powiedziała sobie, spiesząc do domu, jedną włożę do zamrażalnika...

Zjadła obiad, krótko porozmawiała przez telefon z Nate'em i wróciła do gabinetu. Długo siedziała bez ruchu, wpatrując się w ekran komputera. Potem w jednej chwili, spontanicznie, zaczęła pisać, szybko przebiegając palcami po klawiaturze. Gdy skończyła, przeczytała to, co napisała. Była to żywa, pełna chorobliwego napięcia scena, w której bohaterka – zalękniona ofiara – w milczeniu fantazjuje w dziale z mrożoną żywnością miejscowego supermarketu, pewna, że niewinny nieznajomy, zatrzymujący się obok, jest jej anonimowym prześladowcą.

Tego popołudnia Tara towarzyszyła Jill podczas spotkania w Murder Ink – mieszczącej się na Broadwayu księgarni z literaturą sensacyjną i kryminalną. Wydawca przysłał po nie limuzynę i zabrały po drodze Mary Daley. Większą część drogi Jill przesiedziała sztywno z tyłu między swoją agentką i drugą przyjaciółką, patrząc w tył głowy kierowcy i zastanawiając się, czy jest on prawdziwym szoferem. W jednej chwili wyobraziła sobie bowiem scenę, w której prawdziwy kierowca leży, jedynie w podkoszulku i slipkach, związany i zakneblowany na podłodze jakiegoś magazynu, a ten mężczyzna w skradzionym uniformie delektuje się bliskością ofiary. W końcu trzy kobiety wysiadły spokojnie przed księgarnią,



a Jill wprost wbiegła do środka.

Czekający na nią tłum stanowiły głównie panie, ale dostrzegła wśród nich także kilku mężczyzn. Liczba mężczyzn czytających jej książki rosła z każdym kolejnym tytułem. Takie wyrównywanie się wskaźnika płci czytelników powinno ją cieszyć, tak jak cieszyłoby większość pisarzy. Jill jednak złapała się na tym, iż co chwila odrywa wzrok od ustawionego dla niej w głębi księgarni stolika, przyglądając się twarzy każdego mężczyzny, który zjawiał się z prośbą o autograf.

Mary i Tara stały obok niej za stolikiem. Gwiazda telewizyjnego serialu wywołała równie wielkie poruszenie jak pisarka. Właściciel księgarni był zadowolony: dwie znakomitości w cenie jednej! Tłum gotów był czekać dłużej, niż określały to wyznaczone godziny i Jill pozostała, by podpisać zawartość kilku kartonów *Pamięci Alicji Lanyon* dla entuzjastów i kolekcjonerów jej książek z całej Ameryki. Doprawdy bardzo przyjemne popołudnie. Jednak chociaż uśmiechała się do wszystkich; do czytelników, personelu księgarni i obu przyjaciółek, wciąż zastanawiała się, jak zareagowaliby, wiedząc co czuje i z jakiego powodu.

Teraz siedziała z Tarą w Carminie, dużej i bardzo popularnej włoskiej restauracji u zbiegu Broadwayu i Ninety Street, w odległości dwóch przecznic od księgarni. Mary pospieszyła do innych zajęć, więc Jill zwolniła kierowcę i poprosiła pracowników księgarni, by wskazali jej jakieś przyjemne, niezbyt odległe miejsce, gdzie ona i Tara mogłyby zjeść obiad. W soboty w mieszkaniu Jill od piątej do siódmej zawsze królowała sprzątaczką, pani Price, która nie lubiła, jak ktoś płatał się jej pod nogami, gdy pracowała, więc Jill w te dni jadała w restauracjach.

Rozejrzała się po przepastnym wnętrzu Carminy, uświadamiając sobie, że teraz znacznie lepiej niż kiedykolwiek przedtem czuje się w tłumie. Zauważyła, że Tara wciąż przygląda się jej z uwagą.

– Albo mi powiesz co się z tobą dzieje – ostrzegła ją przyjaciółka – albo... nie dostaniesz deseru!

Obie wybuchnęły śmiechem, gdy obok pojawił się kelner z ich obiadem. Widząc rozmiary tacy ravioli, którą postawił na stoliku, Jill zastanawiała

się, czy brak deseru byłby rzeczywiście karą. Uśmiech jej zgasł jednak, gdy podniósłszy wzrok napotkała badawcze spojrzenie przyjaciółki. Wzięła długi, głęboki oddech, a potem opowiedziała Tarze o „Walentynce”.

Los mu sprzyjał: zasuwka w drzwiach jej mieszkania była odsunięta, a mały zatrzaskowy zamek w okrągłej klamce okazał się prostszy niż ten główny w dolnych drzwiach do klatki schodowej. Pewne ryzyko stanowiła winda, ale w końcu znalazł się tutaj; w mieszkaniu, które przez dwa ostatnie tygodnie obserwował z przeciwnej strony ulicy.

Stał teraz pośrodku dużego, pięknie umeblowanego salonu i powoli rozglądał się wokół, obejmując wzrokiem każdy szczegół. Szukał jakiegoś dużego miejsca, przestrzeni lub wnęki, która z jednej strony otwierałaby się na ten pokój. Wcześniej umieścił już mikroskopijną „pluskwę” w słuchawce aparatu telefonicznego stojącego w jej gabinecie. Teraz pozostała jeszcze kwestia ukrycia właśnie w tym pokoju miniaturowego mikrofonu wraz z włączającym go mechanizmem. Rzuciwszy okiem na urządzenie, które tak łatwo mieściło się w jego prawej dłoni, znów zachwyił się postępem nauki. Dwie „pluskwy” oraz urządzenie podsłuchowe – uruchamiany dźwiękiem magnetofon i słuchawki, czekające w pokoju po przeciwnej stronie ulicy – były łatwe do zdobycia. Rozważny, inteligentny człowiek mógł kupić to wszystko w jednym z setek przedsiębiorstw na samym Manhattanie.

Duże puste lub wklęsłe miejsce... żadna szafka; szklana gablotka na górze i drewniane półki na dole były zamykane. Taki sam problem stwarzały również szuflady. Jest jeszcze... kanapa. Tak... ta pusta przestrzeń, prawdopodobnie około dziesięciu centymetrów między spodem siedziska a podłogą to jest to...

Ostrożnie przechylał kanapę, aż uniesiona sterczała czterema krótkimi nogami w jego stronę. Jej spód oglądany pod tym kątem stanowiły wklęsły materac i solidnie wyglądająca metalowa żebrowana rama, którą dzieliło od podłogi kilkanaście centymetrów. Boczne i przednie panele nad

nogami mebla były drewniane. Doskonale. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni skórzanego płaszcza i wyciągnął rolkę plastikowej taśmy.

Trzy minuty później wszystko znajdowało się na miejscu. Ustawił kanapę we właściwej pozycji, bacząc by ustawić jej nogi na wgnieceniach w dywanie. Następne pięć minut spędził chodząc cicho po mieszkaniu. Miętko obutych, skradających się stóp nie było słychać na podłodze; nie miało to zresztą żadnego znaczenia; wiedział, że tego popołudnia Jill miała podpisywać swoją książkę w jakiejś księgarni na Manhattanie, a Tara Summers pojechała tam również. Obserwował ze swego okna, jak niepełna godzinę temu obie wsiadły do wielkiej czarnej limuzyny. Był przekonany, że to szperanie jest luksusem, na który może sobie pozwolić: Jill nie wróci do domu przynajmniej przez kilka godzin. Musiał się też upewnić co do jednej rzeczy, znać ponad wszelką wątpliwość jeden istotny szczegół jej życia.

Nie, uznał w końcu, nie miała broni. Żadnego rewolweru, pojemnika z gazem, żadnego cholernego systemu alarmowego w drzwiach ani w oknach. Być może Jill w torebce trzymała gaz albo nawet rewolwer, ale wątpił w to. I po co ta zasuwka we frontowych drzwiach, skoro nie ma zamiaru jej używać? Była całkowicie bezbronna i kompletnie nie zabezpieczona przed atakiem.

Można ją dopaść bez trudu.

Jeszcze raz szybko rozejrzał się wokół, by mieć pewność, że wszystko, każda najdrobniejsza rzecz, jest w takim stanie, w jakim ją zastał. W jakim Jill ją zostawiła. Właśnie miał wychodzić tą samą drogą, jaką tu wszedł – tym razem skorzystał ze schodów – gdy uległ ostatniemu odruchowi ciekawości. Rzuciwszy okiem na zegarek, podszedł cicho do małego stolika. Dostrzegł to tam, gdy szukał miejsca, w którym mógłby ukryć mikrofon.

Sięgnął do szuflady i wyjął różową kopertę, wyciągnął z niej kolorową kartę i rozłożył. Tak, pomyślał, wolno kiwając głową, tak...

Odłożył kopertę tam, gdzie ją znalazł, i zamknął szufladę, gdy nagle dotarły do niego jakieś dźwięki dochodzące z zewnątrz, z drugiej strony drzwi prowadzących do mieszkania. Błyskawicznie uniósł lewą rękę, by naciągnąć na twarz czarną narciarską maskę, prawą zaś automatycznie wsunął do kieszeni płaszcza, zamykając dłoń na sprężynowym nożu.

Usłyszał odgłos otwieranych drzwi windy. Po nim rozległo się klapanie solidnych, płaskich butów po posadzce klatki schodowej i nagły, głośny dźwięk kluczy w zamku.

– Mój Boże, Jill, to po prostu Miasto Strachu!

– Mnie to mówisz?!

Jill odsunęła talerz z niemal nie tkniętymi ravioli i sięgnęła po szklanekę z wodą. Opowiadając obserwowano z lekkim rozbawieniem, jak Tara łapczywie pałaszowała ogromną porcję pierożków. Tara mogła jeść w każdych okolicznościach, nawet w takich. Ekscytacja, gniew czy strach przynosiły zgoła osobliwy efekt, raczej zaostrażając, niż osłabiając jej apetyt. Ach, ci aktorzy, pomyślała Jill.

– Dwie sprawy – wymamrotała aktorka pochłaniając ravioli. – Pierwsza: broń. Druga: policja. Stanowczo! Poczekaj chwilę. – Podniosła rękę, ucinając automatyczny protest Jill. – Wiem, co powiesz. Masz w torebce pojemnik z gazem i nie chcesz zwracać glinom głowy czymś tak banalnym i tak dalej, i tak dalej. Z pewnością – w końcu odłożyła swój spracowany widelec i spojrzała przyjaciółce prosto w oczy – oglądasz mnie w *Dzieciach jutra*, prawda? Znasz tę dziewczynę, która gra Clarisse, Betty Hanes... tę rudą, z wielkimi cyckami? Jej to się przydarzyło! – Skinęła głową jakby to wyjaśniało wszystko i znów sięgnęła po widelec, ale ręka przyjaciółki była szybsza.

– Co? – zapytała Jill, odkładając ów widelec, zanim Tara zdołała jeszcze raz napełnić usta. – Co się jej zdarzyło?

– To! – Tara odchyliła się do tyłu. – Anonimowe listy, telefony w środku nocy, nieustannie przesyłane wiadomości typu: „Pragnę cię, a jeśli

nie zdołam cię mieć, to cię zabiję”. Potem, pewnego dnia weszła po nagraniu do garderoby i znalazła swoje prywatne rzeczy podarte na strzępy – powiedziawszy to, przyjaciółka pochyliła się do przodu i dodała: – a jej bielizna w ogóle zniknęła!

– O mój Boże! – wykrzyknęła Jill.

– Tak... – powiedziała Tara. – Dobre, co?! Przez kilka następnych dni po całym studiu kręcili się policjanci. Eskortowali ją do pracy i odprowadzali do domu, pilnowali jej mieszkania. Niestety, nic się nie działo, więc w końcu dali sobie spokój. To nie był ich błąd, naprawdę. Chcę powiedzieć, że rozumiem; tu jest Nowy Jork i gliny mają dużo roboty. Betty zatrudniła więc pewnego faceta, prywatnego detektywa. Nikt inny o tym nie wiedział. Powiedziano nam, że to nowy zastępca producenta. Dwa dni później złapał kogoś w jej garderobie na kolejnej kradzieży bielizny.

– Och... – wyszeptała Jill. – I co z nim zrobiono?

– Z kim? – Tara zdawała się nie rozumieć pytania.

– Z tym facetem, który kradł jej bieliznę.

Przyjaciółka Jill jeszcze raz pochyliła się do przodu.

– Moja droga, to nie był żaden facet, tylko dziewczyna, rekwizytorka.

Wyobraź sobie!

Jill z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Znam kilka lesbijek, ale żadna z nich nie zrobiłaby czegoś...

– Och, ona wcale nie była lesbijką! – Tara machnęła ręką i znów sięgnęła po widelec. – Widzisz, Betty spotykała się z jednym z kamerzystów, który przed nią był z tą rekwizytorką i tamta zaszła w ciążę. Rzucił ją więc i związał się z nieszczęsną Betty, która o niczym nie wiedziała. Książę z bajki, prawda? Dziewczyna starała się wykopać Betty z serialu, by odzyskać owego „księcia”. Kiedy się dowiedzieliśmy, wpadła w szal! Ale doskonale radzi sobie z rekwizytami.

– Chcesz powiedzieć, że ona wciąż tam pracuje?

Tara znów pracowała widelcem.

– Jasne. Betty nie wniosła oskarżenia, chociaż podbiła oko kamerzyście! I to przy całej ekipie! Jego wywalono, a tamta dziewczyna dostała podwyżkę. Urodziła dziecko, dziewczynkę, a dziś Betty i ona są przyjaciółkami. Spotyka się teraz z jednym ze scenarzystów... ta rekwizytorka, nie Betty. – Skończywszy swą opowieść, uśmiechnęła się i włożyła do ust kolejną porcję pierożków.

Ta historia, choć dziwaczna, graniczyła z absurdem i Jill z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

– Cóż... więc co, twoim zdaniem, powinnam robić? – zapytała.

Odłożony widelec zadzwęczał na talerzu Tary, a jej uśmiech zniknął.

– Przede wszystkim: nie ociążać się. No dobrze, to tylko jakaś przedziwna kartka i może nigdy nie usłyszysz żadnej telefonicznej wiadomości... od kogokolwiek by ona była. Ale tego nie wiesz, nie możesz tego wiedzieć na pewno. Mówisz, że jesteś zdenerwowana. Masz prawo być zdenerwowana! Betty miała szczęście, jej prześladowca w istocie nie był żadnym prześladowcą, tylko zbikowaną dziewczyną, która zaszła w ciążę i popadła w desperację. To jednak nie powstrzymało Betty od wymiany pojemnika z gazem w torebce. – Tara rzuciła okiem na najbliższe stoliki i nachylając się ku przyjaciółce, ściszyła głos: – Teraz nosi przy sobie damski rewolwer, nazywa go „Lady Wesson”.

Jill zamknęła oczy i odwróciła twarz.

– Nie mogę tego zrobić. To nie jest żadne wyjście; nie jestem taką kobietą.

– Tak... – Tara z powagą pokiwała głową. – Betty też tak mówiła. Początkowo...

– A ty? – wykrzyknęła Jill, a potem, gdy zobaczyła kelnera zbliżającego się z kartą deserów, także pochyliła się i wyszeptwała: – Mogłabyś to zrobić?

Na ustach Tary pojawił się niespieszny uśmiech. Sięgnawszy ręką do tyłu, zdjęła z oparcia krzesła zawieszoną tam wcześniej torebkę.

– Masz ochotę zajrzeć do środka? – zapytała.

Przyjaciółka spojrzała na nią zdumionymi oczami.

– W porządku – odpowiedziała tamta, ponownie wieszając torebkę na oparciu krzesła. – Zostawmy to na razie. Ale przynajmniej zawiadom policję, będą mieli doniesienie.

– Masz rewo l w e r ??? – Jill jeszcze dochodziła do siebie ze zdumienia. – Czy... czy kiedykolwiek przytrafiło ci się coś takiego?

Zanim Tara zdołała odpowiedzieć, kelner wręczył im karty a potem wyciągnął mały notes i długopis.

– Nie chciałbym przeszkadzać, pani Summers, ale jestem pani najgorętszym wielbicielem. Czy mogę prosić o autograf?

Aktorka zajaśniała uśmiechem, który mógłby rozświetlić cały Nowy Jork, złożyła autograf w podsuniętym notesie i oddała go mężczyźnie. Jej „najgorętszy wielbiciel” podziękował i pospiesznie się oddalił. Obserwowały, jak odchodzi. Potem Jill bacznie przyjrzała się przyjaciółce, która ponownie oparła się wygodnie i uśmiechnęła przez cały stół.

– Cóż – rzekła Tara. – Nigdy nie wiadomo...

Gloria Price weszła do mieszkania Jill Talbot i zdjęła wełniany płaszcz; ten, którym Lou sprawił jej niespodziankę na niedawne Boże Narodzenie. Ów gwiazdkowy prezent będący jednocześnie podarunkiem z okazji trzydziestej rocznicy ich ślubu był nie tylko ładny, ale również ciepły. Lubiła go nosić zarówno z powodu owego ciepła, jak i tego, co oznaczał... Uśmiechnęła się na myśl, że teraz, gdy ich dzieci mają już własne dzieci, Lou znajduje powody, by ją rozpieszczać. Jestem dla niego namiastką dziecka, pomyślała. A on – dla mnie...

Właśnie dlatego przyszła tutaj dzisiaj. Oboje pracowali od dziewiątej do piątej, a ona w sobotnie popołudnia dorabiała sprzątaniami mieszkań w kilku okolicznych domach. W przyszłym roku Lou pójdzie na emeryturę i wyprowadzą się na Florydę. Oszczędzała już na nowe kije golfowe dla męża...

Rzuciła okiem na szafę stojącą nieopodal wejściowych drzwi. Potem, wzruszywszy ramionami, powiesiła płaszcz na wieszaku i skierowała się do kuchni. Floryda, pomyślała, śmiejąc się do siebie. Nie będzie mi już

potrzebny ten piękny płaszcz: na następną Gwiazdkę Lou powinien kupić kostium kąpielowy!

Najbardziej ze wszystkich mieszkań, jakie sprzątała, lubiła właśnie to. Z pewnością było najbardziej atrakcyjne, a ponadto lubiła Jill Talbot. Dwie pozostałe „kobiety pracujące”, u których sprzątała, to prawdziwe jędze! Jill Talbot, zawsze uśmiechnięta i zawsze serdeczna, okazała się wystarczająco mądra, by wszystkie decyzje związane z porządkami pozostawić kobiecie, która robiła to, zanim ona przyszła na świat. Płaciła również najlepiej. Gloria miała też wszystkie książki Jillian z jej autografami. Dobre książki, pomyślała; jak na jej gust nieco przerażające, ale bardzo ciekawe.

Sięgnęła do sąsiadującej z lodówką szafki po odkurzacz, a potem poszperała pod zlewem, szukając emulsji do mebli i płynu do mycia szkła. Miała właśnie wejść do sypialni, gdy rzuciwszy okiem najpierw na kuchenkę mikrofalową, a potem na własny zegarek, zmieniła decyzję. Sięgnęła po dzbanek, napełniła go wodą, a potem otworzyła jedną z wiszących szafek i sięgnęła po słoik z rozpuszczalną kawą.

Zamknęła już drzwiczki kuchenki i właśnie odsuwała dłoń od regulatora temperatury, gdy nagle jej uwagę przyciągnął jakiś cichy odgłos dochodzący z salonu. Stała przez chwilę bez ruchu wsłuchując się, a potem jeszcze raz spojrzała na zegarek. Może Jill wcześniej skończyła obiad i właśnie wraca do domu...

Odwróciła się i wyszła do korytarza, aby zajrzeć do ciemnego salonu. Słońce zbliżało się ku zachodowi i niewiele światła przedostawało się przez okna o tej szarej popołudniowej godzinie. Jakiś instynkt kazał jej sięgnąć do kontaktu i zapalić światło w kuchni. Zajaśniała szklana kula pod sufitem i z cichym bzyczeniem zapaliły się również fluoryzujące świetlówki pod szafkami. No cóż, pomyślała kobieta, trzeba brać się do pracy. Gdy tylko zabręczał dzwonek kuchenki, wróciła, by wyjąć z niej parujący dzbanek.

Usłyszawszy po raz drugi jakiś odgłos dochodzący z salonu, Gloria Price uznała, że nie jest to wytwór jej wyobraźni. Był to krótki, wyraźny trzask.



– Jill, to ty? – zawołała.

Cisza.

Gloria podniosła głowę, a jej brwi zbiegły się w coś co Lou określał mianem „kursora komputerowego”. Odstawiła dzbanek i weszła do ciemnego salonu.

Zapadał zmierzch, gdy wysiadły z taksówki i wbiegły do jasno oświetlonego korytarza. Jill miała już w dłoni klucz, ale Tara skierowała się do skrzynki pocztowej.

– List od brata! – zawołała z uśmiechem, podnosząc wzrok akurat w chwili, gdy Jill także sięgnęła do swojej skrzynki, a następnie, wahając się, cofnęła dłoń. Jej uśmiech zgasł.

Stały tam obie, w milczeniu wpatrując się w małe, metalowe drzwiczki sąsiadujące ze skrytką Tary. Pokonując nagły, przenikający ją chłód, Jill z drzeniem włożyła klucz do zamka, otworzyła skrzynkę i wsunęła rękę do jej wnętrza.

Tym razem koperta nie była różowa, ale biała. Wpatrywały się w nią przez chwilę, oglądając stempel, znaczek pocztowy oraz starannie wypisane na maszynie imię, nazwisko i adres. Adresu zwrotnego nie było. Potem Tara wyrwała list z dłoni Jill i otworzyła.

W kopercie znajdowała się własnoręcznie zrobiona, składana karta z białego kartonu. Na wierzchu widniał prymitywnie narysowany różowy kontur serca, w którym idealnie ześrodkowano napisany na maszynie tekst:

RÓŻE SĄ CZERWONE,  
FIOŁKI SĄ NIEBIESKIE,  
CUKIER JEST SŁODKI...

Tara rozłożyła kartę i trzymała ją tak, aby obie mogły zobaczyć resztę:

... A JA WCIAŻ CIĘ OBSERWUJĘ.  
POZDROWIENIA  
WALENTYNKA

Pojechały na górę w zupełnym milczeniu. Tara nadal trzymała kartę i

kopertę i nie było mowy, żeby wysiadła na piątym piętrze i poszła do swego mieszkania. Jill zamknęła oczy, gdy wjeżdżały na górę, próbując określić, jak się czuje. Nie bała się; szoku doznała za pierwszym razem. Nie była też wstrząśnięta. Nawet nie była zła. Czowała jedynie... co? Szukała właściwego słowa, gdy winda zatrzymała się na jej piętrze. Podeszła do drzwi, wyciągnęła rękę, by włożyć klucz do zamka i wtedy pojawiło się słowo. **Wstręt.**

Nagle drzwi się otworzyły.

Jill ze zduszonym okrzykiem upuściła klucze i robiąc krok do tyłu, zderzyła się z Tarą, której dłoń znalazła się już we wnętrzu torby zawieszanej na ramieniu.

W otwartych drzwiach stała Gloria Price w krzykliwym, zimowym płaszczu, wpatrując się w obie kobiety z równym zdumieniem, z jakim one oglądały ją.

– Och! – wykrzyknęła, unosząc ku sercu dłoń w rękawiczce. – Napędziłyście mi strachu! W ogóle nie słyszałam windy.

Gloria zmierzała do domu w ów mroźny wieczór, wiedząc, że to wcale nie z zimna się trzęsie. To uczucie cierpiącej skóry, którego doznała w kuchni, doprowadziło jej nerwy do kresu wytrzymałości, więc pospiesznie wykonała swą pracę, pobieżnie sprząając dziś mieszkanie Jill. Przez cały czas miała zapalone wszystkie światła i wciąż spoglądała za siebie, nie mogąc pozbyć się niepokoju. W końcu, gdy szybko zebrała się do wyjścia i otworzyła drzwi, ujrzała w nich dwie kobiety, i poczuła, jak serce skacze jej do gardła.

Teraz zadrzała znowu, szybko skręcając do domu przy Bedford Street, zadowolona, że postanowiła nie mówić Jill o drzwiach od mieszkania. W sobotnie popołudnia Jillian zawsze zostawiała odsuniętą zasuwkę, bo Gloria nie miała klucza do ryglowego zamka i nie chciała go mieć, ale to żadne wytłumaczenie. Musi zawsze zamykać tę zasuwkę od środka, by nie powtórzyło się to, co się dziś stało! Najwyraźniej zostawiła drzwi uchylone, bo odgłosem, który usłyszała w kuchni, był wyraźny trzask zamykających się samoczynnie drzwi.

Długo siedziały w milczeniu. W końcu Tara weszła do kuchni i po kilku minutach wyłoniła się z niej z dzbankiem rumianku. Jill podniosła wzrok i uśmiechnęła się słabo, gdy przyjaciółka podała jej filiżankę.

– Policja – powiedziała Tara. – Jutro.

Jill skinęła głową. Wypiła łyk ciepłego, słodkiego naparu, a potem wstała i poszła do gabinetu, żeby zadzwonić do Nate'a.

„Policja. Jutro.”

Widział, jak Jillian Talbot skinęła potakująco głową i sięgnęła po podaną jej filiżankę. Ta druga siedziała. Po chwili Jill wstała z kanapy i zniknęła w głębi mieszkania. Wtedy zaczął pracować drugi magnetofon, ten na stoliku, tuż obok niego. Zdjął jedne słuchawki i sięgnął po drugie. Najpierw odgłos elektronicznego wybierania numeru, potem dwa dzwonki.

– Tu pracownia Nathaniela Levina.

– Cześć, to ja.

– Witaj, kochanie. Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Wybieram się do galerii. Henry chce ustalić kilka spraw, a potem wraz ze swym nowym przyjacielem zabiera przyszłego sławnego artystę na obiad.

– Och, to miło. Cóż, Nate...

– Nie pamiętasz przypadkiem jego imienia, co?

– Czyjego imienia?

– Tego nowego przyjaciela Henry'ego?

– Zdaje się, że John. Posłuchaj, Nate...

Przerwa. Magnetofon zaszumiał.

– O co chodzi, Jill? Co...

– Dostałam następną. Następną walentynkę. Poczta.

Długa przerwa. Gwałtowny wydech powietrza, a potem stłumiony okrzyk mężczyzny.

– O Jezu! – Jego głos był teraz wyraźnie niższy, niski i gniewny. – Czy Tara jest z tobą?

– Tak, jest tutaj.

– Okay. Pozwól mi zadzwonić do Henry'ego. Wszystko odwołam. Pięć minut.

Trzask. Nate najwyraźniej pospiesznie odłożył słuchawkę. Kolejny trzask – teraz odłożyła słuchawkę Jillian. Magnetofon się zatrzymał.

Sięgnął po poprzednią parę słuchawek.

Jillian Talbot wróciła do salonu; siedziały tam obie, a przed nimi na stole leżały karta i koperta. Siedziały tak aż do chwili, gdy na ulicy z rykiem zatrzymała się honda i do mieszkania wpadł Nate.

Obserwował ich przez lornetkę, jak chodzili po pokoju, rozmawiali, sięgali po obie koperty i znów je odkładali. W końcu Tara Summers poszła na dół. Dopiero po jej wyjściu Jillian Talbot przytuliła się do kochanka i, oparta o niego, zaczęła płakać.

Zdjął słuchawki, rozsiadł się wygodnie w fotelu i zamknął oczy. Dobrze, przynajmniej cała maszyna działa. Po tym, co przeszedł, by ją tam zainstalować...

Zdrętwiał, przypominając sobie chwile w korytarzowej szafie, gdy owa nieznajoma kobieta weszła do mieszkania i skierowała się do kuchni. To powolne, straszne przejście z szafy do wyjścia. Bezdźwięczne otwarcie drzwi zabrało mu kilka sekund, usłyszał za sobą ciche trzaśnięcie, gdy rzucił się na schody. Cóż, jednak wrócił tu niewykryty i słuchał, jak sprzątaczką poruszała się po mieszkaniu z odkurzaczem. Dźwięk był czysty, wyraźny i słyszalny zewsząd, prócz dwóch tylnych pokoi. Dobrze...

Tak... Dwie karty i teraz oto Jill Talbot pójdzie na policję. No cóż...

Wpatrywał się w przeciwną stronę ulicy, gdzie dwie szczupłe postaci obejmowały się na kanapie. Zamyślony, powoli sięgnął po papierosa.

### 3. Niedziela, 1 lutego

Szósty Komisariat Policji mieścił się w długim, niskim budynku z beżowej cegły, usytuowanym przy Tenth Street między ulicami Bleecker a Hudson, dokładnie trzy przecznice na północ od domu Jillian. Zbudowano go w tym okresie rozwoju amerykańskiej urbanistyki, kiedy projektanci zdawali się sądzić, że brak jakiegokolwiek stylu jest jej własną formą artystycznego wyrazu, szczególnie w budynkach użyteczności publicznej. Siedziba Szóstego Komisariatu miała więc grube mury, niepotrzebnie wysokie okna, dach i... to wszystko, co się da o niej powiedzieć. Mały, asfaltowy podjazd wzdłuż jednej ze stron tego gmachu stanowił parking dla kilku niebiesko-białych sedanów. Posterunek, usytuowany na osobliwej, obsadzonej drzewami Village Street gnieździł się między długimi szeregami eleganckich biurowców i ładnych domów mieszkalnych z czerwonej cegły niczym mikrobus wśród rolls-royce'ów.

Jill z niechęcią spoglądała na tę nieciekawą budowlę. Całkiem niedawno była tu kilka razy, zbierając materiały do swej ostatniej powieści, ale ów życzliwy detektyw, który z taką cierpliwością służył jej jako doradca, przeszedł na emeryturę, więc teraz nie знаła nikogo. Poza tym, powtarzała w myślach, cała sprawa jest po prostu niedorzeczna. Gdyby nie to, że obok znajdował się Nate – siedł przodem i właśnie otwierał drzwi – odwróciłaby się i poszła do domu. Ale Nate był tutaj i z powagą trzymał przed nią szklane skrzydło, więc zebrała się na odwagę i weszła do środka.

Nate sam wszystko wyjaśnił w pokoju zgłoszeń, a ładna, znudzona młoda kobieta słuchała tej opowieści, od czasu do czasu przenosząc wzrok z niego na Jill i z powrotem i spoglądała na oboje z wyrazem, który Jill mogłaby zinterpretować jedynie jako uprzejmy sceptycyzm. Gdy skończył, skinęła głową i gestem wskazała im rząd beżowych krzeseł wzdłuż jednej z beżowych ścian, służących jako poczekalnia. Czekali więc przez blisko czterdzieści minut, podczas których Jill obserwowała

wejścia, wyjścia i ów ustalony rytm pracy nowojorskiego komisariatu, który zawsze widziała w filmach i serialach telewizyjnych, ale w który w istocie nigdy nie wierzyła. Wprowadzono jakiegoś pijaka, spisano go i odesłano do tymczasowego aresztu mieszczącego się gdzieś w głębi budynku. Następnie przywieziono dwie młode prostytutki w minispódniczkach i siatkowych pończochach. Spisano je również i po chwili także zniknęły. Potem pojawił się bardzo wysoki czarnoskóry młodzieniec, też w minispódniczce, w pończochach we wzorki i olbrzymiej jasnej peruce. Był uderzająco podobny do Tiny Turner i donośnym, piskliwym szczebiotem domagał się, by aresztujący go policjanci nazywali go Veronika. Nate przyniósł Jill kubek okropnej kawy ze stojącego w pobliżu automatu i czekali dalej.

W końcu podszedł do nich jakiś niski, krępy mężczyzna w czarnym mundurze. Miał latynoskie rysy, ciemne kręcone włosy i imponujące czarne wąsy, które podkreślały krągłość jego przyjaznej twarzy. Przedstawił się jako sierżant Escalera i zaprowadził ich do niewielkiego wydzielonego boksu w przedniej części sali. Było w nim miejsce tylko na jedno krzesło, które stało obok zavalonego papierami biurka sierżanta, więc Jill usiadła tam z torebką na kolanach zastanawiając się, od czego zacząć. Nate, z ręką na jej ramieniu, stał obok, częściowo w owym boksie, częściowo zaś na zewnątrz. Przyglądali się, jak sierżant, wcisnąwszy tęgą postać w krzesło za biurkiem, wyciągał formularz zgłoszenia.

Zapisał nazwisko, adres i numer telefonu Jillian. Wypełnił też rubrykę dotyczącą płci i wieku, wpisał numer ubezpieczenia i zawód. Ta ostatnia informacja sprawiła, że sierżant Escalera podniósł wzrok i zanim wrócił do licznych następnych instrukcji, uśmiechnął się krótko. Kiedy zapytał o charakter wnoszonej skargi, Jill zrobiła przerwę, zastanawiając się, jak ma to nazwać, jakiego użyć określenia. Nate pochylił się do przodu i podsunął jedno słowo: prześladowanie. Jill spojrzała na niego, zamrugła oczami, a potem znów zwróciła się do sierżanta i skinęła głową. Prześladowanie.

Pokazali mu dwie walentynki, następnie zaś Jill opowiedziała o wiadomości pozostawionej na taśmie automatycznej sekretarki. Sierżant usiadł wygodnie na swoim krześle, oparł głowę o cienką ściankę boksu i słuchał uprzejmie. Dwukrotnie pochylał się do przodu, by zapisać coś na formularzu, a w pewnej chwili przerwał im gestem ręki i zawołał do kogoś w głównej sali, przypominając mu, by powiedział jakiemuś McCoyowi, że jeśli chce pomóc przy aresztowaniu, to ma się do czwartej skontaktować z jakimś Peewee. Jakiś rozbawiony głos odpowiedział mu zza pleców Jill, że Peewee jest bardziej szalony niż coś-tam, podobnie zresztą jak McCoy, a poza tym aresztowanie jest w toku. Jill siedziała, wpatrując się w torebkę i czekając, aż sierżant Escalera ponownie zwróci na nią uwagę.

Kiedy to uczynił, jego latynoskie rysy ułożyły się w przepaszający uśmiech, a on sam wyjaśnił niskim, rozważnym głosem, że w istocie niczego nie mogą zrobić w tej sprawie. Zmierzał do tego, tu spojrzął ukradkiem na zegarek, że w rzeczywistości nie grożono Jill otwarciem i że te karty, choć nieprzyjemne, są... no cóż, po prostu kartami z okazji Dnia Zakochanych. Zapytał, czy jest ktoś, kto – jak ona sama sądzi – mógłby to robić, a nawet zasugerował, że jeden z jego ludzi złoży tej osobie wizytę i nakaze zaprzestać wysyłania owych kart. Rozejrzawszy się wokół, zatrzymał wzrok na potężnym, muskularnym, inteligentnie wyglądającym mężczyźnie obok Jillian, który podchwycił jego sugestię i oświadczył, że to nie będzie konieczne i że sam to zrobi. Długopis zawisł w powietrzu, sierżant kiwnął głową w stronę Nate'a i ponownie spojrzął na Jill, czekając na nazwiska podejrzanym.

Żadne nie przychodziło jej na myśl. Właściwie to pomyślała o jednym, ale nie miała zamiaru go wymieniać. Jeszcze nie...

Mocno ściskając torebkę wstała przygotowując się, by podziękować sierżantowi za pomoc. Jednak w tym momencie z sali za plecami Jillian dobiegł jakiś hałas; usłyszeli odgłos biegnących stóp i krzyk kilku podniezionych, pełnych napięcia głosów. Sierżant wyskoczył ze swego krzesła i wybiegł z boksu, rzucając im w przejściu krótkie „do widzenia”.

Nate wziął Jillian za rękę i wyszli z ciasnego biura Escalery wprost w pandemonium. Ludzie w mundurach i w ubraniach cywilnych ganiłi tam i z powrotem, nawołując się wzajemnie. Sierżant stał już obok młodej kobiety przy głównym pulpicie, która przykładła słuchawki do jednego ucha i wykrzykiwała polecenia do różnych ludzi przesuujących się obok niej. Jill i Nate zatrzymali się obok głównego wejścia, przez które nieustannie przebiegali policjanci. Kiedy w końcu oboje wyszli na ulicę, rozległy się syreny, a trzy policyjne samochody z piskiem opon wyjechały z podjazdu w stronę budynku i błyskając czerwonymi światłami, pomknęły w dół Tenth Street.

Jill i Nate stali jeszcze przez kilka chwil przed posterunkiem, bez słów dając sobie do zrozumienia, co myślą. Gdzieś wybuchł jakiś pożar, popełniono morderstwo lub właśnie ma miejsce napad rabunkowy z bronią w rękę albo inny wstrząsający i zagrażający ludzkiemu życiu wypadek. Jedno z niezliczonych nieszczęść miejskiego życia, jedno z wielu, jakie wydarzyły się tego dnia tylko w Nowym Jorku. Oboje spojrzeli w milczeniu na koperty, które trzymała w dłoni Jill. Z westchnieniem włożyła je do kieszeni i poszli przez Hudson Street prosto do domu.

Wpatrywał się w fotografię umieszczoną z tyłu, na okładce książki w broszurowej oprawie. Potem wyjął piwo z niewielkiej lodówki stojącej w kącie pokoju i usiadł w fotelu przy oknie ze swym nowym nabytkiem.

Poszedł za nimi do Szóstego Komisariatu przy Tenth Street niemal godzinę temu. Potem, zakładając że prawdopodobnie spędzą tam trochę czasu, zostawił ich, by udać się do księgarni, która mieściła się kilka przecznic dalej. Kupił trzy powieści broszurowe i tę najnowszą, w lśniącej, twardej okładce – dzieła zebrane Jillian Talbot – a potem przyszedł tutaj, by poczekać na jej powrót.

Nigdy nie był zagorzałym wielbicielem książek, a życie w ostatnich czasach w ogóle nie dawało mu czasu na takie lektury. Ale teraz nadeszła pora, postanowił; właściwa pora, by lepiej poznać Jillian Talbot. Spojrzał na jej cztery opublikowane powieści sensacyjne.



Okładka pierwszej powieści, zatytułowanej *Ciemność*, ukazywała atrakcyjną młodą kobietę z przerażeniem spoglądającą przez drzwi ładnego podmiejskiego domu na porzuconą na trawniku lalkę. Wydawca informował, że książka otrzymała nagrodę Edgara i cytował fragment recenzji prasowej, utrzymującej, że *Ciemność*, ze swym obrazem największego lęku matki, jest arcydziełem literatury sensacyjnej.

Otworzył na pierwszej stronie i zaczął czytać. Przez następne dwie godziny oderwał wzrok od książki tylko raz: gdy usłyszał ryk motocykla ruszającego spod domu. Potem zobaczył światło w mieszkaniu po przeciwnej stronie ulicy. Jillian wróciła, ale Nate'a już z nią nie było. Obserwował kobietę przez kilka chwil, a potem wrócił do książki.

Siedmioletnia córeczka atrakcyjnej pani podmiejskiego domu zniknęła już w pierwszym akapicie, faktycznie zaś – w pierwszym zdaniu: „W chwili zniknięcia córeczki Laurie O'Connell wlewała do pralki płyn do zmiękczenia tkanin. Najbanalniejsza, codzienna rzecz, myślała później, ale nawet wtedy, gdy robimy takie rzeczy, nigdy nie jesteśmy bezpieczni...” Dalszy ciąg stanowiło trzysta dwadzieścia siedem stron czystego napięcia. Nigdy przedtem nie czytał takiej powieści i nawet on musiał przyznać, że była wciągająca. Aż do ostatniej sceny – po pokonaniu przez Laurie porywacza, kontuzjowanego w Wietnamie szkolnego dozorca, i po przybyciu policji, która odwiozła Laurie i jej oszołomioną narkotykiem, ale zdrową córeczkę do domu – nie odłożył tej książki i nie sięgnął po lornetkę. Kilka chwil później magnetofon na stoliku obok ruszył do akcji.

\* \* \*

„Dodzwonili się państwo do domu i gabinetu doktor Dorothy Philbin. Nie mogę podejść teraz do telefonu, ale jeśli zostawią państwo wiadomość, skontaktuję się tak szybko, jak będzie to możliwe. Proszę mówić po skończonym sygnale.”

Sygnał.

– Dzień dobry, pani doktor. Mówi Jillian Talbot. Przepraszam, że telefonuję do pani w niedzielę, ale... zastanawiałam się, czy mogłaby mi pani wyznaczyć wizytę. Najchętniej w tym tygodniu, jeśli ma pani jakieś wolne terminy. Ja... wyjaśnię wszystko w rozmowie. Mój numer telefonu...

Podawała numer i odłożyła słuchawkę. Jeszcze raz wyciągnęła rękę do telefonu, ale się zatrzymała. Nie, pomyślała, nie dzwoń do Nate'a. Jest zajęty.

Nate. Uśmiechając się Jill usiadła wygodnie w fotelu. Nie był to jej najdłuższy życiowy związek; w każdym razie jeszcze nie. Ale najpełniejszy, najbardziej satysfakcjonujący. Od chwili, gdy się poznali, miała wyraźną świadomość owego zdumiewającego połączenia seksualnej atrakcyjności, błyskotliwości artystycznej, poczucia humoru i tkliwości; połączenia, które zdawało się określać tego mężczyznę. Jej przyjaciółki, mówiąc o swych mężczyznach, zawsze podkreślały różnice wynikające z odmienności płci i uskarżały się na grubiaństwo kochanków, ich brak czułości, częste humory, skrywany pociąg do innych kobiet i upieranie się przy robieniu owych „męskich” rzeczy. Jill potrząsnęła głową, przeliczając wszystkie tak zwane zwyczajowe modele zachowań dorosłych mężczyzn i ponownie zachwycając się, że Nate najwyraźniej nie pasował do żadnego z nich. Dzisiaj miała wspaniały przykład: w czasie całej nieprzyjemnej procedury na posterunku policji czuła koło siebie obecność silnego, władczego mężczyzny.

Posterunek policji. To wspomnienie sprawiło, że w miejsce Nate'a pojawiła się w jej myślach twarda rzeczywistość. Siedząc w niewielkim gabinecie na tyłach mieszkania, wpatrywała się w okno nad biurkiem, za którym wydłużały się cienie i zapadł zmrok. Długo myślała o tych przerażających kartach i dzisiejszej wyprawie do Szóstego Komisariatu. Potem, rzuciwszy okiem na zegarek, znów podniosła słuchawkę telefonu i wystukała numer.

- Halo.
- Cześć, Tara. Tu Jill.
- Cześć, dziecinko. Czemu się tak trzęsiesz?

- Zastanawiałam się. Długo myślałam. Pamiętasz tę swoją przyjaciółkę z telewizji, tę, o której opowiadałaś mi wczoraj w restauracji?– Tak, Betty.
- Betty. No właśnie. Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Wysłuchał ich rozmowy, a potem, gdy skończyły i magnetofon się zatrzymał, zdjął słuchawki, podszedł do lodówki po następne piwo, zapalił marlboro i sięgnął po drugą powieść. Nosiła tytuł *Wdowiec*, a jej okładkę wypełniała twarz ślicznej młodej kobiety z rozszerzonymi oczami i ustami otwartymi w niemym krzyku.

Fragment zacytowany z tyłu na okładce zaczynał się od słów:

„Najgorszym dniem w życiu Heleny Morgan był ten, w którym powiedziała «tak»...”

Pomyślał chwilę o rozmowach, które właśnie usłyszał. Potem otworzył drugą książkę i zaczął czytać. Czytał do późnej nocy.

Już niedługo, pomyślał, skończywszy lekturę. Niedługo...

## 4. Wtorek, 3 lutego

Nie rozumiem – powiedział Barney Fleck. – Nie rozumiem, czego pani sobie życzy. Jill ze zdumieniem wpatrywała się w tego niezwykle wysokiego, siwowłosego pięćdziesięciolatka za ogromnym biurkiem. Jeszcze dziesięć minut temu, gdy weszła do tego zdumiewająco nowoczesnego gabinetu w dużym szarym gmazysku przy Twentynfifth Street, był tak przyjazny i dobroduszny. Wsunął wtedy swą wielką siwą głowę do poczekalni, gdzie siedziała od jakichś pięciu minut, przyglądając się sekretarce pracującej przy komputerze. Zobaczywszy go pierwszy raz, Jillian zastanawiała się, czy przychodząc tutaj nie popełniła błędu. Barney Fleck wprowadził ją do swego gabinetu, wskazał skórzany fotel na wprost wielkiego, zarzuconego papierami biurka i od razu przeszedł do rzeczy.

– Co mogę dla pani zrobić, pani Talbot?

Odpowiedziała na to pytanie, ale najwyraźniej jej nie zrozumiał.

– Chcę, żeby go pan odszukał – powtórzyła Jill, dobitnie wymawiając słowa, jakby wyraźna dykcja miała zrekompensować rzekomy niedostatek jasności i sensu jej oczekiwań. – Chcę, by odnalazł pan Briana Marshalla. Moja matka rozwiodła się z nim przed szesnastoma laty i wtedy wyprowadził się do Cleveland. Przynajmniej tak mi się zdaje, że do Cleveland. Może to było Cincinnati, te dwa miasta zawsze mi się mylą. Przypuszczam, że bierze się to z zadufania każdego nowojorczyka.

Roześmiał się znowu, a jego serdeczny *basso profundo* rozrzucił leżące na biurku papiery.

– Tak... Wiem o co chodzi. Ja także stale mam w pamięci tę wydrukowaną w *New Yorkerze* mapę Stanów Zjednoczonych. Wie pani: Nowy Jork na wschodnim wybrzeżu, Los Angeles na zachodnim, a wszystko, co leży między nimi, określa się ogólnym mianem „Kansas”. Cóż, jeśli to naprawdę, któreś z dwóch wymienionych przez panią miast, to chyba mogę go odnaleźć. Nie rozumiem tylko, co, pani zdaniem, ojczym może mieć wspólnego z tą sprawą.

Jillian zastanawiała się nad odpowiedzią, w końcu zaś zdecydowała, że całkowita szczerść będzie najlepszą drogą postępowania.

– Przypuszczam, że można by powiedzieć, iż to ja byłam przyczyną ich rozvodu. Mój ojciec zmarł, gdy miałam siedem lat. Rak płuc. Pięć lat później matka poznała Briana Marshalla. Był wysokim, przystojnym Irlandczykiem, bardzo serdecznym... początkowo. Znajomy matki przedstawił ich sobie na jakimś przyjęciu. Był rozwiedziony z pierwszą żoną i miał gdzieś dziecko, chłopca. Płacił alimenty czy coś takiego. Tak czy inaczej, sześć miesięcy później matka wyszła za niego. Była bardzo szczęśliwa, jak pamiętam. Jednak potem zaczęłyśmy dostrzegać te... problemy.

– Jakie problemy?

Jill westchnęła.

– No cóż... pił. Dużo. Okazało się, że właśnie to położyło kres jego pierwszemu małżeństwu... Dowiedziałam się o tym dopiero później, kiedy postanowiłam odnaleźć pierwszą panią Marshall, aby z nią porozmawiać. On... traktował ją brutalnie i bała się o syna. Wyjawiała mi coś jeszcze: kiedyś, tuż po jego ślubie z moją matką, zatelefonowała do niej i wszystko opowiedziała, ale mama odwiesiła słuchawkę. Cóż, przypuszczam, że tego żałowała. Widzi pan, kiedy miałam siedemnaście lat, Brian Marshall usiłował... usiłował mnie zgwałcić.

– Rozumiem – odpowiedział detektyw obserwując młodą kobietę uważnie.

Po chwili Jill zaczęła mówić dalej:

– Nie mogę powiedzieć, że była to dla mnie jakaś wielka niespodzianka. Bardzo wcześnie zorientowałam się, że on... że patrzy na mnie jakoś dziwnie. Trudno mi wyjaśnić to dokładnie, ale nawet jako czterna-stolatka wiedziałam, że nie tak dorośli mężczyźni powinni patrzeć na dzieci. Uważałam zawsze, żeby nie zostać z nim sama. Aż... cóż, pewnego dnia to się stało. – Zagryzła wargi, przypominając sobie walkę na podłodze kuchni w ich mieszkaniu nieopodal Central Parku; rozerwana bluzka, rondel z długą rączką i strumień krwi płynącej po twarzy mężczyzny. W

końcu odsunęła od siebie tamten obraz i powiedziała: – Brian Marshall jest jedynym człowiekiem, jakiego znam, który kiedykolwiek... zdobył mnie siłą. Chcę, żeby pan się dowiedział, gdzie on jest, co się z nim dzieje i czy to on mógł zrobić coś takiego – skończyła, wskazując na dwie koperty, które leżały teraz na jego biurku.

Barney Fleck wziął je do ręki i ponownie obejrzał uważnie.

– Tak, rozumiem... Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

– Tuż po tym... po tym incydencie. Matka go wyrzuciła i rozwiodła się najszybciej, jak mogła. Miałam zamiar wnieść oskarżenie, ale przekonała mnie, żebym tego nie robiła. Zawsze tego żałowałam i wciąż żałuję. Cóż, wyjechałam do college'u, a Brian opuścił Nowy Jork. Zdaje się, że pamiętam, iż mówiono o Cleveland.

– Nie może pani zapytać matkę, gdzie on teraz jest?

Jill zagryzła wargi przed udzieleniem mu odpowiedzi.

– Nie, to nie byłoby właściwe.

Detektyw uniósł wielkie siwe brwi.

– Cóż za osobliwy dobór słów – powiedział.

Jill westchnęła, przypominając sobie obietnicę, iż będzie z tym człowiekiem szczerą.

– Moja matka cierpi na chorobę Alzheimera. Mieszka w domu starców w Long Island. Nie pamięta, gdzie jest Brian Marshall. Prawdopodobnie nawet nie pamięta, kim on jest – mówiąc to, szybkim gestem otarła łzy. – Przepraszam...

Detektyw wstał i zaczął krążyć wokół biurka.

– W porządku. W swojej pracy widziałem już nie takie rzeczy. Proszę jechać do domu, myśleć tylko o pisaniu książek i dać mi kilka dni. Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć.

– Dziękuję. – Jill uśmiechnęła się i wstała z fotela, by wyjść, ale zatrzymał ją głos detektywa.

– Pani Talbot...

– Tak?

– Nie popełniła pani błędu, przychodząc tutaj.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Słucham?

– Przecież właśnie to pomyślała sobie pani na mój widok. Zdaje się, że nie wyglądam tak, jak się pani spodziewała. A Verna w sekretariacie także nie przypomina Delli Street.

Po raz pierwszy zaskoczył ją swoją spostrzegawczością. Jill uśmiechnęła się, zapinając guziki płaszczka.

– Betty Hanes zapewniła mnie, że jest pan najlepszym człowiekiem w okolicy do... do takiego problemu.

Wzruszył ramionami.

– Zdaje się, że to moja specjalność. Przez dwadzieścia lat byłem gliną, a teraz robię to prywatnie. Jestem w tym dobry.

Przez chwilę przyglądała mu się zdumiona.

– Dlaczego zatem odszedł pan z policji?

Znów się roześmiał.

– Niech pani spróbuje być nowojorskim gliniarzem przez dwadzieścia lat! Poza tym moja żona też miała coś do powiedzenia w tej sprawie.

Jill skinęła głową i odwróciła się do drzwi, ale głos detektywa znów ją zatrzymał.

– Pani Talbot...

– Tak?

– Proszę uważać. Bez względu na to, czy robi to Brian Marshall czy ktokolwiek inny, nadawca tych kart nie jest zbyt miłym facetem. Proszę uważać, dobrze?

– Dobrze – zapewniła go. – Będę ostrożna.

\* \* \*

Obserwował jej wyjście z budynku przy West Twentyfifth Street. Na rogu Seventh Avenue złapała taksówkę. Pozwolił, żeby odjechała; dzięki rozmowom telefonicznym Jillian wiedział, dokąd się udaje. Spędzi tam mu więcej godzinę, kalkulował, a potem wróci do domu, by przygotować się do obiadu z Nate'em. Poza tym było coś jeszcze, czego chciał się

dowiedzieć. Zatrzymał taksówkę na tym samym rogu i podał kierowcy adres na Spring Street w SoHo.

Wysiadła z taksówki i stanęła na chodniku przed ładnym dwupiętrowym domem przy East Tenth Street. A więc jesteś, powiedziała do siebie, punktualnie. Teraz wejdź do środka.

Minęły cztery lata od czasów, gdy przychodziła do tego domu, do miłego niewielkiego, śmietankowo-kakaowego gabinetu w suterenie. Po wydaniu *Ciemności* i przeniesieniu matki do Port Jefferson przeprowadziła się do Village. Rzuciła się w wir pisania powieści i zdobyła sobie nowych przyjaciół: Tarę Summers, Mary Daley oraz Gwen i Mike'a Feldmanów, małżeństwo pisarzy, którzy także byli klientami Mary. Od chwili, gdy przed dziesięcioma miesiącami poznała Nate'a, w ogóle zapomniała o trzech latach cotygodniowych wizyt w tym domu. Obawy, czy jej książki kiedykolwiek zostaną wydane, poczucie winy w związku z pogłębiającą się chorobą matki i strach przed tym, co nieuchronnie będzie musiała zrobić, wspomnienia o ojczymie... wszystko stopniowo słabło i zostało zażrebanie w jakimś dalekim magazynie pamięci.

Teraz była tu znowu. Spojrzała na ruchliwą, zasobną Village Street, przyglądając się parom spacerującym ręką w rękę. Byli tu ludzie przechadzający się z psami i urocze dzieci z tornistrami i kuferkami śniadaniowymi spieszące ze szkoły do domu. Codzienne, zwyczajne życie, pomyślała Jillian. Normalność. I oto jestem tu z powrotem, po owych czterech latach, z dwiema kopertami w torebce i przerażającą świadomością nieuchronnego przeznaczenia.

Z długim westchnieniem pchnęła kutą w żelazie bramę i po pięciu stopniach zeszła ku znanym dębowym drzwiom.

– A tam, na tamtej ścianie, chcę powiesić ten duży obraz. Okrążasz salę i kończysz tutaj.

Henry Jason szedł za Nate'em przez salę, kiwając głową.

– Tak. „Życie”. To powinien być podsumowujący ekspozycję obraz,



przynajmniej ja tak uważam. Jeszcze go nie widziałem, Nate.

Artysta uśmiechnął się szeroko.

– Zobaczysz. Już wkrótce. Skończyłem go o trzeciej nad ranem.

Twarz niskiego, elegancko ubranego właściciela galerii rozjaśniła się uśmiechem.

– Cudownie! Moje gratulacje, Nate! Spójrz: dwa tygodnie. Tego – machnął ręką, wskazując krzykliwe męskie akty wiszące na białych ścianach niewielkiej salki przy Spring Street – nie będzie już tutaj za tydzień, licząc od czwartku, dzięki Bogu! Pomyślałem, że ona jest bardzo utalentowaną malarką, ale nie możemy rozdawać tych cholernych rzeczy za bezcen. Tak czy inaczej możesz wieszać tu swoje obrazy w piątek, hm... trzynastego. Mam nadzieję, że nie jesteś przesądny! Przyślę ci ciężarówkę do pracowni. Jeśli napiszesz swój tekst, przejrzę go, wstawię ceny i będziemy mogli drukować katalog.

– Ach tak...

– Nie mamy wiele czasu, Nate. Zaproszenia wychodzą już jutro. Jeśli chcemy mieć tu ludzi z *Timesa*, *New Yorkera* i *Art News*, musimy to załatwić. Muszę wydrukować katalog.

– Dobrze, dobrze, zaraz to zrobię.

– Wspaniale! A teraz, czemuż nie miałbym zabrać cię na ulicę i upić likierem?

Był to znany obiegowy dowcip i Nate wiedział, że Henry żartuje, niemniej jednak z trudem opanował dreszcz.

– No cóż...

– Cześć, chłopcy.

Odwrócili się – w drzwiach stał Doug Baron.

Doktor Dorothy Philbin wprowadziła Jill do małej recepcji w suterenie, a potem zaprosiła do głównego gabinetu.

– Przepraszam, że przyjmuję panią tak nieformalnie powiedziała przez ramię, idąc przodem. – Moja rejestratorka kilka dni temu wyszła za mąż i spędza teraz dwutygodniowy miodowy miesiąc na Hawajach, a dziewczyna, która miała ją zastępować, zachorowała na gripę, więc

jestem sama i dostaję obłędu... Ale psychoanalityk chyba nie powinien używać takiego określenia.

Obie się roześmiały; doktor Philbin wskazała pacjentce kanapę, a sama usiadła za biurkiem. Jill opowiedziała jej o swoim nowym życiu: o mieszkaniu, napisanych powieściach, związku z Nate'em i przyjaźni z Tarą. Następnie wyjęła z torebki dwie karty i krótko zrelacjonowała wydarzenia ostatnich kilku dni. Kiedy skończyła, lekarka pochyliła się do przodu.

– Jak się pani teraz czuje, Jill? – zapytała.

Jillian popatrzyła na przystojną sześćdziesięciolatkę w eleganckim kostiumie. Promień południowego słońca wpadający ukośnie przez weneckie okna jaśniał na jej srebrzystych, siwych włosach i sznurze pereł wokół szyi. Kiedy Jill była tutaj ostatnio, włosy lekarki wydawały się ciemniejsze.

– Jak ja się czuję... – mruknęła Jill. – Naprawdę nie jestem pewna... Myślałam, że wiem; sądziłam, że będzie mi łatwo o tym mówić, a jednak chyba nie potrafię tego opisać.

Lekarka uśmiechnęła się lekko.

– Pisarce musi się wydawać dziwne – zauważyła.

– Tak, istotnie, ale rzecz nie tylko w tym – odrzekła Jill, wskazując karty leżące na stole między nimi. – Chodzi... chodzi o to.

– Najpierw proszę powiedzieć o tych kartach. Jak pani je odbiera?

Jill rzuciła okiem na walentynki i ponownie wyciągnęła się na lekarzkiej kanapie.

– Cóż, Nate powiedział mi tamtego wieczoru, że w dziewięciu na dziesięć podobnych wypadków znamy tych ludzi...

– Tak, to prawda – zachęcała ją doktor Philbin.

– Wydaje mi się, że może to być Brian Marshall.

– Pani ojczym? Dlaczego miałby robić coś takiego?

Jill potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Myślę, że obwinia mnie za rozwód i zdarzało mu się w życiu używać przemocy wobec kobiet. Po prostu nie znam nikogo takiego jak on, nikogo kto mógłby to zrobić.

Lekarka zajrzała do poczynionych właśnie notatek.

– A więc zatrudniła pani tego detektywa?

– Tak. Poszliśmy na policję, ale... – Jill wzruszyła ramionami.

– Rozumiem – odpowiedziała doktor Philbin. – Mam w tych sprawach pewne doświadczenia. Jedna z moich pacjentek była śledzona przez swojego eks-męża. To jest cena amerykańskiej wolności, Jill. Przepisy są takie, że policja naprawdę nie może interweniować, dopóki nie zostanie popełnione określone prawem przestępstwo. – Po tych słowach uśmiechnęła się ponuro. – Oczywiście, prawo i ofiara będą mieć dwie całkiem odmienne definicje słowa „określone”. – Spojrzała na walentynkowe karty. – To jest przestępstwo. Czuje się pani ofiarą przemocy i obawia o swoje bezpieczeństwo. Jest lub będzie pani zła. Nie wie pani, komu ufać. Policja, ten detektyw, a nawet przyjaciele... nawet Nate... mogą mieć skłonność do traktowania pani w sposób protekcyjnalno-pobłażliwy. Nie wolno im na to pozwolić. Nie jest pani histeryczką, a te karty nie są dziełem wyobraźni; groźba pod pani adresem wygląda bardzo realnie. Widuję bardzo wiele osób w pani sytuacji, które rzeczywiście są w kłopotach. Czują, że w jakiś sposób ściągnęły na siebie czyjąś niepożądaną, zbyt dużą uwagę. Cóż, jak powiedziałby mój uroczy piętnastoletni wnuk, to jest po prostu gadka-szmatka. Pani nie zrobiła niczego złego. Cała odpowiedzialność spoczywa na tym „walentynkowym” wielbicielu. Proszę o tym nie zapominać.

W gabinecie lekarki zapanowała cisza. Po chwili Jill uśmiechnęła się słabo.

– Dziękuję – powiedziała.

– Bardzo proszę. Mówiła też pani, że zaniepokoiło panią kilka innych rzeczy. Czy stało się coś jeszcze?

Jillian uszeregowała w myślach te sprawy i zaczęła od najłatwiejszej.

– Cóż, pracuję nad nową powieścią... o tropicielu i prześladowcy kobiet. Powinnam zebrać trochę materiałów; ten mężczyzna, który w mojej powieści terroryzuje aktorkę, jest kimś zupełnie obcym.

Doktor Philbin uniosła brwi.

– To również się zdarza, szczególnie znakomitościom. Pani jest

sławna, Jill. To może wcale nie być pani ojczym. Myślała pani o tym?

– Tak, myślałam. Jednak nie w tym rzecz. Chodzi o samą książkę. Chodzi po prostu o to... no cóż, nie wiem, czy w tych okolicznościach mam ochotę pisać ją dalej.

Lekarka wzruszyła ramionami.

– To niech ją pani zostawi. Niech pani pisze coś innego. Jill spojrzała na nią z uwagą i wybuchnęła śmiechem.

– W pani ustach brzmi to tak łatwo!

– Bo to j e s t łatwe. Poznałam panią dość dobrze, Jill. Jest pani po prostu absolutnie zdolna do podejmowania decyzji... skoro pani coś postanowi, to rzecz jest przesądzona.

Roześmiały się obie.

– Podoba mi się to – przyznała Jill. – Przypuszczam, że to jest łatwa decyzja, bo gdy myślę o pozostałych sprawach...

– Jakie to sprawy?

Jillian wzięła długi, głęboki oddech.

– Cóż, Nate. Chce... chce, żebyśmy się pobrali.

– Ach tak? Kiedy to powiedział?

– Przed kilkoma tygodniami. W samym środku owego zamieszania wokół mojej kolejnej powieści i wznowienia poprzedniej, w okresie tych wszystkich publicznych wystąpień w programach telewizyjnych, Nate mi się oświadczył.

– Rozumiem. I co mu pani powiedziała?

Jill uśmiechnęła się na wspomnienie owej chwili. Nate zaskoczył ją bardzo wczesnym gwiazdkowym prezentem: biletami na jakiś broadwayowski przebój, który ogromnie chciała obejrzeć. Zaprosił ją na obiad do Sardiego, a po spektaklu poszli potańczyć. Ale to stało się w teatrze, gdy już siedzieli na swych doskonałych miejscach w środku dziesiątego rzędu – miejscach, które Nate musiał zarezerwować przynajmniej miesiąc wcześniej; właśnie wtedy, gdy powoli gasły światła i miała się zacząć uwertura, nagle odwrócił się, wyjął z kieszeni marynarki niewielkie, czarne puzderko i otworzył je przed nią. W puzderku był mały, piękny diamentowy pierścionek zaręczynowy.

– Wyjdź za mnie – wyszeptał.

Jill spozrzała na niego akurat wtedy, gdy dźwięki perkusji rozpoczęły uverture. To były drugie oświadczenia w jej życiu; wcześniej roztropnie odmówiła Tedowi, doradcy podatkowemu. Jednak wiedziała; nawet wtedy wiedziała, że to będzie coś innego. I to jest inne.

Teraz, w gabinecie doktor Philbin, Jill uśmiechnęła się promiennie.

– Powiedziałam mu, że teraz nawet nie mogę o tym myśleć, ale w niedalekiej przyszłości poświęcę jego oświadczeniom całą swoją uwagę. Był z tego naprawdę zadowolony. Oto jeszcze jeden z licznych powodów, dla których jestem w nim zakochana. Wciąż ma ten pierścionek. Sądzę, że nosi go przy sobie.

– Cóż, to z pewnością mówi ci, co on czuje. A co ty o tym myślisz? Powiedziałaś, że jesteś w nim zakochana? Jesteś tego pewna?

– Zakochałam się w nim po drugim spotkaniu. Poznaliśmy się w nocnym klubie, do którego zaciągnęła mnie moja przyjaciółka Tara. Nate od razu mi się spodobał. Powiedział, że jest malarzem i zaprosił nas na wernisaż swej pierwszej wystawy. Poszliśmy tam. Tara miała niesprecyzowany pomysł, aby znaleźć jakiegoś innego artystę dla siebie, a ja byłam zaintrygowana Nate'em. Myślę, że początkowo zakochałam się w jego talencie. Wystawił serię portretów; portretów nierealistycznych. mMniej interesowały go detale rysów twarzy niż osobowość każdej postaci i wszystko wyrażał kolorem. Szczęście, gniew, melancholia; wszystko tkwiło w kolorach i pociągnięciach pędzla. Było to zdumiewające i powiedziałam mu to. Właśnie wtedy po raz drugi zobaczyłam, że się czerwieni. Tłoczyli się wokół niego różni ludzie, marchandzi i krytycy wprost wcisnęli go w kąt. Stał, przyciśnięty do ściany i kompletnie przerażony. Potem odwrócił głowę i ponad głowami tego tłumu spojrział prosto na mnie. Uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo. I właśnie wtedy zrozumiałam, jak wiele nas łączy. Ja nienawidzę tej publicznej otoczki i on także jej nie lubi. Praca, proces twórczy, oto, co jest ważne, nie zaś to, co przychodzi później. Nagle poczułam, że Nate chwyta mnie za rękę i znalazłam się przed drzwiami galerii. Uciekł z własnego wernisażu i zabrał

mnie ze sobą. Poszliśmy do jakiegoś baru na końcu ulicy i przegadaliśmy kilka godzin. Wróciłam do domu niemal o czwartej nad ranem. Następnego dnia przeczytałam w *Timesie* dużą, płomienną recenzję z jego wystawy. Kilka dni później zatelefonował i zaprosił mnie do Lincoln Center. Najwyraźniej przeegzaminował Tarę i ta powiedziała mu, że lubię balet. Więc zaprosił mnie do Met. – Znów się roześmiała. – Był tym baletem znudzony aż do bólu, ale siedział cierpliwie, uśmiechając się przez cały czas. Po przedstawieniu zaprosiłam go na kolację, po której poszliśmy do mnie na kawę. Wtedy... no cóż, od tej chwili jesteśmy razem. Gdy przed kilkoma miesiącami zaprosiłam go na mecz baseballowy, myślałam, że będzie to jego zemsta za ów balet w Met, ale pochwaliłam się, że lubię ten sport. Teraz Nate się odgraża, że zabierze mnie na mecz wrestlingowy; powinnam była trzymać język za zębami!

Doktor Philbin się uśmiechnęła.

– Więc chce pani za niego wyjść?

Jill wzruszyła ramionami, wydając z siebie cichy, zawstydzony chichot.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Oczywiście Tara uważa, że jestem szalona. Ona nie ma szczęścia w dziedzinie uczuć, co jest naprawdę przedziwne, jeśli zważyć, jaka to miła kobieta, nie mówiąc już, jaka piękna. Wyznaje ów słynny pogląd, że wszyscy wspaniali mężczyźni są albo cudzymi mężami, albo gejami i być może ma rację. Teraz Nate przedstawił jej jednego ze swoich przyjaciół; najwyraźniej wdowca i najwyraźniej nie geja. Umówili się jutro na kolację, więc może los się do niej uśmiechnie. Tak czy inaczej, Tara uważa, że powinnam złapać Nate'a.

– A co pani sądzi?

Jill umilkła na chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Sądzę, że powinnam o tym pomyśleć – powiedziała w końcu. – Skoro się coś postanowi, to rzecz jest przesądzona. Chyba nie mam zbyt wiele czasu

Doktor Philbin dostrzegła nagłą zmianę w głosie Jill i pochyliła się, bacznie przyglądając się twarzy pacjentki.

Młoda kobieta napotkała jej spojrzenie i skinęła głową.

– Nie powiedziałam mu. Nie powiedziałam nikomu, nawet Tarze. – Potem zaś pierwszy raz w ciągu tych trzech tygodni; pierwszy raz od chwili, gdy się o tym dowiedziała, wymówiła te słowa na głos: – Jestem w ciąży.

Dwaj mężczyźni wyszli z galerii i skierowali się w dół Spring Street ku niewielkiemu pubowi na końcu ulicy. Henry Jason zamierzał się do nich przyłączyć, dopóki w ostatniej chwili jakiś telefon od rozhisteryzowanej agentki nie cofnął go do biura.

– To może potrwać całe godziny – mruknął, machając im na pożegnanie. – Następnym razem, chłopcy.

Przejmujący wiatr smagał niewielką Village Street, zmuszając ich, aby mocniej okryli się płaszczami. Przebiegli ostatnie metry, jakie zostały od zachęcającego, mrocznego ciepła pubu, a potem usiedli na wysokich stołkach, witając znajomego barmana i przyjaznego pijaczka na najdalszym stołku – jedyne gościa o tej godzinie. Zamówili piwo z beczki i natchmiast stanęły przed nimi dwa spienione kufle. Doug, zapaliwszy papierosa, wypuścił kłąb dymu.

– Kiedy zobaczę twoje obrazy?

– Och, wpadnij, kiedy zechcesz – odrzekł Nate. – W czwartek przychodzi do mnie Jill, żeby je obejrzeć. Pomaga mi przy katalogu. Nie mów Henry'emu, bo myśli, że sam to robię. Czemu nie miałbyś się do nas przyłączyć?

Doug namyślał się przez chwilę.

– Mogę przyprowadzić dziewczynę?

– Jasne! Zjemy razem kolację, a potem urządzę wam prywatny wernisaż. Mam nadzieję, że lubisz ukraińską kuchnię.

– Nie jestem pewien, czy wiem, co jadają Ukraińcy, ale, do licha, spróbuję wszystkiego. Pozwól mi sprawdzić jutrzejszej nocy, jak Tara i ja pasujemy do siebie. Jeśli wszystko będzie dobrze, zaproszę ją na czwartek.

Nate przyglądał się twarzy Barona, uśmiechając się na widok pozornego spokoju, który w tak oczywisty sposób skrywał treść pierwszej randki. Papieros w dłoni Douga drżał lekko.

– Hej, Tara jest miłą kobietą – zapewnił go Nate. – Będzie wam wspaniale.

Jego towarzysz uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Wiem. Po prostu muszę się do tego przyzwyczaić. To... to była chwila...

– Tak mi przykro, Doug – powiedział cicho Nate. – Przykro mi z powodu twojej żony. Nie wiedziałem, dopóki ty sam nie wspomniałeś o tym wtedy, wieczorem.

– Tak... – wyszeptał Doug. – To już trzy lata. Tak czy inaczej ty nie miałeś większych kłopotów ze znalezieniem wspaniałej kobiety.

– Byłbyś zaskoczony. Ale masz rację, Jill jest wspaniała.

Doug Baron powoli pokiwał głową, nie patrząc na przyjaciela.

– Z pewnością, Nate – mruknął. – Naprawdę bardzo chciałbym zobaczyć ją znowu.

Podniósł kufel piwa, wypił do dna i zapalił kolejnego marlboro.

Jill wchodziła właśnie do mieszkania, gdy zadzwonił telefon. Rzuciła torebkę i dużą paczkę warzyw na kuchenny kontuar i pospieszyła do gabinetu przed włączeniem się automatycznej sekretarki. Wahala się przez chwilę, co zresztą przydarzało jej się przez kilka ostatnich dni, a potem podniosła słuchawkę.

– Halo.

– Jeszcze raz, dzień dobry. Mówi doktor Philbin. Przeglądałam pani kartotekę i myślę... myślę, że chyba coś znalazłam. Chciałabym, abyśmy o tym porozmawiały.

Jill była zmieszana.

– Co pani ma na myśli?

Nastąpiła krótka przerwa w rozmowie. Potem lekarka odchrząknęła i powiedziała:

– Cóż, wolałabym nie omawiać tego przez telefon, ale... Chodzi o to, co powiedziała mi pani w czasie jednej z wizyt przed kilkoma laty. Sprawdźmy... – W kolejnej przerwie Jill usłyszała szelest przewracanych kartek. – Czy ma pani czas w piątek, tuż po południu? Może o pierwszej?



Mam wolny termin.

– Tak, ten termin mi odpowiada, ale proszę mi powiedzieć, co to jest...

Wydawało jej się, że słyszy jak lekarka myśli, jak starannie dobiera słowa.

– Chodzi o... to może być związane z tymi kartami, z tym człowiekiem...

– Ma pani jakiś pomysł?

– Myślę... myślę, że może mogłabym... A zatem w piątek. O pierwszej.

– Pani doktor! – Jill krzyknęła, zanim kobieta po drugiej stronie zdążyła odłożyć słuchawkę. – Proszę... O co chodzi? Co pani znalazła?

Kolejna przerwa. Serce waliło jej jak oszalałe, czuła, że zaraz zacznie krzyczeć. Wreszcie w słuchawce rozległ się głos doktor Philbin.

– Cóż, jedno, co przyciągnęło moją uwagę, to fakt, że wspomniała pani o Dniu świętego Walentego. Jest tu coś, o czym mi pani kiedyś opowiedziała; coś, co miało miejsce w college'u. Czy pamięta pani pewnego młodego człowieka z Hartley College, tego młodzieńca, który nazywał się... zaraz, zaraz... Victor Dimorta?

Jill przez kilka chwil wpatrywała się bezmyślnie w komputer, zanim dotarło do niej to nazwisko. Potem jej oczy się rozszerzyły.

– Och! – westchnęła. – O mój Boże!

Kiedy skończyły rozmowę, powoli zdjął słuchawki. Wrócił ze Spring Street, akurat by uchwycić tę rozmowę. Zgniół w palcach marlboro i przetarł piekące oczy. Ze swego fotela widział przez okno, jak Jillian Talbot wróciła do salonu i usiadła na kanapie. Znajdowała się na wprost niego; wyraźnie dostrzegwał wyraz jej twarzy.

Tak, pomyślał. Zastanawia się. Przypomina sobie. Akcja się komplikuje.

## **II**

# **ZIEMIA, WIATR I OGIEŃ**

## 5. Szesnaście lat wcześniej

Mówiły o sobie: Ziemia, Wiatr i Ogień – na cześć ulubionej grupy rockowej – ale pozostali studenci po prostu określali je wspólnym mianem „Żywioły”. Naprawdę nazywały się Sharon Williams, Belinda Rosenberg i Cass MacFarland i były trzema najładniejszymi – i najbogatszymi – młodymi pannami w małym college’u na przedmieściach Burlington w stanie Vermont... Kiedy wprowadziły do swego klubu tę nieśmiałą, zamkniętą w sobie poważną Angielkę, nadały jej imię czwartego żywiołu. Był to dla nich wspaniały dowcip, ponieważ ta dziewczyna nigdy nie nauczyła się pływać i śmiertelnie bała się wody.

Nic nie sprawiało im takiej przyjemności jak dobry żart, szczególnie, gdy bawiły się kosztem innych. Ale były najładniejsze, a zatem i najbardziej znane. Pozostałe dziewczęta okazywały im szacunek, chłopcy – uwagę, a profesorowie – pobożanie. Rządzące kampusem, trzy małe rozpuszczone impertynentki stały się popularne dzięki swej błyskotliwej inteligencji, ciętymu dowcipowi, błyskowi szminek i suszarkom do włosów. Jill wiedziała, że nie są zbyt miłe, ale po jej stosunkowo samotnym dzieciństwie w Nowym Jorku, niemal podręcznikowym braku akceptacji w szkole średniej i aż nazbyt żywej konfrontacji z pijanym ojczymem na kuchennej podłodze, poczuła gwałtowną potrzebę stania się częścią grupy, przynależności do jakiegokolwiek paczki. Nigdy nie mieszkała poza domem, więc „opieka” tych trzech, aczkolwiek było to określenie dość sarkastyczne, dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Wkrótce Jill przekonała się, że ich prawdziwe zainteresowanie wiązało się z jej wyborną znajomością matematyki i gotowością „pomagania” w zadaniach domowych, które stały się przekleństwem egzystencji Żywiołów. Owa pomoc w istocie oznaczała odrabianie zadań za całą trójkę, ale Jill uznała to za niewielką cenę. Była przez tamte akceptowana; należała do paczki, była Kimś.

Nie trwało to zbyt długo.

Pamiętała owo spotkanie na początku drugiego semestru pierwszego roku. Zimny dzień w pierwszym tygodniu lutego. Trzy starsze dziewczyny – blondynka, brunetka i ruda – siedziały przy najlepszym stoliku przed olbrzymią szklaną ścianą, skąd rozciągał się niemal teatralny widok okrytego śniegiem kampusu. Ubrane w obcisłe dzinsy, dopasowane sweterki i futra teatralnie udrapowane na ramionach, paliły papierosy, śmiejąc się i wołając coś do siebie, gdy weszła do kawiarenki ściskając tacę.

– Och, Jill! Jill Talbot! – zawołała platynowa Sharon. – Usiądź z nami, kochanie. Chcemy z tobą porozmawiać.

– Tak – dodała brunetka Belinda. – Mamy pewną propozycję.

Przeszyły ją przebiegłe spojrzenia.

Poczuła kompletne zaskoczenie, a potem nagły przypływ ciepła i szczęścia, gdy wszyscy, w całej sali, patrzyli, jak idzie, by przysiąść się do Najważniejszego Stolika. Rudowłosa Cass – jedyna naprawdę miła, gdy pozostałych dwóch nie było w pobliżu – tylko się uśmiechnęła, pozwalając swym koleżankom-monarchiniom poprowadzić całą rozmowę. Uśmiechnęły się, zrobiły miejsce i zaoferowały Jill jej pierwszego – i ostatniego papierosa.

Zaczęła gwałtownie kasłać, wśród ochryplego śmiechu i klepania po plecach, a Sharon-Ziemia wyjęła jej papierosa z drżących palców, zgasiła go w talerzyku owocowej galaretki i zapytała:

– Czy chciałabyś zostać członkinią naszego małego, żeńskiego kółka?

– Och tak!... no, tak... chciałabym! – wyjąkała Jill, odzyskując głos i ze wszystkich sił starając się, by nie zabrzmiało to zbyt gorliwie lub, co gorsza, zbyt chłodno.

– Fantastycznie! – wykrzyknęła Belinda.

– Polubisz nas, dziecinko – dodała Sharon. – I będziesz jedną z nas. A wiesz, co to znaczy. Prawda, dziewczyny?

– Jasne! Oczywiście! No pewnie! – wołały wszystkie trzy zgodnym chórem.

– To nasze hasło – wyjaśniła blondynka – bo właśnie takie jesteśmy. Przyłącz się do nas, a też taka będziesz. – Potem zaś, ścisząc głos, mówiła dalej: – Rozumiemy więc, że chcesz się ubiegać o członkostwo w grupie Żywiołów?

– Jasne – wyszeptała znowu, jeszcze dochodząc do siebie po owym wstrząsie.

– Fantastycznie! – powtórzyła Belinda, a potem pochyliła się i dodała szeptem: – ale, wiesz, jest pewna sprawa. Aby stać się członkinią naszej grupy, musisz przejść niewielki... egzamin.

– Pewną inicjację – sprecyzowała Sharon.

– Tak... – powiedziała Belinda, a Cass znów się uśmiechnęła. – Pewną inicjację.

Tak się zaczęło...

Jako osiemnastolatka Jill czuła, że rozwija się zbyt późno. Była wysoka, zbyt chuda i zbyt płaska. Miała długie, sięgające niemal do pasa włosy, ale jej zdaniem brakowało im wyrazu i życia. Wszystko wydawało jej się złe. Czuła się pozbawionym wdzięku połączeniem ostrych kątów i bezbarwnych, nieładnych rysów. Stawała przed lustrem i wpatrywała się w swą twarz i figurę, próbując własną czystą koncentracją nadać im jakieś ciekawsze i przyjemniejsze formy. Fakt, iż była jedyną osobą, która trwała w takim przekonaniu, w ogóle nie przychodził jej do głowy. Pierwszy semestr w Hartley College był dla niej trwającą w nieskończoność epoką lęku i niepewności: siedziała w salach lub snuła się po kampusie, nie dostrzegając pochlebnych spojrzeń mężczyzn oraz zazdrosnych oczu kobiet i nie podejrzewając, że owa rzekoma myszowata nijakość istnieje wyłącznie w jej własnej wyobraźni. Nie wiedziała, że jest piękna.

Tęskniła za Nowym Jorkiem. Pisała długie listy do matki, która wciąż dochodziła do siebie po rozwodzie z Brianem Marshalllem. Korespondowała też z koleżankami ze szkoły średniej, które teraz uczyły się w innych college'ach. Brakowało jej lekcji tańca, na które uczęszczała przez cztery lata raz w tygodniu i żałowała, że nie wybrała college'u, który oferował takie zajęcia. Pani Worth, ulubiona nauczycielka angielskiego w szkole

średniej, zapewniała Jill, że Hartley College jest właściwym miejscem dla każdego z jej łatwością pisania. W rzeczy samej Jillian nigdy nie myślała poważnie o karierze baletowej. Od dawna wiedziała, że jest jej przeznaczone zostać pisarką.

Znalazła się więc w Hartley. Pierwszy semestr ciągnął się w nieskończoność, rozjaśniany jedynie dwoma interesującymi cyklami wykładów: z historii literatury światowej i zasad twórczej kompozycji literackiej. Jill pozostawała głównie sama i nie była zapraszana przez żadne grupki, nie mówiąc już o rozlicznych kółkach i organizacjach, które tworzyły tamtejsze życie towarzyskie. Jedyną grupą, do której wstąpiła, był Klub Angielski, nieoficjalne stowarzyszenie najzdolniejszych studentów, którzy co tydzień czytali jakąś aktualną książkę i spotykali się w piątkowe wieczory, by o niej dyskutować. Siadywała więc w owe piątki w studenckiej kawiarence z pięcioma lub sześcioma innymi podobnie nieprzystosowanymi istotami, słuchając, jak monotennie mówią o Robercie Stone, Johnie Updike'u, Toni Morrison czy Nadine Gordimer i boleśnie uświadamiając sobie, że wszyscy inni są na przyjęciach, uczestniczą w wydarzeniach sportowych lub włóczą się stadami po najbliższym centrum handlowym. Kiedy jesienny semestr wreszcie dobiegł końca, Jill wsiadła w pociąg i pojechała do domu. Boże Narodzenie okazało się dość bezbarwne i raczej smutne, matka bowiem wciąż nie czuła się dobrze, a nowojorskie koleżanki były zajęte. Tak więc tamte dwa pierwsze tygodnie stycznia spędziła w swoim pokoju, pisząc przygnębiające poematy i nowele. Pod koniec ferii uświadomiła sobie z prawdziwym zdumieniem, że niecierpliwie oczekuje powrotu do Vermontu. Osamotnienie w college'u nagle wydało jej się bardziej zachęcające i bardziej pociągające niż samotność w nowojorskim mieszkaniu przy Central Park West.

Drugi semestr zaczął się bardziej obiecująco niż pierwszy. Po powrocie do college'u Jill zrozumiała, że jest zmęczona samotnością i zaczęła dostrzegać to, co działo się wokół. Zmusiła się do ściślejszych kontaktów z koleżankami i próbowała siadać z nimi w bibliotece lub kawiarni, zamiast rozglądać się za jedynym pustym stolikiem w każdym z tych miejsc.

Niektóre ze studentek okazały się serdeczne i miłe i poszło jej całkiem dobrze, ale było to w czasie, gdy jej uwagę po raz pierwszy przyciągnęły Żywioty; trzy piękne dziewczyny, które rządziły kampusem.

Obserwowała je z daleka, dokładnie przyglądając się ich strojom, makijażom, a także osobliwym zachowaniom i starając się zanalizować, czym właściwie było to, co dawało im tak wielką popularność. Zauważyła, że ta czarnowłosa, Belinda Rosenberg, miała zgodnie z najnowszą modą krótko ostrzyżone włosy. Pewnego dnia Jill podeszła nawet do ich stolika w kawiarence, przedstawiła się i zapytała tamtą, gdzie się czesze. Belinda odpowiedziała jej na pytanie... w zamian za niewielką „pomoc” w napisaniu pracy domowej, którą pospiesznie odrabiała w czasie lunchu, tuż przed zajęciami. W najbliższą sobotę Jill weszła do salonu fryzjerskiego w centrum handlowym i kazała się uczesać w stylu Belindy.

W owym pierwszym tygodniu lutego, gdy Żywioty przywołały ją do swego stolika, aż nazbyt gorąco pragnęła się do nich przyłączyć.

– Straszny z niego palant! – wykrzyknęła Belinda.

– Kompletny! – przyznała Sharon, złotowłosa liderka kółka. – Zawsze łypie na nas z ukosa. Daję słowo, gapi się na każdą dziewczynę w taki sposób, jakby była naga. Jest po prostu obleśny, obrzydliwy... – po tych słowach dramatycznie zawiesiła głos, a potem dodała: – ale my coś z tym zrobimy!

Jill, unosząc wzrok znad jakiegoś zadania matematycznego, spojrzała na swe nowe przyjaciółki, zastanawiając się, co mają na myśli. Był to drugi tydzień jej przynależności do grupy Żywiotów i już zaczynała się zastanawiać, czy przyłączenie się do nich nie było błędem. Nie spodobał się jej ów błysk w oczach Sharon, a jeszcze bardziej nie odpowiadała jej ogólna atmosfera konspiracyjnej intrygi, która przenikała pokój Belindy. Dwa tygodnie odrabiania za całą trójkę zadań matematycznych też zaczynały dawać się jej we znaki. Gdyby była inną dziewczyną – bardziej życiowo doświadczoną, mniej naiwną i bardziej pewną siebie – wstałaby ze swego miejsca w nogach łóżka Belindy i zostawiłaby wszystkie trzy, by w końcu musiały zrobić użytek z własnych rozumów. Jednak zamiast tak

zrobić, uśmiechała się teraz bez entuzjazmu i czekała na polecenia.

Chłopak, o którym rozmawiały, Victor Dimorta, był dokładnie taki, jak o nim mówiły. Sama Jill miała z nim ostatnio pewne przykre doświadczenie i kilka dni wcześniej zmuszona była bronić się przed jego topornymi i obrzydliwymi zalotami w nagle opustoszałej sali wykładowej. Ten wysoki, kościsty, blady młody student z wypryskami trądziku na twarzy i rzadkimi tłustymi włosami starał się wciągnąć Jillian w rozmowę, a kiedy się doń uśmiechnęła, powoli zmierzając do drzwi, potraktował tę mimowolną uprzejmość jako zachętę i próbował ją pocałować.

Brutalny dotyk jego silnych rąk, które poczuła na swoich ramionach, wciąż przyprawiał ją o dreszcz. Odepchnęła natręta i wybiegła do holu, odgłosem szybkich kroków w końcu zagłuszając jego desperackie, wściekłe krzyki.

– Poczekaj! Chcę z tobą tylko porozmawiać. Nie chciałem cię przestraszyć. Jill? Jill!

Teraz, w pokoju Belindy, planowały wspólną zemstę i kilka podobnych przedsięwzięć.

– No dobrze. Oto, co zrobimy – powiedziała Sharon, a koleżanki - Żywioty wpatrywały się w jej twarz wyczekująco.

– Belindo, ten pokój będzie doskonały. Potrzebne mi są świece, kadzidło i czerwone żarówki... mówimy o burdelu, kapujecie?

– Fantastycznie!

– Okay. Cass, ty obsługujesz wideo, ten pokój ma być pod obserwacją. Będziesz siedzieć w tamtej szafie i filmować.

– Naprawdę sądzisz, że...? – zaczęła z natury życzliwa rudowłosa.

– Nie przerywaj! – Padła krótka odpowiedź. – Ty filmujesz. Ustalone! Belinda, ty ustawiasz dekoracje.

– Jasne! – odpowiedziała Belinda. – A co robisz ty, Sharon?

Złotowłosa piękność uśmiechnęła się leniwie.

– Moja droga, j a jestem przynętą! A wy, moje damy, załatwicie pana Victora Dimortę – Pana Zwycięstwo Przez Śmierć – raz na zawsze! Właśnie to oznacza jego nazwisko po włosku: „zwycięstwo przez śmierć”.



Dacie wiarę? Pięćdziesiąt milionów przystojnych, pociągających Włochów chodzi po świecie, a my mamy tego jednego dupka! Ale już my go urządzimy. Z całą pewnością! To jasne jak słońce.

W pokoju zaległa cisza, gdy trzy pozostałe rozważały jej słowa. Potem, w końcu odzyskawszy głos, odezwała się Jill, z trudem przełykając ślinę.

– A ja?

Sharon odwróciła się wreszcie ku ćwierkającemu fiołeczкови w nogach swego łóżka.

– Moja droga! – powiedziała i na jej ślicznej twarzy pojawił się zły uśmiech. – Ty jesteś najważniejszą... wybacz dwuznacznik... częścią. Najważniejsza, ostatnia część mojego planu wiąże się z tobą. Najostatniejsza!

To była kartka walentynkowa; różowa, z koronkowym białym ornamentem. Jill miała sprawić, by owa walentynka znalazła się na ławce chłopaka w czasie wykładu z zasad twórczej kompozycji literackiej. Trzy starsze dziewczyny nie chodziły na żadne wspólne zajęcia z Victorem, bo podobnie jak Jill, był na pierwszym roku. Może właśnie to, jak później się domyśliła, stanowiło jeden z powodów, dla których tak bardzo pragnęły „włączyć” ją do swej grupy. To i matematyka.

Chodziło też o coś więcej. Na dzień przed dostarczeniem kartki Jillian miała zorganizować małe jednoaktowe przedstawienie na cześć niefortunego zalotnika. W tym celu Żywioty wybrały jeszcze jedną dziewczynę z pierwszego roku. Tamta miała na imię Tammy, czy jakoś tak, i była aż nazbyt zadowolona ze swego wyróżnienia – wszak kontakt z najbardziej interesującymi studentkami w całym kampusie przyprawiał każdego o dreszcze! Jill oraz Tammy zostały więc wezwane do pokoju Belindy, gdzie odebrały instrukcje od pozostałych dziewczyn i powtarzały swe kwestie tak długo, dopóki wszystkie nie uznały z zadowoleniem, że odegrają swą scenkę doskonale.

W przeddzień walentynkowego święta Jill i Tammy ustawiły się dokładnie w odległości dwóch ławek od Victora, udając, że nie zdają sobie

sprawy z jego obecności. Zanim wszedł profesor i rozpoczął się wykład, przedstawiły wyuczony dialog.

– Ależ tak! – zawołała Jill, gdy Victor wślizgnął się na miejsce. – Możesz w to uwierzyć?! Victor Dimorta! Sharon Williams wprost pali się do niego! Od kilku dni nie mówi o nikim innym!

– O rany! – wykrzyknęła Tammy, tłumiąc konspiracyjny chichot. – Zdaje się, że on chodzi z głową w chmurach. To marzyciel i nic nie widzi. Ale, oczywiście, Sharon jest najpiękniejszą kobietą w całym kampusie i założę się, że mu się podoba; wszystkim facetom się podoba.

– Jasne! – przyznała Jill – ale jej zależy tylko na nim – potem zaś pochyliła się ku Tammy i mówiła dalej, zgodnie z instrukcjami starając się, by jej szept był doskonale słyszalny: – Sharon mówiła, że chce mu sprawić wielką niespodziankę z okazji Dnia Zakochanych!

Oczy Tammy rozszerzyły się z ciekawości.

– Naprawdę? Jaką? Powiedz, powiedz!

– Ciii! – upomniała ją Jill chichocząc. – Nie jestem pewna, co to za niespodzianka, ale Sharon twierdzi, że mu się spodoba.

Śmiały się razem jeszcze przez chwilę, gdy do sali wszedł profesor. Po kilku minutach Jill rozejrzała się wokół, by móc zerknąć na Victora Dimortę. Gapił się prosto na nią, uśmiechając się od ucha do ucha. Zacerwieniła się i odwróciła wzrok.

Następnego ranka – w Dniu Zakochanych – podeszła do chłopaka i wręczyła mu walentynkę. Znów się zacerwieniła, gdy uśmiechając się szeroko otwierał kopertę. Wewnątrz karty, pod wydrukowanym przez producenta ckliwym wierszykiem, znajdowała się krótka, zwięzła wiadomość wykaligrafowana eleganckim pismem Sharon: „Simmonds Hall, pokój 407, dziś wieczorem, o jedenastej. Bądź tam. Sharon.” Jill nie widziała wcześniej tej karty – teraz też ledwie rzuciła na nią okiem, zanim Victor szybko złożył ją i schował do koperty. Zauważyła w jego oczach triumfalny błysk i szybko odeszła.

Nie wiedziała, że w istocie to ona, Jill, była dziewczyną, o której Victor marzył, której pragnął i na punkcie której był wprost opętany.

Gdyby to wiedziała, nigdy nie przyniosłaby mu owej wiadomości. Nigdy by się doń nawet nie zbliżyła!

Hierarchia studentów w każdym akademickim kampusie jest wyraźnie określona. Wyznacza ją po prostu kolejność studenckich roczników. Najwyższy szczebel zajmują seniorzy, nieco niższy – juniorzy, pod nimi plasują się „ci z drugiego roku”, a najniższymi miejscami zadowolają się niedoświadczeni pierwszorocznicy. Fakt, iż Jill natychmiast nie zastanowiła się nad pytaniem, dlaczego trzy najpopularniejsze seniorki chciały mieć ją w swej paczce, odzwierciedlał jej rozpaczliwe pragnienie przynależności do jakiejś grupy. Jednak później, gdy w końcu zaczęła analizować sytuację, brutalna rzeczywistość stała się jasna i zrozumiała...

Jill została zaangażowana do roli niewolnicy. Trzy młode spryciary rozglądały się wokół, szukając jakiejś odpowiedniej kandydatki i ich wzrok padł na spokojną, nieco naiwną dziewczynę z pierwszego roku, która z wyraźną zazdrością wpatrywała się w nie w kawiarni i gorliwie próbowała naśladować ich wygląd. Cóż za idiotka, musiały pomyśleć. Jak dobrze będą się bawić, mając taką panienkę na posyłki, dziewczynę do odrabiania zadań, kurierkę do noszenia liścików. Po prostu służącą.

To dziewczę na posyłki, jak się okazało, miało chwycać w sidła przysze ofiary Żywiołów, owe niższe formy życia, które dostarczyłyby chwilowej rozrywki, służąc za obiekty licznych żartów dobranej trójki. Już w przeszłości dopuszczały się podobnych wybryków, ale plan zabawienia się kosztem Victora Dimorty z pewnością został opracowany w najdrobniejszych szczegółach. Jill zastanawiała się później, czy naprawdę zamierzały w tym przypadku posunąć się tak daleko, jak to w rzeczywistości zrobiły. Wątpiła; wszak nawet owe trzy bezczelne, pyszałkowane i nietaktowne dziewczyny, nigdy rozmyślnie nie wystawiłyby się na takie niebezpieczeństwo.

Później, gdy myślała o Żywiołach – zdarzało się jej to zresztą coraz rzadziej w następnych latach w Hartley College – próbowała je zrozumieć. Z własnego doświadczenia z ojczymem wiedziała, że niektórzy

ludzie rodzą się po prostu źli, a próba ich usprawiedliwiania czy choćby zanalizowania ich postępków jest czczym i daremnym zajęciem. Ale to zdawało się nie mieć zastosowania do Sharon, Belindy i Cass. Jill zaczęła przypuszczać, że były one raczej żywymi przykładami szkodliwości i ubocznego działania nudy, co objawiało się w grupie, bo z osobna każda z nich trzech wydawała się całkiem inna niż pozostałe.

Zła była Sharon Williams, uznała Jill – jeśli którąś z nich w ogóle należało tak ocenić. Dwadzieścia jeden lat bogactwa, uprzywilejowania i urody przyniosło określony efekt. Sharon Williams, bogata blondynka z południowej Kalifornii, gdzie wszyscy sprawiali wrażenie bogatych i mieli złote włosy. Jill wyobrażała sobie, że lata spędzone przez Sharon w szkole średniej były jednym długim, nie kończącym się pasmem przyjęć, chodzenia do klubów, uprawiania windsurfingu i grania w kręgle z dziećmi gwiazd filmowych. Jej prawdopodobnie nadgorliwi i nadmiernie pobłażliwi rodzice, jakieś wpływowe małżeństwo z milionami, poświęcali stanowczo za dużo czasu, trudu i pieniędzy na swoją ukochaną córeczkę. Nie trudno wyobrazić sobie, kto rządził w domu państwa Williamsów.

Belinda Rosenberg sama decydowała o sobie. Będąc trzecim z czworga dzieci państwa Rosenbergołów nie ściągnęła na siebie szczególnej uwagi ojca, chirurga specjalizującego się w dolegliwościach sercowych, ani matki, aktywnie działającej w synagodze w Buffalo i przewodniczącej dwóm organizacjom charytatywnym. Belinda dorastała w cieniu starszego rodzeństwa. Należała do dziewcząt, które zawsze znajdą sobie jakąś Sharon Williams, by się do niej przywiązać, i z radością pozwalają swej przyjaciółce być liderką.

Jedyną zagadką wśród całej trójki była Cass MacFarland. Jill wiedziała tylko tyle, że owa miła, rudowłosa Szkotka dorastała w jakimś przyjemnym miasteczku w stanie New Jersey. Cass nigdy nie wspominała o matce i ojcu, chociaż Jill wiedziała, że są gdzieś niedaleko, a później, na uroczystości wręczania dyplomów ukończenia college'u widziała rodziców wszystkich trzech Żywiołów. Cass miała starszego brata, którego uwielbiała i wciąż telefonowała lub pisała doń długie listy. Była bardzo spokojna,

jak zauważyła Jill, niemal nazbyt spokojna. Pewnego razu Jill i Cass były same przy stoliku w studenckiej kawiarni i tamta niemal się nie odzywała. Jill zapytała koleżankę o brata, ale Cass ledwie wzruszyła ramionami i wymruczała coś na temat, że długo nie miała kontaktu z rodziną. Jillian często zastanawiała się, czemu Cass toleruje swe przyjaciółki, skoro sama sprawia wrażenie bardziej delikatnej i rozważniejszej niż tamte. Ale być może tak jej się tylko wydawało, bo ona i Cass miały ze sobą coś wspólnego: obie chciały zostać pisarkami. Nawet wtedy, w college'u, Cass pracowała już nad jakąś powieścią, co czyniło ją w oczach Jill najbardziej fascynującą z nich wszystkich.

Z jakiegoś powodu, a może z kompilacji wszystkich powodów, Jill rozmyślnie stała się Żywiołem. Podążała za trzema liderkami kampusu, świeciła ich odbitym światłem. Chodziła na urządzane w studenckich pokojach przyjęcia, na które inaczej nigdy nie byłaby zaproszona. Siedziała przy Najważniejszym Stoliku. Pisała za Żywioły prace, które niebawem poszerzyły swój zakres z matematyki także na inne przedmioty. I kiedy wysłały ją, by doręczyła ową fatalną wiadomość Victorowi, posłusznie pobiegła klusem z kartką walentynkową, ani razu nie zastanawiając się nad potencjalnymi konsekwencjami tego, co robi.

Potem, gdy już się stało, Jill próbowała pospiesznie usprawiedliwić własne postępowanie, przekonując samą siebie, że tak naprawdę to nic nie zrobiła. Przecież tamtej nocy nawet nie była w pokoju Belindy...

Znajdowała się wtedy w pokoju Tammy, numer 408, dokładnie po przeciwnej stronie korytarza. Obie nasłuchiwały bacznie, chichocząc przy tym razem, dopóki straszne odgłosy dochodzące z pokoju naprzeciwno nie zdusiły w nich śmiechu. Tammy wybuchnęła płaczem i półprzytomna wcisnęła się w kąt. I to właśnie ona, Jill, wezwała służbę ochrony kampusu.

Czekała potem kilka minut, dopóki w końcu nie zebrała się na odwagę, by otworzyć drzwi i wyjść na korytarz. Drzwi od pokoju Belindy były otwarte. Nagą do pasa, pokaleczoną i zalaną krwią Sharon otaczało kilka dziewcząt z sąsiednich sypialni. Cass i jakaś inna studentka klęczały nad Belindą, która leżała na podłodze w swoim pokoju, jęcząc i trzymając się

za rozkrwawiony nos. Jednak w owej strasznej chwili Jill najbardziej zapamiętała ślady krwi na białej ścianie w głębi. I ta muzyka... Wpatrując się rozszerzonymi ze zdumienia oczami w straszny, szokujący obraz przed sobą, słyszała niski, prowokacyjny głos Sarah Vaughan śpiewającej „My Funny Valentine”. Muzyka rozlegała się z niewielkiej wieży hi-fi stojącej obok małego telewizora po drugiej stronie pokoju.

Ilekoć myślała o tym później, zawsze łączyła owo tragiczne wydarzenie z piosenką Sary Vaughan. Ilekoć słyszała tę piosenkę, wzdragała się mimowolnie, nawet wtedy, gdy cały incydent poszedł w zapomnienie.

Później, w dziekanacie, podczas oficjalnego przesłuchania, usłyszała tak zwaną pełną historię tego, co się stało tamtej nocy. Była jedynie świadkiem i nie otrzymała żadnej nagany. W istocie dziekan – szczupły, przystojny mężczyzna po czterdziestce, którego później widywała wychodzącego wieczorami z pokoju Sharon – nie ukarał wtedy nikogo.

Z wyjątkiem Victora Dimorty.

Tę „oficjalną” wersję wydarzeń opowiedziała Sharon. Victor naprzykrzał jej się od wielu tygodni, wyjaśniła dziekanowi i dwóm innym członkom rady college’u, którzy uczestniczyli w przesłuchaniu. Tamtego wieczoru podstępnie zjawił się w pokoju Belindy z pudełkiem czekoladek. Kiedy trzy przyjaciółki poprosiły go, by wyszedł, rzucił się, zdarł z nich ubrania, uprzednio ściągając własne i napastował dziewczęta fizycznie. Belinda nie była na przesłuchaniu, bo leżała w akademickim szpitalu ze złamanym nosem i nogą zwichniętą w kostce. Cass została wciśnięta do szafy (nikt nie wspomniał, że siedziała tam przez cały czas, filmując przebieg wydarzenia), a półnaga Sharon umknęła na korytarz, jedynie z powierzchownymi zadrapaniami na twarzy i rękach. Dokonawszy owego ataku, Victor wybiegł z pokoju. Wpadł do windy zupełnie nagi i w końcu został powalony na podłogę w holu żeńskiego akademika i zatrzymany przez ochroniarzy kampusu. Wszystkie dowody, łącznie z połamanymi krzesłami i lampami potwierdziły niepodważalnie zeznania Sharon o wymuszonym najściu i napaści, co pozwoliło dziekanowi uznać sprawę za zakończoną i zamknąć śledztwo.

Prawie.

Jill nie pamiętała, co ją podkusiło, by zrobić to, co później uczyniła. Z pewnością nie darzyła żadnymi względami Victora i nie miała pełnej jasności co do tego, co naprawdę wydarzyło się w pokoju Belindy. Jednego wszakże była pewna: skończyła z Żywiołami. Skończyła ze stanem gotowości i świadomym współuczestniczeniem w okrutnej intrydze, z pisaniem prac za kogoś, z pozycją służącej w zamian za poczucie złudnej akceptacji. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że nie potrzebuje takich menterek. Była od nich lepsza i miała tylko jeden sposób, by zrezygnować z ich ponurego towarzystwa. Jej zachowanie w owej chwili zaskoczyło i zdumiało wszystkich, a najbardziej samą Jill. Siedziała na kanapie na wprost hebanowej ściany w gabinecie dziekana, słuchając drobiazgowo opracowanych kłamstw Sharon. Nagle wstała.

– Nie! – zawołała i w jednej chwili wszyscy, którzy tam się znajdowali, obrócili się i popatrzyli na nią zdumionymi oczami. Powoli, niczym w transie, Jillian uniosła rękę i wskazała na piękną blondynkę w fotelu na wprost biurka dziekana. – Ona kłamie! To było inaczej! Zwabiły go, wszystkie trzy. To był jeden z ich głupich żartów. Ściągnęły go tam owej nocy, by móc go upokorzyć, tak jak upokarzają każdego! Victor został zaproszony do tego pokoju przez nią! – Wycelowała palec w Sharon. – Wiem to, gdyż sama dostarczyłam mu jej list. Cass i Belinda podglądały z szafy. Cała sprawa została ukartowana.

Cisza, która nastąpiła po jej słowach, trwała kilka sekund. Sharon Williams wyskoczyła z fotela, gwałtownym ruchem zwracając się twarzą do Jill.

– Suka! – wrzasnęła. – Oszustka! Łże jak pies, wstrętna mała lesba! Wszyscy wiedzą, dlaczego się do nas przyczepiła!

Lesba!

Dziekan zerwał się na równe nogi, podnosząc władczo rękę, by uciszyć Sharon, która opadła na fotel. Potem zaś, ściskając blat biurka, pochylił się ku ciemnowłosej studentce pierwszego roku, która stała z pięściami przyciśniętymi do boków w głębi gabinetu.

– Dość tego, panno... – rzucił okiem na raport leżący na biurku, a potem znów na nią spojrzął – panno Talbot. Nie wiem, co pani próbuje osiągnąć, ale jeszcze jeden podobny wybuch i będę zmuszony panią zawiesić! Zrozumiała pani, młoda damo?

Powoli... bardzo powoli... przeniosła lodowate, pełne wzdryki spojrzenie z Sharon Williams na dziekana i przez długą chwilę patrzyła mu prosto w oczy. Gdy w końcu się odezwała, jej głos był tylko szeptem, ale męczyzna usłyszał ją bardzo wyraźnie.

– Wstyďte się! – powiedziała, a potem odwróciła się i wyszła z gabinetu.

Victor Dimorta nie mógł widzieć odważnego wystąpienia Jill; relegowany z uczelni, poprzedniego dnia wyjechał do domu.

Nigdy więcej nie miała nic wspólnego z Żywiołami. Dwa dni później przysłała do kawiarenki przed nimi, rozmyślnie usiadła przy ich stoliku przed wielkim oknem widokowym i w spokoju zaczęła jeść lunch. Kilka minut później pojawiła się Sharon Williams. Postawiła swoją tacę na wprost Jill, pochyliła się i zaczęła krzyczeć.

– Co ty tu, do cholery, masz zamiar robić? Wynoś się od naszego stolika, ty zdradliwa oszustko!

Jill spojrzała na nią spokojnie znad talerza i gdy wszyscy wokół czekali, co się stanie, po raz ostatni odezwała się do pięknej blondynki.

– To jest teraz mój stolik i ty się stąd wynoś. A jeśli jeszcze choć raz ty i twoje podstępne przyjaciółki spróbujecie się do mnie zbliżyć, zadzwonię do waszych rodziców i opowiem, co się naprawdę stało. Na pewno bardzo ich zainteresuje, jakie rozrywki lubią ich córki. A teraz zabieraj się stąd!

Najpierw zaczęli dwaj zaprzyjaźnieni chłopcy, a potem przyłączyła się do nich cała sala: wszyscy studenci, jeden po drugim, bili brawo. Klaskaniu dłoni towarzyszyły okrzyki i aprobujące gwizdy, a wkrótce zagłuszyło je mocne, rytmiczne walenie pięściami w stoliki. Potem rozpoczęło się skandowanie, wypełniające kawiarenkę jednym słowem:

- Jill! Jill! Jill!...



Sharon rozglądała się wokół z niedowierzaniem. Potem rzuciła ostatnie pogardliwe spojrzenie na swą byłą pomocnicę i wyniosła się z sali.

Żywioły ukończyły college wraz z końcem semestru i Jill już nigdy więcej nie była przez nie nękana. Tylko raz, kilka tygodni później, jedna z wielkiej trójki zdobyła się na to, by się do niej odezwać. Cass MacFarland zatrzymała byłą koleżankę przed wejściem do sali wykładowej i przeprosiła za swój udział w tamtym wybryku, mówiąc Jill, że podziwia ją za próbę wyznania prawdy dziekanowi i za przeciwstawienie się Sharon.

Od owego dnia w kawiarni aż do chwili ukończenia college'u trzy lata później Jillian pozostawała jedną z najpopularniejszych studentek w kampusie. Wstąpiła do żeńskiego koła akademickiego i została przewodniczącą Klubu Miłośników Literatury, a w piątkowe wieczory chodziła na przyjęcia i uczestniczyła w imprezach sportowych, jeśli akurat nie prowadziła całej hordy do centrum handlowego. Zaplątała się też w romantyczną miłość z pewnym studentem, który został jej pierwszym kochankiem. Ten związek, choć przyjemny, dla żadnej ze stron nie był zbyt poważny i spotykała się również z innymi chłopakami. Zawsze była jednak głęboko świadoma uczuć ludzi wokół niej: uważnie przyglądała się wszystkim samotnikom i nieśmiałym, dziewczynom i chłopcom, którzy stali na zewnątrz, i zawsze zapraszała, by przyłączali się do niej oraz jej przyjaciół i usiedli wraz z nimi przy stoliku przy oknie.

Z upływem czasu zapomniała o tamtym incydencie. Bez przykrości, wygodnie odrzuciła wspomnienia o owym rzekomym żarcie, strasznych krzykach, widoku połamanych mebli i krwi na ścianie w pokoju Belindy. Wykreśliła także z pamięci własną małą rolę w wydarzeniach zakończonych relegowaniem chłopca, którego jedyną zbrodnią, o ile dobrze rozumiała, była jego nieatrakcyjność.

**III**

**JILL**

## 6. Środa, 4 lutego

Obudził się powoli i pierwszą rzeczą, jaką poczuł, było zimno. Usiadł na grubym, nierównym materacu i tarł pięściami oczy, przez dłuższą chwilę nie wiedząc, gdzie się znajduje. Potem rozejrzał się wokół po małym, pustym pokoju.

Wstał, ściągając z materaca szorstki brązowy koc i owinąwszy się nim, ruszył chwiejnie do okna. Padał śnieg: wirująca biała mgła zasłaniała pokój za wielkim oknem po przeciwnej stronie ulicy. Wysunął prawą rękę z fałdów koca i włączył mikrofon. Po chwili usłyszał słaby odgłos płynącej z kranu wody... to dźwięk z łazienki, pomyślał... i gwizd czajnika, a potem dalekie, ale wyraźne odgłosy kroków bosych stóp na drewnianej podłodze, po których szybko umilkł ów wysoki świst.

– Dzień dobry – powiedział głośno. – Dzień dobry, Jillian Talbot!

Idąc za jej przykładem, włączył stojącą na stole przenośną kuchenkę gazową. Metalowy rondel na palniku napełniony był wodą; nalewał ją tam co wieczór przed pójściem do łóżka. Następnie sięgnął po mały słoik rozpuszczalnej kawy i wsypał kilka jej łyżeczek do białego kubka z napisem „J♥NY”, kupionego w sklepie z pamiątkami przy Seventh Avenue. Czekając, aż zagotuje się woda, usiadł w fotelu przy oknie, zapalił marlboro i sięgnąwszy po lornetkę, bacznie przyglądał się przez śnieg budynkowi stojącemu naprzeciw.

Znowu śnieg... Jill z kubkiem bezkofeinowej kawy podeszła do okna i stała spoglądając na ulicę, wdzięczna, że tego ranka nie ma mdłości. Już dziesiąta: czas zatelefonować do Barneya Flecka z nową informacją. Poprzedniego wieczoru przy kolacji opowiedziała Nate'owi o Victorze Dimorcie, mruknął jednak sceptycznie, że przecież było to tak dawno. Gdy dodała, że wspomni o tym detektywowi, a w piątek porozmawia z doktor Philbin, ledwie wzruszył ramionami. Nie wydawał się przekonany co do ważności czegoś, co nawet sama Jill słabo pamiętała.

Otrząsnęła się z tej dość długiej zadumy i poszła do gabinetu, by zadzwonić do Barneya Flecka. Rozmawiał z drugiego aparatu, ale Verna Poole, sprawna sekretarka, pogodnie poinformowała Jill, że szef odbył już dwie rozmowy telefoniczne w jej sprawie i w każdej chwili spodziewa się odpowiedzi. Skontaktuje się z nią, kiedy tylko nadejdą. Jill podziękowała i odłożyła słuchawkę. Potem podeszła do jednej z półek na książki i wyjęła duży, oprawiony w brązową skórę tom z napisem *Wędrowki Wydarzenia Zwierzenia* i rokiem wytłoczonym złotymi literami na okładce. Wróciła do salonu, usiadła na kanapie i otworzywszy pierwszy z czterech albumów dokumentujących lata spędzone w college'u, przerzucała kolejne strony. Znalazła je... Niewinnie uśmiechnięte do fotografa. Lodowate usta, burze włosów, nagie ramiona... Ziemia, Wiatr i Ogień...

Wpatrywała się w trzy śliczne twarze.

Nagle usłyszała dzwonek telefonu. Spojrzała na zegarek – zdziwiła się, że już prawie jedenasta i pospieszyła do gabinetu.

- Halo.
- Dzień dobry, pani Talbot. Mówi Barney Fleck...
- Dzień dobry, spodziewałam się pańskiego telefonu. Proszę posłuchać, jest pewna nowa...
- Proszę zaczekać! – zawołał detektyw. – Mam dla pani nieco informacji, nie chce pani usłyszeć...
- Oczywiście, chcę, panie Fleck, ale...
- Proszę mi mówić Barney.
- Dobrze. Barney, myślę, że chyba nieco przedwcześnie...
- Och, proszę jednak posłuchać, pani Talbot.
- Jill.

Serdeczny śmiech detektywa sprawił, że słuchawka zawibrowała jej w dłoni.

- Okay, Jill. Nie mów, tylko słuchaj. Mam informacje o twoim byłym ojczymie, Brianie Marshallu. Wytropiłem faceta przez jego byłą żonę, tę, o której mówiłaś, że mieszka w New Jersey. Dostałem jej namiary i skontaktowała mnie z nim... powiedzmy... poniekąd.

Zawieszenie głosu skłoniło ją do pytania:

– Co masz na myśli, mówiąc „poniekąd”? On... on nie żyje, tak?  
 – Nie – odrzekł Barney. – Nie całkiem, choć równie dobrze mógłby, jeśli chodzi o ciebie. Jest w... w czymś w rodzaju hotelu, na przedmieściach Cleveland. Duży, szary, betonowy hotel z kratami w oknach.

– Ach tak... – Jill, zapatrzona w okno za biurkiem, analizowała tę informację.

– Tak. Okazuje się, że znowu się ożenił, jeśli możesz w to uwierzyć. Pierwsza żona podała mi numer telefonu jego nowej wybranki. To jakaś bogata dama w Cleveland. Z kilkunastoletnią córką. Mniej więcej rok temu on... no cóż, powiedzmy, że lubi młode... ale ty chyba już to wiesz.

Zamilkła, myśląc o oskarżeniu, które zamierzała wnieść, a od którego odstąpiła na prośbę matki.

– Jill?

– Tak, Barney. Słucham.

– Czarujący facet, ten Brian Marshall! Ta dziewczyna miała piętnaście lat. Pewnego wieczoru zalany dobierał się do niej w jej sypialni. Walczyła, ale ją pobił. Złamał jej nos i dwa zębra. Dziewczyna czuje się już dobrze, ale jej matka i tak wzięła rozwód, a Brian Marshall siedzi w stanowym pudle. Musiałem im wysłać faksem kopię mojej licencji, zanim mi to powiedzieli, no i jeszcze wyjaśniłem im twoją sytuację, a wtedy sekretarka naczelnika więzienia powiedziała mi wszystko, co chciałem wiedzieć. Zdaje się, że kilka tygodni temu wdał się w jakąś bójkę i teraz siedzi w izolatce aż do odwołania. Bez żadnych praw, nawet bez prawa korespondencji. Te karty nie mogły więc przyjść od niego.

– Czy mógł kogoś przekupić, by je wysłano? – zapytała Jill po chwili namysłu. – Jakiegoś strażnika albo innego więźnia?

W słuchawce rozległ się głośny śmiech Barneya Flecka.

– Skarbie, oto dowód, że nigdy nie byłaś w ciupie! Marshall jest w izolatce; ciasnej ciemnej celi, do której trzy razy dziennie wsuwa się przez drzwi posiłki. Co trzy dni polewają go wodą z węża. To wszystko. Jako

gwałciciel nieletniej ma tam ciężkie życie. Nienawidzą go i strażnicy, i pozostali więźniowie. Poza tym stemple pocztowe na obydwu kopertach pochodzą z Nowego Jorku, a nie z Ohio. To nie on jest „Walentynek”.

Jill wzięła długie, głęboki oddech, poddając się wobec tego najwyraźniej niepodważalnego faktu.

– No dobrze. Dziękuję, że dowiedziałeś się tak szybko.

– Moja przyjemność, twoje pieniądze – odrzekł detektyw. – Cóż to za nowa informacja, jaką masz dla mnie? Czy wciąż potrzebne ci moje usługi?

Milczała przez chwilę, przypominając sobie tamtą chłodną noc w Vermoncie przed szesnastoma laty: krzyki, odgłosy łamania mebli, zdumiewająco, wręcz niestosownie piękną muzykę i krew na ścianie pokoju Belindy...

– Tak – powiedziała w końcu. – Tak. Wciąż potrzebuję twoich usług.

– Poczekaj – poprosił Barney. – Wezmę coś do pisania...

Zabrał z mieszkania na piętrze kubek kawy i zszedł do pogrążonej w ciemności pracowni. Wolną ręką po omacku poszukał kontaktu na ścianie obok drzwi i rzędy długich, halogenowych świetlówek na suficie zaszumiły, zalewając przepastne wnętrze ostrym światłem. Z ciemności wyłoniło się dwanaście jaskrawych, wielobarwnych płócien i przez kilka chwil, stojąc w drzwiach, wpatrywał się w nie z długim westchnieniem.

Była jedenasta. Tego ranka spał do późna, a choć miał dziś do wykonania wiele różnych prac, jednak tę cichą, ostatnią godzinę przedpołudnia spędził, chodząc powoli wokół pracowni i przystając przed każdym obrazem na kilka długich, pełnych namysłu minut. Z wyjątkiem Jill te obrazy były teraz najważniejszą sprawą jego życia. Niebawem nastąpi otwarcie wystawy w galerii Henry'ego i cokolwiek go spotka, pochwały czy złe przyjęcie – lub, co bardziej prawdopodobne, coś pośredniego między aplauzem a ostrą krytyką – będzie to następny krok na wytyczonej sobie drodze, kolejny w wędrówce, którą planował przez lata, u kresu której znajdowały się miano i pozycja znaczącego artysty. Bogactwo lub sława, albo jedno i drugie, też byłyby bardzo przyjemne, lecz nie to stanowiło

jego główne dążenie. Uznanie – oto słowo, które określało zasadniczy cel.

Na końcu stanął przed obrazem wieńczącym serię; przed wielkim płótnem, ukończonym dopiero dwa dni temu. Zatytułował je „Życie”. I rzeczywiście było to życie... Zadumał się, patrząc na śmiałe, mocne plamy żywych kolorów, pokrywających powierzchnię płótna. Obraz wydawał się nasycony ruchem, niemal wibrował. Stojąc przed nim w zadumie, wolno pokiwał głową: właśnie to nosił w sercu – wizję szalonego, pulsującego ruchu, który każdego dnia widział na ulicach tego miasta, owej energii, będącej wszędzie, we wszystkich żyjących rzeczach. Równocześnie jednak ubolewał nad faktem, że tej wizji, jaką nosił w sobie, nie potrafił... nie mógł w pełni oddać akrylowymi farbami i pędzlem na płótnie naciągniętym na ramę.

No, cóż, powiedział sam do siebie, wpatrując się w najnowsze dzieło, doszedłem najbliżej, jak umiałem. Nie mogę prosić o więcej. Michelangelo, Monet, Picasso – oni by potrafili. Ja nie, jeszcze nie. Ale pewnego dnia...

Uśmiechnął się do tego własnego poczucia pewności siebie. Potem, chcąc uczcić owe osiągnięcie, natychmiast pomyślał o Jill. Tak, postanowił. Tak. Zjemy dziś razem kolację i... już wiem, co jej подарuję.

Z tą myślą pobiegł na górę po płaszcz i uśmiechając się wyszedł na ulicę, w dzienne światło śnieżnego przedpołudnia. Myśląc o Jill, nawet nie czuł zimna.

Walentynkową karta, pomyślała Jill. Tamte trzy dziewczyny posłały ją, by doręczyła Victorowi Dimortcie walentynkową kartę. Była zdumiona, że nie pomyślała o tym wcześniej. Dla czego nie przyszło jej to na myśl? Potem jednak, w przepływie wspomnień, zrozumiała.

Nawet teraz, starając się ze wszystkich sił, Jill nie potrafiła odtworzyć w pamięci wyraźnego obrazu twarzy Victora Dimorty. Był wysoki, przypominała sobie, blady i kościsty. I jakiś... oślizgły; tłuste włosy, błyszcząca, ospowata twarz, wilgotne dłonie. Tylko tyle, nic więcej. Pustka. Luka w pamięci. Nie mogła sobie przypomnieć jego oczu, głosu ani czegokolwiek innego. Wykreśliła całą tę sprawę z pamięci.

To przypominało jej o innej pamięciowej blokadzie; o urazie wywołanym incydentem z ojczymem. Poszła do gabinetu i sięgnęła po słuchawkę telefonu.

Spostrzegła, że było już po pierwszej, więc doktor Philbin prawdopodobnie miała spotkanie z jakimś pacjentem. Nie było rejestratorki, więc nie zdziwiła się, słysząc automatyczną sekretarkę. Poczekała zatem na dźwiękowy sygnał i zostawiła wiadomość.

Wróciwszy do salonu Jill spojrzała na rocznik leżący na niewielkim stoliku. Uśmiechnęła się na wspomnienie swego zwycięstwa nad trzema seniorkami i wiary w siebie, która zrodziła się z tego triumfu. Przejrzała album, szukając jakiegokolwiek fotografii Victora Dimorty, ale nie znalazła ani jednej. Odłożyła więc tom na półkę i zadzwoniła do Nate'a. Nie było go; zostawiła wiadomość telefonicznej sekretarce, przypominając o dzisiejszej kolacji. Będzie to druga próba ugotowania czegoś specjalnie dla niego, pomyślała Jill. Podam tego kurczaka, którego niedawno kupiłam przez pomyłkę.

Tego kurczaka starczyłoby przynajmniej dla trojga głodomorów, co podsunęło jej pewien pomysł. Znów weszła do gabinetu i zadzwoniła do swej agentki. Słuchawka została podniesiona już po drugim dzwonku.

- Agencja Mary Daley, słucham.
- Cześć, Mary, tu Jill.
- Jill! To telepatia, właśnie miałam do ciebie telefonować! Jak się miewa moja ulubiona klientka?
- Dobrze. Chyba dobrze. Posłuchaj...
- Chyba?! Co, u diabła, znaczy to „chyba”?
- Wiesz, ja...
- Nie jesteś chora, prawda?
- Nie, wszystko w porządku. Posłuchaj, wiem, że to krótki termin, ale czy nie chciałabyś zjeść kolacji ze mną i z Nate'em dziś wieczorem?

Po drugiej stronie zapadła cisza, po której rozległ się podejrzliwie brzmiący głos ze śpiewnym irlandzkim akcentem.

- Czy to któryś ze specjalistów od McDonalda czy chińska kuchnia na wynos?



Jill roześmiała się, mimo dreszczy, ubawiona rozsądkiem przyjaciółki.

– Żadna z tych rzeczy – odpowiedziała. – Mam kurczaka.

– Słucham?! – wykrzyknęła Mary i teraz śmiały się obie.

– Nie wiedziałaś, że umiem gotować, prawda? Zapytaj Nate'a. Parę dni temu zrobiłam dla niego kolację, która okazała się tak udana, że postanowiłam powtórzyć ów sukces. No więc jak, masz czas?

– Mam, ale czy jestem uczestniczką tej gry? Och, dobrze, na pewno, dlaczego nie? Zobaczą na własne oczy, jak moja najlepsza autorka zmienia się w kurę domową. Możemy upiec dwie pieczenie... czy też raczej dwa kurczaki... na jednym ogniu. Właśnie miałam do ciebie dzwonić, ponieważ dostałam maszynopis artykułu dla miesięcznika *New York*. Do pracują go przez dwa tygodnie i jeśli wszystko pójdzie dobrze, będziesz na okładce. Jak ci się to podoba, „dziewczyno z okładki”?

Jill zamruwała oczami. Musiała pomyśleć przez chwilę, nim zrozumiała, o co chodzi. Wywiad i sesja fotograficzna w jej mieszkaniu odbyły się zaledwie trzy tygodnie temu, tuż po Nowym Roku, a jej wydawało się teraz, iż było to bardzo dawno temu. Uśmiechała się do obiektywu i udzielała lekkich, dowcipnych odpowiedzi na pytania przygotowane przez dziennikarza. Dziś z trudem przypominała sobie, o czym wtedy rozmawiali.

– Och, naprawdę! – zawołała. – To wspaniale! Przynieś go ze sobą. Wpadnij zaraz po pracy. Napijemy się „Krwawej Mary” i poczekamy na Nate'a. Chciałabym... chciałabym z tobą o czymś porozmawiać.

– Stało się coś złego, prawda?

Jill zastanawiała się nad odpowiedzią, gdy z korytarza dobiegł ją dźwięk dzwonka domofonu.

– Muszę iść – rzuciła do słuchawki. – Po prostu wpadnij. Wtedy ci o tym opowiem.

– No dobrze... – odpowiedziała Mary, a jej głos wskazywał, że wcale tak nie uważa.

Jill szybko odłożyła słuchawkę, zanim przyjaciółka zdołała dodać coś więcej i pospieszyła do słuchawki domofonu umieszczonej tuż przy drzwiach do mieszkania.

– Kto tam?

Głos młodego człowieka miał wyraźny, hiszpański akcent.

– Przesyłka dla pani Jillian Talbot.

Poczuła nagły przypływ strachu i dopiero po chwili zdołała wziąć głęboki oddech i odpowiedzieć.

– Od kogo?

Przerwie w odpowiedzi posłańca towarzyszył szelest papieru.

– Od jakiegoś Nate'a. W zleceniu napisano: „Dla Pani Jillian Talbot od Nate'a”.

Co za ulga. Odetchnąwszy głęboko, czuła, że jej puls wraca do normy, ale nawet teraz dał o sobie znać odruch samoobrony: nie wpuszczaj niezajomych do budynku. Zejdź do nich.

– Dobrze. Już idę.

Dwie minuty później Jill spoglądała przez szklane drzwi klatki schodowej na wysokiego, smukłego, urodziwego, mniej więcej siedemnastoletniego Latynosa. Pod rozpiętym, ośnieżonym płaszczem dostrzegła zielony podkoszulek z wyblakłym napisem „Kwiaty” z lewej strony. W rękach trzymał duże, długie, białe pudło. Miał zamknięte oczy i lekko kołysał się w rytm muzyki płynącej ze słuchawek walkmana przypiętego do paska. Uśmiechnęła się na jego widok: całkiem zwyczajny chłopak, załatwiający całkiem zwyczajną sprawę. Otworzyła drzwi.

– Cześć! – powiedział, zsuwając słuchawki z uszu. Stłumiony, metalicznie brzmiący głos Glorii Estefan wypełnił korytarz. Wręczywszy Jill pudło, muzyczny młodzieniec wyciągnął mały kwitariusz i długopis. – Proszę podpisać.

Jill podpisała, podziękowała i zamknęła drzwi. Wróciwszy do mieszkania, postawiła pudło na stoliku i pochyliła się nad nim, aby rozwiązać zieloną wstążkę. Po podniesieniu wieka ujrzała tuzin owiniętych w zieloną bibułę długich, czerwonych róż zwanych Amerykańskimi Pięknościami oraz ukrytą w łożyskach maleńką kopertę. Och, Nate... pomyślała, wpatrując się w kwiaty. Odłożyła kopertę na stolik i sięgnęła po róże, by wziąć je w ramiona. Jakie piękne, pomyślała, jakie piękne!

Jillian pochylała głowę, by wtulić nos w aksamitne płatki, a wtedy coś dużego i dość ciężkiego otarło się o jej piersi, potem zaś z cichym pacnięciem upadło u jej stóp. Odchyliła kwiaty i spojrzała w dół.

Minęła dłuższa chwila, zanim do jej świadomości dotarło to, co miała przed oczami. Zamachała rękami i odskoczyła w tył, przewracając się na kanapę i tłumiąc krzyk. Upuszczone krwistoczerwone róże bezgłośnie opadały powoli na dywan.

Doktor Philbin pożegnała ostatniego tego dnia pacjenta, zamknęła za nim drzwi wiodące do gabinetu w suterenie i poszła na górę, do swojej kuchni, na długo oczekiwaną filiżankę kawy. Czekaając, aż zagotuje się woda, dwukrotnie spojrzała na zegarek. Miała dużo czasu, by odpocząć przed kolacją z córką i wnukiem.

Z kubkiem w ręku powędrowała z powrotem do gabinetu, by sprawdzić, czy automatyczna sekretarka zarejestrowała jakieś wiadomości. Czekały na nią trzy informacje. Pierwsza pochodziła od córki, potwierdzającej godzinę wspólnej kolacji, druga była od pani Schwartz, którą w związku z przyjazdem krewnych odwoływała jutrzejszą wizytę. Potem automat przekazał trzecią. Lekarka usiadła w obitym skórą fotelu i popijając małymi łykami mocną, gorącą kawę, słuchała z uwagą.

– Mówi Jillian Talbot. Myślałam o tym, co mi pani powiedziała... Wie pani, o Victorze Dimorcie. Może istotnie coś w tym jest, ale... cóż, mam pewien problem. Chyba powinnyśmy zrobić to, co zrobiłyśmy w związku z moim ojczymem, gdy naprawdę nie mogłam sobie przypomnieć wszystkiego, co się stało. Może powinna pani poddać mnie hipnozie...

Szyld nad wejściem do nędznego sklepiku przy Fourteenth Street ozdobiony był niewprawnie malowanymi stokrotkami i biegnącym przez środek napisem „Kwiaty”, ułożonym z przeplatających się zielonych liter. Kwaciarnia mieściła się w okolicy pełnej sklepów z przecenionym sprzętem elektronicznym i tanią odzieżą. Kilka dość kiepskich bukietów mając było nieśmiało za brudną szybą wystawową. Barney Fleck otworzył

drzwi przed Jill i oboje weszli do środka. Radosny dźwięk dzwoneczka przy owych drzwiach obwieścił ich przybycie właścicielowi.

Temperatura panująca tutaj była niewiele wyższa od zimna panującego na zewnątrz i minęło kilka chwil, zanim ich oczy przyzwyczyły się do mroku. Stali sami w obskurnym, źle oświetlonym pokoiku pełnym wędnących kwiatów. Nieco lepiej oświetlone były te, które znajdowały się za szkłem szafy chłodniczej ustawionej przy jednej ze ścian. Na wprost drzwi, obok kilku owiniętych w celofan koszy, piętrzył się stos białych pudeł podobnych do tego, jakie otrzymała Jill. Zza sterty kwiatów na stole do pracy, tuż obok zasłoniętego wejścia na zaplecze, wyglądała staroświecka kasa. Po chwili zasłona się rozsunęła i stanęła przed nimi niska, pulchna i najwyraźniej zmarznięta kobieta o latynoskim wyglądem, ubrana w ciemnozielony fartuch. Czarne włosy miała związane na czubku głowy, w uszach lśniły jej złote kolczyki. Przystanęła na chwilę, obrzucając pytającym wzrokiem ładną młodą kobietę i wysokiego mężczyznę w średnim wieku, którzy stali pośrodku kwaciarni. Potem przywołała usmiechem na nadmiernie umalowaną twarz i podeszła do klientów.

– Dzień dobry – powiedziała. – Czy mogę państwu w czymś pomóc?

Jill skrzywiła się, czując zapach ginu. Potem, zgodnie z wcześniejszą umową, pozwoliła mówić Barneyowi. Obróciwszy się w stronę detektywa spostrzegła, iż jego prawa dłoń znika w kieszeni płaszcza.

– Mam nadzieję, że tak – odpowiedział, uśmiechając się przyjemnie i ruszył do przodu, by stanąć między dwiema kobietami. – Ta pani nazywa się Jillian Talbot. Mniej więcej dwie godziny temu otrzymała kwiaty z tego sklepu.

– Ach, *si...* Tak. Talbot. To prawda. Tuzin czerwonych róż. Moich najładniejszych, nie? – Zrobiła przerwę, a jej uśmiech zgasł, gdy zobaczyła grymas na twarzach tych dwojga. – Czy... czy coś się stało? Dostała pani kwiaty, nie? Mój Nino je dostarczał, *si?* Ja...

– Tak, tak – Barney uniosł lewą rękę, by przerwać potok słów. – Kwiaty zostały doręczone. Chcemy się tylko dowiedzieć, kto je zamówił i jak – wyjaśnił łagodnie, by uspokoić właścicielkę kwiaciarni.

Mimo to kobieta była wyraźnie zaskoczona. Marszcząc brwi, spoglądała na Jill, to znów na Barneya. Potem, najwyraźniej nie znalazłszy żadnego pretekstu, by wymigać się odpowiedzią na pytanie, odwróciła się w stronę stołu i sięgnęła po grubą, pogniecioną księgę zamówień. Przerzuciła kilka stron, znajdując tę, której szukała.

– O, jest – podsunęła księgę Barneyowi, który wyjął rękę z kieszeni i wziął kartkę w dłoń.

Jill stała obok czytając mu przez ramię. Żółta kopia formularza podanego wcześniej owemu klientowi zawierała datę i zamówienie. Wpisu „1 TUZ. CZERW. RÓŻ” dokonano drukowanymi literami. Niżej, tą samą ręką, wpisano jej nazwisko, adres i tekst, który miał się znaleźć na kopercie: DLA PANI JILLIAN TALBOT OD NATE'A. Dalej widniała cena i polecenie: DOSTARCZYĆ PILNIE, a na samym dole: ZAPŁACONO.

Barney oddał księgę kobiecie.

– Czy to było zamówienie telefoniczne, czy ten klient rzeczywiście był tu, w kwiaciarni?

Kwaciarka zamrugła oczami.

– Był tutaj. Zapłacił za róże gotówką. Dlaczego pan...

– A zatem to mężczyzna – powiedział Barney raczej do Jill niż do właścicielki sklepu, po czym jeszcze raz się uśmiechnął i zapytał: – Czy mogłaby pani opisać nam tego mężczyznę?

– Opisać? – Kobieta przyglądała im się teraz uważnie, a w jej głosie zabrzmiał ton oburzenia. – O co właściwie chodzi? Co to znaczy „opisać”. Powiedział: „Od Nate'a” Nate! – Po raz pierwszy zwróciła się ku Jill i następane pytanie skierowała wprost do niej: – Nie wie pani, jak wygląda Nate!?

Jill spostrzegła, że prawa ręka detektywa wędruje z powrotem do kieszeni. Szybko wyjęła portfel z torebki i przetrząsnąwszy plastikowy albumik z fotografiami wyjęła ostatnie zdjęcie i uniosła je do góry.

Kwaciarka spojrzała na nie, a potem pochyliła się i zmrużywszy oczy, badała uważnie pokazaną jej podobiznę.

– Kto to jest?

– To Nate – odrzekła Jill.

– Nie – zaprzeczyła kwaciarka, potrząsając głową tak energicznie, że złote kolczyki raz po raz uderzały o jej twarz. – To nie ten mężczyzna, który tu był.

– Nie jestem zaskoczona – mruknęła Jill, chowając portfel do torebki.

Barney, wciąż z ręką schowaną w kieszeni, pochylił się ku właścicielce kwaciarni.

– Proszę nam opowiedzieć o mężczyźnie, który kupił te róże.

– *Ay!* – zawołała kobieta, teraz bardziej przestraszona niż oburzona. – Ja prowadzę przyjemny sklep, najpiękniejsze kwiaty w Village! Więc niech pan mi opowie, o co tu chodzi! – Z niepokojem rozglądała się wokół, jakby szukając pomocy, ale w sklepie było ich tylko troje, bo jej syn, Nino, wyszedł, by zrealizować inne zlecenia.

– O to! – Barney szybkim gestem wyjął rękę z kieszeni płaszcza. Trzymał w niej przezroczystą foliową torebkę, którą uniósł błyskawicznym ruchem na wysokość twarzy kwaciarki.

Kobieta wydała z siebie przeraźliwy okrzyk i gwałtownie cofnęła się na kontuar, przewracając wazon z liliami. Woda rozlała się na podłogę; skulona kwaciarka przywarła do stołu, kurczowo ściskając jego brzegi, by nie upaść.

– *Madre de Dios!*

Przez foliową torebkę widać było pysk i pazury ogromnego, martwego szczura. Miał zamglone, wybałuszone oczy i pysk otwarty w niemym krzyku. Szara sierść splamiona była krwią, długi, srebrzysty ogon owinął się niemal dwukrotnie wokół obwodu torebki. Tylko w ten sposób Barney mógł zmieścić w niej szczura, kiedy podniósł go z podłogi salonu Jill.

Kwaciarka była teraz śmiertelnie poważna. Przekonana, iż oto znalazła się sam na sam z parą szaleńców, oparła się o stół i wybuchnęła płaczem.

– Przestań! – zawołała Jill do detektywa, odsuwając od przerażonej kobiety zarówno jego, jak i ów okropny pakunek. – Przecież ona nie jest w to zamieszana.

– Musiałem się upewnić – odparł, wycofując się na drugi koniec kwaciarni i ponownie chowając budzącą obrzydzenie torebkę do kieszeni.

Jill podeszła do płaczącej kwaciarki, objęła ją delikatnie i posadziła na składanym metalowym krześle stojącym obok stołu. Sama kucnęła przed kobietą i wzięła jej dłonie w swoje ręce.

– Proszę posłuchać – powiedziała najłagodniej, jak tylko mogła. – Przykro mi, że panią przestraszyliśmy. To... Ta rzecz była w kwiatkach przyniesionych przez pani syna. Wypadła, gdy otworzyłam pudełko. – Kobieta otworzyła usta, by zaprotestować, ale Jill mówiła dalej: – Proszę się nie martwić, nie sądzę, aby państwo mieli z tym cokolwiek wspólnego. Nie uważam pani za odpowiedzialną, ale widzi pani, pani... – tu Jill spojrzała na tabliczkę z nazwiskiem przypiętą do fartucha kwaciarki – ...pani Sanchez, ktoś pozwala sobie na jakieś okropne żarty wobec mnie. Jakiś mężczyzna. Jest pani kobietą, pani Sanchez, i wie pani, jak szaleni potrafią być mężczyźni. Ten człowiek nęka mnie, bo... bo mnie pragnie, rozumie pani? To wariat – mówiąc to Jill, stuknęła się w czoło – *Loco en... loco en cabeza*. Jestem przerażona. – Po tych słowach wskazała na detektywa. – Ten człowiek jest prywatnym detektywem. Proszę, proszę nam pomóc.

Pani Sanchez przez chwilę przyglądała się jej, a potem spojrzała na Barneya. Potem ze zdumiewającą godnością wstała z krzesła i pochyliła się, by pomóc Jill wstać.

– Był wysoki – zaczęła mówić do detektywa. – Niemal tak wysoki jak pan, ale nie potężny. Kościsty. Długie, jasne włosy opadające na ramiona. Długie i brudne. Brzydsko pachniał. Ohydne džinsy; brudna kracista koszula; szary, dziurawy i wyplamiony płaszcz. Miał... – Uniosła dłoń ku podbródkowi szukając właściwego słowa.

– Brodę – podpowiedziała Jill.

– Si... tak, brodę. Chyba się nie golił od trzech lub czterech dni. Miał niebieskie oczy, bardzo jasne i... dziwne. Jakby był na prochach. Przestraszyłam się, gdy tu wszedł. Myślę sobie: to chyba jakiś włóczęga albo złodziej, tak? Może mnie okraść. Ale on prosi o tuzin czerwonych róż i wyciąga banknot studolarowy. No więc przyjmuję to zamówienie. Wtedy on wyciąga z kieszeni karteczkę z nazwiskiem i adresem – odwróciła się ku Jill – z pani nazwiskiem i adresem. Potem prosi o składaną kartę, więc podaję mu ją, a on bierze mój długopis, coś na niej pisze i wkłada do koperty. Nie wiem, co tam napisał. Następnie poprosił mnie, żebym ja napisała na kopercie: „Dla pani Jillian Talbot od Nate'a”, więc to zrobiłam. Wydałam mu resztę i wyszedł. To wszystko.

– Co było potem? – zapytał Barney.

– Zrealizowałam zamówienie i przygotowałam pudełko z kwiatami.

– I postawiła je pani... gdzie?

Wskazała na półkę przy drzwiach.

– Tam.

– Jak długo stało w tym miejscu, zanim Nino je doręczył?

– Nie wiem, może godzinę.

– Czy przez tę godzinę wychodziła pani z tego pomieszczenia?

– Nie... tak! Tak, poszłam na zaplecze, by zrobić... by zrobić sobie filiżankę herbaty,

Z kropelkami, pomyślała Jill.

– Ile razy? – dopytywał się Barney.

– *Como...?*

– Ile razy w ciągu tej godziny wychodziła pani na zaplecze, by zrobić sobie filiżankę herbaty?

– Raz. Nie, dwa. Dwa razy.

– A czy w tym czasie ktoś wchodził do sklepu?

Pani Sanchez przez chwilę wpatrywała się w detektywa, a potem pozwoli opadła na krzesło.

– *Dios mio!* – Całkiem o tym zapomniałam!

Jill jeszcze raz przyklekła przed kwaciarką.



– O czym pani zapomniała? – spytała łagodnym szeptem.

Kobieta uniosła wzrok i ponad ramieniem Jill spojrzała ku drzwiom.

– O dzwonku. Gdy po raz drugi poszłam na zaplecze, usłyszałam dzwonek. Ale gdy wyjrzałam przez zasłonę, nikogo nie było. Może ktoś chciał wejść, a potem się rozmyślił.

– Interesuje mnie – po chwili ciszy znów odezwał się Barney – czy Nino wyszedł z innymi pudełkami do doręczenia, zanim ten mężczyzna wszedł do sklepu?

Kwaciarka spojrzała na niego szeroko otwierając oczy ze zdumienia. Potem, oniemiała, skinęła głową. Detektyw dokładnie analizował tę sprawę.

– Dała mu pani dużo czasu...

Po chwili obie kobiety przyglądały się, jak Barney wyszedł na ulicę, a potem odwrócił się i powoli pchnął drzwi, otwierając je tylko częściowo. Dzwonek wcale się nie odezwał. Detektyw ostrożnie wsunął przez drzwi rękę i wziął z półki najbliższe pudełko czekające na doręczenie. Uchylił je na tyle, na ile pozwalała na to zielona wstążka i wsunął dłoń do środka. Potem zamknął opakowanie, odłożył je na półkę i wycofał ręce. Dzwonek zadzwonił tylko raz, gdy drzwi zamknęły się cicho. Barney stał teraz na chodniku, zaglądając przez szybę do środka, a potem złożył im lekki ukłon.

Kwaciarka na chwilę skryła twarz w dłoniach. Później uniosła głowę i spojrzała na Jill.

– Chyba zrobię sobie filiżankę herbaty – powiedziała. – Filiżankę prawdziwej herbaty.

Jill uśmiechnęła się, wymruczała jakieś podziękowania i pospiesznie wyszła z kwaciarni.

Stał po drugiej stronie Fourteenth Street, obserwując jak Jillian Talbot wychodzi z kwaciarni, by przyłączyć się do detektywa Barneya Flecka. Zastanawiał się, o czym rozmawiali w środku, ale nie ośmielił się podejść bliżej niż na tę odległość. Ten detektyw nie był głupcem. Przejmujący wiatr omiół szeroką ulicę i wdarł się pod jego skórzany płaszcz. Obserwował, jak tych dwoje przyspiesza kroku; jak prywatny detektyw mówił coś gestykulując, a kobieta słuchała, starając się za nim nadążyć.

Utrzymując konieczną odległość poszedł za nimi.

– Obserwował – powiedział Barney.

– Co?

– Obserwował z zewnątrz kwiaciarnię. Znał każdy ruch właścicielki, jej częste wyprawy za zasłonę. Wiedział, że blisko drzwi stoją przygotowane pudełka, zanim zabierze je Nino. Wiedział wszystko.

– O czym ty mówisz? – Jill przystanęła, bez tchu łapiąc go za ramię, by się zatrzymał.

Znajdowali się na skrzyżowaniu Eighth Avenue i Fourteenth Street, jedyny nieruchome postacie w spieszącym we wszystkich kierunkach tłumie.

Barney chwycił ją za ramiona.

– O twoim przyjacielu, nadawcy walentynek. Bardzo starannie wybrał tę kwiaciarnię.

Jill wyciągnęła z torebki niewielką kopertę i ponownie przeczytała kartę. Drukowane litery napisane były drżącą ręką niebieskim długopisem pani Sanchez.

JESTEM CORAZ BLIŻEJ  
POZDROWIENIA  
„WALENTYNKA”

– No dobrze – przyznała. – Ale pani Sanchez mówiła, że on miał jasne włosy, brodę i niebieskie oczy. Nie przypominam sobie Victora Dimorty zbyt wyraźnie, ale z całą pewnością pamiętam czarne włosy i czarne oczy.

Barney wzniosł oczy do nieba.

– Mój Boże, Jill, daj mi pięćdziesiąt dolców, a za godzinę będę mógł uchodzić za Afro-Amerykanina. Ty też, jeśli o to chodzi. Poza tym, nie wiemy, czy to jest Dimorta.

Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu, a potem podeszła bliżej i szepnęła:

– Masz rację. Jednak tak czy inaczej chcę, żebyś go sprawdził.

– Oczywiście. Tylko bądź ostrożna.

– Będę – obiecała. – Teraz muszę już iść, żeby przygotować kolację. Mam dziś gości.

– W porządku, ale odwiozę cię do domu. Bez dyskusji.

Barney wszedł na jezdnię i złapał taksówkę. Tuż przed wejściem do samochodu Jill znów odwróciła się do niego.

– Dlaczego szczur? – zapytała.

– Nie wiem – skrzywił się detektyw. – Chyba, że to jakiś symbol, rodzaj wiadomości. Może ten twój walentynkowy wielbiciel sądzi, że jesteś szcurem – rzekł, otwierając przed nią drzwi taksówki.

Obserwował, jak odjeżdżają. Potem wyjął z kieszeni zgnieciony kawałek papieru; ten, na którym zapisał nazwę baru w Chelsea, kilka przecznic stąd, i nazwisko człowieka, o którego miał tam zapytać. Sprawdził, ile ma przy sobie pieniędzy. Wystarczy...

Kilkakrotnie w ciągu tych dwóch tygodni, gdy Jillian Talbot leżała bezpiecznie we własnym łóżku, opuszczał swój mały pokój przy Barrow Street i włóczył się po Village i Chelsea, wstępując do każdego baru, jaki znalazł. Szczęście dopisało mu w czasie czwartej eskapady.

Pił właśnie drugiego budweisera w mrocznej norze nieopodal rzeźni przy West Street i właśnie miał zamiar poszukać kolejnej podobnej knajpy, gdy rozpoczęła się ta bójka. Dwóch potężnych, odzianych w skórzane kurtki facetów – jeden biały, a drugi Latynos – pokłóciło się nagle. Kłótnia – zdaje się, że o jakąś Rosę – przybierała na sile i wkrótce wszyscy chuligani, robotnicy portowi i pomniejsi przestępcy zgromadzili się wokół, by obserwować dalszy ciąg.

Pierwszy cios wymierzył Latynos, odrzucając nim białego na grającą szafę, ale przeciwnik wrócił i zaserwował tamtemu haka, po którym facet runął jak długi. Inni bywalcy knajpy krzyczeli i klaskali, a barman przeźornie wyciągnął swój kij baseballowy. Latynos podniósł się z posypanej trocinami podłogi. Z nosa leciała mu krew; w następnej chwili wszyscy usłyszeli świst sprężynowego noża.

Nagłą ciszę, która zapanowała w pomieszczeniu, przerwał inny dźwięk. Biały olbrzym trzymał w ręku wielki półautomat wycelowany w serce Latynosa. Obecna przerwa w bójce wydawała się znacznie dłuższa, niż była: czysty dramat. Po chwili Latynos z szerokim uśmiechem złożył

nóż i schowawszy go do kieszeni, wymamrotał jakieś przeprosiny pod adresem białego, włączając w to również ową Rosę, i wyszedł z baru.

Z uśmiechem wynurzył się z cienia. Broń zniknęła już w skórzanej kurtce białego mężczyzny, zanim zdążył podejść do niego do baru. Grająca szafa wróciła do swego rockowego repertuaru, ponownie zabrzmiały rozmowy, wznowiono grę w strzałki, a baseballowy kij zniknął tak, jak się pojawił. Stał bokiem tuż obok zwycięzcy, klepnął go w plecy i zamówił dwa piwa.

W ciągu następnej godziny kupił jeszcze dwa budweisery dla siebie i siedem heinekenów dla swego nowego przyjaciela, Hatcha, zabijaki z własnym gangiem zwanym „Śmierć”. Obydwaj, zarówno Hatch, jak i tamten Latynos – także jeden z członków „Śmierci” – sypiali z Rosą, kelnerką z pobliskiego baru. Hatch nie miał nic przeciwko temu, ale sprzeciwił się, gdy Pedro nazywał ją dziwką. Gdy dwa budweisery i siedem heinekenów zostały uzupełnione czterema szklaneczkami tequili, Hatch dostarczył mu najważniejszej informacji.

Teraz skierował się więc z Fourteenth Street w stronę Chelsea. Miał zapytać o barmana Micka, który dla stałych gości zwał się Flash.

Nadszedł czas, by kupić broń.

## 7. Środa, 4 lutego (wieczorem)

Kurczak był w piekarniku, a brązowy ryż właśnie został wsypany do gotującej się wody. Sałata w dużej salaterce czekała na sos. Dwie kobiety przysiadły po przeciwnych stronach kuchennego blatu w wesołej, żółto-białej kuchni, sącząc „Krwawą Mary”. W istocie rzeczy tym trunkiem raczyła się tylko Mary, bo Jill piła sok pomidorowy.

Przyszedłszy tutaj, Mary wręczyła swej klientce maszynopis wywiadu dla magazynu *New York*, ale zauważyła, że Jill z roztargnieniem odłożyła go na niewielki stolik w salonie nawet nie otwierając koperty. Potem zaś zaczęła opowiadać przyjaciółce o wydarzeniach ostatnich dni, bacznie przy tym obserwując twarz Mary. Agentka Jill była wysoką kobietą o falujących włosach do ramion i szerokiej, sympatycznej, przyjaznej twarzy. Najmocniej przykuwały jednak uwagę jej oczy: głębokie, ciemnozielone, błyszczące wrodzoną inteligencją i humorem. To właśnie oczy Mary na każdym, kto na nią patrzył, sprawiały wrażenie, że w każdej chwili wybuchnie zaraźliwym śmiechem. W tym momencie jednak nie śmiała się wcale. Przeciwnie: po jej zwykle wesołym nastroju nie było ani śladu. Rumieńce zniknęły z jej twarzy, zbladła i lekko marszczyła brwi, od czasu do czasu z niedowierzaniem potrząsając głową.

Gdy Mary dowiedziała się już o walentynkowych kartach, różach, wizytach u doktor Philbin i prywatnym detektywie, Jill przerwała na chwilę swój monolog, a następnie oznajmiła to, co – jak sądziła – będzie dla Mary najbardziej druzgoczącą wiadomością.

– ...Tak więc, rozważywszy to wszystko, postanowiłam, iż przerwę pisanie książki.

Wydawało się, że Mary, daleka od zdruzgotania, odetchnęła z ulgą.

– Oczywiście, kochanie. Właśnie miałam ci to sama zasugerować. Nie możesz jej kontynuować, w każdym razie nie teraz. Byłoby to zbyt... nie wiem jak to powiedzieć... zbyt upiorne.

– Tak... – przytaknęła Jillian. Patrzyła na przyjaciółkę i kiwając głową, myślała, jak surrealistyczna wydaje się nawet rozmowa o takich sprawach. Żyła z tym od kilku dni, a jednak niesamowitość, chłód i potworna realność owych zdarzeń uderzała ją wciąż na nowo, jakby po raz pierwszy.

– Może powinnaś zrobić sobie przerwę – zasugerowała Mary. – Po prostu nie pisz przez jakiś czas. Z pewnością postąpisz słusznie i nie chodzi o to, by po prostu przełożyć termin. Mogę powiedzieć Billowi...

– Nie! – przerwała jej Jill. – Proszę. Nie... nie chcę, by wszyscy wiedzieli o tej... o tej sytuacji. – Wzdrygnęła się na myśl o rozmowie między jej agentką a wydawcą. – Poza tym, ja chcę nadal pracować. Przynajmniej to będę miała. Tego mi nie zabierze, kimkolwiek jest! Mam następne pomysły na książki i zrealizuję jeden z nich. Proszę, nie mów nic Billowi.

Wiedziała, że głos jej drży i że dla Mary ta wypowiedź musi brzmieć wręcz desperacko. Z największym wysiłkiem przywołała na twarz uśmiech.

– A zatem zjemy moją domową kolację i nie pozwolimy, by ten absurd nam ją zepsuł.

Mary przyglądała jej się przez chwilę.

– W porządku – odpowiedziała, także się uśmiechając – ale... to ostatnia rzecz, jaką powiem na ten temat... może chciałabyś gdzieś wyjechać? Wiesz... niewielkie wakacje. Przynajmniej na jakiś czas.

Jill wzruszyła ramionami.

– Gdzie miałabym jechać w połowie lutego?

– Cóż, mam pewien pomysł...

Słuchała Mary przedstawiającej jej ową propozycję, zastanawiając się, dlaczego sama o tym nie pomyślała. Nim przyłączył się do nich Nate, pogрузyli się w rozmowie, a kiedy rozległ się dzwonek, Jill położyła palec na ustach, nakazując przyjaciółce, by nikomu nie wspominała, o czym mówiły, nawet Nate'owi. Idąc do drzwi, by wpuścić go do środka, odłożyła ten pomysł na przyszłość; na wypadek gdyby ucieczka okazała się konieczna.

Gdy otworzyła drzwi, Nate trzymał jedną rękę za plecami, uśmiechając się do niej tym szerokim uśmiechem, który tak bardzo lubiła. Pochylił się,

by czule pocałować Jill w usta. Potem wyciągnął rękę zza pleców i wysunął przed siebie.

Wpatrywała się szeroko otwartymi oczami, tłumiąc mimowolny krzyk, który zabrzmiał echem w jej sercu. Potem wzięła głęboki oddech i z uśmiechem, który zdołała przywołać, wyciągnęła drżącą dłoń, by przyjąć prezent.

Tuzin krwistoczerwonych róż, zwanych Amerykańskimi Pięknościami.

Przyglądał się, jak Tara weszła do zatłoczonej małej restauracji przy Bleecker Street. Przez chwilę rozglądała się wokół, zanim go dostrzegła. Wstał od stolika w rogu i pomachał ku niej ręką, a potem patrzył jak wysoka piękna blondynka w białym wełnianym płaszczu, z szerokim uśmiechem na twarzy, żegluje przez salę w tę stronę. Szybko poprawił brązowy golf i nowiutką tweedową marynarkę od Harrisa.

– Dobry wieczór – powiedział, obchodząc stół dookoła, by podsunąć jej krzesło.

Wciąż się uśmiechając, jednym ruchem ramion zrzuciła z siebie płaszcz, który opadł na krzesło. Wszystko, co mógł teraz zrobić, to wstrzymać oddech. Miała na sobie granatową, sięgającą do kolan, obcisłą suknię naszywaną cekinami, z długimi rękawami i dekoltem, który można by określić jedynie mianem „zbijającego z nóg”. Tara powoli osunęła się na krzesło, a on szybko opadł na swoje.

– Ślicznie wyglądasz – powiedział.

Łagodny uśmiech przeszedł w głośny wybuch śmiechu.

– W tym starym ciuchu? – rzekła unosząc rękę ku nagiej szyi. Nie wielka biała metka z ceną przymocowaną do brzegu rękawa sukni mignęła mu przed oczami. – Och! – Z kolejnym uśmiechem i mrugnięciem oka uchwyciła ją drugą ręką i ukryła w mankiecie.

Roześmiał się; wiedział, że to nie była pomyłka, ale rozmyślne, perfekcyjne przełamanie lodów.

– Muszę ci coś wyznać – rzekł pochylając się do przodu.

Miękki blask świecy na środku stołu zatańczył w głębokich, niebieskich oczach kobiety, gdy i ona nachyliła się ku niemu.

– Naprawdę?

– Właścicielem tej marynarki – rzekł, spoglądając na zegarek – jestem od mniej więcej dwóch godzin. Nate pomógł mi ją wybrać. Nalegał też, żebym sobie kupił elegancką wodę. Nigdy w życiu nie kupiłem wody toaletowej, która kosztowałaby więcej niż dwa dolce za galon.

Tara przysunęła się jeszcze bliżej i powąchała.

– Ach, tak. Cóż, ta prawdopodobnie kosztuje więcej niż marynarka. Aprobuję!

Znów się uśmiechnął i rozluźniony oparł się wygodnie, dziwiąc się, dlaczego początkowo był tak zdenerwowany.

– Lubisz szampana? – zapytał, gdy zjawił się przed nimi kelner.

– Mój drogi, mogłabym się w nim kąpać.

Skinął głową i zamówił butelkę; zauważył, że uniosła brwi, gdy wymówił „Moet”, akcentując to twarde „t”, co większość Amerykanów uważa za niewłaściwe.

– A zatem wy, kobiety urodzone w Nowym Jorku – odezwał się, gdy kelner odszedł – wszystkie lubicie drogie wody po goleniu?

Tara znów się roześmiała.

– Tego nie wiem. Nie urodziłam się w Nowym Jorku. Pochodzę z małego miasteczka, o którym nigdy nie słyszałeś, a które leży w stanie Iowa. Mam to, co jest pozornie jedyną na świecie dobrze funkcjonującą, modelową rodziną. Mój ojciec jest właścicielem hali targowej, a mama emerytowaną pielęgniarką. Mam dwadzieścia siedem lat i jednego brata, Gilberta, dwudziestoczerolatka, który studiuje prawo. Ja uczyłam się aktorstwa na północnym zachodzie, a do Nowego Jorku sprowadziłam się przed pięcioma laty. Teraz występuję w popularnych przedpołudniowych „operach mydlanych”, których nie widzisz i nie chcę, żebyś je oglądał. Lubię lody czekoladowe, miękkie pantofle i długie spacery po plaży. Nie lubię grzybów, popularnych przedpołudniowych „oper mydlanych” i nieszczerości. Ostatnią książką, jaką przeczytałam była...



– Ojej! – zawołał rozbawiony. – To brzmi jak metryczka dziewczyny z rozkładówki *Playboya*.

Tara roześmiała się perliście.

– Robieś kiedyś dla nich zdjęcia?

– Nie – odrzekł, aprobując jej prostolinijność. – Fotograficy nie zaczynają od robienia rozkładówek dla *Playboya*. Oni tam dochodzą... jeśli mają szczęście.

Aktorka skinęła głową.

– Tak... Występowałam w musicalach granych latem w objęździe, ale marzę, by zagrać główną rolę w jakimś nowym przedstawieniu na Broadwayu; w takim, które Stephen Sondheim napisze tylko dla mnie. A o czym ty marzysz?

– O kolacji z piękną aktorką.

Uśmiechnęła się i rzuciła okiem ku drzwiom.

– Och, a to dopiero? – wykrzyknęła. – Właśnie wszedł Stephen Sondheim... i zmierza w tę stronę! Spójrz tylko na te arkusze nut, które trzyma pod pachą!

Wciąż się zaśmiewali, gdy zjawił się kelner z butelką szampana w kubku z lodem. Gdy napełnił im kieliszki, Tara znów pochyliła się do przodu.

– A zatem, Douglasie Baronie, fotografiku, teraz ty opowiedz mi o sobie.

Niemal przez cały czas wychwalając zdumiewające talenty kulinarne Jill, siedzieli we troje w salonie z resztkami deseru i dzbankiem kawy. Nate i Mary sęczyli brandy.

– Nie pójdziesz w nasze ślady? – zapytała agentka, wskazując na butelkę.

Nim Jillian zdążyła odpowiedzieć, odezwał się Nate:

– Jill jest abstynentką. Od kilku tygodni... co oczywiście nie znaczy, że przedtem piła zbyt wiele...

Wiedziała, iż nic nie podejrzewał, ale w jednej chwili uświadomiła sobie, nawet nie patrząc w stronę przyjaciółki, że Mary ze zdziwienia

uniosła brwi. Wszystkie kobiety na świecie z miejsca wskazałyby trzy powody, dla których kobieta nagle przestaje pić. Mary wiedziała, że Jill nie jest alkoholiczką, a także nie próbuje się odchudzać, co oznaczało, że pozostaje tylko jedno wyjaśnienie.

Nie, postanowiła Jill. Nie powiem im. Jeszcze nie teraz.

Zmieniła temat rozmowy.

– Jak się miewa Phil?

Mary spojrzała na nią z niedowierzaniem. Potem, wciąż zdumiona, odpowiedziała:

– Świetnie. Telefonował dzisiaj z San Francisco. – Odwróciła się do Nate'a, by wyjaśnić mu to, co Jill już wiedziała. – Mój mąż wyjechał na kilka tygodni, aby nadzorować budowę gmachu, który zaprojektował dla swojej firmy. To największe zlecenie, jakie kiedykolwiek otrzymał i najdłuższa rozłąka w ciągu trzech lat naszego małżeństwa. Nie będzie go tutaj aż do końca przyszłego miesiąca. – Po tych słowach znów odwróciła się ku Jillian: – „Jak się miewa Phil?”; o czym ty, do diabła, mówisz?! Przed sześcioma godzinami dostałaś kwiaty z tą okropnością w środku i pytasz, jak się miewa Phil?! Z czego ty masz nerwy, z żelaza?

Jill szybko spojrzała na Nate'a, a potem opuściła wzrok na stół z filiżankami kawy.

– Sądziłam, że nie będziemy o tym mówić.

– Kwiaty? – zapytał malarz. – Jakie kwiaty? Jaka „okropność”?

Miażdżąc wzrokiem przyjaciółkę i wdychając głęboko, Jill jeszcze raz opowiedziała o wszystkim; o różach, o martwym szczurze i wyprawie z Barneyem Fleckiem do kwaciarni przy Fourteenth Street. Mówiąc, świadoma była rosnącego napięcia i zdawała sobie sprawę z tego, co się stanie. Właśnie dlatego nie powiedziała mu od razu.

– Psiakrew! – wykrzyknął Nate, zrywając się z kanapy, zanim skończyła ostatnie zdanie. – Niech to szlag trafi! Kim, do diabła, jest ten facet? Czego on, do cholery, chce?

Potrząsnęła głową, patrząc jak mężczyzna biegiem przemierza pokój tam i z powrotem.

– Mnie – powiedziała w końcu – On chce mnie.

Zatrzymał się nagle.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chce mnie przerazić. Myślałam, że to Brian Marshall, ale teraz sądzę, że to może być tamten szalony facet z college'u. Opowiadałam ci o nim wczorajszej nocy. Victor Dimorta... – Przerwała na chwilę, znowu wpatrując się w stolik. – „Zwycięstwo po śmierci”.

– Co takiego?! – zdziwiła się Mary.

Jill wyjaśniła im wszystko... Przyjaciółka i kochanek wpatrywali się w nią szeroko otwartymi oczami.

– Zdaję sobie sprawę, że to głupie – ciągnęła – ale nie wiem, co robić. Nic takiego mi się nigdy nie przytrafiło. Poprosiłam więc moją psychoanalityczkę, by w piątek poddała mnie hipnozie. W tym miejscu pamięci, gdzie powinna być twarz Victora, mam białą plamę. Podobnie jak w sprawie mojego ojczyma: wiedziałam, że mnie zgwałcił, ale nie pamiętałam całego wydarzenia... tego, że uderzałam go rondlem... aż do chwili, gdy doktor Philbin poddała mnie hipnozie. Wtedy odtworzyłam sobie cały incydent i gdy obudziłam się z hipnotycznego snu, pamiętałam wszystko. Być może to samo stanie się z Victorem. Może będę umiała opisać go Barneyowi i policji albo przypomnę sobie, dlaczego on właśnie miałby być człowiekiem, który mi to wszystko robi. Jeśli to rzeczywiście Victor.

W pokoju zapanowała cisza, ale Jill zauważyła z ulgą, że Nate przestał chodzić i usiadł na swoim miejscu obok niej. Ujął jej dłonie w swoje ręce.

– No cóż, ktokolwiek to jest – powiedział – lepiej, żeby trzymał się z daleka ode mnie!

Usłyszała w tonie kochanka desperację i ową bezradność, która tak wyraźnie brzmieć mogła jedynie w przypadku zranienia męskiej dumy.

Nate pobałdł nagle.

– Mój Boże, nie mogę uwierzyć, że tak po prostu przyniosłem ci te róże. Och, Jill, przepraszam, tak mi przykro.

Położyła dłoń na jego ustach.

– Wszystko w porządku, kochany. Nie wiedziałeś.

Ich ręce znów się połączyły, gdy razem obejrzelili się, by spojrzeć na kwiaty w wazonie stojącym na dużym stole. Jill czuła, że druga ręka Nate'a unosi się ku górze, by pogłaskać ją po włosach.

– Nie pozwolę, by cokolwiek ci się stało – wyszeptał, wciąż patrząc na różę.

Mary rozładowała napięcie swym otwartym, serdecznym śmiechem.

– No proszę, a mówi się, że rycerskość zaginęła!

W jednej chwili roześmiali się wszyscy. Potem, by raz na zawsze zmienić temat rozmowy, Jill powiedziała:

– Ciekawa jestem, co porabiają Tara i Doug...

– Mam trzydzieści dwa lata – powiedział, patrząc na piękną kobietę, która siedziała naprzeciwko. – Pochodzę z Atlanty. Ojciec – pediatra, mama – gospodyni domowa, oboje nie żyją. Rodzeństwa brak. Najpierw szkoła przygotowawcza, potem Nowojorski Uniwersytet Stanowy. Wydział artystyczny, kierunek: fotografika. Staż w laboratorium Kodaka, przez dwa lata. Asystentura u Juana Vegi – trzy lata. Dźwiganie aparatów fotograficznych, podróżowanie z nim na pokazy mody po całym świecie. Ulubiony zakątek: Australia, północne wybrzeże niedaleko Wielkiej Rify Koralowej. Ulubiona modelka: Stacy Green. – Po tych słowach zrobił przerwę, czekając na reakcję Tary.

– Stacy Green – zapytała, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia. – Stacy? Ta dziewczyna, która...

– Tak – szepnął, przerywając jej, zanim zdążyła wykrztusić coś więcej. Potem, ponieważ należało coś powiedzieć i ponieważ nie mógł po prostu w tym miejscu zakończyć tej rozmowy, dodał: – Była moją żoną.

Aktorka wpatrywała się weń oszołomionym wzrokiem.

– O Boże, przepraszam, tak mi przykro...

– Tak... – uśmiechnął się niewyraźnie. – To chyba cała historia mojego życia. Cóż, prawie cała; ostatnią książką, jaką przeczytałem była biografia Richarda Avedona.

Nie bez powodu jest dobrze obsadzana aktorką, pomyślał. Tara wyczuła instynktownie, że jego zamordowana żona nie jest tematem na swobodną

rozmowę przy restauracyjnym stole i natychmiast poniechała tej kwestii.

– Czy jest jeszcze trochę szampana? – zapytała.

Sprawdził.

– Nie ma.

– Weźmy następną butelkę. Ja stawiam.

Jill, rozpaczliwie szukając tematów, które nie wiązałyby się z jej kłopotliwą, a może nawet niebezpieczną sytuacją, zwróciła się do Mary:

– A ty, kiedy wreszcie zaczniesz tę książkę, której napisaniem zawsze wszystkim grozisz?

Przyjaciółka zaczerwieniła się i wzruszyła ramionami.

– O Boże, nie wiem. Jako agentka nieźle sobie radzę po drugiej stronie literackiej barykady.

– Proszę, nie wykorzystuj tego jako wymówki – odrzekła ze śmiechem Jill. – Jesteś naprawdę wspaniała w tym, co robisz, imam nadzieję, że zawsze będziesz moją agentką, ale w istocie rzeczy nie tym chciałaś się zajmować w życiu, pamiętasz? Pamiętasz naszą rozmowę w czasie pierwszego wspólnego lunchu, tuż po tym, gdy zaakceptowałaś mnie jako swoją klientkę i w kilka minut sprzedałaś *Ciemność*. Mówiłaś wtedy coś o zazdrości i o Emily Brönte...?

– Co? – Nate, wyciągnięty między Jill i Mary na rozłożonych na podłodze poduszkach, usiadł i słuchał ciekawie. – Co o Emily Brönte?

Jill zachichotała i sięgnęła po dzbanek z kawą.

– Och, ona ma taką opowieść...

– Jill, proszę! – wykrzyknęła Mary ze śmiechem. – No dobrze, Nate, ale tylko dla twojej wiadomości. Kiedy miałam... powiedzmy, piętnaście lat, moi rodzice wynajęli letni dom w Fire Island. Większość czasu spędzałam tam opalając się wraz z innymi dziewczętami i próbując podrywać chłopców lub też chodząc na ryby z ojcem i dwoma starszymi braćmi. Nie znoszę wędkowania, jednak oni robili to, ilekroć mieli okazję. Przez jeden z sierpniowych tygodni cały czas padał deszcz, więc nie mogło być mowy ani o podrywaniu chłopców, ani o wędkowaniu. Rozglądałam się więc po

owym domu, szukając sobie jakiegoś zajęcia i na półce w salonie znalazłam stare książki. Zakurzone, oprawne w skórę tomy. Przyłapała mnie na przerzucaniu tych książek mama, więc oczywiście też przejrzała wszystkie, po czym zdjęła z półki jedną i powiedziała, żebym przeczytała właśnie tę, bo kiedyś była to jej ulubiona powieść. Cóż, zaskoczyło mnie to zbyt mocno, by się zastanawiać, jakaż to książka mogła być jej ulubioną powieścią. Nigdy nie widziałam mojej matki czytającej, co jej wtedy wytknęłam, ale powiedziała mi na to: „Spróbuj mieć troje dzieci, a zobaczysz, ile będziesz mieć czasu na powieści” czy coś takiego. Zasyłam się więc na parapecie okiennym i zaczęłam czytać tę książkę. To były *Wichrowe Wzgórza*. Przesiedziałam więc trzy deszczowe popołudnia błądząc po owych wrzosowiskach z tymi niewiarygodnie realnymi postaciami. Myślę, że wyszłam za Phila właśnie dlatego, że trochę przypomina Laurence'a Oliviera w filmowej wersji tej historii. Wracając do tematu: od tamtej chwili chciałam robić właśnie to. Pisać, wykreować coś rzeczywistego na papierze, stworzyć coś realnego posługując się jedynie słowem i własną wyobraźnią. Sprawić, by inni ludzie poczuli to, czego ja doznałam na owym parapecie wynajętego domu tamtego lata na Fire Island, gdy padał deszcz... – Mary uśmiechnęła się i sięgnęła po kieliszek brandy.

Nate był zachwycony; nastąpiła chwila ciszy, a potem Jill klasnęła w dłonie.

– Brawo! – wykrzyknęła. – Ja po prostu uwielbiam ten „monolog Emily Brönte”!

– Śmiejesz się ze mnie.

– Ależ nie! – zapewniała swą przyjaciółkę Jill. – Mówię zupełnie poważnie. Ja także mam za sobą podobne przeżycie. Doświadczyłam go też dzięki lekturze, tylko nie *Wichrowych Wzgórz*, lecz *Rebeki*, w swojej sypialni przy Central Park West. O ile sobie przypominam, tego dnia nie padało, a ja miałam czternaście lat. I... tak... Nate również trochę przypomina Laurence'a Oliviera w filmowej wersji... O Boże, ten Olivier zgarnął najlepsze role, prawda? Ale ty, Mary, opisujesz to znacznie lepiej, niż ja bym umiała. Uważam, że jesteś pisarką. I sądzę, że nadszedł już czas, byś zaczęła pisać.

Z prawdziwą przyjemnością patrzyła, jak Mary Daley, która nie była skłonna do rumieńców, zaczerwieniła się nagle. Potem spojrzała na Nate'a, który wciąż patrzył na nią. Wyraz jego twarzy powiedział Jill, że jej kochanek wciąż myśli o walentynkowych kartach i różach. Z uśmiechem odgarnęła mu z oczu kosmyk czarnych włosów.

– A ty, geniuszu? Kiedy zrozumiałeś, że chcesz zostać malarzem?

Usiadł, a zmartwione spojrzenie natychmiast zniknęło.

– Już ci o tym opowiadałem, Jill, podczas naszej pierwszej kolacji. W Lincoln Center. Pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam – potwierdziła – ale Mary tam nie było. Ona opowiedziała nam o sobie, więc czas na rewanż. – Mówiąc to, Jill ze śmiechem zwróciła się do przyjaciółki: – Daję słowo, czasami potrafi być takim milczkiem!

Nate wzruszył ramionami. Odchylając się do tyłu tak, by jego głowa spoczywała na kolanach Jill, zaczął mówić:

– Monet. To chyba mój ulubiony malarz. Prawdę mówiąc, też interesowała mnie literatura, dopóki nie zapisałem się na wykłady z historii sztuki. Był to nudny przedmiot, oglądanie slajdów i tak dalej, aż do dnia, gdy doszliśmy do impresjonistów.

Na jednym z owych slajdów były „Lilie wodne” Moneta... – Siedział wyprostowany, a jego ciało wyrażało napięcie. – Żałuję, że nie umiem wyjaśnić tego w taki sposób, jak zrobiła to Mary. W chwili gdy zobaczyłem to malarstwo, połknąłem haczyk. Przeczytałem wszystkie książki o impresjonizmie, jakie zdołałem znaleźć. Godzinami wpatrywałem się w obrazy Moneta, Maneta, Degasa... mój Boże, w obrazy ich wszystkich! Ci ludzie nie malowali tego, co widzieli; oni malowali to, co czuli, spoglądając na to, co mieli przed sobą! I rozumiałem, że ja także muszę to robić. Ogarnęła mnie obsesja na punkcie takiego malarstwa; obsesja na punkcie przenoszenia na płótno moich uczuć. – Uśmiechnął się, znów rozluźniony. – Od tamtej chwili staram się właśnie tak malować: nie odtwarzać, ale interpretować. – Po tych słowach wyciągnął przed siebie prawą dłoń

i wpatrywał się w nią. – Tą ręką...

Mary skinęła głową.

– Kochasz to, prawda?

– To moja druga największa miłość na tym świecie – odpowiedział, patrząc na Mary i nieświadomie głaszcząc Jill.

Jillian widząc, że przyjaciółka uśmiecha się do niej nad głową Nate'a, poczuła, jak ciepły rumieniec wypływa na jej twarz. Pochyliła się, by pocałować włosy kochanka.

– Ciekawa jestem – powiedziała Mary, powtarzając słowa przyjaciółki wygłoszone pół godziny wcześniej – co porabiają Tara i... jak on ma na imię... Doug?

Obserwował jak wchodzi do budynku. Odwróciła się, by pomachać, zanim zamknęły się za nią wewnętrzne drzwi. Potem zniknęła.

Tego wieczoru nie padał śnieg, a lekki wiatr sprawiał, że przenikliwe zimno było jeszcze bardziej dojmujące, więc przed wyjściem na ulicę podniósł kołnierz płaszcza. Przeszedł na drugą stronę i stanął na chodniku, spoglądając ku górze.

Była ładna i sympatyczna. Doprawdy udana randka. Umiejętnie skierowała rozmowę na sprawy odległe od przeszłości szczególnie jego przeszłości – i ozdobiła kolację zabawną pogawędką o swej pracy w telewizji oraz inteligentnymi pytaniami o sztukę fotografii. Bawili się doskonale, więc wspominał o zaproszeniu do pracowni Nate'a na jutrzejszy wieczór. Zgodziła się z ochotą. To, co najlepsze, zachowała jednak na koniec: gdy wieczór zbliżał się do finału, a on zastanawiał się, czy Tara oczekuje jakiejś uwertury seksualnej, ziewnęła z wdziękiem i od niechcienia rzuciła coś o wczesnej porannej próbie, więc ten przymus również miał z głowy.

Tak, pomyślał, doskonała randka.

Po kilku minutach zapaliły się światła w dużym oknie na piątym piętrze. Pokiwał głową, spoglądając w górę przez nagie gałęzie stojącego przed domem drzewa na jej światła i na światła palące się w mieszkaniu położonym dokładnie piętro wyżej.



Jillian Talbot jest w domu, pomyślał, a Nate prawdopodobnie także z nią został.

Jillian Talbot...

Stał tam przez dłuższy czas, spoglądając w te światła, wspominając i zbierając siły na jutrzejszą noc.

– Stacy Green?! – wykrzyknęła Mary.

– Och, mój Boże! – dodała Jill.

Wpatrywała się w Tarę wygodnie usadowioną ze szklaneczką brandy na podłodze obok Nate'a. Aktorka weszła do swego mieszkania tylko po to, by zdjąć śliczną, ale niewygodną granatową sukienkę, którą Jill pomogła jej wybrać. Jednak nawet teraz, w znoszonych dżinsach i w bluzie uniwersyteckiej drużyny footballowej swego brata, wciąż udawało jej się wyglądać oszałamiająco.

– Dacie wiarę! – wołała. – Siedzę tam w swej najpiękniejszej sukni i fryzurze, tworząc najwspanialszą imitację Michelle Pfeiffer, a on strzela we mnie czymś takim. Stacy Green!

Chciałam po prostu natychmiast pójść do domu. To niewiarygodne! Stacy Green!

Wszystkie trzy – Jillian, Mary i Tara – spoglądały teraz na siebie, z niedowierzaniem potrząsając głowami.

– Kto to jest Stacy Green? – zapytał Nate.

Na te słowa kobiety z równym niedowierzaniem odwróciły się ku niemu.

– Kpisz sobie?! – zapytała Mary.

– Przepraszam – zaczął się tłumaczyć. – Nigdy o niej nie słyszałem.

Teraz wszystkie próbowały mówić jednocześnie, więc Nate uniósł dłoń, by je powstrzymać.

– Przestańcie. To była randka Tary, więc pozwólcie jej wyjaśnić.

– W porządku – powiedziała Tara. – Stacy Green była nieprawdopodobnie piękną modelką. Wszędzie widziało się jej twarz. Krótkie czarne włosy, wielkie orzechowe oczy. Teraz przychodzi mi na myśl, że była trochę podobna do Jill. Była. kimś w rodzaju wysportowanej typowej amerykańskiej dziewczyny, reklamowała pastę do zębów, płatki kukurydziane

i szampon o zapachu cytryny, zanim nie pojawiła się na okładce *Sports Illustrated*. Potem, mniej więcej trzy lata temu, została zasztyletowana we własnym domu w East Hampton. Nikt nie mógł w to uwierzyć! I wtedy zaczęła wychodzić na jaw cała historia o narkotykach, orgiach i kochankach z mafii. Amerykańska dziewczyna, dobre, co? Poza tym – jakby i tego za mało – okazało się, że była mężatką. Wszystkie informacje, jakie do mnie dotarły, mówiły, że jej mąż, asystent słynnego fotografa, poślubił ją niespełna rok wcześniej i że on i Stacy w chwili tego morderstwa byli już w separacji. Nie przypominam sobie, by wymieniano wtedy nazwisko jej męża, ale teraz mogę wam powiedzieć: to wasz przyjaciel Doug Baron.

– O Jezu... – wymamrotał Nat, a potem spojrzął na aktorkę. – Przykro mi, Taro. Nie miałem pojęcia. Czy on... to znaczy, czy mówiono, że...

– Och, nie – szybko zaprzeczyła Tara. – To nie był on. W tym czasie przebywał gdzieś bardzo daleko. Przeprowadzono wielkie śledztwo i w końcu aresztowano jakiegoś seksownego płatnego mordercę z mafii, najwyraźniej jednego z jej kochanków. Jednego z wielu, jeśli można wierzyć brukowcom. Mówiono również, że ów mafioso odkrył, iż była także związana z pewnym przemysłowcem. Odbłyło się dochodzenie czy też przesłuchanie, nie wiem, jak to się nazywa, i wypuszczono tego mordercę. Z braku dowodów, jeśli dobrze pamiętam, bo kilku jego kumpli przysięgało, że był w tym czasie z nimi... – wyrzuciła z siebie, aż wreszcie, biorąc głęboki oddech, zakończyła dramatycznym akcentem. – Tak więc nikogo nie sądzono za to morderstwo!

Nate słuchał tego wszystkiego oszołomiony.

– Boże, jakież to dla niego straszne!

Jill odwróciła się do niego, zdobywając się w końcu na pytanie, nad którym zastanawiała się od kilku minut.

– Jak to się stało, że o tym nie słyszałeś?

Wzruszył ramionami.

– Trzy lata temu studiowałem w szkole plastycznej w Chicago, uczyłem się tam malować. I próbowałem malować. Ledwie sobie coś przypominam o jakiejś modelce, która została zamordowana, ale to wszystko. Stawałem się artystą. Nawet gdyby ogłoszono wybuch trzeciej wojny

światowej, żaden ze studentów mojej szkoły by tego nie zauważył.

Całej czwórce nie pozostało nic innego, jak tylko spojrzeć po sobie i potrząsnąć głowami. W końcu przerwał milczenie Nate.

– Boże! – westchnął. – Zastanawiam się, jak się teraz z tym wszystkim czuje Doug.

Tara się roześmiała.

– Zapytaj go sam. Jutro wieczorem przychodzimy do twojej pracowni! Spojrzeli na nią zdumieni.

– Przychodzicie? Razem?

Aktorka uśmiechnęła się czarująco.

– Oczywiście. Przecież nie oskarżono go o morderstwo. Nigdy nie był nawet podejrzewany o nie. A zresztą, iluż to przystojnych artystów jest dziś „do wzięcia”? Wszyscy interesujący mężczyźni są albo...

– Nie kończ! – ostrzegła Jill i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– To dobrze – powiedział Nate. – Cieszę się, że ci się spodobał, Taro. Mam przeczucie, że możesz się okazać kobietą, jakiej mu potrzeba.

Mówiąc to, sięgnął po dłoń Jill. Z uśmiechem uścisnęła jego rękę. Zapomnij, że jest seksowny, pomyślała. Zapomnij, że jest utalentowany, żarliwy i zabawny. On jest po prostu bardzo sympatycznym człowiekiem. Mężczyznę, którego powinnaś się trzymać, pomyślała. Mężczyznę, który zawsze będzie czuły, troskliwy i opiekuńczy. Mężczyznę, który ochroni cię przed kimś tak okropnym jak...

Zadrżała i jeszcze mocniej ścisnęła dłoń Nate'a. Spojrzał na nią i mrugnął porozumiewawczo. Odwzajemniła mu to mrugnięcie, zmuszając się do uśmiechu, a potem puściła mocną dłoń, wstała z kanapy i podeszła do okna. Spoglądając w noc na dryfujące przed nią drobne płatki śniegu, a przez nie dalej, ku milionom rozświetlonych okien tego ogromnego miasta, dokończyła poprzednią myśl:

...,„Walentyńka”

**IV**

**ZIEMIA**

## 8. Trzy lata wcześniej

Zawsze była śliczną dziewczyną i wiedziała o tym. To właśnie ta wiedza kierowała nią i inspirowała do wszystkich działań; świadomość własnej urody i dawno temu wpojone w nią przekonanie, że jest wyjątkowa. Teraz, mając trzydzieści cztery lata, gotowa była pokazać światu, jak bardzo jest wyjątkowa. Kosztowało ją to parę lat i kilka falstartów, ale właśnie teraz miał nadejść sukces. Jej nowy scenariusz okazał się najlepszy ze wszystkich, jakie dotychczas napisała, więc była pewna, że gdy tylko znajdzie się on we właściwych rękach, największe aktorki Hollywood zaczną się głośno domagać głównej roli. Właśnie dlatego dzisiejszy dzień był taki ważny. Miała w związku z nim dobre przeczucia. I w związku z nim.

Nuciła pod nosem, wkładając najbardziej spłowiałe, opięte dzinsy i różowy bawełniany podkoszulek. Potem sięgnęła po szczotkę leżącą przed lustrem i zabrała się do pracy nad swymi długimi, jasnymi włosami. Piknik, pomyślała. Jakiż to wspaniały pomysł... Neil zostawił zaproszenie w formie liściku na łóżku obok niej. Właśnie przed chwilą zadzwonił, by je potwierdzić, budząc ją z głębokiego, przyjemnego snu. „Piknik na wzgórzach nad miastem. Bądź gotowa w południe, powiedział. I przynieś ten scenariusz.”

Musiał chyba wychodzić na palcach tego ranka, myślała, podczas gdy ja jeszcze spałam. Zapewne jakieś służbowe spotkanie w jego zespole producenckim.

Zespół producencki! Podeszła do biurka stojącego przy oknie sypialni, sięgnęła po scenariusz leżący tuż obok komputera i otworzyła go na stronie tytułowej.

NIEBEZPIECZNE ZAKRĘTY

autorka

Sharon Williams

Zamknęła scenariusz i z uśmiechem przyciągnęła go do piersi. Spoglądając przez okno na jasny, słoneczny blask zalewający Los Angeles, myślała o swoim szczęściu. Scenariusz, który trzymała w ramionach nie będzie krążył po studiach Hollywood jak tamte dwa, które napisała wcześniej. Z tym miało być inaczej. Dzięki niemu.

Sharon kochała film. W kilku najszcześniejszych wspomnieniach widziała siebie jako dziecko, a później jako nastolatkę wpatrzoną w ekrany w zaciemnionych salach. Tatusi i mama znali kilka osób ze świata kinematografii, więc ona także uczestniczyła w premierach, uroczystościach wręczenia nagród i przyjęciach w domach producentów. Zawsze marzyła o karierze w Hollywood; nie o karierze aktorki – nie miała talentu, choć z pewnością była wystarczająco ładna – tylko scenarzystki. Wciąż wymyślała jakieś opowieści i zawsze widziała je jako serie scen, w odpowiedniej oprawie i właściwych ujęciach operatorskich. Chciała tworzyć filmy. Filmy.

Jednak najpierw musiała się nauczyć pisania. Była wdzięczna rodzicom za to, że dali jej tę odrobinę mądrości, podobnie jak za wszystko inne. Pojechała do Hartley College, uczelni, w której kształciła się jej matka, ponieważ właśnie tam znajdował się najlepszy wydział literatury angloamerykańskiej w całej Ameryce. Cztery lata w Vermoncie, potem trzy w Berkeley, gdzie zapisała się na wszystkie dostępne wykłady i kursy pisania scenariuszy i producenckie.

Potem, przez następne pięć lat, pozwalała sobie na podróże: Europa, Karaiby, Hawaje. Ulegając fantazji, tuż po opuszczeniu Berkeley przeniosła się na krótko do Amsterdamu z pewnym bogatym playboyem, z którym się wtedy spotykała. Ta krótka wyprawa przemieniła się w długą podróż dookoła świata, której sceneria zmieniała się tak często jak bogate lekkoduchy wokół niej. Jednak teraz Europa i zachodnie Indie zostały już poza nią, podobnie jak mężczyźni, z którymi była w tych wszystkich miejscach.

Za sobą miała też, oczywiście, Shane'a. Skrzywiła się na myśl o swym byłym mężu; kolejne dwa lata stracone. W okresie, gdy poznała Shane'a,

na jednym z przyjęć w czasie jednej z jej rzadkich wizyt w domu, stwierdziła, że nadszedł czas, by się ustatkować. Pięć lat wędrowania po świecie to dosyć. Poza tym tatuś zaczynał narzekać, licząc pieniądze, które wydawała.

Wzdłuż ulicy przed jej domem rósł rząd wysokich palm. Przyglądając się teraz przez okno drugiego piętra, jak najbliższa z nich kołysze się na ciepłym wietrze, wspominała...

Shane Lennox, przystojny i zabawny syn jednego z partnerów tatusia w interesach, od samego początku był pomyłką. Spotykali się przez kilka miesięcy i ich randki okazywały się zawsze zabawne, ale mimo to nie powinna wychodzić za niego za męża. Ze swą niesfornością i jak dotychczas jeszcze nie ukształtowanym, ale wyraźnie ujawniającym się celem zawodowym, wiedziała że to błąd. Zdawała sobie z tego sprawę nawet wtedy, gdy u boku ojca kroczyła do ołtarza. Instynkt jej nie mylił.

Ilekczo wcześniej myślała o własnym małżeństwie, wyobrażała sobie wielki dom w jakimś przyjemnym miejscu, takim jak Malibu lub wybrzeże Pacyfiku, gdzieś w sąsiedztwie rodziców. Jej mąż miał być oczywiście bogaty, tak bogaty jak ona. Codziennie udawałby się do swej firmy prawniczej bądź do zarządu własnego przedsiębiorstwa lub wytwórni filmowej... tak, do wytwórni filmowej; powinna była poślubić kogoś z tej branży. Ona zaś pozostawałaby w domu, by pisać błyskotliwe scenariusze. Spotykałby się z ludźmi filmu na kolacjach w Spago albo na weekendowych przyjęciach na plaży.

Jednak Shane wspinał się po drabinie społecznej, pracując u tatusia w przedsiębiorstwie handlu nieruchomościami, co oznaczało małe, ciasne, dwupokojowe mieszkanie w czynszowej kamienicy nieopodal biura, jak również kres pieniędzy wypłacanych jej przez rodziców i konieczność utrzymywania się ze skromnej pensji męża. A także gotowanie i sprzątanie; dwie rzeczy, których trzeba było się nauczyć „w biegu”; nigdy wcześniej nie musiała robić żadnej z nich... Chodzenie po zakupy i do pralni, a nawet do innych sklepów po skarpetki i bieliznę dla Shane'a... Nudne kolacje z jego potencjalnymi klientami... A potem wiadomość, że jest w ciąży...

Właśnie wtedy poddała się i wróciła do rodziców. Nie chciała dziecka. Nie chciała gotować ani sprzątać. Nie chciała małżeństwa z Shane'em Lennoxem. Łkając w ramionach matki, powiedziała, że popełniła okropny błąd. Tak właśnie było. Tatuś zajął się wszystkim, bo tatuś zawsze wszystko załatwiał. Załatwił zarówno rozwód, jak i zabieg. Jej małżeństwo z Shane'em trwało czternaście długich miesięcy. Miała teraz trzydzieści jeden lat i pragnęła zostać scenarzystką.

Tak więc przed trzema laty sprowadziła się tutaj, do tego przyjemnego kilkurodzinnego domu w mieszkalnej, nie zaś biurowo-handlowej części miasta. Jej mieszkanie położone było w odległości ośmiu przecznic od miejsca, gdzie mieszkała z Shanem – i gdzie on mieszkał teraz z drugą żoną – ale należało wyłącznie do niej. Nie chciała dzielić go z mężczyzną, dla którego ideał żony bliższy był gosposi niż partnerce i kochance. Nie czuła żadnej urazy do swego byłego męża, Shane okazał się naprawdę miłym człowiekiem, ale... to nie dla niej. Kilka miesięcy po rozwodzie namówiła tatusia i mamę do kupna tego niewielkiego mieszkania-studia, forda mustanga i komputera, który stanowił inwestycję w jej karierę. Byli tak szczęśliwi, widząc, jak podekscytowana jest pracą, że chętnie sprawili jej tę przyjemność.

Odnowiła kontakty z dawnymi przyjaciółmi ze szkoły. Spędzała weekendy na plaży i co wieczór gdzieś wychodziła. Kolacje, dansingi... Spotykała się z wieloma facetami, z żadnym nie wiążąc się na poważnie. T o miała już za sobą. Serdeczne dzięki! W dni powszednie, od dziesiątej do piątej po południu, pisała. Początkowo szkice i projekty pomysłów, aż w końcu zabrała się do napisania pełnego scenariusza. Sama była zdumiona i zachwycona rosnącym zapałem, z jakim oddawała się tej pracy. Przed wszystkim uświadomiła sobie z poczuciem dumy, że nie jest całkiem bezużyteczna. W rzeczy samej wyglądało na to, że ma ów talent, jakiego się zawsze spodziewała.

W zeszłym roku dokonała swej pierwszej filmowej transakcji: sprzedała pomysł scenariusza pewnej małej, niezależnej grupie producenckiej i uzyskała zapewnienie, że właśnie u niej zamówią scenariusz, jeśli



rzeczywiście będą robić ten film. Otrzymałszy swój pierwszy czek, kupiła matce zegarek u Cartiera. Była to jedna z owych kilku chwil w życiu Sharon, gdy czuła się całkowicie bezinteresowna i jedyna, gdy widziała, jak matka płacze.

Teraz Sharon z uśmiechem wpatrywała się w słoneczną, wysadzaną palmami ulicę. Rzadko spoglądała wstecz na rzeczy, których już dokonała. Poza tym nie na Shane'a Lennox'a padł jej wybór w owej chwili wspomnień. Z przyjemnością myślała o podróżach. Równie miłe były nieczęste wspomnienia o szkole średniej i college'u. Hartley College okazał się przyjemną uczelnią, a ona... jakąż była królową pszczoł w tym ulu! Myślała o swoich dwóch przyjaciółkach; o Cass i Belindzie, o tamtych przygodach i zabawach, które służyły zabijaniu nudy zbyt długich – dla dziewczyny z Kalifornii – zim w stanie Vermont. Ten przystojny dziekan, który był taki rozkoszny... seksualnie. Zakradanie się z przyjaciółkami do męskich sypialni... I ten pełzający, obleśny pierwszorzecznik – Vincent, a może Victor, czy też jak on się tam, u diabła, nazywał – którego ona i pozostałe dziewczęta zwabiły i doprowadziły do zguby.

Zatrzymała się myślą przy Cass i Belindzie. Od lat nie kontaktowały się ze sobą i przez chwilę zastanawiała się, gdzie teraz są i co robią. Może powinna do nich zadzwonić...

Och, cóż, pomyślała jednak z uśmiechem, trzeba iść dalej i wyżej.

Wróciła spojrzeniem do własnego odbicia w lustrze i znów się uśmiechnęła, wciąż tuląc do piersi swe najnowsze osiągnięcie. Teraz miała scenariusz... dobry scenariusz, wspaniały scenariusz... i teraz miała Neila.

Neil... Odłożyła scenariusz na toaletkę i przeciągnęła się zmysłowo, wspominając wczorajszy wieczór i wyobrażając sobie dzisiejszy piknik. Co za szczęśliwe zrzędzenie losu, pomyślała.

Gdyby tamtego wieczoru nie poszła do Patchoulie, ów szczęśliwy traf nigdy by jej nie spotkał.

Z Sharon Williams poszło łatwo. Codziennie pracowała w swoim mieszkaniu, w zeszłym tygodniu również dwukrotnie odbyła rundę po

wytwórniach i biurach producenckich w Burbank i Hollywood, oferując swoje pomysły i scenariusze. Co wieczór wychodziła na dansingi, czasem z mężczyznami, lecz równie często sama – zawsze do tego samego klubu: do Patchoulie, modnego lokalu przy Hollywood Boulevard.

Śledził ją przez dwa tygodnie; od chwili, gdy przyjechał do Los Angeles. Zatrzymał się w spokojnym, niedrogim motelu, niezbyt daleko od jej mieszkania, i wynajął mercedesa. Zarówno w motelu, jak i w wypożyczalni samochodów, posługiwał się pseudonimem i płacił gotówką.

Obserwacja jej trybu życia pomogła mu opracować plan. 10 lutego wziął prysznic, ubrał się w nowy garnitur od Givenchy'ego, włożył nowe szkła kontaktowe i przetarł swą nową twarz wodą kolońską Halston, a potem starannie i ostrożnie nałożył perukę. Następnie wsiadł do wynajętego mercedesa i pojechał do Patchoulie. Usiadł przy końcu baru, zamówił drinka i czekał.

Przyszła, w porządku... oparta na ramieniu faceta, którego już z nią widział w zeszłym tygodniu na plaży. Potężny, przystojny, mocno opalony blondyn w podkoszulku i dzinsach. Jeździł na nartach wodnych.

Podszuchał, że nazywała go imieniem Derek. Obserwował, jak zajmują mały stolik blisko tanecznego parkietu i zamawiają drinki. W ciągu następnej godziny kilkakrotnie wstawali do tańca. W pewnym momencie tańczyli do jednej z piosenek Neila Diamonda. Zawsze lubił Neila Diamonda i potraktował to jako dobry znak. Uśmiechnął się do siebie, myśląc: Neil.

Uważnie przyglądał się co robią. W regularnych odstępach ręce Dereka zaczynały wędrować po ciele Sharon, a ona je strząsała. A więc tylko zdawkowo spotykają się ze sobą, pomyślał. Fakt, że Derek, mimo jej protestów powtarzał co kilka minut owe wędrowki, podpowiedział mu, że ten facet nie jest zbyt bystry. Zauważył też częste wypadki entuzjasty wodnych nart do męskiej toalety oraz jego błyszczące oczy i szybkie, automatyczne ruchy: Derek najwyraźniej odkrył, iż lepiej żyje się dzięki chemii. Znów uśmiechnął się do siebie i czekał dalej. Gdy Derek po raz trzeci zniknął w męskiej toalecie, dał mu kilka chwil, a potem podążył tam również. Kiedy wszedł, tamten stał obok umywalek, wciągając kokę z

miniaturowej łyżeczki na łańcuszku, który miał na szyi. Udał radosne zdumienie na widok wodnego narciarza i wszedł w swoją rolę.

– Witaj... Derek, nieprawdaż?

Blondyn patrzył na niego, pociągając nosem.

– Tak, a...?

Roześmiał się szeroko.

– Nie pamiętasz mnie, co? Poznaliśmy się niedawno, na tym przyjęciu. No wiesz, na plaży. Byłeś z... ojej, jak on ma na imię, twój kumpel, też jeździ na nartach...

Tamten zamrugał oczami, próbując go sobie przypomnieć.

– Chodzi ci o Rona?

– Tak. Ron! No właśnie! Ja jestem Neil, pamiętasz? Z przedsiębiorstwa producenckiego.

Derek uśmiechnął się, by ukryć fakt, że oczywiście nie pamięta.

– Tak... jasne... co u ciebie?

– Och, dziękuję. Wiesz, wciąż jak pies uganiem się w poszukiwaniu nowych scenariuszy...

– Ach tak, nowych scenariuszy? – Derek był naprawdę szybki.

Postanowił powtórzyć to wyraźnie.

– Tak, szukam scenariuszy do filmów.

Błyszczące oczy Dereka otworzyły się szeroko.

– Właśnie tym się zajmujesz?

– Tak, jak już mówiłem tobie i Ronowi...

– To fantastycznie! – wykrzyknął Derek, ścierając resztki koki z nosa i klepiąc go po plecach. – Człowieku, nie mogę w to uwierzyć! Jasne, że cię pamiętam... przyjęcie na plaży, z Ronem! Szukasz scenariuszy! Fantastycznie! – Uniósł do góry małeńką fiolkę. – Chcesz sobie strzelić? Uśmiechnął się, potrząsając przecząco głową.

– Nie, dzięki, próbuję rzucić.

Derek ryknął śmiechem i chwycił go za ramię.

– Człowieku, to nie wiarygodne! Chodź ze mną, Neil, jest tu ktoś, kogo musisz poznać!

Gdy potężny mężczyzna wyciągał go z męskiej toalety, zaczął udawać zmieszanie.

– Tak? Kto?

– Moją dziewczynę, chłopie! Sharon! Ona... spodoba ci się, chłopie!... ona jest scenarzystką!

Wpadł w entuzjazm.

– Nie żartuj! To fantastyczne, Derek! To... to jest doprawdy niewiarygodne!

Sharon siedziała przy stoliku obok parkietu wpatrując się w gwiazdę. Kilka minut temu, właśnie wtedy, gdy Derek zniknął w toalecie, do Pachtoulie weszła laureatka Oscara i teraz przysiadła się wraz z mężem do zatłoczonego stolika po drugiej stronie sali, gdzie, oczywiście, siedzieli ludzie z branży filmowej. Boże, pomyślała Sharon, gdybym tylko mogła po prostu wstać, podejść tam, przedstawić się i opowiedzieć im o scenariuszu...

– Hej, maleńka, nie uwierzysz! Spójrz, na kogo wpadłem!

Odwróciła głowę i ujrzała Dereka z wysokim, ciemnowłosym nieznanym, który stał obok niego.

– Witam – rzekła, uśmiechając się zdawkowo.

– To jest Neil – powiedział Derek, przyciągając jeszcze jedno krzesło od najbliższego stolika i gestem przywołując kelnerkę. – I wiesz, co? On szuka scenariuszy?

– Sharon zamruwała oczami, uważniej przyglądając się nieznanemu.

– Miło mi cię poznać, Neil. Nazywam się Sharon Williams.

Mężczyzna o imieniu Neil uśmiechnął się do niej, a potem spojrzał na Dereka i na krzesło, które ten przystawił.

– Mogę?

– Proszę – odrzekła Sharon, więc Neil i Derek usiedli przy stoliku. Teraz skierowała całą uwagę na nowego przybysza. – Więc pracujesz w branży filmowej?

Podeszła kelnerka, by przyjąć zamówienie. Zanim wróciła z kolejnymi drinkami, Sharon nie pamiętała już, że przy stoliku siedział z nimi Derek.

– ...Jestem w mieście dopiero od kilku tygodni – opowiadał jej Neil. – Dział filmowy mamy od niedawna. Byliśmy przedsiębiorstwem czysto teatralnym, wiesz Broadway i tak dalej, ale teraz poszerzamy branżę. Ja pracuję w sekcji angażowania i pozyskiwania współpracowników. Instaluję się tutaj, zawierając znajomości ze wszystkimi w tej branży...

Sharon spojrzała na gwiazdę siedzącą po przeciwnej stronie sali.

– Znasz ją? – zapytała.

Podążył za jej wzrokiem.

– Cóż, nie... ale, gdybym miał propozycję, która byłaby dla niej odpowiednia, z pewnością mógłbym przekazać to jej agentom...

Roześmiała się radośnie.

– Jakież ten świat jest mały! Właśnie skończyłam pisać scenariusz, który byłby wprost idealny dla niej. Mam również kilka innych rzeczy. Oczywiście kilka z nich już zakupiono, ale chętnie pokażę ci niektóre z moich prac.

– To byłoby wspaniałe – powiedział Neil, wyjmując z kieszeni marynarki mały notesik i długopis. – Zadzwoń jutro do twojego agenta.

– Ja nie... obecnie nikt mnie nie reprezentuje – powiedziała szybko Sharon, wzruszając ramionami najlepiej jak umiała i wznosząc oczy ku niebu. – Ach ci agenci! Ale coś ci powiem, Neil...

Derek znów powędrował do męskiej toalety. Zanim wrócił, umówiła się na randkę z nowym znajomym, tutaj, bez Dereka, za trzy dni. Do tego czasu Neil był nieosiągalny.

Wstając od stolika, poklepał Dereka po plecach, uściśnął dłoń Sharon i podziękował za drinki.

– Cieszę się, że znów na ciebie wpadłem, Derek – powiedział. – Dzięki tobie Sharon i ja może zrobimy jakiś... interes – mówiąc to spojrział jej prosto w oczy. – Dobrej nocy, Sharon. Miło było cię poznać.

Uśmiechnęła się. Tak, pomyślała, patrząc jak odchodzi, cieszę się, że poznałam ciebie.

Następne trzy dni spędził na obserwowaniu Sharon, a raz nawet zatelefonował, by potwierdzić spotkanie. Śledził ją, gdy szła na plażę z Derekiem, podążał jej śladem, gdy udawała się na przyjęcie do pewnego domu w Laurei Canyon i do restauracji, gdzie jadła kolację z jakimiś ludźmi. Potem, 13 lutego wieczorem, w przededniu walentynek, włożył swój nowy garnitur od Ralpho Laurena i wszedł do Patchoulie kilka minut przed nią. Udało mu się dostać ten sam stół, przy którym siedzieli trzy dni wcześniej. Tuż przed jej przybyciem przesunął dłonią po kieszeni marynarki, która kryła walentynkową kartę, jaką dla niej kupił, i uśmiechnął się z zadowoleniem.

To było takie proste, naprawdę...

Tego wieczoru Sharon ubrała się szczególnie starannie. Czerwona suknia była odpowiednio, lecz nie nazbyt prowokacyjna, rozpuszczone włosy sięgające ramion... Wiedziała, że dobrze wygląda, co potwierdził wyraz twarzy Neila na jej widok. Świetnie, pomyślała. To działa.

– Witaj ponownie – szepnęła, siadając obok niego.

– Wyglądasz wprost fantastycznie – rzekł z uśmiechem Neil.

– Dziękuję. Ty także. Mam nadzieję, że lubisz tańczyć, Neil. Dziś wieczorem mam na to ochotę.

– Jasne, ale gdzie twoje scenariusze?

Posłała mu najpiękniejszy z uśmiechów.

– U mnie w domu. Możesz zobaczyć je później. Jednak najpierw... czy mogę dostać drinka?

Zamówili coś do picia, a potem tańczyli. Trzymał Sharon mocno i blisko, czuła ciepło emanujące z jego ciała. Już wcześniej zdecydowała, jak się to potoczy: był z pewnością pociągający i oczywiście zainteresowany nią... a jego przedsiębiorstwo producenckie poszukiwało materiałów. Ten mężczyzna po prostu spadł z nieba i wylądował u jej stóp!

Uśmiechnęła się i jeszcze mocniej przytuliła się do niego.

Trzy godziny i kilka drinków później znalazł się z nią w łóżku.

Pojechał za nią własnym samochodem i gdy otworzyła drzwi od mieszkania, byli już na wpół rozebrani.

Kochali się dwa razy. Potem, mając pewność, że usnęła, wyslizgnął się z jej łóżka i wymknął się ukradkiem, starannie przedtem ułożywszy na poduszce walentynkowy karnet. W środku znajdował się liścik: „Pan Avnet ma rano ważne spotkanie, ale liczy na przyjemność spędzenia z panią Williams walentynkowego pikniku. Bądź gotowa w południe. Weź ze sobą to zaproszenie... i swój najlepszy scenariusz. N.”. Jego dźwięczne nazwisko było nazwiskiem pewnego prawdziwego bossa rozrywki.

O dziewiątej rano zatelefonował. Sennie przyjęła jego zaproszenie. Odłożył słuchawkę i pojechał do cichego zakątka na wzgórzach nad miastem wybierając boczną drogę biegnącą wzdłuż lasu. Zaparkował przy drodze, wyjął łopatę z bagażnika mercedesa i wspiął się na niewielką polankę, którą odkrył tuż po przyjeździe do Los Angeles, i tam, między drzewami okalającymi to ustronie, zabrał się do pracy. Wykopał niemal dwumetrowy dół o szerokości jednego metra i nieco bardziej głęboki. Potem oparł łopatę o najbliższe drzewo i zszedł ze wzgórza do samochodu.

Wrócił do motelu, wziął prysznic i zmienił ubranie, a później pojechał do najbliższego domu towarowego. W dziale spożywczym kupił gotowy „kosz piknikowy” z wiejskim pasztetem, kanapkami z kurczakiem, truskawkami i butelką szampana, zaś w dziale płytowym – przenośny magnetofon i jedną kasetę. Kupił też duży pled, a na końcu udał się do działu słodczy.

\* \* \*

Po raz ostatni obejrzała się w lustrze; tak, była gotowa. Pomyślała jeszcze, by zadzwonić do rodziców, ale potem postanowiła, że to może poczekać, aż wróci z pikniku. Prawdopodobnie będzie miała dla nich jakieś nowe wiadomości. Jeśli jej scenariusz spodoba się Neilowi tak bardzo, jak na to liczyła...

Przyjechał swym mercedesem akurat wtedy, gdy pojawiła się na chodniku przed domem. Gdy wsiadła do auta, Neil pochylił się i pocałował ją. Wręczyła mu walentynkowy karnecik.

– Oto moje zaproszenie – powiedziała, udając oficjalny ton.

Roześmiał się beztrzesko.

– Dziękuję, madame – odparł, biorąc kartę i wkładając ją do kieszeni.

Ruszyli w drogę. Siedziała ze scenariuszem na kolanach, uśmiechając się do Neila, gdy jechali autostradą.

Był śliczny, ciepły i bezchmurny dzień, który wydał się jeszcze piękniejszy, gdy z otwartej przestrzeni zboczyli w kręte drogi na wzgórzach. Sharon nie miała pojęcia, dokąd jada, ale, całkowicie zrelaksowana, szczegóły pozostawiła Neilowi. Zapytała o ranne spotkanie w przedsiębiorstwie producenckim, a on uśmiechnął się i powiedział, że przebiegło dobrze. Wymienił nazwisko sławnego reżysera i wyjaśnił, że pracują nad ewentualnym wspólnym przedsięwzięciem.

W końcu znaleźli się na małej drodze biegnącej wysoko wśród wzgórz. Nad sobą mieli drzewa; miasto znajdowało się daleko w dole. Jeszcze kilka kilometrów, a potem zwolnił i zaparkował przy szosie. Wysiedli; Neil sięgnął na tylne siedzenie po duży kosz i pled.

– Nie do wiary! Pomyślałeś o wszystkim! – zachwyciła się Sharon.

Uśmiechnął się, wziął ją za rękę i powiodł w górę ku drzewom. Po kilku minutach weszli na małą polankę. Na niemal idealny krąg soczyście zielonej trawy padało słońce.

– Cóż, jesteśmy – powiedział.

– Och, Neil, tu jest prześlicznie! Jak znalazłeś to miejsce?

Mruknął do niej i zaczął rozkładać pled.

\* \* \*

Najpierw podał szampana, potem wyjął pasztet, kanapki i truskawki. Jedli to wszystko razem na owej polanie, rozmawiając i śmiejąc się serdecznie. Bardziej przypominali kochanków z długim miłosnym stażem niż niedawnych znajomych. Po lunchu kochali się na pledzie. Było wspaniale, tak jak sobie wymarzył przez te wszystkie lata w więzieniu.



Później Sharon usiadła na pledzie, poprawiając na sobie ubranie. Obróciła głowę i uśmiechnęła się do przystojnego mężczyzny, który leżał obok. Miał zamknięte oczy, twarz zwróconą ku słońcu i jakiś cień uśmiechu na wargach. Przez chwilę sądziła, że Neil zasnął, ale otworzył oczy i spojrzał na nią.

– Witaj – powiedziała.

– Witaj.

Znalazła rozrzucone piknikowe szklaneczki i napełniła je reszką szampana. Usiadł na kocu i wziął od niej szklaneczkę. Wzniesli toast.

– *Za Niebezpieczne zakręty* – powiedziała ze śmiechem.

Neil roześmiał się także.

– Odnosisz to do siebie? – zapytał.

– Nie, skarbie, to jest tytuł filmu, który razem zrobimy – mówiąc to sięgnęła po scenariusz i wręczyła go kochankowi. Rzucił okiem na stronę tytułową, a potem odłożył maszynopis na pled.

– Ach, tak – powiedział. – Ale najpierw ja mam tu coś dla ciebie.

– Doprawdy? – W jej głosie zabrzmiał jakiś prowokacyjny ton.

Patrzyła, jak Neil pochyla się do wiklinowego kosza. Przyklęknął i ponownie zwrócił się w jej stronę, trzymając w jednej ręce różową bombonierkę w kształcie serca, a w drugiej mały magnetofon. Rozmarzona Sharon z uśmiechem wzięła do rąk pudełko czekoladek i spojrzała na magnetofon.

– Co to jest? – zapytała.

– Podkład muzyczny – wyjaśnił Neil, pochylając się do pocałunku.

Całując ją, nacisnęła klawisz magnetofonu. Najpierw dotarł do ich uszu łagodny wstęp fortepianu, a po chwili rozległ się niski, czysty głos Sarah Vaughan.

„My Funny Valentine...”

Sharon spojrzała na magnetofon, który Neil wciąż trzymał w dłoni, a potem na niego.

– To jedna z moich ulubionych piosenek! Skąd wiedziałeś?

Nie przestawał się do niej uśmiechać, ale dostrzegła, że w ten uśmiech wkradła się subtelna zmiana. Jakiś błysk... Nagły wyraz triumfu w jego oczach...

– Nie rozumiesz, prawda? – zapytał cicho, a potem uniół rękę i uderzył Sharon pięścią w twarz.

Bombonierka upadła gdzieś obok, gdy kobieta padła głową na pled. Przez chwilę nic nie widziała. Coś ją uderzyło, coś sączyło się jej z nosa, ale nic nie pojmowała. Potem obraz zaczął się rozjaśniać; podniosła wzrok ku urodziwej twarzy mężczyzny, która spoglądała na nią szczerząc się w uśmiechu. Zamrugła gwałtownie, uświadamiając sobie pulsujący ból pod oczami..

– Co...? – zaczęła Sharon, ale jej słowa przeszły w bełkot z bólu i zaskoczenia. – Co... co się stało...?

Pochylił się nad nią i delikatnie ujął jej twarz w swe dłonie.

– Jestem Victor Dimorta. Wszystkiego najlepszego z okazji walentynek! – rzekł, patrząc prosto w jej niczego nie rozumiejące oczy.

Wpatrywała się weń uważnie, niepewna, czy dobrze słyszy. Victor, pomyślała, gdy jej umysł zaczął ponownie funkcjonować. Czy on powiedział...

Potem znów dotarła do niej ta melodia i przypomniała sobie. Victor Dimorta. Zwycięstwo po Śmierci. Hartley College.

Ogarnęła ją panika. V i c t o r D i m o r t a ! Zerwała się z pledu, unosząc rękę w odruchu samoobrony i otwierając usta do krzyku, ale uderzyła w nie jego pięść i Sharon znów opadła na pled.

O Boże!, powtarzał wciąż jej mózg, o Boże! Usiłowała wstać, ale nie uniosła się wysoko. Tym razem uderzył ją w brzuch. Leżała teraz na plecach, a gorące kalifornijskie słońce padało prosto na nią. Odczuwała coraz większy ból. Słyszała ten głos: dziwny, piskliwy śmiech stojącego nad nią mężczyzny. I monolog, który towarzyszył kolejnym ciosom.

– ...Myślałaś, że jesteś dużo lepsza niż ja... ten okropny, oślizgły Victor... Teraz już nie jestem taki okropny! Jestem, suko? Mów! Teraz umrzesz... umrzesz... umrzesz... będziesz umierać... i umierać...

Sharon jeszcze raz próbowała się podnieść, ale mężczyzna ukląkł jej na piersi i nie mogła się ruszyć. Przez panikę, przerażenie i ból czuła siłę, z jaką chwycił jej ramię w swoje potężne ręce. Usłyszała trzask, gdy kość złamała się w łokciu. Zalała ją fala bólu. Zemdlała. Powoli powracała do przytomności czując, jak uderza ją w policzki, by ocknęła się z omdlenia. Nie mogła ruszyć ramionami, a rozdzierający ból powiedział jej, że ma złamaną również drugą rękę. Gdzieś z góry wciąż dobiegał nieprzerwany śmiech.

– ...podoba ci się, Sharon? Jaśnie wielmożna panno Sharon Williams? Boli, suko? Rani? Tak, jak zraniłaś mnie? No co, boli, mammo?

Słowa odplynęły od niej i wszystko zaczęło blednąć. Mamusiu? Zastanawiała się, gdy w miejsce bólu i trwogi pojawiła się faza ostatnia: halucynacja. Powiedział: „mamo”? Czyja mammo? Och, mammo! Tatusiu!... Pomóście mi... pomóście mi... proszę, Boże, niech ktoś... mi pomoże...

Długo przyszło umierać Sharon Williams, postarał się o to. Gdy w końcu było już po wszystkim, ukląkł nad nią z uśmiechem, pozwalając, by przeniknęło go cudowne, niewypowiedziane uczucie zwycięstwa. Potem uniósł ramiona nad głowę i zawył w triumfie ku słońcu.

– Jedna już – powiedział do siebie. – Jeszcze trzy.

Następnie zaniósł ciało Sharon w drzewa, wrzucił do wykopanego uprzednio grobu, cisnął na nie scenariusz i zakopał dół. Zasypał to miejsce ziemią, przykrył liśćmi i wielką suchą gałęzią. Potem pozbiierał łopatę, piknikowe akcesoria, bombonierkę i magnetofon i zszedł do samochodu. Godzinę później kosz piknikowy wraz z zawartością znalazł się w pojemniku na śmieci po drugiej stronie miasta.

Dwie godziny później Victor Dimorta był na pokładzie samolotu lecącego do Pittsburgha.

**V**

**JILL**

## 9. Czwartek, 5 lutego

Jill znów musiała pisać; ta potrzeba narastała w niej od kilku dni, odkąd przerwała pracę nad powieścią. Najsilniej odczuła ją właśnie teraz, wczesnym rankiem, gdy doprowadziwszy się do dobrej formy, dawnym zwyczajem weszła do gabinetu i włączyła komputer. Zazwyczaj niespełna pół godziny po śniadaniu była już pogrążona w codziennym rytmie pracy.

Tego ranka nie zjadła śniadania. W istocie bowiem najpierw, pół godziny przed budzikiem, obudziły ją nudności. Usiadła na kanapie w salonie i przyciskając do siebie poduszkę, czuła powoli przepływające przez całe ciało fale mdłości. Kazało jej to pomyśleć o położniku, doktorze Changu i pigułkach, które schowała w szufladzie nocnego stolika. Gdyby przechowywała je w łazienkowej apteczce, Nate mógłby je tam zobaczyć...

Milcz, nakazała sobie. To najbardziej nieodpowiednia pora na takie niezdecydowanie. Najgorszy czas, by nie mieć czegoś do napisania, by nie mieć jakiegoś porannego regulaminu, skoro najlepszą rzeczą jest praca. Z kilku powodów.

Cisnęła poduszkę na bok i wstała. Dość tego, powiedziała sobie. Zażyła lekarstwo i poszła do gabinetu. Napisać coś. Napisać c o k o l w i e k .

\* \* \*

Tego dnia Barney Fleck pierwszą rozmowę telefoniczną odbył o dziesiątej rano. Siedział za zaśmieconym biurkiem z kawałkiem wspaniałego sernika i dużym plastikowym kubkiem kawy, zawdzięczając jedzenie uprzejmości Verny, która w sekretariacie raczyła się cytrynowym pączkiem i herbatą z cytryną. Jak każdego ranka od ośmiu lat ich wspólnej pracy...

Sięgnął po paczkę viceroyów – palił je czasami, gdy nikogo nie było w pobliżu – i wykręcił numer, który Verna cudem zdobyła dla niego w informacji telefonicznej stanu Vermont.

- Hartley College. – W słuchawce rozległ się głos jakiejś kobiety.
- Dzień dobry – powiedział. – Nazywam się Barney Fleck. Poszukuję jednego z waszych byłych studentów. Kto mógłby mi udzielić odpowiednich informacji?
- Cóż, zobaczmy... dział przyjęć, na końcu korytarza... Już pana łączę.
- Dziękuję. Kolejne dwa dzwonki.
- Dział przyjęć. Mówi Cooper, czym mogę panu służyć?

Uśmiechnął się. Jakże uprzejmi byli wszyscy w takich miejscach jak Vermont! W żadnym z nowojorskich college'ów nie ma mowy o takim przywitaniu!

Jednak pani Cooper nie mogła mu pomóc. Jeszcze nie. Okazuje się bowiem, iż Hartley jest bardzo małą uczelnią, a komputery wprowadzono tu mniej więcej osiem lat temu. Wszystkie wcześniejsze akta personalne studentów znajdowały się w jakimś archiwum. Podał więc nazwisko oraz rok przyjęcia Victora Dimorty i – gdy urzędniczka zapytała, o co chodzi – wymyślił na prędkę jakąś historyjkę o niedawno zmarłym dalekim krewnym, który wymienił owego studenta w testamencie. Pani Cooper obiecała, że zadzwoni, gdy tylko będzie mogła wyjść z pokoju i znajdzie odpowiednią teczkę. Podał jej numer swego telefonu, odłożył słuchawkę i jednym kęsem pochłonął pół sernika.

Urzędniczka odezwała się po godzinie. Do tej chwili detektyw związał papiery z szuflady biurka w kulki i rzucał je do kosza na śmieci, który ustawił po przeciwnej stronie pokoju. Najchętniej właśnie tak zabijał czas w oczekiwaniu na ważne informacje. Miał też szczerzy zamiar rozwiązać sprawę Jillian Talbot tak szybko, jak będzie to możliwe.

– Pan Fleck? Znalazłam tę teczkę, ale nie ma w niej zbyt wiele. Ten student spędził tutaj zaledwie jeden pełny semestr i miesiąc drugiego. Potem... cóż, wydaje się, że został relegowany.

– Och, dlaczego?! – zapytał. Bo próbował zgwałcić trzy koleżanki, sam sobie odpowiedział w myślach.

– Nie mam tu żadnej informacji. W dokumentach jest tylko stempel ZAMKNIĘTE. To zazwyczaj oznacza wydalenie z uczelni... Aha, jest tu jeszcze adres i numer telefonu, jaki mieliśmy do niego szesnaście lat temu...

Jill wpatrywała się w «kran komputera, a ów ekran odpowiadał jej spojrzeniem.

Siedziała przy biurku już od godziny, odkąd chwiejnym krokiem przyszła z łazienki, gdzie dopadły ją mdłości. Fizycznie czuła się lepiej. Lekarstwo przepisane jej przez położnika robiło swoje, ale ona – nie. Ekran monitora wciąż był pusty.

Może ta opowieść o gwałcie, pomyślała. Zarys owej historii, opartej na niedawnym wydarzeniu, w które zamieszany był pewien biegacz z Central Parku, miała już w głowie. A jeśli nie złapano tamtego gangu nastolatków? A może tak: sprawcy wciąż są na wolności i obawiają się, że ich ofiara zdołała zachować jakiś obciążający dowód? Dręczyli ją...

Nie. To zbyt bliskie jej własnej sytuacji.

No dobrze, więc może sprawa tego domu, w którym straszy. Usłyszała kiedyś o pewnym domostwie w północnej części stanu Nowy Jork, które zdawało się mieć własną pamięć. Nie mniej niż trzy kolejne rodziny lokatorów pospiesznie opuszczały owo miejsce już po miesiącu...

Nie. Nigdy nie zajmowała się zjawiskami nadprzyrodzonymi i prawdopodobnie szybko zakończyłaby tę historię jakimś prozaicznym, przyziemnym rozwiązaniem.

Nuda, nuda, nuda. Podziwiała Stephen Kinga, Anne Rice i Deana Koontza, ale wiedziała, że nie myśli tak, jak oni. No, dalej, strofowała samą siebie, szczęśliwa, że nie ma już mdłości, ale rozgoryczona brakiem koncentracji. Dalejże!

Kiedy rozległ się dzwonek telefonu, doktor Philbin w pierwszej chwili nie odpowiedziała. Potem, przypominając sobie, iż nie włączyła automatycznej sekretarki, spojrzała na zegarek i przekonawszy się, że zostało jej jeszcze pięć minut do wizyty pierwszego w tym dniu pacjenta, podniosła słuchawkę.

– Doktor Dorothy Philbin, słucham – mruknęła.

– Ummm... Pani doktor?... Czy... Ummm...

Pochyliła się nad biurkiem, od razu zaintrygowana. Męski głos, dość młody, wyraźnie zdenerwowany albo roztrzęsiony, a może jedno i drugie... Ciężki oddech.

– Mówi doktor Philbin – powtórzyła. – Czy mogę panu w czymś pomóc? – Bzdura, pomyślała. Cóż za niedorzeczność, by psychoanalityk zadawał takie pytanie...

I znowu cisza. Potem odezwał się ten sam męski, dość młody głos.

– Ummm, mam pewien niewielki kłopot i zastanawiałem się...

Odczekała chwilę, a potem zapytała:

– Tak?...

– Cóż, chciałbym... chciałbym z panią porozmawiać, jeśli...

– Proszę mi wybaczyć, czy ktoś mnie panu polecił, panie...?

– Nie, nie. Ummm, widzi pani, mieszkam w pobliżu, codziennie przechodzę koło pani domu i zauważyłem na drzwiach tę mosiężną tabliczkę, więc... cóż, chyba chciałbym z kimś porozmawiać. Nigdy tego nie robiłem, ale...

Ach, tak, pomyślała. Jakiś niecierpiący zwłoki problem. Ktoś, kto nie ma żadnego doświadczenia z psychoanalitykami.

– Rozumiem – powiedziała. – Czy to bardzo pilne, panie...?

Przerwa.

– Chyba tak.

Wydawało jej się, że słyszy cichy płacz.

Zerkając w rozkład dnia, zauważyła czerwoną linię tam, gdzie przekreśliła nazwisko pani Schwartz, która odwołała wizytę z powodu przyjazdu krewnych.

– Zdaje się, że mam dziś jeden wolny termin, o czwartej. Czy może pan przyjść?

Tym razem nie było żadnej przerwy, ale wyraźne westchnienie ulgi.

– Och, tak, tak, to świetnie, doktor Philbin.

Sięgnęła po długopis.



- W porządku, proszę mi podać nazwisko, adres i numer telefonu.
- Oczywiście. Miller. Franklin Miller. East Tenth Street 147, mieszkanie 3B. – Podał też numer telefonu.

Ta ulica... pomyślała, dwie przecznice stąd...

- Dobrze, do zobaczenia o czwartej, panie Miller.
- Dziękuję – odpowiedział mężczyzna i odłożył słuchawkę.

Ekran monitora wciąż był pusty.

Jill z długim westchnieniem wyłączyła komputer, sięgnęła po blok żółtego papieru i wyszła do salonu. Wyciągnęła się na kanapie i zaczęła spisywać wszystkie pomysły.

Biegacz-amator gwałci ofiarę. Nie.

Nawiedzony dom. Nie.

Policjantka szantażuje ofiarę. Nie.

Prostytutka (mafioso), zamach na życie prezydenta. NIE!!!!

O Boże, o czym, do diabła, ma pisać?!

Wpatrując się w mały stoliczek, powoli uświadomiła sobie, że leży na nim duża koperta. Ach, tak, przypomniała sobie: wywiad dla miesięcznika. Odłożyła długopis i papier, sięgnęła po kopertę i otworzyła ją. Czytając maszynopis, potrząsała głową ze zdumieniem i niemal śmiała się z ironii tego tekstu.

Wywiad miał nosić tytuł „Madame Tajemnica”, a podtytuł towarzyszący pierwszej stronie w całości wypełnionej przez fotografię głosił: „Swoją czwartą powieścią, zatytułowaną *Pamięć Alicji Lanyon JILLIAN TALBOT* zyskuje prawo do tronu Amerykańskiej Królowej Sensacji!”. Tekst artykułu był równie entuzjastycznie wylewny.

– *Skąd śliczna nowojorska dziewczyna bierze takie drapieżne pomysły?*

– *Cóż, zaczynam od porannej lektury nowojorskich gazet...*

– *Jak się pani czuje jako laureatka nagrody Edgara?*

– *Bardzo miło, dziękuję...*

– *Proszę nam opowiedzieć o Nathanielu Levinie, tym żarliwym*

*młodym malarzu, który jest mężczyzną pani życia...*

– *Och, jest cudowny... to wielki artysta... oboje lubimy tańczyć... oboje nie lubimy udzielać wywiadów...*

(Śmiech.)

– *Och, to wspaniałe, Jill. Przejdźmy teraz do innego tematu. Ma pani śliczne mieszkanie. Co sprawiło, że wybrała pani tę dzielnicę; Greenwich Village...?*

Wpatrywała się w słowa, zastanawiając się, z kim przeprowadzano ów wywiad. Kim była czarująca, beztroška, utalentowana kobieta, którą tak podziwiała owa dziennikarka. Kim była ta kobieta z pięknym mieszkaniem, cudownym kochankiem i fantastycznym poczuciem humoru? Teraz to wszystko wydawało się wprost makabryczne. Wiedziała, nawet teraz, gdy czytała ten artykuł, że w jej świadomości życie będzie już na zawsze podzielone na dwie różne epoki: p.w. i o.w. Przed „Walentynką” i od „Walentynki”...

Od „Walentynki”... O Boże, czy w ogóle będzie coś p o walentynkach? A jeśli tamten jest kimś więcej niż jakimś nawiedzonym natrętem? A jeśli jest...

Tamten martwy szczur spoglądający na nią z dywanu.

... jeśli jest naprawdę niebezpieczny?

*Kocham Greenwich Village. Sądzę, iż wielu artystów mieszka tu dlatego, że...*

Z cichym okrzykiem niesmaku Jill cisnęła artykuł na stół. Dostyc tego, pomyślała. Uporam się z tym! Ten oślizgły padalec... Victor Dimorta, czy ktokolwiek to, do diabła, jest... nie będzie triumfował... Ja...

I właśnie wtedy, całkiem nie zapowiedziana, przyszła jej na myśl sugestia, która Mary podsuwała jej poprzedniego wieczoru.

Tak, pomyślała. Tak...

Z nagłym, wszechogarniającym poczuciem pewności siebie i z wielką ulgą Jill wróciła do gabinetu i podniosła słuchawkę telefonu.

Rozczarowany i rozgoryczony Barney z trzaskiem odłożył słuchawkę telefonu. Siedząca w sąsiednim pokoju Verna drgnęła lekko na ten dźwięk zanim wróciła do codziennej lektury *New York Timesa*.

Niech to szlag! pomyślał. I co teraz?

Pochylił się nad telefonem i nacisnął przycisk interkomu. Ignorując fakt, że drzwi są szeroko otwarte i dzieliły ich zaledwie trzy metry, wyszeptał do mikrofonu.

– Panno Poole, czy zechcę pani tu przyjść? Proszę wziąć ze sobą notes.

Uśmiechnął się, a rozgoryczenie zniknęło w szalonym zachwycie, w jaki wprawił go szelest odkładanej gazety, trzask odstawanego krzesła i odgłos wydawany przez jej pantofle, gdy weszła do jego gabinetu i rozbawiona, stanęła po przeciwnej stronie biurka. Nie miała przy sobie notesu, a ów interkom był starym żartem i żadne z nich nie pamiętało, jak się to zaczęło.

– O co chodzi, Barney? – zapytała.

Rozjaśnił się cały w uśmiechu.

– Potrzebne mi dobrodziejstwo twojej nieocenionej wyborczej rady.

Odwzajemniła mu uśmiech.

– Mów!

– Zdaje się, że Victor Dimorta nie mieszka już w Mill City przy Franklin Street 7, w stanie Pensylwania. Pod numerem telefonu, który podano mi w college'u odzywa się automat „numer został wyłączony...”. Zadzwoń do stanowego biura informacyjnego, ale powiedziano mi, że nie mają w spisie rodziny Dimortów. Kropka. Co powinienem teraz zrobić?

Verna wyprostowała się, obdarzyła szefa pobłażliwym spojrzeniem i sięgnęła po leżącą na biurku kartkę z informacjami o poszukiwanym człowieku.

– Powinieneś zejść na dół i zjeść lunch – odpowiedziała swym najbardziej macierzyńskim tonem. – Do Argonauty. Odpocznij sobie.

Wracając przynieś mi filet z indyka na grzance. Z sałatą, bez pomidorów. Sos Tysiąc Wysp, ale nie za dużo. I herbatę z cytryną. Ty płacisz. A ja zaraz to załatwię.

Z tym samym uśmiechem odwróciła się i wyszła do swego pokoju. Gdy kilka chwil później mijał ją idąc do drzwi, rozmawiała ze swojego telefonu.

– Dzień dobry, proszę mi podać numer rady miejskiej w Mill City...

Barney zszedł do greckiej restauracji na rogu, gdzie najczęściej jadał lunch. Usiadł przy kontuarze i poprosił o befsztyk, gawędząc z panem Colourisem, właścicielem Argonuty. Rozmawiali o footballu i polityce, bo w tych dwóch sprawach pan Colouris był światowej klasy autorytetem. Przesiedziawszy tam godzinę, detektyw zamówił jedzenie dla Verny i wrócił śliskim trotuarem na czwarte piętro swego budynku.

Ta właśnie stenografowała coś z szybkością jednej mili na minutę. Przed sobą miała rozłożony notes, przy uchu słuchawkę i szybko zapisywała to, co jej przekazywano. Nie podniosła wzroku, gdy Barney postawił przed nią torbę z lunchem, ale natychmiast do niej sięgnęła, by wyjąć kubek z herbatą.

– Tak... tak... tak... – Te słowa były jej jedynym wkładem w prowadzoną przez telefon rozmowę.

Detektyw wrócił do swojego pokoju, zdjął płaszcz, rękawiczki i usiadł. Wykonał niemal pięćdziesiąt rzutów papierowymi kulkami do kosza na śmieci, trafiając zaledwie dziesięć razy, gdy usłyszał, że Verna odkłada słuchawkę telefonu. Weszła do jego pokoju, przerzucając kilka stron notosu i ponownie czytając wszystko, co zapisała. Gdy w końcu podniosła wzrok, spostrzegł, że sekretarka ma twarz białą jak płótno i rozszerzone ze zdumienia oczy.

– Nie uwierzysz! – wyszeptała.

\* \* \*

Pół godziny później Jill powitała Barneya Flecka w swoich progach. Powiesiła płaszcz detektywa do szafy i gestem wskazała mu krzesło. Właśnie przygotowała dzbanek ziołowej herbaty, więc przyniosła dwa kubki i postawiła je na stoliku. Potem usiadła na kanapie naprzeciwko swego gościa, odsuwając na bok bezużyteczną kopertę z maszynopisem artykułu.

– A zatem – odezwała się – co cię tak podekscytowało?

Barney przyglądał się przez chwilę swej klientce, oblizwał wargi i zaczął mówić:

– Cóż, wydaje się, że chyba na coś wpadliśmy. Mam na myśli Victora Dimorte. Jesteś na to przygotowana? Zamordował swoich rodziców! Mniej więcej dwa tygodnie po relegowaniu go z Hartley College. Dwanaście lat spędził w więzieniu. Potem... i w to nie uwierzysz; ja zresztą też nie mogę uwierzyć!... został zwolniony. Zwolniony warunkowo! Jako „wzorowy więzień”. Od czterech lat jest na wolności. I tu rzecz najważniejsza: niedługo po owym zwolnieniu... ściśle mówiąc po dwóch miesiącach... pan Victor Dimorta znika z powierzchni ziemi. Od tego czasu nie widziano go ani nie słyszano! Jak ci się to podoba?

– Nie... – odparła Jill, patrząc na niego z powagą. – Nie podoba mi się... Wcale mi się nie podoba...

– Taaak... – zgodził się z nią detektyw.

W przerwie, jaka teraz nastąpiła, jednocześnie sięgnęli po kubki z herbatą i pili ją długimi łykami.

– Opowiedz mi o tych morderstwach – odezwała się po chwili Jillian.

Barney wyciągnął z kieszeni plik pogniecionych arkusików. Przeglądał je przez chwilę i marszcząc brwi, próbował odczytać czyjś charakter pisma. Rzuciła okiem na zapisane kartki. Stenografia. Prawdopodobnie notatki sekretarki.

– W porządku – powiedział wreszcie. – Już wszystko wiem. Szesnastego lutego tamtego roku Victor został wydalony z Hartley i wrócił do domu w Mill City w stanie Pensylwania. Pomimo wielkomiejskiej nazwy jest to małe miasteczko leżące w odległości około siedemdziesięciu mil na północny wschód od Pittsburgha. Znajduje się tam jakaś dawno

nieczynna papiernia... Cała ta miejscina to coś w rodzaju miasteczka duchów. Ojciec Victora – tu Barney zjrzał do notatek – Joseph Dimorta, stracił pracę jako brygadzysta w tej papierni, gdy przeniesiono ją gdzie indziej. Pił, uganiał się za kobietami, obrzucał wyzwiskami żonę i syna...

Siedziała, słuchając tej niesamowitej, odrażającej, a jednak dziwnie nieuchronnej opowieści. Pomimo okropnego życia rodzinnego Victor znakomicie się uczył, wykazując szczególne uzdolnienia literackie. Nauczycielka angielskiego ze szkoły średniej opowiedziała mu o Hartley College. Sama ukończyła tę uczelnię i nawet rozmawiała o Victorze z jednym ze swych dawnych profesorów. Rezultatem jej zabiegów było uzyskanie dla zdolnego ucznia częściowego stypendium w Hartley. Jednak tylko częściowego... I właśnie tu w owej historii dokonał się jakiś zwrot. Zdaje się, że Victor nie powiedział rodzicom o college'u, ale mając trochę własnych pieniędzy po babce, uciekł do Hartley. Studiując na tej uczelni mieszkał w tanim motelu nieopodal kampusu i pracował jako kelner w motelowej restauracji. Tylko jeden miesiąc drugiego semestru... Cóż, o tym Jill wiedziała. Władze szkoły wezwały jego rodziców i państwo Dimorta rzeczywiście przyjechali do Vermontu, żeby zabrać syna. Kiedy dojechali do domu, ojciec – jak twierdził adwokat Victora – pobił go niemal na śmierć i na trzy dni zamknął w schowku na ubranie. Zdarzyło się to nie pierwszy raz; obrońca z urzędu twierdził, że Victor był przyzwyczajony do tak osobliwej kary.

Angela Dimorta była słabą, bezwolną kobietą. Pozwalała, by pastwił się nad nią mąż tyran i nigdy nie przeszkodziła w okrutnym traktowaniu Victora. Właśnie to przyczyniło się do jej śmierci.

W ostatnim dniu lutego, dwa tygodnie po relegowaniu z uczelni, Victor zakradł się do sypialni rodziców i podciął im gardła wielkim kuchennym nożem do krojenia mięsa. Pani Dimorta zginęła natychmiast, ale pan Dimorta walczył. Sąsiad usłyszał hałas i wezwał policję. Pół godziny później Victor został aresztowany. Znaleziono go skulonego w schowku. Płakał. Dla wszystkich było oczywiste, że zbrodnia, jakiej dopuścił się ten chłopak, była rezultatem psychicznej i fizycznej udręki. Wzięto pod

uwagę jego młodość, ale o wydarzeniu w Hartley College nawet nie wspomniano. Nigdy nie doszło do właściwego procesu; prokurator zaproponował przyznanie się do winy w zamian za łagodniejszą kwalifikację czynu oraz niższy wyrok i Victor otrzymał piętnaście z trzydziestu lat za każde z dwóch przestępstw umyślnego pozbawienia życia. Początkowo umieszczono go w najpilniej strzeżonej części najbliższego więzienia stanowego, ale po trzech latach dobrego zachowania został przeniesiony do oddziału o średnim rygorze i obniżono karę, gdy naczelnik i zarząd więzienia uznali, iż nie stanowi on zagrożenia dla społeczeństwa. Kiedy zaś odsiedział dwanaście lat, wyszedł na wolność za dobre sprawowanie. Miał wspaniałą opinię, spędzał bowiem większość czasu na różnego rodzaju zajęciach resocjalizacyjnych, a nawet przez kilka lat uczył innych więźniów literatury angielskiej, co pomogło mu uzyskać zmniejszenie kary. Rozmowy Victora z przedstawicielami władz stanowych i psychiatrami badającymi jego sprawę przebiegły bardzo dobrze, poza tym więzienie było zatłoczone, nie mówiąc już o długiej... „liście oczekujących”, więc za owo dobre sprawowanie obdarzono go wolnością. Opuścił więzienie i wynajął pokój w Pittsburghu. Dzięki pomocy kuratora dostał pracę w magazynie miejscowego domu towarowego i przez siedem tygodni przykładowo stawiał się na cotygodniowe spotkania z owym kuratorem. A potem zniknął.

– ... I nie chodzi o to, że po prostu zniknął – ciągnął Barney – ale że zniknął tak, jakby nigdy nie istniał. Jakby się zdematerializował: puuuf i już! Bez śladu! Szukali go jak szaleni, ale... – wzruszył ramionami i oparł się o poręcz krzesła.

Jill siedziała w milczeniu, zastanawiając się nad wszystkim, co usłyszała. Czuła, że znowu zbiera jej się na mdłości, ale wiedziała, że tym razem to nie dziecko było ich przyczyną.

– Co teraz? – zapytała w końcu.

Wysoki, zwalisty, detektyw znów pochylił się do przodu i popatrzył na nią zyczliwie.

– Cóż – powiedział – pomyślałem...



Siedział w oknie na wprost mieszkania Jillian Talbot i słuchał. Mocno zacisnął powieki. Wspominał. Gorące łyż palily mu rozpalone policzki.

Gdy usłyszał pomysł detektywa i zobaczył, że Jillian Talbot wstaje i idzie do swego gabinetu, otarł oczy i wolno pokiwał głową.

Jill wróciła do salonu i podała Barneyowi swój studencki album.

– Wszystkie nazwiska i adresy są na końcu – powiedziała. – Są tu wszyscy absolwenci mojego rocznika. Nie wiem, gdzie teraz się znajdują...

– W porządku – odrzekł, uśmiechając się uspokajająco. – Verna jest mistrzynią w uaktualnianiu informacji tym swoim „komputerem”. Zadzwoń do ciebie.

Skinęła głową i odprowadziła detektywa do drzwi. Gdy wyszedł, wróciła na kanapę i znów sięgnęła po kopertę z maszynopisem udzielonego przez siebie wywiadu. Wpatrywała się w nią długo, a potem z westchnieniem cisnęła tekst na bok i ponownie poszła do gabinetu, by zatelefonować do Nate'a.

Nowojorska Tenth Street jest stosunkowo cichą ulicą, ale tylko mniej więcej do czwartej po południu, gdy do popołudniowego wzmożonego ruchu pozostaje jeszcze cała godzina. Z drugiej zaś strony ma charakter raczej mieszkalny niż handlowy, więc kręci się po niej niewielu ludzi. Niemal nic nie może się tu zdarzyć, by ktoś tego nie zauważył.

Gdy u drzwi rozległ się dzwonek, doktor Dorothy Philbin była w swym gabinecie sama. Pacjent umówiony na trzecią wyszedł przed dziesięcioma minutami, więc przeglądając notatki sporządzone podczas tej wizyty, zastanawiała się nad pójściem do kuchni po filiżankę kawy. Od czterech lat była wdową i mieszkała sama. Ostatnio myślała nawet o sprzedaniu tego dużego dwupiętrowego domu i nabyciu jakiegoś małego mieszkania w górnej części Manhattanu, bliżej córki i wnucząt. Filiżanka kawy...



pomyślała, gdy usłyszała dzwonek. Wstała ze skórzanego fotela, wygładziła na sobie szary kostium i poszła otworzyć drzwi. Stał w nich wysoki, zdenerwowany młody człowiek; mężczyzna którego nigdy przedtem nie widziała.

– Pan Miller? – zapytała.

– Tak, to ja, doktor Philbin – odrzekł, próbując się uśmiechnąć, ale najwyraźniej był czymś zaabsorbowany.

Zdesperowany... pomyślała.

– Proszę wejść – zaprosiła nowego pacjenta.

Minął learkę i wszedł do poczekalni, a kobieta zamknęła drzwi i wprowadziła go do gabinetu. Przybyły stał pośrodku pokoju, gdy przechodził obok do swego biurka.

– A zatem – zaczęła – co może być przyczyną...

To były jej ostatnie słowa. Nie zauważyła noża.

W kilka sekund było po wszystkim. Potem ułożył ją delikatnie na podłodze i wyślizgnął się na ulicę. W niespełną minutę był na skrzyżowaniu. Skręcił w Fifth Avenue i zniknął.

Jedenaście z dwunastu olbrzymich płócien stało wzdłuż dwóch bocznych ścian pracowni; tylną zdominowało największe dzieło, zatytułowane „Życie”. To właśnie przed nim stali we czworo o dziewiątej wieczorem.

Jill spoglądała na obraz, zastanawiając się, jak go rozumieć. „Siedem epok człowieka” nie stwarzało trudności; Szekspir wspaniałomyślnie i wielkodusznie opatrzył je tekstami jakieś czterysta lat temu. Nate zgodził się, że rozdzielenie słynnego monologu ze sztuki *Jak wam się podoba* na siedem kolejnych części i umieszczenie ich w katalogu wystawy było dobrym pomysłem. Każda z „Czterech pór roku” także otrzymała odpowiedni poetycki cytat z któregoś utworu Szekspira. Milczące porozumienie między artystą i agentem stanowiło, iż cytaty będą jednorodne. Ostatni obraz wymagał czegoś, co odnosiłoby się do kondycji człowieka, ale czego...? Jill wpatrywała się w jaskrawe, wirujące plamy ostrych kolorów i w niewielki punkt czystej bieli niemal w samym środku płótna. Czy to Bóg? Zastanawiała się. Rodzaj ludzki? Duch? Nie chciała pytać, zresztą może

Nate nie umiałby jej tego wyjaśnić. To dramatyczne *panneau* było wyrazem jego odczuwania życia. Prawdopodobnie nie znalazłby słów...

– To ciekawe... – powiedziała do niego teraz. – Ja posługuję się słowem, ty obrazem, a przecież oboje robimy to samo...

Nate, stojąc obok Jill przed obrazem, uściśnął jej rękę, a potem pochylił się, by w odpowiedzi pocałować jej włosy.

– Chcecie zostać sami? – zapytała Tara zza ich pleców. – Chciałam przez to powiedzieć, że jeśli ta twórczość przyprawia was o chęć wzajemnego zdzierania z siebie ciuchów lub czynienia czegoś podobnego, to zapewniam, że ja i Doug możemy iść bawić się gdzie indziej.

Wszyscy się roześmiali. Wszyscy, oprócz Douga Barona, co Jill zauważyła, gdy odwróciła się od obrazów, by spojrzeć na twarze pozostałej trójki. Nowy znajomy znów ją zastanawiał. Przez całą kolację w tej ukraińskiej restauracji przyłapywała Douga, jak się jej przyglądał, przez cały czas czuła na sobie jego wzrok. Powinien przecież patrzeć na Tarę, pomyślała. Przypomniała sobie słowa przyjaciółki z poprzedniego wieczoru; Tara wspomniała, że zmarła żona Douga, modelka, była do niej podobna. Zastanawiała się więc, czy to tłumaczy owe częste, ukradkowe spojrzenia...

Przyszło jej to na myśl zgoła nieoczekiwanie i naprawdę nie wiedziała, co kazało jej o tym pomyśleć. Jeszcze raz obróciła się do wielkiego obrazu wieńczącego cykl stworzony przez Nate'a. Spojrzała na jaskrawe, wirujące kłębowisko barw, a potem jej oczy powędrowały ku małej, niemal niewidocznej plamce bieli pulsującej w środku. Czy to Światłość? Nadzieja? Nieśmiertelność?

Potem, myśląc o własnym, prywatnym, osobistym związku z artystą, który to stworzył, zrozumiała... I zanim sobie to uświadomiła, odezwała się słowami Mirandy z Szekspirowskiej *Burzy*:

O cudzie!

Ileż pięknych stworzeń widzę!

Jak pełny wdzięków ludzki ród ia ziemi!

Jak jest szczęśliwy świat nowy,

co żywi takich mieszkańców!

W pracowni zapanowała cisza i wszyscy przyglądali się obrazowi. Przerwał ją dopiero pełen czci szept Douga Barona.

– Tak... – powiedział. – Tak...

Odwrócił się, by całkiem otwarcie popatrzeć na Jill.

**VI**

**WIATR**

## 10. Dwa lata wcześniej

Gdy dwudziestego piątego stycznia Victor Dimorta przybył do Buffalo, dowiedział się, że Belinda Rosenberg nie mieszka już pod swym dawnym adresem. Telefonował do wszystkich Rosenbergów, jakich znalazł w książce telefonicznej miasta, dopóki nie natrafił na jej matkę. Wyjaśnił, że jest dawnym kolegą Belindy z Hartley College i że przyjechał do Buffalo w interesach. Ona zaś powiedziała mu, że Belinda mieszka w stanie Kolorado.

Czterdzieści osiem godzin później, dwudziestego siódmego stycznia, był już w lesie nieopodal domu na wzgórzu górującym nad miastem Boulder i obserwował Belinę Rosenberg-Kessler przez lornetkę.

Dwudziestego siódmego stycznia Belinda wcześniej wróciła z nart, żeby przygotować specjalny obiad. Zatrzymała się w śródmiejskim supermarkecie i kupiła wszystkie składniki ulubionego dania jej męża. Chciała podać steki z polędwicy, pieczone ziemniaki z kwaśną śmietaną, sałatę i nowojorski sernik. Pamiętała nawet o chipsach kukurydzianych i paprykowych, a także o francuskim serze pleśniowym, potrzebnym do sosu, jaki należało przyrządzić do sałaty.

Wkładając zakupy do bagażnika, uśmiechnęła się do siebie, na myśl, co powiedziałyby jej matka na to ulubione danie Jake'a. Lea Rosenberg, choć zdecydowanie nieortodoksyjna, ściśle przestrzegała zasad religii, przynajmniej w kwestii jedzenia. Jacobowi Kesslerowi zaś, którego od ostatniego ortodoksyjnego Kesslera dzieliły trzy pokolenia, sprawy te przypominały się jedynie przy okazji wesel i pogrzebów. Podobnie jak jego rodzice, uważał się bowiem za żydowskiego ateistę, a jako najlepszy dowcip powtarzał stworzoną przez swą konserwatywną babcię definicję Zreformowanych Żydów („Katolicy!”). Belinda, Zreformowana Żydówka, zawsze się z tego śmiała.

Weszła jeszcze do sklepu z alkoholem po dwie butelki ulubionego burgunda jej męża, które właściciel dla niej odłożył, i po namyśle dodała również butelkę Perrier-Joeut. Tak, pomyślała, wkładając wszystko do bagażnika, zamiast cocktailu kieliszek szampana... Z chipsami... On to tak lubi...

Wjechała na wzgórze i skręciła w podjazd. Dom, położony na urwisku, z którego rozciągał się wspaniały widok na miasto, oddzielony był od najbliższych sąsiednich skarp gęstymi warstwami wiecznie zielonej roślinności. W jego kamiennie-drewnianej konstrukcji dominowało szkło: duże okna i rozsuwane drzwi wiodące na biegnącą wokół całego domu werandę. Znów uśmiechnęła się, wynosząc sprawunki z samochodu i wchodząc do środka. Kochała ten dom. Kochała od chwili, gdy dziesięć lat temu ujrzała go pierwszy raz.

Romeo przeciągał się na kanapie w salonie, a Julia spała obok na puszystym dywanie. Gdy Belinda weszła z zakupami do domu i skierowała się do kuchni, syjamski kocur zeskoczył z kanapy i pospieszył za swą panią. Postawiła torby na kuchennym blacie i właśnie odwróciła się w stronę piekarnika, gdy rozdzwonił się telefon wiszący na ścianie tuż obok lodówki. Zsuwając z siebie płaszcz, podniosła słuchawkę.

To jej siostra, Jessica, telefonowała z Buffalo. Rodzice Belindy dzwoniли już wcześniej, by powiedzieć, żeby oczekiwała przesyłki pocztowej. Teraz przyjęła gratulacje Jessiki i przez następne piętnaście minut odbierała serwis wiadomości rodzinnych. Kiedy, odłożywszy słuchawkę, powróciła do rozpakowywania toreb z zakupami, wydawało jej się, że coś zobaczyła, jakiś lekki ruch między drzewami za kuchennym oknem. Nie, pomyślała, to tylko wiatr. Poza tym robiło się zbyt ciemno, by cokolwiek zobaczyć.

Spojrzała na kuchenny zegar: kwadrans po piątej. Ruszaj się, pomyślała.

Kiedy wyjęła z torby stek, Romeo wskoczył na blat i zaczął ocierać się o jej rękę. Ze śmiechem włożyła mięso do lodówki i odwróciła się, by go strącić na podłogę.

– Przykro mi, kotku, to nie dla ciebie.

Z głośnym pomrukiem oburzenia wygiął grzbiet, zeskoczył na dół i poszedł do swego kąta. Po chwili Belinda usłyszała ciche odgłosy chrupania; z rezygnacją zjadał kocią karmę. Romeo i Jake, pomyślała, moi mężczyźni są uzależnieni od mięsa. Julia, podobnie jak Belinda, wołała ryby.

Znów zadzwonił telefon. To Toni, jej najlepsza przyjaciółka, którą przed godziną zostawiła w klubie narciarskim. Tak, kupiła wszystko na obiad. Nie, Jake'a jeszcze nie ma. Tak, spotkają się jutro. Toni jeszcze raz złożyła jej gratulacje – Belinda podziękowała i odwiesiła słuchawkę.

Szybko przygotowała sałatę i sos, a potem wstawiła je do lodówki razem z mięsem, sernikiem i szampanem. Dwa ziemniaki owinęła folią i włożyła do piekarnika. Pewną trudność sprawiło jej otworenie burgunda, bo nigdy nie umiała przytrzymać korkociągu pod właściwym kątem. Postawiła otwartą butelkę na kontuarze, by wino „nabrało oddechu”, pogłaskała Romea po głowie i poszła do sypialni.

Po krótkim, ciepłym prysznicu stała naga przed łazienkowym lustrem, nakładając świeży makijaż. Przyglądała się sobie krytycznie, myśląc: nieźle, jak na trzydzieści pięć lat. Ciemne włosy wyglądały dokładnie tak samo jak wtedy, gdy była w college'u; były gęste, lśniące i bez śladu siwizny. Figurę miała równie nieskazitelną: piersi i uda równie jędrne jak zawsze, a brzuch płaski. Wszystko dzięki uprawianiu narciarstwa. Mruknęła okiem do swego odbicia w lustrze i znów się roześmiała. Wielkie orzechowe oczy zawsze były jej największym atrybutem.

Tak, pomyślała spryskując się ulubioną wodą Jake'a. Tak...

Ogrzewanie było włączone, to dobrze. Mogła więc włożyć tę suknię, w której podobała się Jake'owi najbardziej; tę z granatowego jedwabiu, krótką, z dużym dekoltem. Gdzież się podziały granatowe szpilki...? Znalazła je, potem szybko włożyła na szyję złoty łańcuszek i wyszła, by nakryć do stołu w jadalni. Dziś wieczorem będą jeść tutaj, nie na werandzie, gdzie nawet by wołała. Na zewnątrz panował chłód, ale z pewnością nie zacnie padać śnieg. Ciemniejące niebo nad miastem było czyste.

Wróciwszy do kuchni, Belinda zobaczyła, że Julia obudziła się i przyłączyła do swego brata na kontuarze. Wystarczyło jedno spojrzenie pani, by oboje zeskoczyli na podłogę. Wiedzieli, o co chodzi. Uśmiechnęła się; ona i Jake od samego początku postanowili nie mieć dzieci, więc Romeo i Julia wypełniały tę pustkę.

Właśnie wsypywała chipsy do funkcjonalnej, lecz dość szkaradnej meksykańskiej glinianej miski, którą otrzymali w prezencie ślubnym od jakiegoś dalekiego kuzyna, gdy znów zadzwonił telefon.

– Halo?

– Cześć, kochanie.

– Jake! Kochanie, gdzie jesteś? Właśnie...

– Posłuchaj, ślęczę tutaj nad papierami i nie wiem, o której wrócę. Czekamy na wiadomość z Nowego Jorku o tych kontraktach Fremonta, wiesz, tego nowego klienta, o którym ci opowiadałem. Potem muszę naskicować nowy...

– Stop, stop! Przejdź do rzeczy: przyjedziesz do domu na obiad?

– O rany, siedzę tutaj z kanapkami, Ellie właśnie wyszła po kawę dla wszystkich. Powiedziałem ci, że mogę być późną nocą. Przecież nie robiłaś tego obiadu dla mnie, prawda?

Belinda wpatrywała się w chipsy.

– Nie. Właśnie... właśnie miałam zrobić coś dla siebie. Pracuj więc nad tymi kontraktami czy czymś, a zobaczymy się później.

– W porządku, kochanie. Nie czekaj. Całuję... – I już go nie było.

Belinda odłożyła słuchawkę i stanęła przy kuchennym blacie, spoglądając na jedzenie. Nie była pewna, jak długo tam stała, gdy poczuła, że jeden z kotów ociera się o jej nogę. Lekko potrząsnęła głową, wyjęła z piekarnika ziemniaki i włożyła je do lodówki, a potem zakorkowała wino i wróciła do sypialni, żeby zdjąć suknię.

Włożyła szlafrok, odgrzała upieczony ziemniak i zjadła go z niewielką ilością sałaty. Zmyła makijaż, wzięła kolejny prysznic i umyła włosy.

Zrobiła sobie filiżankę herbaty, położyła się do łóżka i czytała przez chwilę. O dziesiątej sięgnęła po telewizyjnego pilota i włączywszy telewizor, obejrzała wiadomości. Gdy dobiegły końca, wyłączyła go i zgasiwszy



nocną lampkę, leżała długo wpatrując się w sufit.

Jake przyjechał do domu tuż po jedenastej. Z tego, jak się rozbiegał w drodze do łazienki, Belinda mogła się domyślić, że był wykończony. Położył się obok, pocałował ją w czoło i natychmiast zasnął. Leżała, przez chwilę patrząc jak on śpi, a potem znów skierowała wzrok na sufit. Równy oddech męża był jedynym dźwiękiem, jaki słyszała, gdyż sama płakała bezgłośnie.

Dwudziesty siódmy dzień stycznia: dziesiąta rocznica ich ślubu.

Z Belindą Rosenberg-Kessler nie mógł postąpić według swojego ustalonego planu i odczuwał w związku z tym pewną irytację. Wolałby zbliżyć się do niej romantycznie, tak jak zdobył Sharon Williams. Miał też pomysł, który na samym początku przyszedł mu do głowy w więzieniu; pomysł wysyłania kartek i podarunków w dniach poprzedzających to oraz śpiewania im „Valentine”. A kiedy w końcu dokonał wyboru środków, zrozumiał, że pomysł z bombonierką był zły i nie wykorzystał go ani razu. Mógł jednak przynajmniej wykorzystać muzykę.

Mąż Belindy pracował w dużej firmie prawniczej położonej w śródmieściu, spędzając tam imponującą liczbę pracowitych godzin przez sześć dni w tygodniu. Cierpiąc na brak towarzystwa małżonka, Belinda zwróciła się ku głównej rozrywce stanu Kolorado: ku narciarstwu. Była wprost fanatyczką tego sportu. Niemal każdego dnia umieszczała narty na dachu samochodu i przez kilka godzin z pasją szusowała i slalomowała. Zwykle robiła to w towarzystwie najlepszej przyjaciółki, kolejnej entuzjastki, Toni Stanton, która była kobietą samotną.

Jedno spojrzenie na Toni pozwoliło Victorowi zrozumieć, iż znalazł oto sposobność. Była wysoka, smukła, dobrze zbudowana, wysportowana i bardzo ładna. Miała niebieskoszare oczy i jasne, kręcone włosy. Skoro nie może romansować z Belindą, to przynajmniej Toni zapewni mu okrężną drogę do osiągnięcia zamierzonego celu. Ilekroć obie znajdowały się w ośrodku narciarskim, Toni spędzała tyle samo czasu na poszukiwaniu jakiegś zdobyczy, ile na jazdę na nartach.

Victor nigdy w życiu nie jeździł na nartach, ale nauczył się w rekordowo szybkim czasie – poświęcił zresztą znaczną sumę, by zaangażować najlepszego tutejszego trenera. Były brązowy medalista olimpijski pracował z nim trzy godziny dziennie przez cały tydzień i oto rezultat był imponujący.

Tym razem wybrał imię „Leonardo” i nadał sobie włoskie nazwisko Vaneti, ponieważ dobrze brzmiało: wielu słynnych narciarzy, podobnie zresztą jak i kierowców wyścigowych, było Włochami, ponadto wyobraził sobie, że może wykorzystać swe włoskie pochodzenie. Gdy trener zapytał, dlaczego musi tak szybko stać się mistrzem jazdy na nartach, wyszczerzył zęby i wskazał na krocze i obaj wybuchnęli lubieżnym śmiechem.

Namówienie trenera, by przedstawił go Toni, było fraszką. Fakt, iż Toni przedstawi go Belindzie, był oczywisty.

Pierwszą zmianą, jaką dostrzegł w drugim „Żywiole”, gdy zobaczył kobietę z bliska, było to, iż jej śliczny nos stał się lekko skrzywiony. Przypominając sobie dlaczego, Victor uśmiechnął się szeroko, gdy ścisnął jej dłoń.

– Beli, to jest Leonard Veneti. Len, poznaj moją przyjaciółkę Belinę Kessler.

– Miło mi panią poznać – rzekł wysoki, przystojny mężczyzna, a potem uśmiechnął się i uściśnął jej dłoń.

Belinda właśnie weszła do klubu narciarskiego. Była trochę spóźniona i spodziewała się, że zastanie tu Toni samą, zaniepokojoną i wymownie spoglądającą na zegarek, jak zwykła to czynić w podobnych okolicznościach. Dziś było inaczej: Toni siedziała przy kominku z tym przystojnym nieznanym i oboje zaśmiewali się serdecznie. Gdy przyjaciółka weszła do środka, Toni zerwała się, chwyciła swego towarzysza za rękę i pociągnęła przez całe wnętrze. Miała na sobie najbardziej obcisły sweter, jak zauważyła Belinda, i ostrzejszy niż zwykle makijaż. A więc to był ów tajemniczy mężczyzna, na którego Toni polowała przez ostatnie trzy dni...

– Dzień dobry, panie Veneti – powiedziała Belinda, podając mu rękę.

– Proszę mi mówić: Len.

– A mnie: Belinda – odrzekła z uśmiechem.

Toni wskazała ręką jadalnię narciarskiego domku.

– Pomyślałam, że moglibyśmy zjeść lunch, zanim wyjedziemy walczyć ze śniegiem. Co wy na to?

– Wspaniale – mruknęła Belinda.

Zawsze jadły tu lunch przed nartami, więc obwieszczenie Toni było oznaką włączenia Lena do ich codziennego programu. Cóż, czemu nie... pomyślała, i we troje skierowali się do restauracji. Ten wygląda na miłego faceta, podczas gdy kilku ostatnich przyjaciół Toni wprost trudno było znieść. Naiwna, wciąż poszukująca Toni... Belinda dziękowała Niebiosom za Jake'a, mimo jego oddania firmie prawniczej i skłonności do zapomniania o takich sprawach jak urodziny czy rocznice ślubu. Przynajmniej ją kochał i co wieczór wracał do domu. Nie potrafiła sobie wyobrazić, iż mogłaby żyć sama i wciąż rozglądać się za jakimś Właściwym Mężczyzną lub, jak zwykła mówić Toni... Natychmiastowym Mężczyzną.

Gdy siadały przy stoliku koło okna, Len podsunął im krzesła. Belinda uśmiechnęła się znowu; ta sala z wielką szklaną ścianą zapewniającą panoramiczny widok stoków i skał wznoszących się majestatycznie w tle zawsze przypominała jej kafejkę w Hartley, a pod pewnymi względami Toni także była dość podobna do Sharon Williams. Zawsze podążam za liderką, pomyślała Belinda, zamawiając sałatkę nicejską i kawę.

– A więc, Len – odezwała się, gdy złożyli zamówienia – mieszkasz tutaj, w Boulder?

– Nie, przyjechałem z Los Angeles. Jestem fotografikiem, pracuję głównie dla miesięczników. Teraz zbieram materiał do reportażu o sportach zimowych. Tym właśnie mam się zajmować – odparł i uśmiechnął się, spoglądając na Toni. Młoda kobieta się rozpromieniła.

– Czy mogę ci w tym pomóc, jeśli okażę się *femme fatale*? Powinnaś była widzieć go wczoraj, Belin. Franz dawał mu wskazówki, a on jechał chwiejnie z aparatem fotograficznym na szyi. W końcu Franz zasugerował, że może byłoby lepiej, gdyby zostawił ten aparat. Ja, życzliwa dusza, podeszłam i zaproponowałam, że go potrzymam. I... nie uwierzysz, co

powiedział, gdy mnie zobaczył!

Belinda, która już przedtem słyszała podobne opowieści, uśmiechnęła się tylko.

– Powiedz.

– Spytał: „Franz, kim jest ta wspaniałomyślna istota?”, a Franz na to: „To jest Toni Stanton, kobieta, w którą wpatrujesz się przez ostatni tydzień”. Oto, jak wyglądała „scena poznania”!

– „Scena poznania”? – włączył się Len.

– Tak nazywają to w filmach. Niczym Cary Grant i Audrey Hepburn w *Szaradzie*... Też przypadkowo spotkali się w narciarskim kurorcie. Był tam jakiś chłopiec, który wciąż strzelał do nich z wodnego pistoletu. Przyznali, że oboje chcieli go zamordować i właśnie to ich ze sobą połączyło. Scena poznania.

Gdy pojawił się przed nimi lunch, wszyscy troje bawili się doskonale. Belinda stwierdziła, że Len jej się podoba. Był inteligentny i wydawał się bardzo zainteresowany Toni. Ich wzajemne onieśmienie mówiło Belindzie, że jeszcze nie zostali kochankami. Jednak, znając Toni, była to tylko kwestia czasu.

Opowiedzieli jej o wstępnym planie wspólnej jazdy na nartach w najbliższy czwartek i zapraszali, by się do nich przyłączyła. Jednak Belinda niemal odmówiła. Był to Dzień Zakochanych i podejrzewała, że prawdopodobnie chcą być sami. Poza tym naprawdę powinna pomyśleć o sobie i Jake'u...

Później, po południu, w damskiej garderobie, Toni jeszcze raz próbowała namówić przyjaciółkę do wspólnej jazdy.

– Och, proszę cię, Belin, chodź z nami. On jest bardzo miły i działa na mnie doprawdy kojąco. Dziś podczas lunchu był taki zrelaksowany. Myślę, że jakaś trzecia osoba jest właśnie tym, co zaleca lekarz, przynajmniej dopóki... cóż, no wiesz...

Belinda wiedziała. Wiedziała także, że jej mąż zamierza pracować w Dniu Zakochanych. Postanowiła więc, że będzie tą „trzecią osobą” dla Toni i jej nowego mężczyzny, a potem pójdzie do domu i jeszcze raz

postara się zrobić uroczysty obiad ze stekiem dla męża.

– Dobrze – zgodziła się w końcu.

Wieczorem, po kolacji Belinda opowiedziała mężowi o nowym chłopaku Toni i planach na czwartek. Jake, zatopiony w swym ulubionym fotelu, czytał kolejny kontrakt lub umowę. Mruknął coś, ale nie była pewna, czy ją nawet słyszał.

Stali bywalcy ośrodka znali ów stok jako Szaleństwo Nieboszczyka. Najbardziej stroma i najdłuższa trasa zjazdowa miała kilka niebezpiecznych przejść szczególnie w połowie drogi. Pod koniec tygodniowego kursu Franz zdecydował, że jego uczeń jest już przygotowany. Obydwaj zjechali z tego stoku dwukrotnie i Franz pogratulował „Lenowi” jego mistrzowskiego wyczynu. Nigdy, jak twierdził, nie miał lepszego i szybciej uczącego się kandydata na narciarza.

Victor zarezerwował na walentynkową noc pokój w ośrodku, zaś na wieczór stolik w restauracji. Wiedział, że on i Toni nie będą jeść razem kolacji ani nie spędzą tu nocy, ale owe rezerwacje były dla niego ważne. Belinda miała pójść z nimi dwojgiem na lunch i narty, a potem dyskretnie zniknąć, by „Len” i Toni mogli skonsumować swój świeży związek. Obie tak myślały...

Gdy „Len” zaproponował zjazd z najtrudniejszego stoku, Toni i Belinda chętnie na to przystały, więc znalazł się tam z nimi po lunchu. Czternasty lutego. Począł, aż jakaś grupa wjechała kolejką na górę i zjechała w dół, a potem wyprowadził obie na zewnątrz. Uważnie rozejrzał się wokół: nikt nie zmierzał tam, gdzie oni. Żadnych świadków. Dobrze.

Piękny dzień, zauważył z przyjemnością, gdy wagonik wyciągu unosił ich na górę. Powietrze było chłodne i rześkie, a słońce padało na śnieg, dając wyraźną ekspozycję i ostro zarysowując stoki... nadrealizm... określenie, którego nauczył się na kursie fotografii w więzieniu. Piękny dzień, żeby umrzeć.

Obie wielokrotnie zjeżdżały z tego stoku już wcześniej, więc „Len” zasugerował, że powinien znaleźć się między nimi. Najpierw Toni, po niej, po dwóch minutach jej śladami podąży on, „Len”. Belinda zaś,

najlepsza narciarka z całej trójki, wyruszy na stok w dwie minuty później. Konieczność owych dwóch minut wyjaśnił trener: to zabezpieczenie przeciw szybszym narciarzom, uderzającym w wolniejszych na tym wyjątkowo wąskim, często niebezpiecznie zdradliwym stoku.

Doskonale.

Toni ruszyła. Odczekał dwie minuty, a potem zjechał gładko do miejsca, które wybrał po swoich pierwszych zjazdach, w połowie wysokości stoku, mniej więcej dziesięć metrów od krawędzi urwiska, za którą krył się niemal pionowy, stumetrowy uskok do wąwozu, małego kanionu biegnącego z kurortu wzdłuż zbocza góry. Gdy Victor dotarł do tego miejsca, wyhamował, zjechał w stronę urwiska, odpiął narty, położył się w śniegu i czekał.

Belinda stała na szczycie wzgórza i odliczała na zegarku dwie minuty. Czekając myślała o Jake'u.

Przed wszystkim wcale nie zapomniał o ich rocznicy. Rano, po owym niefortunnym obiedzie, obwieścił przy śniadaniu, że kiedy tylko będzie mógł się wyrwać z biura, może nawet już w marcu, pojadą na dwutygodniowe wakacje. Zaplanował, iż pierwszy tydzień spędzą z jej rodziną w Buffalo, a drugi z jego krewnymi w Nowym Jorku. Belinda wpadła na lepszy pomysł: trzy dni w Buffalo, trzy dni w Nowym Jorku i tydzień w Puerto Rico, już tylko we dwoje. Żadne z nich nigdy tam nie było, a Jake często wspominał, że dawno miał chęć zobaczyć Karaiby.

Spoglądała na niekończące się pola śniegu, myśląc o Puerto Rico. Tak... Pływanie, nurkowanie, leżenie na słońcu... Wieczorne tańce na tropikalnych werandach, przy rytmicznej muzyce miejscowych zespołów. Wspomniała latynoska kuchnia i egzotyczne drinki. Mogliby nawet spróbować jazdy na nartach wodnych! Najlepsze ze wszystkiego było jednak to, że będą razem, rozkosznie, cudownie sami. Żadnych krewnych ani przyjaciół. Żadnej firmy prawniczej! Niebo!

Spostrzegła, że dwie minuty już upłynęły. Otrząsając się z rozmyślań o palmowych drzewach i leżeniu nago z mężem pod wolno obracającym się

sufitowym wentylatorem, zsunęła z czoła gogle, odbiła się kijami i zjechała. Gdy ześlizgiwała się z pierwszej partii stoku, przeniknął ją znajomy dreszcz. To właśnie był powód, dla którego tak bardzo lubiła narciarstwo: ów pęd, gdy nabierała szybkości w drodze na dół. Gdy wiatr gwizdał wokół niej, śmiała się, myśląc: w Puerto Rico będziemy jeździć na nartach wodnych...

Potem, dotarłszy do muldy w połowie stoku, dostrzegła coś ciemnego z boku, na krawędzi jej pola widzenia.

Ktoś... to Len!... leżał w śniegu kilka metrów od trasy zjazdowej.

Gdy dojeżdżała, krzyknął z bólu, by przyciągnąć jej uwagę. Belinda natychmiast zahamowała i podjechała do niego. Leżał bez ruchu i wsłuchiwał się w skrzypienie nart, na których zmierzała w jego stronę, poruszając się teraz niezgrabnie niczym krab. Oddychał równo i głęboko, rozkoszując się dreszczem przewidywania, który wypełniał go z wolna, gdy czekał. Belinda podjechała blisko, pochyliła się nad nim i zapytała, czy jest ranny.

Podniósł wzrok ku jej twarzy, na której teraz malowała się troska. Potem zaś, ku jej zdumieniu, uśmiechnął się. Sięgnął powoli do kieszeni kurtki, wyciągnął mały magnetofon kasetowy i nacisnął przycisk.

Sarah Vaughan.

„My Funny Valentine”.

Belinda patrzyła na niego zaskoczona, nic nie rozumiejąc. W jednej sekundzie stanął obok niej. Nawet teraz, gdy to zrobił, żałował że musi się spieszyć. Wolałby przedłużyć tę sytuację, przeciągnąć i delektować się tym, co nastąpi, ale nie było czasu.

– Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Zakochanych! – powiedział. – Jestem Victor Dimorta.

Gdyby w ogóle była jakaś chwila – choć nie było – w której rozważał by ocalenie Belindy Rosenberg, obecnie Belindy Kessler, jej następny ruch cofnąłby taką decyzję. Powoli podniosła oczy, by spojrzeć na jego twarz, a w jej głosie zabrzmiało szczere zdumienie.

– Kto?

Odwzajemnił jej spojrzenie, czując, iż jego satysfakcja zamienia się w niebezpieczną furię. Wypełniała go wściekłość, narastająca w piersi żarem na przekór tej zimnej, opanowanej twarzy.

Nie pamiętała go!

Rozumiał znaczenie błyskawicznej okazji w tym przedsięwzięciu, ale następny wykonany przezeń ruch był tak szybki i nagły, że zaskoczył nawet jego. Uniósł pięść i uderzył ją w nos, łamiąc go po raz drugi. Z cichym odgłosem, który bardziej przypominał westchnienie niż krzyk, upadła na wznak. Czarne włosy Belindy wymknęły się spod czapki, a z nosa trysnęła krew, gdy zaskoczona kobieta nie przestawała się w niego wpatrywać, a jej zdumienie z wolna przerodziło się w ból.

Victor Dimorta wpatrywał się w leżącą ze złością.

– Tak... przypominasz sobie t a m t o , nieprawdaż, ty suko! – Potem pochylił się nad nią i krzyknął prosto w przerażoną twarz: – V i c t o r D i m o r t a , ty nędzna kurewko!! Hartley College! Walentynki! Ty i te pozostałe! Żywioty! To przez was mnie w y r z u c o n o ! Suki!

Potem, opanowując zalewającą go wściekłość, wziął głęboki oddech, pochylił się jeszcze bardziej i pocałował kobietę w usta.

– Umrzesz teraz, Belindo – szepnął cicho i pieścizotliwie niczym kochanek. – Wszystkiego najlepszego w Dniu Zakochanych. Dziś są... walentynki.

To się stało tak szybko, że ogarnięty trwogą umysł Belindy właściwie nie miał czasu zarejestrować faktu, iż są to jej ostatnie chwile na tym świecie. Ten człowiek coś krzyczał, potem ją pocałował, a później szeptał. Następnie w jednej chwili uniosły ją jego zdumiewająco silne ramiona. A przez cały czas piękny głos nie przestawał śpiewać „My Funny Valentine”.

My Funny Valentine...

Victor Dimorta.

O Boże! V i c t o r D i m o r t a !

To była ostatnia sekunda jasności i przytomności. Belinda podniosła wzrok ku jego uśmiechniętej twarzy, tak niepodobnej do twarzy Victora Dimorty.



– Mój mąż – wyszeptła, gdy niósł ją ku krawędzi.

Nie przestawał się uśmiechać.

– Masz pecha, suko! – oznajmił i wypuścił ją z rąk.

Zniknęły twarz i ramiona mężczyzny, a ona leciała w przestrzeni, słysząc świst wiatru, i marzła, zamarzała, i...

S p a d a m ! O mój Boże, ja s p a d a m ! Ale to niemożliwe! Nie mogę spaść, och proszę, Boże, nie pozwól mi spaść, muszę żyć, muszę żyć, muszę pojechać do Puerto Rico z moim...

\* \* \*

Obserwował, jak jej ciało uderzyło o występ urwiska jakieś piętnaście metrów niżej, a potem odbiło się i wyleciało w powietrze, zanim spadło w dół. Spadała i spadała, by wylądować w końcu w śnieżnej zaspie, a potem potoczyła się ku małej rozpadlinie obok góry. Wreszcie zniknęła w drzewach.

Taki był koniec Belindy Rosenberg-Kessler.

Uśmiechnął się, spoglądając w dół i pomyślał: druga.

Potem wziął się do pracy. W ciągu kilku minut zatarł wszystkie zdradzieckie ślady na śniegu, ponownie przypiął narty i przeszedł śladem Belindy kilka metrów w górę. Zjechał na dół, skręcając ku skarpie i na chwilę zatrzymał się przy krawędzi. Niemal sam się przewrócił, ale świadomość niebezpieczeństwa tylko wywołała przyjemny dreszcz. Następnie zdjął narty i na palcach wrócił na trasę zjazdową – mając pewność, że zatarł ostatnie ślady, znów przypiął narty i zjechał ze stoku na dół. Stojąc u podnóża góry razem z Toni czekał na Belinę.

Po piętnastu minutach, gdy przyjaciółki wciąż nie było, Toni pobiegła po instruktora narciarskiego, który zatrzymał wyciąg, wjechał na górę, a potem drogą radiową przysłał wiadomość, że zdarzył się wypadek. Szybko zorganizowano grupę poszukiwawczo-ratunkową.

Odnalezienie Belindy zajęło im niemal pół godziny.

Resztę tego popołudnia spędził na pocieszaniu płaczącej Toni. Sam pozostał w cieniu, nie rzucając się w oczy, gdy na miejsce „wypadku”

przybyła policja oraz sanitariusze i gdy przyjechał oszołomiony mąż Belindy.

Kiedy pojawili się reporterzy „Len” i Toni wygłosili krótkie oświadczenia dla prasy. Tego dnia największym wyzwaniem Victora było zachowanie powagi oraz stosownego wyrazu przerażenia i smutku, gdy doznawał jedynie ogromnego uczucia podniecenia i satysfakcji. W końcu Toni wzięła Jacoba Kesslera pod rękę i odprowadziła go na bok. Odchodząc zawołała do „Lena” przez ramię, że odwiezie Jake'a do domu i później zadzwoni do hotelu. Skinął głową i pomachał ku niej ręką.

Potem wrócił do hotelu, spakował się i pojechał na lotnisko.

**VII**

**JILL**

## 11. Piątek, 6 lutego

Jill czuła się lepiej. Poprzedniego wieczoru Nate odwiózł ją ze swej pracowni taksówką i został. Rankiem wyszedł, gdy jeszcze spała. Liścik na łazienkowym lustrze wyjaśnił jej, że wcześniej rano do pracowni miał przyjść ramiarz i że Nate później do niej zadzwoni. Lekki zawrót głowy, jaki poczuła wstając z łóżka minął pod prysznicem i teraz była już gotowa do tego, co musiała zrobić. W rzeczywistości – z czego zdała sobie sprawę wchodząc do kuchni, by nastawić wodę na herbatę – wręcz nie mogła się tego doczekać.

Elaine Williams wstała z łóżka i właśnie zmierzała do sekretarzyka stojącego po drugiej stronie przestronnej sypialni. Słuchając odgłosu fal i bicia własnego serca, uniosła oprawione w srebrne ramki fotografie męża Waltera oraz córki Sharon i pocałowała obydwaj portrety. Potem zsunęła na podłogę przejrzystą nocną koszulę i poszła do swej marmurowo-złotej łazienki. Sięgnęła po prysznic i włączyła ciepłą wodę. Każdy dzień Elaine Williams zaczynał się prysznicem: pigułki nasenne, które były jedynym środkiem ułatwiającym jej zaśnięcie, sprawiały, iż rano budziła się rozbita i zdezorientowana. Był też jednak jeszcze jeden powód: hydroterapia, której poddawała się każdego dnia swego życia, dawała luksus chwilowego ukojenia.

Właśnie wchodziła pod gorący prysznic, gdy rozległo się ciche, dyskretne pukanie do drzwi sypialni. Jenny, nowa pokojówka, ostrożnie weszła do środka.

– Dzień dobry, pani – odezwała się szeptam do starszej kobiety, która nago stała w drzwiach łazienki. – Czy mogę przygotować śniadanie?

– Tak, dziękuję, Jenny – odrzekła Elaine, wracając do kabiny.

Piętnaście minut później, ubrana w błękitny egzotyczny kaftan, który kiedyś tak podobał się jej zmarłemu mężowi, zasiadła na tarasie swego ogromnego domu położonego nad brzegiem Pacyfiku, przy kutym z żelaza

stole o szklanym blacie. Zadzwoiła małym srebrnym dzwonkiem i czekała cierpliwie, aż nieśmiała pokojówka przyniesie jej codzienną kawę i grzankę. Jeśli o nią chodzi – żadnych obfitych śniadań. Akt jedzenia był dla Elaine udręką.

Jenny właśnie ustawiała srebrny serwis do kawy i tacę z grzanką, gdy w salonie zadzwonił telefon. Elaine napełniła filiżankę i czekała, aż pokojówka pójdzie go odebrać. Po chwili dziewczyna jeszcze raz pojawiła się obok jej krzesła.

– Telefon do pani – wyszeptła Jenny. – Z Nowego Jorku.

Elaine rzuciła okiem na wysadzany diamentami zegarek Cartiera, prezent od córki, który zawsze nosiła. Dziewięta, pomyślała. Z Nowego Jorku? Któż, u licha...?

– Dobrze, Jenny – powiedziała w końcu.

Pokojówka ruszyła posłusznie po drugi aparat telefoniczny, włączyła go i postawiła blisko swej chlebodawczynie, a następnie na jej skinienie zniknęła w głębi domu.

Elaine przez kilka sekund patrzyła na telefon. Potem, z westchnieniem, uniosła słuchawkę do ucha.

Po drugiej stronie usłyszała jakiś spokojny męski głos. Gdy dotarły do niej słowa, słowa odbierające świadomość, mimowolnie otworzyła ciasno zaciśniętą dłoń. Słuchawka wyslizgnęła się z niej i z głośnym trzaskiem uderzyła w aparat.

Granatowa woda omiatanego wiatrem Pacyfiku stopniowo ponownie pojawiała się przed oczami kobiety. Patrzyła na fale i na białe mewy tańczące nad nimi w poszukiwaniu własnego śniadania. Potem, gdy ożyły w niej pozostałe zmysły, usłyszała w telefonie zduszony głos mężczyzny:

– Halo! Halo?

Z długim, ciężkim westchnieniem Elaine pochyliła się i podniosła słuchawkę. Potem wzięta głęboki, bolesny oddech i zaczęła mówić.

Jill wyszła z domu o dwunastej trzydzieści, tracąc oddech przy nagłym zetknięciu z mroźnym powietrzem. W pierwszym, instynktownym odruchu szybko spojrzała w obie strony ulicy. Sąsiedzi wchodzili i wychodzili,

a ciepło opatulone dzieci grały w piłkę. W porządku. Ciaśniej owinęła wokół szyi wełniany szalik, zapięła górny guzik ciężkiego, wełnianego płaszczka i ruszyła w stronę Fifth Avenue.

Dotarła do skrzyżowania Sixth Avenue i Tenth Street kilkakrotnie rozglądając się podejrzliwie wokół i za siebie, zanim przypomniała sobie o Gwen. Telefonowała do niej wczoraj nieskończoną ilość razy, ale wciąż odzywał się sygnał automatycznej sekretarki. Nagrała krótką wiadomość: „Cześć, tu Jill. Zastanawiam się nad przyjęciem waszej propozycji. Zadzwoń jutro rano, więc niech ktoś będzie przy telefonie. Cześć! – i odłożyła słuchawkę.

Gwen i Mike Feldmanowie byli jej przyjaciółmi, również pisarzami. Poznała ich ze sobą trzy lata temu Mary Daley na bankiecie Stowarzyszenia Amerykańskich Autorów Powieści Sensacyjnych. Wcześniej Jill czytała ich dobre, zręcznie napisane powieści, które tworzyli razem jako G.M. Feldman, oni zaś okazali się entuzjastami jej książek. W jednej chwili przyciągnęła ją ku tym dwojgu ich normalność i wesołe zainteresowanie światem. Gwen była niską, wrażliwą kobietką w macierzyńskim typie, która wcześniej zaczynała tracić nadzieję na spotkanie Właściwego Mężczyzny, więc trzy zamężne siostry namówiły ją do wyjazdu na „Karaibski Rejs Samotnych”. Tam poznała wysokiego, brodatego „kolegę po fachu”, który także nakłoniony został do tej podróży przez swych kumpli. Teraz rozważali kwestię posiadania dzieci. Ta ewentualność wymagała świeżego dopływu pieniędzy, mogącego uzupełnić zyski Gwen i Mike'a z ich skromnie sprzedających się powieści sensacyjnych, więc kilka miesięcy temu kupili nieczynny letni obóz na wschodnim cyplu Long Island i przekształcili go w ośrodek dla pisarzy. Właściwie w tym tygodniu rozpoczęli swą nową działalność i już wcześniej zapraszali Jill, by do nich przyjechała. Początkowo nie miała specjalnej ochoty, ale obecnie zmieniła zdanie.

Spoglądając na zegarek, zrozumiała, że przedpołudnie ma już za sobą. Byłoby dobrze, gdyby zatelefonowała do Gwen i Mike'a od razu. Jeśli będzie z tym czekać, aż wróci do domu, znowu może nikogo nie zastać...

Podeszła do telefonicznego automatu po drugiej stronie skrzyżowania i postawiwszy torebkę na małej półce pod aparatem, przez kilka chwil szukała portfela. Noszę stanowczo za wiele rzeczy, pomyślała, uśmiechając się na widok zmiętych chusteczek, kwitów bankowych i innych niepotrzebnych drobiazgów, które wciąż wpadały jej w rękę. W końcu znalazła portfel i wyjęła z niego kartę telefoniczną. Odszukanie notesu z numerami telefonów zabrało jej kolejne trzydzieści sekund, ale wreszcie go otworzyła i wystukała numer.

Słuchawkę podniesiono po drugim dzwonku i pierwsze, co usłyszała z drugiej strony, był to bliski, przyjazny głos mówiący:

- To z pewnością będzie Jill.
- Dzień dobry, Gwen.
- Och, dzięki Bogu! Muszę wyjść po zakupy, ale nie chciałam się z tobą rozminąć.

- Cieszę się, że poczekałaś. Wiem, że tam jest tylko jeden telefon. Posłuchaj, czy ty i Mike macie tam jeszcze jeden wolny pokój, a raczej czy już wszystkie wynajęliście?

Po drugiej stronie rozległ się śmiech Gwen Feldman.

- Kochanie, jak dotąd mamy tylko dwoje gości; Barbarę Benson, która pracuje nad jakąś nową powieścią o miłości i Jeffa Monka piszącego nowy horror. Wspaniała inauguracja, co? Dwojga następnych oczekujemy za kilka dni, ale osiem gościnnych pokoi wciąż czeka. Możesz przyjechać!

- Wspaniale. Bardzo chciałabym zobaczyć to miejsce.

- Och, Mike i miejscowy majster do wszystkiego... poczekaj, aż go zobaczysz, ma chyba z tysiąc lat... więc Mike i ten majster wciąż coś tam robią, przybijają, przenoszą meble i tak dalej, a ja zajmuję się zamiataaniem i bielizną pościelową. Nigdy nie wdawaj się w taki interes, Jill, bo dostaniesz bzika. A zatem, kiedy masz zamiar przyjechać? Jill zastanawiała się przez chwilę.

- Myślę, że za kilka dni.

- Świetnie, choć możesz przyjechać nawet dzisiaj, jeśli chcesz. Jesteśmy przygotowani. W każdym domku jest maszyna do pisania i zapas

papieru, ale możesz przywieźć własny sprzęt, jeśli masz ochotę. Mike przygotowuje wszędzie podłączenia do komputerów, wiesz, te wszystkie elektryczne rzeczy...

– Stabilizatory napięcia. Ja mam laptop, no wiesz, komputer przenośny, więc chyba go przywiozę.

– Doskonale! Jak ci idzie praca nad nową książką? Nie utkneñas, prawda? My oboje zbieramy siły, by prowadzić dom dla ludzi piszących.

– Ja... chcę wyjechać z miasta na jakiś czas.

– Jasne, Jill. Czy Nate przyjedzie z tobą?

– Nie, nie przyjedzie. Przygotowuje się do wystawy. Wernisaż odbędzie się za dwa tygodnie. Będę sama. Prawdę mówiąc... – Przerwała, zastanawiając się jak wyrazić następną prośbę.

– O co chodzi, Jill? Czy coś się stało? Już nie jesteście...?

– Och, nie. Ale... po prostu chcę uciec na jakiś czas. Nie mówiąc nikomu, dokąd jadę. Nikomu.

W telefonie zaległa cisza. Gdy Gwen odezwała się ponownie, jej głos był cichy i poważny.

– Jill, stało się coś złego, prawda?

– Tak – odpowiedziała, myśląc: nie ma w tym nic prócz prawdy. – Tak, dzieje się coś złego. Wyjaśnię ci wszystko po przyjeździe. Powiedz mi tylko, jak się do was dostać.

– Dojazd jest łatwy. Po prostu wsiądź w pociąg do Cutchogue. Będę na ciebie czekać na stacji.

– Nie, wynajmę samochód, ale nie wiem, w której części Long Island jest wasz ośrodek.

– Dobrze – powiedziała Gwen. – To całkiem proste, naprawdę...

Jill wyciągnęła z torebki stary kwit bankowy i długopis.

W tym momencie w pobliżu rozległ się głośny huk: jakiś samochód wyjeżdżający z najbliższego parkingu, uderzył w gnającą ulicą taksówkę. Obydwaj kierowcy wyskoczyli ze swoich wozów i rozpoczęli głośną awanturę, z której jedynie połowa toczyła się po angielsku. Jill przycisnęła słuchawkę do ucha, powtarzając słowa Gwen, by mieć pewność, że dobrze słyszy.



– Autostradą do Riverhead... Dwudziestą piątą do Cutchogue... potem na północny wschód do drogi na Peconic... Ośrodek dla Pisarzy w Peconic. Okay, wszystko już wiem.

- Przyjeżdżaj, kiedy zechcesz, Jill, będziemy na ciebie czekać.
- Wspaniale. I pamiętaj, nikt nie wie, gdzie jadę, dobrze?
- Możesz być spokojna.

Pożegnały się i Jill odwiesiła słuchawkę. Schowała do torebki długopis i pospiesznie nagryzłomone wskazówki i spojrzała na zegarek. Za pięć pierwsza. Przycisnęła torebkę, odwróciła się i wyszła z budki, szturchając niechcący w plecy jakiegoś wysokiego mężczyznę, który stał tuż za nią, najwyraźniej czekając na telefon.

– Przepraszam – mruknęła, biegnąc w stronę Tenth Street. Nie chciała się spóźnić do doktor Philbin.

- Nie ma za co – zabrzmiał głos za jej plecami.

Jacob Kessler wyszedł z zebrania o dziesiątej i wracał nudnym, szarym korytarzem do swego gabinetu. To raczej celka niż gabinet, pomyślał, zdejmując granatowy blezer i rozluźniając krawat, który uwierał go w szyję. Potarł bolące miejsce pod grdyką i opadł na miękką skórzany fotel. Jedenasta, jeszcze nie ma południa, więc dlaczego zawsze jestem taki zmęczony?

Potem, jak każdego ranka przez ostatnie dwa lata, przypomniał sobie...

Och, pomyślał, tak...

Połączył się z sekretarką, którą dzielił z trzema innymi kolegami-prawnikami i poprosił o kawę. Kiedy po kilku chwilach przyniosła ją i postawiła na biurku, uśmiechnął się z roztargnieniem i podziękował. Potem sięgnął po cztery karteczki, które włożono mu do teczki spraw bieżących, gdy stał w holu, trzymając za rękę zdenerwowanego klienta, wpłatanego w jakieś zbiorowe, brudne przedsięwzięcie. Nawet nie moje go klienta, pomyślał z niesmakiem Jacob. Działał w imieniu swego opieszłego, leniwego starszego kolegi. Cwaniak. Idiota. Prawdopodobnie leży teraz w hotelowym pokoju z jakąś dziwką, przytulając tę zdobycz ostatniej nocy. Do diabła, powiedział do siebie. Do diabła z tym wszystkim!

Z tymi sprawami. Z następnym spotkaniem. Z takim życiem!

Jest piątek, pomyślał, odwracając głowę, by spojrzeć na piękny widok, rozciągający się po drugiej stronie szklanej ściany za biurkiem. Dziś wieczorem masz randkę.

Kolejna randka. Kolejna z rzadkich prób wyrwania się z tego kierunku i spotkania z ludźmi, to znaczy z kobietami. Spotkanie zostało zaaranżowane przez przyjaciela mającego jak najlepsze intencje. Tym razem będzie to Janice. Janice Jakaśtam. Zapewniano go, że bardzo ładna. I bardzo miła. Rozwiedziona nauczycielka. Kolacja i kino: nowa komedia Woody Allena.

Spoglądał na skąpane w słońcu miasto i otaczające je imponujące, okryte śniegiem wzgórza. Woody Allen nieuchronnie przypomniał Nowy Jork, gdzie było tak dobrze...To miasto, Boulder City, mimo swego uroku nie obchodziło go ani trochę. Szczególnie teraz.

Belinda kochała Boulder. Kochała wszystko, co miało związek z Kolorado. Szczególnie kochała jazdę na nartach.

Krzywiąc się na ukłucie ostrego bólu, który wywołało w nim tamto wspomnienie, Jacob jeszcze raz spojrzął na zanotowane przez sekretarkę wiadomości. Nudny klient... sympatyczny klient... głupi klient... telefon z Nowego Jorku. Któż, u licha, dzwonił do niego z Nowego Jorku? Spojrzął na nazwisko, ale nic mu nie mówiło. Pod spodem sekretarka napisała swym starannym pismem tylko jedno zdanie: „Sprawa dotyczy pańskiej żony”.

Wpatrywał się w te cztery słowa, powoli odsuwając na bok pozostałe kartki. Potem sięgnął po telefon.

\* \* \*

Jill odczekała kilka chwil, zanim ponownie nacisnęła dzwonek. Cisza. Najpierw delikatnie, a potem z większą siłą zastukała w ciężkie dębowe drzwi. Żadnej odpowiedzi. Okienne obydwo suterenowych okien były zamknięte.

Przez chwilę wpatrywała się w drzwi, a potem spojrzała na zegarek. W piątek o pierwszej po południu; czyż nie tak umówiła się z nią doktor

Philbin przez telefon? Tak, z pewnością się nie pomyliła. Gdzież więc jest lekarka...?

Weszła na chodnik, a potem wspięła się na stopnie wiodące do frontowych drzwi głównej, mieszkalnej części domu. Dwa dzwonki. Przy niższym wizytówka z nazwiskiem PHILBIN. Nacisnęła przycisk dzwonka, zaczekała chwilę i nacisnęła jeszcze raz. Potem zapukała. Cisza. Przy wyższym dzwonku nazwisko CASTAING. Lokator z drugiego piętra. Nacisnęła dzwonek, odczekała chwilę i zadzwoniła ponownie. Tam także panowała cisza.

Jakiś nagły wypadek, pomyślała. Doktor Philbin jest lekarzem, a oni zawsze mają nagłe wypadki. Nawet psychologowie kliniczni... szczególnie psychologowie kliniczni. Ale to zgoła niepodobne do tej kobiety, by po prostu pospieszyła gdzieś, nie zostawiając kartki w drzwiach czy – co bardziej prawdopodobne – nie telefonując do swoich pacjentów, by przełożyć umówione wizyty. Prawdopodobnie telefonowała, pomyślała Jill. Nie sprawdziłam dziś rano telefonicznej sekretarki. Z pewnością w domu czeka na mnie jakaś wiadomość.

Kręcąc głową bardziej ze zdumienia niż z irytacji, Jill zeszła ze schodów i skierowała się do domu. Zatelefonuję do niej później, pomyślała. Wyznaczy mi inny termin...

Wróciwszy do mieszkania, natychmiast podeszła do telefonu. Automatyczna sekretarka miała dla niej trzy wiadomości. Pierwszą – od Nate'a, z pytaniem, co chce robić dziś wieczorem i prośbą, żeby do niego zadzwoniła. Drugą – od Tary, która telefonowała z telewizyjnego studia, gdzie właśnie nagrywała *Dzieci jutra*. Aktorka chichocząc informowała przyjaciółkę, że Doug Baron poprosił ją o kolejne spotkanie i że później zadzwoni i opowie wszystko ze szczegółami.

Jill uśmiechnęła się słuchając głosu Tary, ale jej uśmiech zgasł, gdy wysłuchiwała trzeciej wiadomości: „Jill, mówi Barney Fleck. Zadzwon do mnie, gdy tylko to usłyszysz. Mam... mam dla ciebie nieco więcej informacji. Cześć”.

Gdy podniosła słuchawkę i wystukiwała numer detektywa, przemknęło jej przez myśl, że nie było wiadomości od doktor Philbin. No cóż, spróbuję

do niej zadzwonić po południu...

Jednak to, co przydarzyło się Jillian Talbot w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin, sprawiło, iż całkiem zapomniała o doktor Philbin i straconej wizycie.

Elaine Williams i Jacob Kessler nigdy się nie spotkali ani nawet nie słyszeli o sobie, a jednak teraz robili dokładnie to samo w tej samej chwili. Ona stała przy balustradzie tarasu wychodzącego na Pacyfik, on zaś – przy oknie swego gabinetu w mieście Boulder w stanie Kolorado. Oboje spoglądali na roztaczające się przed nimi prawdziwie majestatyczne widoki i oboje ich nie widzieli. Oboje myśleli o swych dzisiejszych rannych rozmowach telefonicznych i oboje wspominali ból, jakiego ostatnio doznali. Oboje również płakali w samotności i ciszy.

Barney miał przy sobie więcej notatek, tym razem sporządzonych jego własnym, nieczytelnym charakterem pisma. Siedział teraz naprzeciwko Jill w jej salonie dokładnie tak samo jak wczoraj. Ona zaś, oparta na poduszkach kanapy, słuchała.

– Sharon Williams próbowała dostać się do świata filmu – mówił. – Pisała scenariusze. Tak naprawdę to sprzedała tylko jeden pomysł którejś z wytwórni, ale filmu według tego pomysłu nigdy nie zrealizowano. Trzy lata temu nagle zniknęła, wyszła ze swego mieszkania w Los Angeles i przepadła. Nigdy więcej jej nie widziano. Rozmawiałem z jej matką; rodzina Williamsów jest bardzo bogata i wyznaczyła ogromną nagrodę. Policja w Los Angeles zebrała wiele informacji... wiesz, obserwacje, doniesienia, zeznania... ale żadna nie naprowadziła ich na jakikolwiek ślad. Jedna z jej przyjaciółek powiedziała glinom, że Sharon miała powodzenie u mężczyzn, że spotykała się z kilkoma facetami, więc może uciekła z jednym z nich. Odnaleziono i przesłuchano jej przyjaciół, ale oni też nic nie wiedzieli. Jej ojciec, Walter Williams, nie dawał za wygraną. Ilekroć pojawiał się jakiś trop, osobiście zapoznawał się z tym śladem i nie ustawał w poszukiwaniach. Zjeździł cały kraj, dwa razy poleciał do Europy. I nic. Jeszcze przed zaginięciem córki miał nadwątlone zdrowie, a ta

sprawa mu nie pomogła. Sześć miesięcy po jej zniknięciu zmarł powalony rozległym zawałem serca w samolocie do... – Barney zajrzał do notatek – ...do Atlanty. Ktoś mu powiedział, że tam widziano Sharon. Wciąż uważa się ją za zaginioną.

Jill podwinęła nogi pod siebie i przeniknięta nagłym chłodem, obiema dłońmi ścisnęła dzbanek z kawą. Zastanawiała się, jak to się stało, że wcześniej umknęła jej owa najwyraźniej głośna sprawa. Potem przypominała sobie, że Nate powiedział, iż nigdy nie słyszał o Stacy Green, modelce, która była żoną Douga Barona i tak często pojawiała się na okładkach kolorowych pism. Wszak i ona, kiedy usiadła do pisania całymi dniami – a nawet tygodniami – nie kontaktowała się ze światem zewnętrznym...

– A pozostałe? – wyszeptwała.

Patrząc na Barneya, pomyślała, że zna go już całkiem nieźle. Jego duża, przyjazna twarz była przysłowiową otwartą księgą. Teraz wyrażała niepokój. O mnie, pomyślała. Niepokoi się o mnie...

Detektyw odchrząknął, wypił łyk kawy i mówił dalej:

– Tak... cóż... to dość dziwne... Belinda Rosenberg, czyli, jak powinienem powiedzieć, Belinda Kessler... nie żyje.

– Nie żyje?! – Jill gwałtownie podniosła wzrok.

– Tak... Od dwóch lat. Jednak to nie było... no cóż, rozumiesz... to nie było to, o czym myślimy. Nieszczęśliwy wypadek. Wypadek na nartach, w jednym z tych fantastycznych kurortów w Kolorado. Spadła ze skarpy, próbując wraz z parą przyjaciół zjechać z jakiegoś słynnego stoku zwanego... Nieboszczykiem czy jakoś tak... Jej mąż powiedział, że postąpiła niezbyt mądrze godząc się na ten zjazd, ponieważ nie byli tak dobrzy i w ogóle nie powinni tego próbować. Najniebezpieczniejszy odcinek znajdował się mniej więcej w połowie trasy, zaledwie kilka metrów od krawędzi skarpy. Belinda najwyraźniej najechała na zlodowaciały kawałek śniegu i straciła panowanie nad nartami. Spadła z wysokości około stu metrów. Jej znajomi nawet o tym nie wiedzieli, dopóki sami nie dotarli do podnóża stoku. Opowiedział mi to jej mąż... Mieliśmy szczęście, że udało się go odnaleźć. Belinda wyszła za niego i przeprowadziła się do Boulder cztery lata po ukończeniu college'u. Verna telefonowała do wszystkich

Rosenbergów w Buffalo, aż odnalazła rodziców Belindy. Jej mąż był wstrząśnięty, więc oczywiście nie naciskałem go już o szczegóły. Boulder to bardzo znany kurort narciarski, ale udało im się ograniczyć rozgłos wokół tej sprawy do minimum, nie zajęła więc nazbyt widocznego miejsca w gazetowych kronikach wydarzeń.

– Jakież to okropne... – szepnęła Jill. Ulga, że był to nieszczęśliwy wypadek, łączyła się w jej myślach z poczuciem winy. Zawstydziała się: ktoś, kogo znała, zginął w bezsensownym wypadku, a ona czuła jedynie ulgę. Nie może pozwolić, by tak ciężkie doświadczenie sprawiło, iż stanie się egoistką. Chcąc ukryć zażenowanie, pytała dalej: – Ale ty... ty nie... nie powiedziałaś nikomu... no wiesz... dlaczego o to pytamy...?

– Oczywiście, że nie – zapewnił Barney. – Powiedziałem po prostu, że pewna dawna koleżanka z Hartley myślała o zorganizowaniu jakiegoś spotkania, czegoś w rodzaju zjazdu absolwentów, i poprosiła mnie, bym odnalazł innych studentów z tego rocznika. Uwierzyli.

Skinęła głową.

– To dobrze. A co z Cass MacFarland?

Barney odłożył notes i oparł się plecami w fotelu.

– No właśnie... Tu trafiłem w ślepą uliczkę. Nie mam pojęcia. Adres w albumie wskazywał na miejscowość Montclair w stanie New Jersey, ale tam jej nie ma. Verna dotarła do tamtejszego zarządu miasta, lecz tam jej powiedziano, że zarówno Cassandra, jak i jej rodzice wyprowadzili się stamtąd. Była mężatką, ale rozwiodła się przed wyjazdem z Montclair. Nie angażowali żadnej firmy przewozowej. O jej mężu również nic nie wiadomo. – Po tych słowach Barney pochylił się do przodu. – Nie przypominasz sobie kogoś, kto mógłby coś o niej wiedzieć? Jakichś przyjaciół albo krewnych?

Jill zastanawiała się nad tym przez chwilę, a potem potrząsnęła głową.

– Nie. Kilka razy wspominała o jakimś starszym bracie, ale nie przypominam sobie, by kiedykolwiek powiedziała mi, jak miał na imię czy gdzie mieszkał. Chyba sobie przypominam, że odsunął się od rodziny. Uciekł z domu czy coś takiego... Nikogo innego nie pamiętam...

– Hmm... – mruknął detektyw.

Jest dobry w pomrukiwaniu, pomyślała Jill, przypominając sobie te ciche dźwięki, które wydawał w czasie rozmowy z panią Sanchez w kwiatarni. Wyobraziła sobie, że mogłaby usłyszeć, jak pracuje jego mózg.

– A zatem – zapytała w końcu – dokąd mnie to prowadzi?

Detektyw się skrzywił.

– Obawiam się, że w ślepy zaułek. Jedna z twoich trzech koleżanek nie żyje, ale był to wypadek. Druga zniknęła... z jednego z tysiąca możliwych powodów, jak przypuszczam. A trzecia po prostu wyjechała i może znajdować się wszędzie. Nie mamy powodu, by uważać, że tym idiotą, który tak bardzo się tobą interesuje, jest Victor Dimorta i wiemy, że nie jest to twój ojczym. – Barney pochylił się do przodu, bacznie przyglądając się jej twarzy. – Masz jakiś inny pomysł? Cokolwiek innego? Dawny chłopak, a może jakiś wielbiciel twoich powieści, który zagadnął cię na jednym ze spotkań z czytelnikami, albo pisarz, zazdroszczący ci sukcesu? Nieważne, jak szalony byłby to pomysł.

Jill wzruszyła ramionami.

– Miałam tylko dwóch przyjaciół przed Nate'em. Pierwszy to wydawca, z którym pracowałam; okazał się gejem. Razem ze swym kochankiem kupił właśnie dom w Westchester. Drugi jest już żonaty i teraz oczekuje drugiego dziecka.

Obydwa związki zakończyły się przyjaźnie i żaden z tych mężczyzn w najmniejszym nawet stopniu nie sprawiał wrażenia kandydata na szaleńca. Nigdy też nie zauważyłam jakichś oszalałych wielbicieli; nieczęsto podpisują swoje książki. Jeśli zaś jakiś pisarz zazdrości mi sukcesu, to doprawdy nie mam pojęcia, kto by to mógł być. Przykro mi.

Po chwili milczenia Barney zamruczał ponownie.

– Okay, więc kręcimy się w kółko. Nie wiemy, kim on jest ani co robi. Proponuję, byś na jakiś czas wyjechała z Nowego Jorku. Pomyśl o tym. Jeśli znów dostaniesz od niego jakaś „wiadomość”, wyjeżdżasz. Zrozumiano?

– Już rozważałam taką ewentualność – odrzekła Jill – i właśnie tak zamierzam postąpić.

– Dokąd pojedziesz?

Uśmiechnęła się lekko.

– Nieważne. Jeśli do tego dojdzie, dam ci znać. – Nie przestawała się uśmiechać nawet teraz, gdy kłamała. Nikomu: ani jemu, ani nikomu innemu z kręgu swych przyjaciół nie miała zamiaru powiedzieć, dokąd się udaje. To mogło być niebezpieczne... zarówno dla niej, jak i dla nich.

Barney skinął głową i wstał z fotela.

– W porządku – rzekł, wręczając Jill swoją wizytówkę. – Na odwrocie jest numer mojego domowego telefonu. Dzwon o każdej porze dnia i nocy. Dobrze?

– Zadzwonię – obiecała.

Obserwował, jak Jillian podaje Barneyowi Fleckowi płaszcz. Potem detektyw wyszedł z mieszkania po przeciwnej stronie ulicy, a ta kobieta znów była sama.

W porządku, pomyślał. Co teraz? Trzeba koniecznie znaleźć jakiś sposób. Ona musi zrozumieć, z czym ma do czynienia... i z kim.

Mógłby do niej zadzwonić...

Nie.

Nate? A może Tara?

Nie.

Ten detektyw...?

Nie! To byłoby niebezpieczne. Ten człowiek mógł zaprzepaścić całą sprawę. A tego planu nie wolno zniszczyć nikomu. Nie teraz. Pracował nad nim zbyt długo i zbyt ciężko.

I nie ma zbyt wiele czasu...

Resztę popołudnia spędził siedząc w fotelu przy oknie i rozmyślając. Gdy ponownie zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje, i wyjrzał przez okno, był już wieczór i po przeciwnej stronie ulicy pojawił się Nate na swym motocyklu.

Restauracja mieszcząca się na parterze budynku, w którym mieszkała Jill, była prawdziwym pubem w dawnym stylu Greenwich Village – z poprzecznymi belkowymi niszami, długim dębowym barem i oprawnymi



w ołów szybami w oknach. Przez wiele lat ta słynna tawerna nosiła nazwę Błękitny Młyn, ale obecnie miała nowych właścicieli. Nieco jaśniejszy teraz i może trochę bardziej szykowny lokal wciąż był miłym miejscem z dobrą kuchnią, gromadzącym ciekawych ludzi – malarzy, pisarzy, aktorów i biznesmenów, którzy stanowią główną część mieszkańców tej dzielnicy.

Mimo pozornego opanowania Jill nie bawiła się dobrze. Po wyjściu z budynku przeszli kilka kroków do drzwi restauracji. Barman pomachał ku nim na powitanie, a kelnerka, która także poznała w nich stałych bywalców, natychmiast wskazała Nate'owi i Jill ich stały stolik w rogu sali. Jill zamówiła gazowany napój i obserwowała, jak Nate miesza słomką w swojej szklaneczce alkoholowego cocktailu. Wędrowała wzrokiem od dłoni do twarzy mężczyzny, tysięczny raz zastanawiając się, czy powinna przyjąć jego oświadczenia. Zastanawiała się również, czy powiedzieć mu o dziecku. Oczywiście, gdyby się o nim dowiedział, z pewnością należałoby na małżeństwo. Albo by zniknął. W tych sprawach mężczyźni okazują się nieprzewidywalni, jak jej mówiono... Nigdy przedtem nie była w takiej sytuacji.

Nie. On by nie zniknął. W ciągu ich wspólnych dziesięciu miesięcy dowiódł, że jest odpowiedzialnym mężczyzną. I kochał ją, tego była pewna. Nigdy nie wspominał o kobietach, z którymi z pewnością wcześniej był związany, ale kilka razy powiedział, że żadnej nie kochał tak, jak kocha Jill. Myśląc o swych własnych poprzednich związkach, uświadomiła sobie, że również to, oprócz tak wielu innych spraw mają ze sobą wspólnego.

Potem pomyślała o innym, bardziej istotnym problemie, którego chciała mu oszczędzić. Mary wypaplała Nate'owi tajemnicę owych róż, choć Jill postanowiła nie mówić mu o tym z jednego ważnego powodu. Z pewnością zdenerwowałby się i zaniepokoił – i tak się rzeczywiście stało – a to nie było dla niego dobre. Nie teraz. Był przecież malarzem, przygotowywał swą drugą wystawę. Widziała jego obrazy – ta nowa seria mogła zapewnić mu miejsce na artystycznej mapie Nowego Jorku. Ostateczną

rzeczą, której Nate teraz potrzebował, było jakiegokolwiek rozpraszanie uwagi, Jill wiedziała o tym z własnego doświadczenia. Pisanie i publikowanie jest wystarczająco czasochłonne bez...

Pisanie. Kolejny problem, jakby tego za mało. Niczego nie napisała. Znów zamierzała zmusić się do rozpoczęcia...

Niech cię szlag trafi, pomyślała, sięgając po wodę sodową. Niech cię szlag trafi, „Walentyńko”, kimkolwiek jesteś! Niech szlag trafi ciebie i twoje głupie, obrzydliwe dowcipy.

A jednak to nie dowcipy, teraz już wiedziała. Wszelkie wcześniejsze wątpliwości zniknęły na zawsze w chwili, gdy Jill zobaczyła martwego szczura na podłodze salonu. Przypomniała sobie tamte własne refleksje, gdy pełna przerażenia wpatrywała się w ckliwy wywiad w miesięczniku. Ów człowiek nie żartował.

Powzięła więc jedną decyzję. Tylko jedną, pomyślała ponuro, wyliczając w duchu inne postanowienia, które będzie musiała podjąć w najbliższej przyszłości. W ciągu kilku następnych dni zniknie na pewien czas. Na tydzień, może na dziesięć dni? Będzie musiała wrócić na wernisaż Nate'a; od tego nic jej nie powstrzyma. Ale teraz ucieknie na chwilę od myślenia o tym wszystkim. O dziecku. O małżeństwie. O nowej powieści. O wszystkim.

Niemal się uśmiechnęła. Jak to ujęła doktor Philbin? Trzeba się zdecydować na decyzję...

Znów podniosła wzrok na Nate'a. Spoglądając na niego z czułością, pomyślała: nie powiem mu, dokąd jadę; nie powiem mu nawet, że wyjeżdżam.

– Hej – odezwał się ze śmiechem – jesteś tu?

– Tak – zapewniła go pospiesznie. – Jestem.

Do końca kolacji skupiła się wyłącznie na nim, odsuwając na bok czarne myśli. Niemal nie zwracała uwagi na jedzenie. I nawet nie zauważyła samotnego mężczyzny, który usiadł, odwrócony do nich plecami, dwa stoliki dalej.

Wypił kawę, zapłacił rachunek i wyszedł. Jillian i Nate opuścili lokal

kilka minut, wcześniej, więc nie musiał być ostrożny. Przeszedł przez ulicę i wszedł do swego pokoju naprzeciwko jej mieszkania. Zdjął blond perukę, wąsy, a także okulary o grubych szklach i położył je na stole obok magnetofonu.

Tamci siedzieli teraz w salonie razem z Tarą słuchając, jak aktorka opowiada o randce, na którą umówiła się w najbliższy wtorkowy wieczór. Potem Tara wróciła do siebie na piąte piętro, a Jillian i Nate rozmawiali jeszcze przez chwilę. Malarz zapytał Jill, czy czuje się dobrze, a ona odpowiedziała, że tak. Wspomniała, iż wizyta u doktor Philbin nie doszła do skutku, a on westchnął, że jutro musi wcześniej wstać i mówił coś o oprawianiu obrazów. Zaproponował też, że może zostać na noc, jeśli Jill tego chce, ale potrząsnęła głową, tłumacząc, że rano powinien być w swojej pracowni, skoro przychodzi ramiarz. Pocałowali się, po czym Nate wyszedł. Kilka minut później ryk motocykla na chwilę wypełnił ulicę, a potem ucichł, gdy mężczyzna odjechał.

Jillian Talbot została sama.

Siedział w fotelu, obserwując ją, a nowy plan powoli układał się w jego umyśle.

Tak, pomyślał. Tak...

Wiedział, co robić dalej.

Muzyka płynęła gdzieś z daleka i początkowo Jill nie umiała określić jej źródła. Soczyste akordy zespołu jazzowego, samotny płacz saksofonu i kobieta śpiewająca niskim, przejmująco pięknym głosem. Ta piosenka pogrążyła ją w smutku, ale również przyprawiała o uczucie niepokoju.

Trzy młode kobiety tańczyły, obracając się wolno wokół dużej, słabo oświetlonej sali w rytm opływającej je muzyki. Były w długich, powiewnych, identycznie zaprojektowanych, ale różniących się kolorem, szyfonowych sukniach: blondynka w błękitnej, brunetka w różowej, a rudowłosa w cytrynowej. Świeące wprost na parkiet górne reflektory tworzyły w ciemności plamy oślepiająco białego światła. Pełne wdzięku, pastelowe sylwetki kobiet poruszały się płynnie w takt muzyki, pojawiając się, to

znów niknąc z pola jej widzenia, ilekroć przesuwały się w tańcu ze światła w cień i z cienia do światła. Ona nie tańczyła. Siedziała na twardym metalowym krześle przy dużym, okrągłym stole pod ścianą ze szkła. Odwróciła wzrok od tamtych kobiet, by spojrzeć na ośnieżony, księżycowy krajobraz rozciągający się za oknem w bezkresnej dali.

Gdzie jest? Co się z nią dzieje? I dlaczego ten dojmująco dramatyczny głos pieśniarki napełnia ją przerażeniem? Poznałaby to miejsce, muzykę i te młode kobiety, gdyby tylko mogła myśleć, gdyby tylko mogła się skoncentrować. Ale działo się z nią coś złego: nie mogła się ruszyć, siedziała jak przykuta do twardego metalowego krzesła, czując swój wydatny brzuch i wewnętrzne napięcie. Dziecko! To było dziecko! Kopało ją, wierząc się w jej łonie; cudowny załączek życia w jej własnym ciele. Uśmiechnęła się mimo niewygody i narastającego strachu. Moje maleństwo, pomyślała. Nasze maleństwo, Nate'a i moje...

Nate. Gdzie on jest? Odwróciła się od śnieżnej panoramy i szybko rozejrzała po sali, szukając kochanka. Przyszłego męża. Nate, pomyślała, otwierając usta i próbując złożyć słowa. Nate! Gdzie jesteś?

Nikt nie odpowiedział. Narastające przerażenie ścisnęło jej gardło. Wiedziała, że nawet gdyby mogła krzyczeć, nie usłyszano by jej poprzez dźwięki muzyki, która wydawała się coraz głośniejsza i zbliżała się coraz bardziej, napełniając jej uszy, mózg i myśli, aż w ogóle nie mogła się poruszyć. Coś musiało się stać; była tego pewna. Coś straszego.

Nagła, przerażająca świadomość uderzyła w nią z taką siłą, że przez chwilę sądziła, iż ktoś uderzył ją w twarz. W jednym gwałtownym przeblysku zroszowała wszystko.

Hartley College.

Sharon Williams, Belinda Rosenberg, Cass MacFarland.

I przygniatające ją fale muzyki, przechodzącej z nieokreślonego hałasu w wyraźną melodię.

Sarah Vaughan, „My Funny Valentine”,

„My Funny Valentine”!

Valentine...

WALENTYNKA!

Jill otworzyła oczy i wpatrywała się w nieprzeniknioną ciemność. Pokój wirował wokół niej niczym owe tancerki. Było jej gorąco, strasznie gorąco. Jej włosy i nocna koszula przesiąknęły potem. Miała spieczone usta i wyschnięte gardło. Z wolna zdawała sobie sprawę, że to był tylko sen.

Powoli, bardzo powoli ów wirujący ruch ustał, gdy oczy Jill przyzwyczaiły się do ciemności. Teraz przepływały przez nią kolejne fale ulgi. Znajdowała się w swej sypialni, we własnym mieszkaniu przy Barrow Street w Greenwich Village na Manhattanie, w Nowym Jorku, w Stanach Zjednoczonych Ame...

Nagle uświadomiła sobie, że wciąż słyszy muzykę.

Dochodziła zza zamkniętych drzwi sypialni, z salonu, ze stojącej w rogu wieży stereo. Ten wspaniały głos; ta cicha, pieśczośliwa, ujmująca melodia...

Sarah Vaughan.

„My Funny Valentine”.

Realność owej melodii niemal poraziła Jill, atakując wszystkie jej zmysły. Przez chwilę nic nie widziała, nic nie rozumiała. Sparaliżowana ze zgrozy, wstrzymała oddech, nie mogąc się ruszyć, gdy ostra, przyprowadzająca o mdłości trwoga przenikała każdy centymetr jej ciała.

Jej pierwszą myślą był krzyk. Jednak nawet gdy otworzyła usta, by nabrać powietrza, jakaś resztką zdrowego rozsądku, pierwotny, organiczny instynkt przetrwania wzięły górę. Szybko uniosła rękę i przycisnęła ją do ust, by nie wymknął się z nich żaden dźwięk. W tej samej chwili ów tkwiący w niej głęboko atawistyczny instynkt życia zaczął ostro wydawać jej instrukcje.

Wstać z łóżka.

Zanim zrozumiała, że się poruszyła, znalazła się na dywanie między łóżkiem a drzwiami sypialni. Przyciśnięta do miękkiej wełny, nasłuchiwała w napięciu.

Muzyka. Ciche brzęczenie lodówki za ścianą. Łagodny szum grzejnika. Dalekie odgłosy ruchu ulicznego zza zamkniętego okna. Nic więcej.

W sypialni go nie ma; jest więc w jakimś innym miejscu.

Telefon.

Skulona na podłodze, bezgłośnie zlorzeczyła samej sobie. Jedyne telefon w tym mieszkaniu znajdował się w następnym pokoju – w gabinecie. Teraz, niestety zbyt późno, Jill zrozumiała przydatność telefonów w sypialniach.

Broń!

Ostrożnie dotarła do ściany obok nocnego stolika i wyciągnęła z kontaktu wtyczkę dużej, ciężkiej, odlanej z brązu lampy. Identyczna stała na bliźniaczym stoliku z drugiej strony łóżka. Jill podniosła się i szybko zdjęła niebieski abażur, a następnie wykręciła żarówkę i owinęła sznur wokół podstawy. Potem uniosła lampę nad głowę, podstawą ku górze, cichutko podeszła do drzwi szafy z drugiej strony pokoju i otworzyła je jednym szybkim, gwałtownym ruchem.

Pusto.

Jak duch przesunęła się do drzwi sypialni i przyłożyła do nich ucho nasłuchując.

Nic podejrzanego.

Wolną dłonią ujęła klamkę, nacisnęła ją i otworzyła drzwi. Ciężka lampa trzymana w górze gotowa była spaść na wszystko, co znajdowało się po drugiej stronie.

Przedpokój był pusty.

Drzwi do gabinetu po przeciwnej stronie holu były otwarte, podobnie jak drzwi do sąsiadującej z nim łazienki. Jill odwróciła głowę, dokładnie sprawdzając tę część przedpokoju, która wiodła do salonu. Dostrzegła przyćmione światło, łagodny migotliwy blask jaśniejący z małego stolika obok kanapy. Świeca. Oświetlała pokój wystarczająco jasno, by Jill mogła zobaczyć, że tu także nie ma nikogo. Odwróciła głowę i szybko obrzuciła wzrokiem wnętrze kuchni. Pusto. Pochylając się do przodu, zajrzała do gabinetu – również pusto. W tym pokoju znajdowała się także szafa, ale od podłogi aż po sufit wypełniały ją półki i szuflady oraz letnie ubrania, była więc zbyt wyładowana, by znalazło się tu miejsce dla człowieka.

Trzymając nad głową ciężką lampę, cicho wyszła do przedpokoju i

podkraǳła się do łazienki. Stała w drzwiach i zapaliła światło.

Pusto.

Z miejsca, w którym stała, mogła widzieć całe mieszkanie.

Nikogo obcego tu nie było.

Piosenka dobiegła końca i po chwili zaczęła się znowu. Nagrał ją na taśmę magnetofonową. Jill dostrzegła zielone lampki domowej wieży hi-fi świecące w słabo oświetlonym salonie.

Powoli i nieuchronnie jej spojrzenie powędrowało dalej i spoczęło na ostatnim z możliwych miejsc.

Szafa obok wejściowych drzwi.

Ruszaj!

Szybko weszła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi. Przeszła już przez cały pokój i sięgała po telefon, gdy uświadomiła sobie, że nagle zrobiło jej się zimno. Przeniosła wzrok z telefonu na okno nad biurkiem.

Było szeroko otwarte. W szybie tuż nad zamkiem w dolnej części ramy widniał niewielki, idealnie wycięty okrągły otwór.

Jill pochylała się i wyrzała na schody ewakuacyjne. Jej spojrzenie zbiegło w dół, tak nisko, jak tylko mogła coś zobaczyć. Droga przeciwpożarowa również była pusta.

Ze słuchawką w lewej ręce – w prawej wciąż trzymała ciężką lampę – Jill niezdarnie wystukiwała cyfrę po cyfrze, starając się przypomnieć sobie ich kolejność. Bez sensu. Nie mogła zebrać myśli. Odłożyła słuchawkę, uklękła i szybko odsunęła na bok dywan ze środka podłogi. Sypialnia Tary mieściła się dokładnie nad tym pokojem. O Boże, proszę! Ujęła brązową lampę w obie ręce i uderzyła nią w podłogę. Trzy szybkie stuknięcia, trzy wolne i ponownie trzy szybkie. A potem jeszcze raz. I jeszcze. Wybijała ten rytm wciąż na nowo, przez cały czas wpatrując się w zamknięte drzwi gabinetu i spodziewając się, że w każdej chwili uderzy w nie z drugiej strony ciężka pięść...

Licz do dziesięciu.

Jeden, dwa, trzy, cztery...

Wtedy na szczęście w całym mieszkaniu rozległo się walenie do drzwi

wejściowych, któremu towarzyszył głośny krzyk nie na żarty zirytowanej policjantki.

– Otwierać! Policja!

Jill nawet nie zdawała sobie sprawy z faktu, że się podniosła. Drzwi od gabinetu nagle były otwarte, a ona ruszyła biegiem do wejściowych i teraz stała przy nich, wpatrując się w zamkniętą szafę, od której dzieliły ją niespełna dwa metry. Znowu rozległo się walenie do drzwi.

– Policja! Otwierać drzwi!

Wciąż wymachując lampą, Jill sięgnęła do klamki i krzyknęła:

– Tara, to ja! Nie strzelaj!

Otworzyła drzwi. Przyjaciółka, w chińskim kimonie, stała na ugiętych nogach, w rozkroku, w rękach wyciągniętych sztywno przed siebie trzymała rewolwer „Lady Wesson”, wycelowany prosto w serce Jill.

Przez moment wpatrywały się w siebie oszołomione: Tara z rewolwerm i Jill z lampą. Potem w jednej chwili aktorka znalazła się przy niej, wycelowując broń do wnętrza salonu. Jill podniosła palec do ust i wskazała na drzwi szafy. Tara skinęła głową. Jill podeszła ostrożnie, sięgnęła do klamki i odwróciwszy się, ponownie spojrzała na przyjaciółkę. Tara kiwnęła głową twierdząco. Jill nacisnęła klamkę, otworzyła drzwi i opadła na podłogę, by usunąć się z linii strzału.

Nikogo.

Podniosła się powoli i wciąż ściskając w dłoni ciężką lampę, zajrzała do wnętrza szafy.

Pusto.

Ponownie odwróciła się do przyjaciółki. Tara powoli odetchnęła i opuściła rewolwer. Jill oparła się plecami o drzwi i upuściła na podłogę brązową lampę.

– Wyszedł – powiedziała.

Piosenka dobiegła końca, ale po chwili rozpoczęła się od nowa i łagodny, przyciszony głos Sarah Vaughan nagle wypełnił mieszkanie. Tara zakręciła się w kółko, instynktownie podnosząc rewolwer.

– Co, do diabła...?

– Nie! – wykrzyknęła Jill i przyjaciółka znowu opuściła broń.



W tej samej chwili obie zwróciły się w stronę źródła światła. Wysoka, czerwona świeca jaśniała ustawiona we własnym wosku na blacie małego stolika. Jill ruszyła do salonu, mając Tarę tuż za sobą. W milczeniu wpatrywały się w świecę i leżącą obok kopertę. Na kopercie spoczywało płaskie pudełeczko z czarnego aksamitu. Szkatułka jubilerska, pomyślała Jill, wyciągając ku niej rękę.

Najpierw jednak wzięła do ręki kopertę i otworzyła ją. Zobaczyła kolejną składaną kartę walentynkową z wizerunkiem dwojga wielkookich dzieci. Chłopczyk wręczał dziewczynce walentynkę w kształcie serca. Pod rysunkiem widniał napis:

DLA CIEBIE...

Tara zaglądała jej przez ramię, więc Jill otworzyła walentynkowy kar-net. W środku znajdował się drukowany tekst:

WRAZ Z CAŁYM MOIM SERCEM!

Pod nim umieszczono wystukany na maszynie dobrze znany podpis:

POZDROWIENIA  
„WALENTYNKA”

Jill odłożyła kartę wraz z kopertą na stół i sięgnęła po aksamitne pudełeczko. Bez wahania i bez chwili namysłu otworzyła je. Skamieniała, wpatrywała się w duży, diamentowy pierścionek, który zdawał się migotać ku niej porozumiewawczo swym blaskiem.

Pierścionek wsunięty był na odcięty ludzki palec.

Pudełko wysunęło się z ręki Jill, a jego straszliwa zawartość upadła na stolik. Pierwszy, odruchowy dreszcz przerażenia przeniknął ją i zgasł równie szybko, jak się pojawił. Tara straciła oddech i cofnęła się jak najdalej, Jill jednak pozostała w tym samym miejscu. Pochyliła się i dokładnie obejrzała ów przedmiot, a potem wolno podniosła go i położyła obok świecy.

Był to oczywiście falsyfikat, prymitywna imitacja. Jedno z miliona tych jakoby zabawnych okropieństw sprzedawanych we wszystkich

„wesołych sklepikach” i parkach rozrywki w Ameryce. Palec był nieco większy niż prawdziwy, a pierścionek z kawałkiem szkła pomalowano na jakiś zmatowiały, nieprawdopodobnie miedziany kolor. Jaskrawoczerwony paznokciec był zbyt gruby, niemal tak gruby jak sam gumowy palec, zaś krwawa barwa szarpanej rany u jego podstawy nie miała nawet zbliżonej do koloru prawdziwej krwi barwy.

Pełna obrzydzenia i wstrętu, jakiego nie czuła nigdy przedtem, Jill upuściła na stolik tę odrażającą rzecz, ale sztuczny palec odbił się od blatu i cicho wylądował na orientalnym dywanie. Obie kobiety spojrzały w dół.

Jill dłuższy czas przyglądała się gumowemu paskudztwu, myśląc o tym, co się stało. On tu był. Był w moim domu. W moim domu! Podczas gdy ja spałam w sąsiednim pokoju, wszedł tu i zostawił tę szaloną, tę nie dającą się opisać rzecz. Równie łatwo mógłby mnie zamordować.

Nie, uświadomiła sobie. On nie chce mnie zamordować.

Jeszcze nie.

On czeka na Dzień świętego Walentego. Na walentynki.

Belinda zginęła na stoku, ale to nie był wypadek.

Sharon zniknęła, a Cass wyruszyła w nieznane.

Tak... Teraz Jill już wiedziała, że wszystkie trzy nie żyją. Była tego pewna, tak pewna jak nigdy niczego...

I oto, pomyślała, przyszła kolej na mnie.

Spojrzała na Tarę, która stała obok, trzęsąc się w cienkim, jedwabnym kimonie i zaciskając ręce wokół ciała. Jill posłała przyjaciółce uśmiech, poszła do sypialni i po chwili wróciła ze swym najcieplejszym kocem. Wręczywszy go Tarze, skierowała się do okna. Pierwsze, blade światło świtu powoli wypełniało mroczne niebo, gdy Jill wyjrzała na ulicę, ku stojącym po przeciwnej stronie budynkom i rozciągającej się za nimi rozległej panoramie miasta. Okna. Tysiące okien...

Obrzydzenie zniknęło, ustępując miejsca czemuś, czego przedtem doświadczyła tylko raz, na kuchennej podłodze mieszkania przy Central Park West, gdy chwyciła ciężki żeliwny rondel i uderzyła swego ojczyrna w głowę. Wściekłość. Ślepa, czysta, atawistyczna, prehistoryczna furia.

Spoglądając na miasto, Jill oddychała powoli, głęboko wciągając powietrze. Krzyk, który nagle wydarł się z jej piersi, zderzył się z oknem i wrócił, uderzając ją w twarz i odbijając się echem w pokoju, jakby wydany był nie przez nią, lecz do niej.

– Jesteś martwy, Victorze! – zawołała. – Rozumiesz? M a r t w y !

Tara stanęła za nią i delikatnie objęła przyjaciółkę ramieniem.

Jillian Talbot powoli, niemal ceremonialnie zaciągnęła zasłony.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytała aktorka.

Jill odwróciła się i Tara ze zdumieniem dostrzegła groźny wyraz jej twarzy.

– Mam zamiar położyć temu kres! – odparła. – Skończę z tym natychmiast!

## 12. Sobota, 7 lutego

Ciche dzwonienie telefonu stojącego na nocnym stoliku obudziło Jane Fleck. Odwróciła się na bok i wyciągając rękę po słuchawkę niemal zrzuciła aparat na podłogę. Spojrzała na świecąca tarczę budzika: wpół do siódmej.

– Halo?

– Dzień dobry. Pani Fleck, prawda? Nazywam się Jill Talbot, jestem klientką pani męża. Bardzo przepraszam, że niepokoję państwa o tak wczesnej porze, ale muszę z nim porozmawiać. To dla mnie bardzo ważne.

– Proszę zaczekać.

Odwróciła się i trąciła łokciem olbrzymią, nieruchomą postać leżącą obok niej.

– Mmmm...

– Telefon do ciebie. Jill Talbot. Obudź się! – Jane rozmyślnie potarła zimną słuchawką szyję męża. Równie skuteczne okazało się nazwisko telefonującej.

W jednej chwili detektyw zerwał się z łóżka i sięgnął po słuchawkę. Stał nagi obok żony w ciemnej sypialni ich mieszkania przy Cobble Hill i trzęsąc się z zimna słuchał głosu płynącego z drugiej strony. Jane otworzyła jedno oko, by spojrzeć na męża. Twarz miał ściągniętą, szczęki zaciśnięte. Znała to: złe wiadomości. Seria wydawanych przez Barneya krótkich mruknięć jedynie potwierdziła jej podejrzenia. W końcu Jane usłyszała, jak powiedział:

– Dobrze, zostań u przyjaciółki. Nie wracaj do swego mieszkania, dopóki nie przyjadę. Daj mi dwadzieścia minut.

Zamknęła oczy, starając się zasnąć i ledwie słysząc, jak podszedł do szafy i włożył ubranie. Już zasypiała, gdy z drugiej strony pokoju dobiegły ją dziwne odgłosy: krótka seria metalicznych trzasków. Kiedy się odwróciła i zrozumiała, co znaczą owe dźwięki, natychmiast usiadła na łóżku.

– Co... co to jest? – Z przerażeniem patrzyła, jak Barney sprawdzał, czy rewolwer jest załadowany, a potem wsunął go do futerału pod ramieniem i szybko włożył płaszcz.

– Nic. Śpij! – odpowiedział, podchodząc do łóżka; pochylił się i pocałował ją w policzek. – Zaraz wracam.

Jane położyła się i usłyszała trzaśnięcie zamykanych drzwi.

Dwadzieścia minut później, porzuciwszy myśl o jakimkolwiek spaniu, wstała z łóżka i zdenerwowana poszła do kuchni, żeby zrobić kawę.

Jill siedziała w salonie Tary, zbierając myśli i segregując fakty. Tak wiele zrozumiała w ciągu ostatnich trzydziestu minut, że jej odrętwiałemu mózgowi groziła katastrofa z powodu przytłaczającej prawidłowości owej wiedzy. Rozpaczliwie próbowała się skoncentrować.

Co teraz, zastanawiała się intensywnie.

Cóż, przynajmniej to było postanowione. Oznajmiła swoją decyzję Barneyowi Fleckowi przez telefon i nikt jej tego nie mógł wyperswadować.

A co potem?

Nie. Teraz nie będzie o tym myśleć. Zrobi to, co należy zrobić...

Znów spojrzała na zegarek. Gdzie ten Barney...?

Tara uważnie przyglądała się przyjaciółce. Jill siedziała od jakiegoś czasu całkiem spokojnie, wpatrując się w stolik do kawy, a na jej twarzy malował się nieodgadniony wyraz. Od czasu do czasu spoglądała na zegarek albo sięgała po kubek rumiankowej herbaty, którą podała jej przyjaciółka, gdy zeszły, by zatelefonować do detektywa. Stało się to tuż po zaprezentowaniu przez Jill czegoś, co Tara – aktorka – mogłaby opisać jedynie jako „scenę szaleństwa”.

Przyjaciółka wykrzykiwała groźby pod adresem owego Victora, czy też „Walentyńki”, a później zaciągnęła zasłony w oknach. Potem nagle zaczęła niemal bełkotać coś o jego wiedzy; że jest większa, niż ta, którą zdołałby zgromadzić z samej tylko obserwacji. Zawsze się orientował, kiedy byli z nią inni, a kiedy znalazła się w mieszkaniu sama.

Wiedział, kiedy Nate zostawał na noc, a kiedy go nie było. Wiedział o każdym jej ruchu, nawet zanim go zrobiła.

Wraz z ostatnim zdaniem oczy Jill zrobiły się niemal ogromne. Jak szalona rozglądała się po pokoju i zanim Tara zdołała pojąć, co się dzieje, jej przyjaciółka pobiegła do gabinetu. – Kiedy Tara dotarła tam za nią, słuchawka telefonu była już rozkręcona, a gdy podeszła bliżej, Jill bez słowa pokazała jej niewielki metalowy przedmiot tkwiący w środku. Nie wyjęła go, tylko skręciła słuchawkę ponownie i odłożyła ją na widełki.

Potem zaczęła działać niczym w gorączce. Położyła palec na ustach, kazała Tarze być cicho i zaczęła – bardzo spokojnie – sprawdzać pokój. Każdy mebel został odwrócony i dokładnie obejrzany, tak samo jak szafa, szuflady i półki oraz regały na książki, a nawet oprawione okładki książek Jill wiszące na ścianach. Sięgnęła po pióro i notes, nagryzmoliła coś pośpiesznie, a potem wydarła kartkę i podała ją Tarze. „Pluskwy! Sprawdź sypialnię i łazienkę, Szukaj WSZĘDZIE!!!”. Ostatnie słowo było napisane dużymi literami i dwukrotnie podkreślone.

Tara skinęła głową i natychmiast ruszyła do sypialni. Szybko i bezszelstnie sprawdziła nocne stoliki, komódkę i szafę. Potem przypuściła atak na łóżko i materac, w duszy dziękując Bogu za to, że jej brat przeszedł przez fazę nastolatka mając bzika na punkcie elektroniki. Przed laty bez końca zanudzał ją i rodziców nie kończącymi się monologami na ten temat. Teraz, dzięki niemu, wiedziała, że to, czego szukają, nie może być zupełnie małe. Te niewielkie urządzenia, jakie widuje się w kinie i w telewizji, są dobre tylko na kilka godzin... chyba że kieruje się nimi z sąsiedniego pomieszczenia. Wszystko, co działało przez kilka tygodni, zapewniając transmisję na przyzwoitą odległość powinno składać się nie tylko z mikrofonu, ale również z elektronicznego urządzenia aktywującego i jakiegoś rodzaju baterii lub akumulatora. Byłoby to więc zdecydowanie większe niż naparstek. Słowa brata – których wtedy Tara słuchała jednym uchem – wróciły teraz do niej z całą wyrazistością i zapisała sobie w pamięci, by później doń zadzwonić.

Skończywszy z łóżkiem, Tara udała się do łazienki. Jill przeszukała

kuchnię, otwierając wszystkie szafki i szuflady, a nawet piekarnik, a potem przeszła do salonu. Tara podniosła właśnie porcelanowe wieko sfluczki za toaletę, gdy poczuła na ramieniu rękę przyjaciółki. Odłożyła więc sfluczkę i poszła za Jill do pokoju.

Kanapa była teraz odwrócona „na plecy”. Jill uklękła i wskazała Tarze miejsce, gdzie przyklejony taśmą do spodu mebla, tuż za jego nóżkami, znajdował się obiekt ich poszukiwań. Aktorka wpatrywała się w ów przedmiot, czując w sobie taką samą rosnącą wściekłość, jaką wyczuwała u Jill. Bez słowa razem opuściły mieszkanie i zeszły do Tary, która zasłoniła swoje okna, aby Jill mogła zatelefonować – a teraz czekały na Barneya Flecka.

Na dźwięk dzwonka Tara podeszła do domofonu, by wpuścić detektywa do klatki schodowej, a kilka minut później otworzyła mu drzwi swego mieszkania. Zobaczyła go po raz pierwszy od czasu owego incydentu z Betty Hanes, który wydarzył się w studiu telewizyjnym. Nie pamiętała, że jest tak potężnie zbudowany. Zdumiona i podniesiona na duchu posturą tego mężczyzny, odsunęła się na bok i patrzyła, jak detektyw natychmiast skierował się ku Jill.

– Chcę to zobaczyć – powiedział.

Ta wstała i bez słowa poprowadziła go do swego mieszkania.

Dziesięć minut później oboje znajdowali się już z powrotem w salonie Tary, która zobaczyła, że teraz Jill jest już całkowicie ubrana i ma ze sobą torebkę i płaszcz. Aktorka usiadła naprzeciwko przyjaciółki i detektywa, przysłuchując się ich rozmowie.

– W porządku – powiedział Barney Fleck – zostawimy te pluskwy tam, gdzie były, i nie będziemy ich wyłączać. Nie chcemy, by się zorientował, że je znaleźliśmy. Ale jak chcesz rozegrać tę sprawę?

– To. proste – odparła Jill zdumiewająco stanowczym głosem. – Nie wrócę tam. Wyjadę.

– Dokąd?

Jill spojrzała na Barneya, a potem na Tarę i potrząsnęła głową.

– Nieważne. Pojadę do przyjaciół. Będę tam całkowicie bezpieczna, ale nie chcę, by ktorekolwiek z was wiedziało, gdzie jestem. W każdym

razie nie teraz. Skontaktuję się z wami. – Po tych słowach zwróciła się do detektywa: – Tę myśl podsunęła mi moja agentka. Doskonale pamiętam tamtą rozmowę, żadna z nas nie wymieniła ani nazwiska tych przyjaciół, ani ich adresu. Nawet jeśli coś usłyszał, nie mógłby poskładać razem naszych słów. Zatelefonowałam do nich raz z mieszkania, ale nie było ich w domu. Zostawiłam krótką wiadomość, lecz nie zawierała ona żadnych szczegółów. Wczoraj zadzwoniłam ponownie, ale zrobiłam to z telefonicznego automatu na ulicy i z pewnością nie wspominałam o tym u siebie w domu.

– A co z Nate'em? – zapytała Tara.

Jill znowu potrząsnęła głową.

– Nie. Nie... jemu też nie powiem. Po prostu wyjadę na kilka dni, może na dziesięć... Dopóki nie miną walentynki.

Tara i Barney patrzyli ze zdumieniem na Jill, która znowu zwróciła się teraz do detektywa.

– Masz przy sobie te wczorajsze notatki? – zapytała.

Skinął głową i wyciągnął kartki z kieszeni płaszcza.

– Czy krewni dziewcząt albo ich bliscy, z którymi rozmawiałeś, wymienili daty lub przynajmniej pory roku? – Zadała kolejne pytanie.

Tara obserwowała, jak przeglądającemu notatki Barneyowi Fleckowi nagle rozszerzają się oczy.

– Niech to szlag... – mruknął. – Sharon Williams zniknęła przed trzema laty na początku lutego. Tak właśnie powiedziała jej matka: „Na początku lutego”. Mąż Belindy wspomniał o jakimś święcie. Powiedział, że było to dwa lata temu i mówił coś o świątecznym zjeździe. Nie powiedział, o które święto chodziło, chociaż...

– Zadzwonź do niego jeszcze raz – rzekła Jill. – Założę się, że był to Dzień świętego Walentego. Święto Zakochanych. Walentynki. I sądzę, że w zeszłym roku w Dniu Zakochanych zamordował Cass. Oczywiście, nie mamy sposobu, żeby to udowodnić, ale dostrzegam tu pewien schemat. Karty z walentynkowymi życzeniami, kwiaty, jubilerskie puzderka. Odplaca nam za tamten Dzień świętego Walentego w college'u. Mój Boże,



jakież to obrzydliwe! – wzdrygnęła się nagle. – Z pewnością podsłuchiwał mnie, gdy byłam w sypialni. W łazience...

– Nie sądzę – przerwał jej szybko detektyw. – Nie jestem ekspertem, ale nie wydaje mi się, by ten mikrofon mógł zbierać głos spoza salonu.

Tara zauważyła, że Jill poczuła pewną ulgę. Potem zobaczyła, że przyjaciółka sięga do torebki i wyjmuje z niej książeczkę czekową oraz długopis.

– Namysliłam się – powiedziała Jill, wypisując czek. – Nie dzwoń drugi raz do męża Belindy ani nie pytaj o nic pani Williams, matki Sharon. Jeszcze nie. Chcę, żebyś na razie skoncentrował się na Victorze. Czy możesz pojechać do tego miasteczka w Pensylwanii, jakże się ono nazywa... do Mill City?

– Tak... – odrzekł Barney. – W poniedziałek albo we wtorek, ale to kawał drogi. Samochodem z Nowego Jorku...

– Nie jedź samochodem – przerwała mu Jill. – Poleć samolotem do Pittsburgha i tam wynajmij samochód. Rozejrzyj się po tym mieście. Pójdź do domu, w którym mieszkał i da redakcji lokalnej gazety. Zrób wszystko, co się da. Chcę mieć jego fotografię. Jego zdjęcia z pewnością były w gazetach po tym, jak zamordował swoich rodziców. W więzieniu także będą je mieć.

– On zamordował własnych rodziców?!

Tara wpatrywała się w Jill szeroko otwartymi oczami, zdumiona strzępkami informacji, które padały między przyjaciółką a detektywem. Pierwszy raz słyszała o tym wszystkim. Czuła, jak w jej żołądku zaczyna się formować lodowata kula.

– O tym później. – Jill odpowiedziała tylko tyle i dodała szybko: – Teraz stąd uciekam. – Wyrwała czek i wręczyła go Barneyowi. – To powinno wystarczyć na pokrycie wydatków i jeszcze trochę. W tutejszym Szóstym Komisariacie pracuje sierżant Escalera. Jeśli dowiesz się czegoś w Mill City, powiedz mu o tym.

Barney skinął głową.

– Znam tego faceta.

– Dobrze – rzekła Jill wstając. – Ten czek powinien także wystarczyć na naprawę okna w moim gabinecie. Chciałabym, żebyś również znalazł kogoś, kto wstawi kraty i zainstaluje jakiś dobry system alarmowy. Możesz to załatwić?

Detektyw znów skinął głową.

– Jak będę się mógł z tobą skontaktować? – zapytał.

– Zadzwoń do twego biura w czwartek. Do tego czasu powinienes już wrócić z Pensylwanii. – Udzieliwszy odpowiedzi detektywowi, wręczyła swoje klucze Tarze. – Do ciebie także zatelefonuję. I do Nate'a. Moja sprzątaczką, Gloria Price, mieszka przy Bedford Street. Jej mąż, Louis, jest w książce telefonicznej. Zadzwoń do niej i powiedz, że przez kilka tygodni nie będzie mi potrzebna. Idę złapać taksówkę.

– Pójdę z tobą – zaproponował Barney. – On może obserwować budynek, a przecież nie chcemy, żeby pojechał za tobą do ... dokądkolwiek się udajesz.

Jill się uśmiechnęła.

– Och nie, nie pojedzie. Jeśli o niego chodzi, ja wcale nie wyjeżdżam. Ty idź teraz do domu.

Detektyw wstał; Tara odprowadziła go do drzwi. W progu odwrócił się i spojrzał na swą klientkę.

– Uważaj na siebie – powiedział.

– Ty też – pożegnała go.

Gdy tylko Tara zamknęła drzwi za Barneyem, Jill sięgnęła po płaszcz.

– Wyjdę tylnym wyjściem, jeśli nie masz nic przeciwko temu – wyjaśniła.

Przyjaciółka wzruszyła ramionami.

– Jasne. Mam milion pytań, ale zachowam je na później. – Potem po chwili namysłu, dodała: – Pozwól, że ci pomogę.

Jill uśmiechnęła się, gdy Tara wzięła od niej płaszcz i stanęła za nią, pomagając go włożyć.

– Dzięki.

Uściskały się, po czym aktorka weszła do sypialni w głębi mieszkania,

otworzyła okno i obserwowała, jak Jill wychodzi przez nie na schody przeciwpożarowe. Podała przyjaciółce torebkę.

– Proszę cię, uważaj na siebie – rzuciła na pożegnanie. Jill uśmiechnęła się do przyjaciółki.

– Baw się dobrze we wtorkowy wieczór!

Tara musiała sobie przypomnieć, o co chodzi.

– Ach, tak. Doug. Z pewnością będę się dobrze bawić.

– Też tak myślę. Zadzwoń do ciebie. Cześć!

– Do zobaczenia!

Jakże dziwaczna jest cała ta sprawa, przyszło jej na myśl, gdy przyglądała się Jillian Talbot, słynnej autorce czterech bestsellerowych powieści, wychodzącej tylnym wyjściem z własnego domu, a właściwie wyslizgującej się zeń niczym złodziej uciekający nocą. Tara, która nigdy nie była szczególnie religijna, zamknęła oczy i wyszeptwała modlitwę za przyjaciółkę.

Jill zeszła po schodach przeciwpożarowych na pierwsze piętro, potem po drabinie – na parter i zeskoczyła na ziemię.

Uciekaj, pomyślała, szybko kierując się wąskim przesmykiem między dwoma budynkami ku Hudson Street. Instynktownie przystanęła na chwilę i rozejrzała się w obie strony, zanim wyszła z mrocznej alejki wprost w oślepiające światło poranka. W jej polu widzenia znajdowały się tylko trzy osoby; dwie kobiety i jakiś mały chłopiec. Skierowała się więc prosto na jezdnię i wyciągnęła rękę ku nadjeżdżającym samochodom. Po kilkunastu sekundach siedziała na tylnym siedzeniu taksówki, która szybko ruszyła na północ, uwożąc ją daleko od własnego mieszkania. Daleko od Greenwich Village. Daleko od ukochanego mężczyzny i przyjaciół.

Daleko od „Walentyńki”.

Ciężko oparła głowę o chłodną skórę tylnego siedzenia i zamknęła oczy.

Barney wyszedł z budynku, w którym mieszkała Jill, normalną, konwencjonalną drogą i przez kilka minut stał na chodniku, podnosząc wzrok ku domom stojącym po przeciwnej stronie ulicy. Tak... zastanawiał się,

szybko wędrując spojrzeniem wzdłuż budynków. To te dwa górne frontowe pokoje domu z czerwonej cegły i górne narożne mieszkanie w tym wielkim, szarym gmachu. Cztery okna... osiem, licząc również te, które znajdują się tuż poza nimi. Nie.... kąt byłby nieodpowiedni... A z okien mieszkania Jill zauważył, że następne domy za tymi dwoma stały w odległości kilku przecznic na północ, a więc także zbyt daleko. Boczne okna jej mieszkania wydawały się za małe, zatem musiał to być jeden z tych dwóch budynków, które detektyw miał teraz przed sobą.

Zdając sobie sprawę, że może być obserwowany, odwrócił się i szybko odszedł wprost do swego samochodu zaparkowanego za rogiem Bedford Street. Postanowił, że tu wróci. Przed upływem godziny...

Taksówka zawiozła Jill do agencji wynajmu samochodów przy Thirty-Ninth Street. Pół godziny później siedziała za kierownicą czerwonej chevetty, zmierzając na północny wschód ku Queensboro Bridge. Z każdym kilometrem, jaki dzielił ją od domu, czuła się coraz bardziej zrelaksowana. Zanim dotarła do wjazdu na autostradę Long Island, zaczęła już nawet podśpiewywać sobie cicho, ale uświadomiwszy sobie, co nuci, zatrzymała się gwałtownie.

„My Funny Valentine”...

Andrea Skinner niepokoiła się o matkę. Wczoraj telefonowała do niej dwukrotnie i zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce: pierwszy raz po południu, a drugi – wieczorem, ale mama nie oddzwoniła. Było to bardzo dziwne; zwykle Andrea rzadko musiała czekać na odpowiedź dłużej niż godzinę, nie mówiąc o całym dniu. Z tego, co wiedziała, matka miała być w domu.

Teraz, o dziewiątej rano w sobotę, stała na schodach ganku, naciskając dzwonek. Nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Potrząsnęła głową, cicho złorzecząc matczynej nieustępliwości, a nawet sknerstwu. Przecież miodowy miesiąc na Hawajach rejestratorki Sally planowany był od kilku miesięcy, a skoro zastępczyni Sally zachorowała, matka powinna

zadzwoić do agencji zatrudnienia, by przysłano jej kogoś do odbierania telefonów. Jednak czasowo angażowani ludzie liczyli sobie dwukrotnie więcej niż stali pracownicy, a Dorothy Philbin zawsze była oszczędna i wolała się obejść bez recepcjonistki, niż płacić komuś dwukrotnie wyższą pensję.

Andrea przyjechała więc do Greenwich Village tylko dlatego, że jej matka nie miała nikogo, kto odbierałby telefony. To doprawdy nieznośne, pomyślała, sięgając po własny klucz do domu matki i wchodząc do środka.

W salonie i w kuchni nie było nikogo, więc natychmiast weszła na pierwsze piętro. W sypialni, łazience i pokoju gościnnym także pusto... Z lekkim westchnieniem niecierpliwości ponownie zeszła na dół. Dziś sobota, a w czasie weekendów matka nie przyjmowała pacjentów. Prawdopodobnie gdzieś wyszła lub pracuje w gabinecie. Kiwając głową Andrea zeszła na dół.

Pierwsza instynktowna, niemal prorocza myśl, że stało się coś złego, przysła jej do głowy w kuchni, tuż przed otwarciem drzwi do sutereny. Zatrzymała się na chwilę, wyęzając słuch na każdy dźwięk. Dom był zbyt cichy, zbyt spokojny...

Gdy zapaliła światło na schodach prowadzących w dół, w jednej chwili zrozumiała, że instynkt jej nie mylił. Silny, mdląco słodki odór rozkładu buchał z ciemności sutereny ku otwartym drzwiom. Przez dobre dziesięć sekund Andrea nie była w stanie się ruszyć. Oszołomiona, przerażona, pełna nadziei, wbrew temu, czego mogła się spodziewać, powoli zeszła na dół. Krzywiąc się na ohydny woń, czekała chwilę u podnóża schodów, zanim ruszyła dalej i zapaliła światło.

Kilka minut później, gdy Andrea odzyskała przytomność, stwierdziła, że leży przy schodach, a jej dłonie i płuśnicz przykleiły się do dywanu. Matka była na podłodze przed swoim biurkiem w odległości półtora metra od niej. Leżała na plecach, ubrana w szary kostium, wpatrując się w sufit niewidzącymi, zmatowiałymi, szklistymi oczami. W miejscu, gdzie powinno być gardło, znajdowała się poszarpana, ciemna dziura, nad którą roily się małe czarne owady. Karaluchy oraz coś szarego i pokrytego

sierścią rozbiegło się na błysk światła, uciekając od ciała ku ciemniejszym zakątkom pokoju.

Gdy Andrea Skinner, spojrzawszy w dół, uświadomiła sobie, że jej ręce i płaszcz przywarły do pełnej karaluchów wyschniętej plamy krwi jej matki, wydała jęk przerażenia. Kiedy zaś, oderwawszy dłonie i ubranie od dywanu, jak szalona wybiegła po schodach do kuchni, zaczęła krzyczeć.

Ciuchy, pomyślała Jill prowadząc samochód. Będą mi potrzebne jakieś ubrania, kosmetyki i przybory toaletowe. Zapomniałam o laptopie. Będę musiała skorzystać z maszyny do pisania lub z papieru Gwen i długopisu, jeśli rzeczywiście przyda mi się ten papier i napiszę cokolwiek. Żaden problem; robiłam to już przedtem. Zatrzymam się gdzieś po pozostałe rzeczy po przerwie na lunch w jakiejś restauracji w Port Jefferson...

Gwałtowne poczucie winy ogarnęło ją na myśl, że od miesiąca nie odwiedziła matki. Cóż, to się da naprawić zaraz, właśnie dzisiaj. Zjemy razem lunch w tej miłej jadalni, a prócz tego przywiozę kwiaty i czekoladki dla niej i dla jej nowych przyjaciółek; pani Davis i pani... pani... jak jej tam.

Och, Boże, Jill, myśl! Nie rozpraszaaj się. Nie teraz.

Nie teraz...

Gospodyni na nic się nie przydała, stwierdził Fleck, podążając za kobietą wąskimi schodami na szóste piętro. Musiała mieć koło dziewięćdziesiątki, a sądząc ze sposobu, w jaki spoglądała na Barneya przez grube okulary, wzrok miała najwyraźniej kiepski. Tego młodego człowieka widziała tylko raz, przed dwoma tygodniami, i nie pamiętała jego nazwiska. Wydawało jej się obcojęzyczne. Zapłacił jej gotówką za trzy tygodnie. Nie, nie było żadnej pisemnej umowy ani czegoś w tym rodzaju. Nieoficjalny zarobek, mruknęła hardo, żeby uzupełnić szczupłe dochody z polisy ubezpieczeniowej. Przyznając się do tego, spoglądała na Barneya z ukosa.

Zgodziła się zaprowadzić go do tego pokoju dopiero wtedy, gdy okazał jej swoją licencję detektywa i na poczekaniu wymyślił jakąś historyjkę

o strapionej żonie i dzieciach w Brooklynie, dla których śledził owego marnotrawnego małżonka. Zapewnił staruszkę, że chce tylko zobaczyć jej lokatora. Prawdopodobnie nie jest on tym człowiekiem, którego szuka, ale...

Kobieta zacisnęła usta i skinęła głową, mamrocząc coś o niestałości męskiego rodu i ciężkim losie wielu żon i dzieci. Gotów był się założyć, nawet teraz, gdy wchodził za nią po schodach, że niemal miała nadzieję, iż jej lokator jest owym winnym facetem i bez wątpienia powiedziałaaby mu kilka słów prawdy.

Gdy dotarli na półpiętro piątej kondygnacji, detektyw zatrzymał gospodynię. Z trudem łapała oddech, więc zamienił swoją potrzebę samotnego podejścia do drzwi w akt uprzejmości.

– Proszę zaczekać tutaj – zaproponował z uśmiechem. – Ja tylko zapukam do jego drzwi. Jeśli nie odpowie, zajrzę do środka. To wszystko. – Z tym samym uśmiechem wyciągnął rękę i delikatnie wyjął pęk kluczy z pomarszczonej dłoni kobiety.

– Nie wiem... – zaczęła słabo, ale był już na ostatnim stopniu schodów.

Stając przed drzwiami, rzucił staruszce krókie spojrzenie. Mamrotała coś do siebie, nawet nie patrząc w jego stronę. Dzięki Bogu, pomyślał, wyjmując broń z kabury.

Oczywiście nie zapukał, tylko ostrożnie wsunął klucz do zamka i przekręcił go. Potem szybkim, zdumiewająco płynnym ruchem pchnął drzwi, schylił się i wycelował rewolwer prosto do wnętrza.

Rozejrzał się wokoło uważnie.

Pusto.

Wstał, powoli opuszczając broń. Staruszka wołała coś do niego z dołu, ale nie zwracał na nią uwagi. Jego wzrok wędrował po ciasnym, szarym pokoju. Pod oknem stał stary, wiklinowy fotel, obok niego zaś zniszczony, drewniany stół, na którym znajdowała się powyginana popielniczka. W rogu pokoju, ułożone jeden na drugim, leżały dwa brudne materace. Szybko podszedł do szafy i otworzył ją. Dwa czy trzy zardzewiałe metalowe wieszaki. To wszystko.

Podszedł do okna. Dokładnie naprzeciwko znajdowało się okno Jillian Talbot. Gdyby zasłony u Jill były rozsunięte, doskonale mógłby stąd widzieć większą część jej mieszkania.

A więc walentynko wy wielbiciel był tutaj, powiedział do siebie detektyw.

Poirytowane i irytujące krzyki gospodyni dotarły do niego, gdy stał w środku owego pokoju i powoli wciągał nosem powietrze.

Pokiwał głową.

Dym z papierosów.

Ten pokój opuszczono niedawno. Bardzo niedawno.

Wyszedł, zamknął za sobą drzwi i wrócił do kobiety, która czekała u podnóża schodów. Wpadnę dzisiaj do sierżanta Escalery, pomyślał schodząc za nią na dół. W tym pokoju z pewnością są odciski palców...

Gdzie jesteś, pomyślał później, gdzie jesteś „Walentynko”?

Następna myśl zatrzymała go w pół drogi. Stał teraz na schodach, patrząc jak gospodyni powoli człapie na dół.

Gdzie jesteś, Jillian Talbot?

Jill Talbot zaś była na autostradzie prowadzącej na wschód.

Poklepała się po kieszeni płaszcza, czując w niej przez grubą wełnę tę nierealną, dziwaczną, ale osobliwie uspokajającą rzecz; wzbudzający zaufanie ciężar prezentu, który Tara wsunęła jej do kieszeni, gdy pomagała przyjaciółce założyć płaszcz. Lewą ręką pewnie trzymając kierownicę, Jill opuściła prawą w dół i przeniosła nabitą ciężką „Lady Wesson” z kieszeni do torebki.

Rewolwer, pomyślała. Nigdy w życiu nawet nie dotknęłam rewolweru, ale Mike zna się na broni i z pewnością udzieli mi lekcji.

Nauczy mnie, jak strzelać; zranić, okaleczyć, zabić innego człowieka.

Och, Jill, co się z tobą stało?

Boże, proszę, pomóż mi przez to przejść. Doprowadź mnie do Port Jefferson, do matki. Potem do domu towarowego, po rzeczy, które są mi



potrzebne, i prosto do Peconic. Do Gwen i Mike'a Feldmanów.  
Do bezpiecznego schronienia...

**VIII**

**„WALENTYNKA”**

### 13. Poniedziałek , 9 lutego

Victor Dimorta siedział w niewielkiej niszy w głębi marnej greckiej jadłodajni, układając nowe plany.

Niechętnie przyznawał sam przed sobą, że jego pierwotny zamiar nie dał się zrealizować. Przez cały czas zdawał sobie sprawę z tego, że istnieje ewentualność, iż Jillian Talbot wyjedzie, ale nie spodziewał się, że nastąpi to tak nagle. No cóż, to była cena, którą musiał zapłacić. Cena za zaplanowanie tego ostatniego tak drobiazgowo.

Tego ostatniego...

Przypomniiał sobie teraz, co myślał, popełniając pierwsze, dwudziestego dziewiątego lutego, przed szesnastoma laty. Matka i ojciec... Ale przecież to nie zaczęło się wtedy; myślał o wszystkich wypadkach, które do tego doprowadziły i o zdarzeniu, które przyczyniło się bezpośrednio: o owym okrutnym kawale, jaki urządziły mu tamte cztery dziewczyny w college'u. Tak, owa noc w domu w Mill City nadchodziła od dawna... Od osiemnastu lat.

Przez osiemnaście lat Joseph („Mocny Joe”) Dimorta, krzepki i groźny Amerykanin w drugim pokoleniu, nigdy nie próbował wyjaśnić swemu chuderlawemu, słabemu synowi, jaką drogę pokonał od pracy mieszacza masy papierowej przez stanowisko brygadzysty aż do funkcji kierownika; jak zapracował sobie na taki przydomek jeżdżąc wielkimi, osiemnastokółowymi platformami i przerzucając bele papieru, których ciężar normalnie wymagał dwóch mężczyzn. Przez osiemnaście lat Joseph Dimorta nigdy nie spojrzał na Victora inaczej niż z jawnym wyrazem nieskrywanej pogardy na twarzy. W nie kończącej się batalii o to, by uczynić z owego chłopca mężczyznę, „Mocny Joe” używał grzmiącego głosu i potężnych pięści.

Victor pamiętał, jak pierwszy raz poszedł do szpitala. Nos, lewa ręka i dwa żebra. Matka wyjaśniła przyjmującej go pielęgniarce, że spadł ze schodów. Pielęgniarka prawdopodobnie nie uwierzyła jej, ale nic nie

powiedziała. Nikt nic nie mówił: lekarze, gliny, nauczyciele ani tym bardziej matka.

Matka... Była taka drobna, przypominał sobie. Drobna, śniada Włoszka, wychowana – podobnie jak jej mąż – w rodzinie włoskich imigrantów, którzy także pracowali w fabryce papieru. Uważano, że to wspaniale, iż ta spokojna, skromna, prosta, pobożna i regularnie chodząca do kościoła sekretarka zwróciła na siebie uwagę brygadzysty, najlepiej zarabiającego i najbardziej szanowanego człowieka w Mill City.

Rozglądając się wokół po niemal pustej jadłodajni, Victor zachmurzył się na to wspomnienie. Gdy tylko „Mocny Joe” i Angela się pobrali, a ich małżeństwo zostało pobłogosławione jedynym dzieckiem, wyszedł na jaw prawdziwy powód owego powszechnego szacunku. Całe miasteczko obawiało się „Mocnego Joe”. Jego zachowanie – szczególnie, gdy pił w miejscowej knajpie – było dobrze znane zastraszonemu ludziorom, których zatrudnienie i jedyne środki utrzymania zależały wyłącznie od brygadzysty. Nawet stojący z Joe na równym szczeblu zawodowym kumpel-brygadzysta Bob Wells, mieszkający dwa domy dalej przy Franklin Street, dokładał wszelkich starań, by pozostać w jego łaskach. Mówiono też, że pensja „Mocnego Joe” była regularnie zwiększana przez właścicieli nieoficjalnymi „premiami” za powstrzymywanie pracowników od zrzeszania się; owo powstrzymywanie ostatecznie sprawiło, że trzech mężczyzn znalazło się w szpitalu, podobnie jak Victor. Poszkodowani zgodnie oświadczyli, że napastnikami byli „Mocny Joe” Dimorta i Bob Wells, ale wszyscy, nawet miejscowy szeryf, widzieli to inaczej.

Gdyby tylko... myślał Victor. Gdyby tylko matka była innym typem kobiety... Gdyby tylko wysłuchała rodziców przed poślubieniem „Mocnego Joe”, ci bowiem – najwyraźniej jako jedyni rozsądni ludzie w miasteczku – próbowali odwieść córkę od owego małżeństwa i odsunęli się od niej, gdy postanowiła na swoim. Ale nie słuchała ich i wyszła za niego. Potem zaś, gdy zrozumiała, że rodzice mieli rację, pozostała równie milcząca jak wszyscy inni mieszkańcy Mill City, grając rolę doskonałej żony i matki i traktując to jako balsam na rany zadane przez bolesną rzeczywistość życia. Stała się aktywną członkinią niewielkiej katolickiej

społeczności miasteczka, a oprawione wizerunki Chrystusa w niemal każdym pokoju jej nieskazitelnego domu miały przekonać wszystkich, iż jest także pobożną i dobrą kobietą. W milczeniu leczyła własne rany fizyczne oraz duchowe i nauczyła się, że przetrwanie wymaga bezwzględного posłuszeństwa mężowi, nawet wtedy, gdy owo posłuszeństwo oznacza zamykanie oczu na jego brutalność. Zanim Victor ukończył szesnaście lat, a osiągnął ów wiek dwa lata po zamknięciu fabryki, sama od czasu do czasu biła syna, szczególnie gdy wypła za dużo wina do obiadu.

Właśnie wtedy, będąc w drugiej klasie miejscowej szkoły średniej, Victor doznał najgorszego upokorzenia z rąk swoich rodziców. Z oczywistych powodów zawsze trzymał się na uboczu i nigdy nie zapraszał chłopaków z sąsiedztwa. Wymawianie się od wszelkich młodzieńczych zabaw sprawiło, iż nazywano go Victorem Dziwakiem. Jedyna próba rozmowy z pewną ładną dziewczyną – która zresztą wyśmiała go i uciekła – skończyła się tym, że grupa chłopaków szła za Victorem ze szkoły do samego domu, rzucając w niego kamieniami. Ojciec, usłyszawszy o tym, zbił syna do nieprzytomności – co sprawiło, iż po raz drugi znalazł się on w izbie przyjęć miejscowego pogotowia ratunkowego – a potem zamknął go na całą noc w schowku na ubrania. Ale wszystko dałoby się znieść, gdyby nie Angela Dimorta.

Było niedzielne popołudnie. Pamiętał to dobrze, bo matka miała na sobie najlepszą sukienkę i kapelusz, jako że wróciła właśnie z niedzielnej mszy i lunchu z proboszczem. Ojciec nigdy nie towarzyszył im na nabożeństwach – chodził gdzieś wtedy ze swymi kumplami z fabryki. Victor wymówił się owej niedzieli od pójścia do kościoła, twierdząc, że jest przeziębiony. Prawda zaś była taka, iż już w wieku siedemnastu lat wiedział, że nie wierzy w Boga i czuł w sobie rosnącą niechęć do długich, ckliwych kazań, które musiał znosić w Domu Bożym. Został więc w domu sam i leżał nago na łóżku, oglądając magazyn, który ukradł z tylnej półki należącego do pana Garveya stoiska z czasopismami. Tak całkowicie pochłonięty był wizerunkiem Miss Października i rytmicznymi, coraz szybszymi ruchami swej prawej dłoni, że niczego nie słyszał, dopóki nie

otworzyły się drzwi jego pokoju.

W drzwiach stała oszołomiona Angela Dimorta, w najlepszym niedzielnym stroju, ze szklanką soku pomarańczowego i buteleczką z tabletkami aspiryny w rękach, z których nie zdjęta jeszcze rękawiczek, i gapiła się na syna. Czasopismo spadło pod łóżko, szklanka i buteleczka rozbiły się na podłodze. Długo spoglądali na siebie w kompletnej ciszy. Potem matka, wydając z siebie krótki okrzyk czystego obrzydzenia, wymaszerowała przez hol do swego pokoju. Victor zdążył już wyskoczyć z łóżka i jak szalony wciągał bieliznę, gdy wróciła z największym ojcowskim pasem w ręku.

Pierwszy cios uderzył chłopaka w głowę, tuż za uchem, powalając go na podłogę. Uczynił chwiejną, bolesną próbę podniesienia się i sprzeciwu, ale drugie, jeszcze silniejsze uderzenie ciężką brązową sprzączką ponownie go powaliło... Ręce, nogi, plecy... wściekłe smagnięcie za smagnięciem... chłosta, która zdawała się nie mieć końca. Victor leżał na drewnianej podłodze, słysząc smagnięcia pasa jeszcze długo po tym, jak przestał go czuć, gdy powoli tracił przytomność.

Któryś z sąsiadów usłyszał owe odgłosy i wezwał policję. Gdy Victor się obudził, był znowu w szpitalu. Wkrótce dołączyła tam do niego matka, ale nie jako gość. Ojciec wrócił tego popołudnia pijany i Angela opowiedziała mu, co zrobiła i dlaczego to uczyniła. Rozwścieczony niepożądaną wizytą policji, nie mówiąc już o ukaraniu przez żonę ich syna za to, co jego zdaniem było jedyną całkowicie normalną rzeczą, jaką ten chłopak kiedykolwiek zrobił, „Mocny Joe” postanowił nauczyć kobietę rozumu. Gdy się z nią „uporał”, miała złamaną szczękę i dwa zębra.

Teraz już szeryf nie mógł widzieć tego faktu w inny sposób i Joe Dimorta spędził trzy dni w jedynej celi komisariatu policji w Mill City, a po powrocie na trzy dni zamknął Victora w schowku. Była to, jak mówił, zapłata za trzy dni spędzone za kratkami, bo chłopak i jego matka spowodowali, iż został uwięziony.

Dla Victora Dimorty był to punkt zwrotny. Zawsze odtrącany przez inne dzieci, obecnie stał się publicznym pośmiewiskiem; chłopakiem,

który ma zwariowanych rodziców. Nienawidził całego świata, a najbardziej „Mocnego Joe” i Angeli. Siedział w schowku trzy dni; wypuszczano go jedynie na posiłki i do toalety. Właśnie wtedy postanowił, że ucieknie. Ucieknie z Mill City i jakoś sobie poradzi. Gdy tylko uwolni się od rodziców, zostanie zaakceptowany przez społeczeństwo, przez swoich rówieśników. Nie wiedział, jak ucieknie, ale był przekonany, że to zrobi. Potem, w ciemności, przysięgł to sobie.

Odpowiedź przyszła, gdy został wypuszczony na wolność i miała formę listu z kancelarii adwokackiej w sąsiednim miasteczku. Babka Victora – matka jego matki, która wydziedziczyła córkę z powodu jej małżeństwa z małomiasteczkowym tyranem – zmarła w domu starców, gdzie przebywała od ośmiu lat, zostawiając cały swój majątek jednemu wnukowi; było tego jakieś osiemdziesiąt cztery tysiące, które miał odziedziczyć po osiągnięciu pełnoletności. Brakowało mu jedynie sześciu miesięcy. Nauczycielka Victora, pozostając pod wrażeniem jego zdolności, pomogła chłopcu uzyskać częściowe stypendium w uczelni, którą sama ukończyła – w Hartley College.

Wiosną, w dniu osiemnastych urodzin, Victor pojawił się w kancelarii adwokackiej i pod koniec czerwca otrzymał czek. Większą część tej kwoty zdeponował na rachunku oszczędnościowym, zabierając ze sobą jedynie pięć tysięcy. Następnie, w pierwszym tygodniu września, wymknął się w środku nocy z domu przy Franklin Street i pobiegł na przystanek autobusowy. Po jedenastu godzinach i dwóch przesiadkach znalazł się w Burlington w stanie Vermont.

Teraz, w jadłodajni w Greenwich Village gestem przywołał kelnerkę. Można by coś zjeść, pomyślał, czując ten sam ucisk w żołądku, który zawsze mu dokuczał, ilekroć myślał o college'u.

To wszystko powinno się ułożyć jakoś inaczej. Myślał, że ucieczka od rodziców i z Mill City coś zmieni, że przekształci go w pociągającego, atrakcyjnego, cieszącego się sympatią innych młodego człowieka. Jednak wkrótce zrozumiał, że nie jest dobrze przystosowany do życia wśród

innych młodych ludzi. Nieśmiałość niemal go paraliżowała, a najdrobniejsze niepowodzenie przyprawiało o gniew. Inni studenci z college'u go unikali i nawet wykładowcy nie zwracali nań uwagi. Jedynym jasnym punktem w całym tym miejscu była śliczna dziewczyna, która nazywała się Jillian Talbot.

Pamiętał dzień, kiedy zobaczył ją pierwszy raz: na wykładzie z literatury angielskiej siedziała dwa rzędy dalej, w żółtej sukience, z długimi, ciemnymi włosami związanymi z tyłu żółtą wstążką. Była spokojna, niemal tak spokojna jak on, i podobnie jak on wydawała się nieco zagubiona. Ilekroć ją widział w owym pierwszym semestrze, zawsze była sama. Zaczął krążyć wokół niej, obserwował ją w kafejce i w bibliotece, pragnąc zdobyć się na odwagę, by podejść i zacząć rozmowę, ale pamiętał tamtą dziewczynę z Mill City, która go wyśmiała, więc nigdy tego nie zrobił. Po prostu nie przestawał adorować Jillian z daleka. Nocą nie mógł zasnąć na swojej mansardzie; snuł barwne fantazje, w których byli małżeństwem, razem biegali po plażach, kupowali owoce i nadzy leżeli w łóżku kochając się. Kiedy zasypiał, śnił o niej.

Po przerwie międzysemestralnej, gdy wznowiono wykłady, Jillian się zmieniła. Nie była już sama, przebywała teraz zawsze w towarzystwie trzech pięknych seniorek; tych, które nazywano „Żywiołami”. Victor widział je wszędzie i czasami w swych masturbacyjnych fantazjach zastępował Jill tamtą blondynką, Sharon. Próbował nawet zbliżyć się do Sharon i dwóch pozostałych Żywiołów i porozmawiać z nimi, traktując to jako rodzaj rozgrzewki przed podejściem do Jillian, ale kazały mu „spadać”. Zauważył jednak, że Sharon często spoglądała na niego na korytarzach i zawsze miała wtedy jakiś błysk w oczach. W głębi duszy Victor doszedł więc do przekonania, że ją pociąga.

To wszystko przywiodło go do zastawionej przez nie pułapki.

Pewnego dnia, po wykładzie, zdobył się na odwagę i podszedł do Jillian Talbot. W końcu skłonił sam siebie, by poprosić ją o spotkanie. Początkowo uśmiechała się i była miła, ale kiedy próbował jej dotknąć, odsunęła się i uciekła. Zostawiła go na korytarzu, wołającego za nią rozpaczliwie:



„Zaczekaj chwilę! Chcę tylko z tobą porozmawiać. Nie chciałem cię urazić, Jill! Jill!!!!”

Kilka dni później podsłuchał, jak ta sama dziewczyna, obiekt jego uwielbienia, opowiada innej studentce, że owa piękna blondynka, Sharon Williams, wprost pali się do niego, co potwierdzało jego własne ukryte podejrzenia. Następnego dnia, a był to Dzień Zakochanych, Jillian Talbot uśmiechając się wręczyła mu kartkę od Sharon z wyraźnym i śmiałym zaproszeniem.

*Simmonds Hall, pokój 407, dzisiaj wieczorem, o jedenastej. Tylko ty i ja, Victorze. Przyjdź.*

Nigdy, przenigdy nie zapomni tamtej nocy na trzecim piętrze budynku Simmonds Hall. Opuścił wtedy resztę wykładów, pieszo brnął przez śnieg do najbliższego sklepu ze słodyczami położonego w odległości prawie pięciu kilometrów, by kupić tam największą, najdroższą bombonierkę w kształcie serca. Potem wrócił na swoje poddasze i dwukrotnie się wykąpał. Był tak zdenerwowany, że nie mógł jeść kolacji. Włożył najlepszą koszulę i spodnie, czesał się przez godzinę i nawet pożyczył od sąsiada zza ściany butelkę wody Brut. Potem udał się w drogę do Simmonds Hall i stanął przed drzwiami pokoju Sharon dokładnie o jedenastej wieczorem.

Gdy tylko zapukał, cichy, stłumiony głos z drugiej strony kazał mu wejść do środka. Otworzył drzwi i znalazł się w rajku. W zaciemnionym pokoju o czerwonej tonacji unosił się zapach perfum. Jakiś piękny damski głos śpiewał cicho z wieży stereo coś o walentynkach. Sharon Williams leżała na łóżku w czarnym koronkowym staniczku i takich samych majteczkach, podwijając pod siebie długie nogi. Stał nad łóżkiem i wpatrywał się w dziewczynę, a ona z uśmiechem powiedziała, żeby się rozebrał. Victor nigdy przedtem nie robił tego na oczach kobiety... nigdy nie był z kobietą... więc, zakłopotany, zachowywał się trochę niezdarne. Musiał gdzieś odłożyć bombonierkę, więc wręczył ją Sharon. Odsunęła ją na bok. Przyglądała się, jak zdejmował koszulę, potem skarpetki i buty, a wreszcie spodnie. Gdy stał przed nią, mając na sobie jedynie krótkie kalesonki, usiadła na łóżku, wyciągnęła rękę i dotknęła go przez bawełniany materiał.

„Och, ale z ciebie duży chłopiec! Pokaz mi!”

Po jej ruchu i owej uwadze poczuł się bardziej zrelaksowany, pewniejszy siebie. Bliski rozsadzenia bawełnianych kalesonków, wsunął kciuki pod gumkę w pasie i ściągnął ten ostatni element swej garderoby na dół. Spadły na podłogę, a jego sztywny penis wystrzelił do przodu. Victor sięgnął po bombonierkę i przycisnął ją sobie do piersi wyszeptał w ciemności: „Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Zakochanych, Sharon.” Sharon wstała z uśmiechem, a potem powoli, bardzo powoli wyciągnęła rękę ku ścianie za sobą i zapaliła światło.

Oślepił go nagły blask, a kiedy mógł już coś zobaczyć, cała ta piekielna swoboda uleciała. Gwałtownie otworzyły się drzwi szafy i wypadły z niej dwie chichoczące dziewczyny. Jedna z nich trzymała kamerę wideo wycelowaną prosto w jego męskość, druga miała w dłoni mikrofon. Sharon zeskoczyła z łóżka, narzuciła na siebie szlafrok, a jej śliczną twarz wykrzywił złośliwy śmiech. Za jej podszeptem wszystkie trzy zaczęły również śpiewać piosenkę o walentynkach.

Victor nigdy nie przypomniał sobie dokładnie, co stało się później. Pamiętał, że ogarnęła go tak gwałtowna wściekłość, jakiej nie doświadczył nigdy przedtem, nawet w latach spędzonych w rodzinnym domu. Pamiętał, że rozbił płytę. Pamiętał też wybuchy ich śmiechu przechodzące w krzyki przerażenia. Wiedział, że jedną z nich wepchnął do szafy, tę z kamerą. I że któraś uderzyła w ścianę i zaczęła krwawić. Pamiętał też Sharon; ściągnął z niej szlafrok i zdarł biustonosz. Potem wbił się w nią paznokciami, ale wyrwała mu się i uciekła z pokoju krzycząc:

„Gwałt! Gwałt! Gwałt!”

To słowo przepęłniło go nagłą trwogą, która zastąpiła wściekłość, więc potykając się pobiegł korytarzem ku otwartej windzie. Już na dole zauważył, że wciąż ściska biustonosz Sharon. Wtedy trzech potężnych, umundurowanych mężczyzn chwyciło go i przycisnęło do ziemi. Podniósłszy wzrok z podłogi zobaczył około stu osób, głównie młodych kobiet, które gapiły się na jego nagie ciało; większość się śmiała. On zaś słyszał tylko tamtą piosenkę, która przez cały czas wciąż od nowa rozbrzmiewała mu w głowie...

Potem „Mocny Joe” i „Niedorzeczna Angela” – dwoje ludzi, których nienawidził najbardziej na świecie – zjawili się w Burlington, by zabrać swego marnotrawnego syna do domu. Ojciec milczał niemal przez całą drogę, wielkimi dłońmi ściskając kierownicę, podczas gdy jego żona piekliła się na przednim siedzeniu.

„Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś, Victorze! – mówiła. Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo mnie zraniłeś? Jak zdenerwowałeś swego ojca? Co, do diabła, w ciebie wstąpiło, ty grzeszna, nikczemna kreaturo? Co pomyślą sąsiedzi? Dajemy ci porządną dom i całą naszą miłość, ty zaś tak nam się odpłacasz!”

Wtedy rozbrzmiał dosadny okrzyk ojca i policzek, który odrzucił ją na drzwiczki samochodu.

„Stul pysk, wściekła suko!”

Tak minęła droga do domu.

Gdy samochód dotarł do smutnego Mill City w stanie Pensylwania, Victor wiedział już, co robi.

\* \* \*

Jednak teraz o tym nie myślał.

Kelnerka przyniosła mu dużego cheeseburgera i kawę. Uśmiechnął się i podziękował. Zarumieniła się i odeszła, zostawiając go samego.

Jego wspomnienia o tamtych tygodniach, które nastąpiły po owym feralnym dwudziestym dziewiątym dniu lutego, były mętne. Siedział w areszcie i jakiś adwokat wciąż przychodził, żeby z nim rozmawiać, wpytując o ojca i matkę oraz o to, ile razy był w szpitalu i ile razy zamykano go w schowku. Ktoś mówił też wciąż o jakiejś ugodzie; że raczej umyślne zabójstwo niż morderstwo drugiego stopnia i piętnaście do trzydziestu lat, zamiast dożywocia, piętnaście do trzydziestu... kolejno. „Nie kolejno, nieustannie krzyczał adwokat, tylko nie kolejno! Równocześnie!” Padły też wtedy słowa: „gorąca krew”, „przemoc fizyczna i psychiczna” i „uraz emocjonalny”. Victor nic z tego nie rozumiał, więc pozwolił gadać adwokatowi i zgodził się na przedstawioną mu propozycję, bo dolna granica

piętnastu lat brzmiała lepiej niż dożywocie, nie mówiąc już o obowiązującej w Pensylwanii karze śmierci, gdyby odbył się proces. Taki ma wybór, wyjaśnił Victorowi adwokat, więc gdy postawiono go w stan oskarżenia, uczynił, jak mu powiedziano. Następną rzeczą, jaką sobie uprzytomnił, było to, iż znalazł się w więzieniu.

Pozostał tam przez dwanaście długich lat, marząc o dniu kiedy będzie wolny, kiedy będzie mógł odnaleźć Żywioty. Teraz nienawidził ich bardziej, niż kiedykolwiek nienawidził rodziców. Wszystko było ich winą. Gdyby nie one, nie wydarzyłaby się żadna z tych rzeczy. Nie byłby relegowany. Pozostałby w college'u, studiując literaturę i do tego czasu stałby się już światowej sławy pisarzem.

Tak jak ta cholerna Jillian Talbot, niech ją piekło pochłonie! Najbardziej na świecie nienawidził Jillian Talbot!

Siedział w więzieniu i dzień po dniu przeklinał tamte cztery suki, przeklinał samo istnienie czterech młodych kobiet, które obarczał odpowiedzialnością za swą obecną sytuację. Przeklinał Ziemię, Wiatr, Ogień i Wodę. Wymyślony przez nie głupi dowcip, to ich zbiorowe miano, podsunęło mu pomysł własnej sprawiedliwości.

Ale jak miał to osiągnąć?

Odpowiedź przyszła już pierwszego dnia, na więziennym podwórku i w dużej wspólnej łaźni. Nigdy przedtem nie widział innych nagich mężczyzn, nawet własnego ojca. Stojąc pod prysznicem, spoglądał na potężnych, muskularnych więźniów, a potem popatrzył na własne ciało. Uświadomił sobie, że nigdy nie myślał o własnym wyglądzie i o tym, jak postrzega go zewnętrzny świat. Obserwując mężczyzn pod prysznicem oraz w czasie zajęć na podwórku i w sali gimnastycznej, pierwszy raz uprzytomnił sobie, że jest inny. Bardzo się od nich różnił. Był brzydki.

Odpowiedź okazała się prosta: nie będzie dłużej Victorem Dimortą. Stworzy się od nowa, na nowo sam siebie wymyśli. Przekształci się w coś zupełnie innego. W kogoś innego. Stanie się...

Uśmiechnął się, myśląc o tym.

Stanie się ucieleśnieniem... ucieleśnieniem... Dnia Zakochanych.

Stanie się „Walentynką”.

Właśnie wtedy zaczął się odradzać.

Przez cały okres odosobnienia Victor był wzorowym więźniem. Nie narzekał, nie chorował, zachowywał pełen szacunku dystans zarówno wobec przełożonych, jak i innych więźniów. Uczestniczył we wszystkich zajęciach resocjalizacyjnych, jakie oferowało więzienie: malował, hodo-  
wał kwiaty, rzeźbił i fotografował. Odkrył w sobie nieoczekiwane talenty, nawet większe niż wcześniejsze zdolności literackie. Raz w tygodniu przez godzinę poddawał się dobrowolnym konsultacjom psychiatrycznym. Niepiśmiennych współwięźniów nauczył czytać i pisać. Wstąpił do więziennej drużyny baseballowej i koszykarskiej. I codziennie przez dwie godziny ćwiczył: atlas, hantle, bieganie, zapasy, gimnastyka...

Każdej nocy śnił o kobietach: o czterech konkretnych kobietach. Pozwolił, by wypełniła go nienawiść, by go zżerała, aby narosła w nim i stała się najważniejszą częścią jego istoty. Opanowała go obsesja: w kolorowych czasopismach wyszukiwał zdjęcia kobiet, które były podobne do tamtych czterech, wycinał owe fotografie i tapetował nimi ścianę nad łóżkiem. Szczególnie jedna, supermodelka Stacy Green, odznaczała się uderzającym podobieństwem do Jillian Talbot. Jillian była tym Żywiołem, który pociągał Victora najbardziej, więc wpatrywał się w zdjęcia Stacy Green i onanizował się, myśląc o Jillian.

Zrobił też coś, czego nie robił nigdy przedtem: zawarł przyjaźnie. Większość więźniów go lubiła; sympatią darzyli go szczególnie ci, których cierpliwie nakłaniał do zdobycia umiejętności czytania i pisania. Dwóch – facet o imieniu Eric mniej więcej w jego wieku i starszawy już nieco więzień z dożywociem, Benny, stało się jego prawdziwymi kumpłami. Prowadził z nimi długie rozmowy, wymieniał dowcipy i grał obok nich w więziennych drużynach, ciesząc się tą nową dla siebie atmosferą koleżeństwa, którą każdy człowiek na świecie uważał za oczywistą. Zrozumiał, jak należy się przystosowywać, współdziałać i zdobywać sympatię innych. To również było bardzo ważne.

Nigdy nie myślał o rodzicach. Wyrzucił ich z pamięci jako beużyteczny, nieprzydatny i potencjalnie obciążający, represyjny balast. Teraz

„Mocny Joe” i Angela Dimortowie nie mogli go dotknąć, nie mogli go zranić. Już nigdy więcej. Relegował ich do przeszłości, odsunął w niepamięć, na którą sobie w pełni zasłużyli.

Zmieniał się z wolna. Krok po kroku w przeciagu owych dwunastu lat zmierzał ku nowemu wizerunkowi, który dla siebie wymyślił; ku postaci mężczyzny, który nie był już nieśmiałym, chudym Victorem Dimorta. Dzień po dniu dojrzewał, stając się człowiekiem silniejszym, bardziej opanowanym i wspanialszym. W chwili gdy zwracał się o skrócenie kary za dobre sprawowanie, wiedział, że jest już blisko, bardzo blisko...

Dobre zachowanie zostało nagrodzone. W dniu, w którym wyszedł z więzienia, ważył dwadzieścia kilogramów więcej niż wtedy, gdy się w nim znalazł. Zyskał nową sylwetkę i nową osobowość. Miał w sobie także nową siłę życiową. Ale wciąż potrzebował jeszcze jednej rzeczy, która stanowiła najważniejszą część jego planu.

Pojechał do Pittsburgha, gdzie spotkał się z kuratorem. Ten człowiek – naprawdę bardzo miły – znalazł mu jakiś niedrogi pokój i posadę w magazynie domu towarowego McCrory's przy Fourth Avenue. Każdego ranka Victor sumiennie chodził do pracy i również sumiennie każdego wieczoru wracał do domu.

W ciągu następnych tygodni ponownie przyzwyczajał się do wolności, do życia w świecie „na zewnątrz”. Wszystko wydawało mu się nowe; ta możliwość niekontrolowanego, a nawet niezauważanego poruszania się była oszałamiająca...

Miał pracę i pokój w domu czynszowym, nie mówiąc o kuratorze-opiekunie, ale najwspanialsze w tym wszystkim było dominujące poczucie własnej nieograniczonej siły, jakiego nie doświadczył nigdy przedtem – nie tylko podczas tych dwunastu lat spędzonych w więzieniu, ale również w ciągu owych osiemnastu, które przeżył, zanim się w nim znalazł. Zaaprobował to uczucie, czyniąc je częścią swojej nowej tożsamości.

Nowa tożsamość, pomyślał. Tak. Nadszedł czas. Teraz.

Pewnego dnia, miesiąc po wyjściu z więzienia, Victor udał się do pittsburghskiego oddziału swego banku z Mill City. Osiemdziesiąt tysięcy, które zdeponował tam trzynaście lat wcześniej, niemal się podwoiło:

obliczył, że stać go na to, co miał zamiar zrobić. Pojechał więc do więzienia, by odwiedzić swoich przyjaciół Erica i Benny'ego. Siedzenie po drugiej stronie kuloodpornej szyby było dziwne i krępujące, ale potrzebował informacji, której mógł mu dostarczyć tylko Benny. Ten mężczyzna w ciągu ponad trzydziestu lat spędzonych w więzieniu stał się chodzącą encyklopedią wszelkich przydatnych kryminalnych informacji; powiedział Victorowi, dokąd się udać i o co zapytać. Victor podziękował przyjacielowi, skłamał, że niebawem znowu go odwiedzi i wrócił do Pittsburgha.

Pod koniec siódmego tygodnia pracy w magazynie domu towarowego, gdy kurator złagodził nadzór i patrzył na swego podopiecznego inaczej, Victor Dimorta opuścił pewnego ranka czynszową kamienicę, przeszedł dwie przecznice na zachód w stronę Chatham Center i wsiadł do czekającej tam na niego taksówki. Jechał do prywatnej kliniki na obrzeżach miasta.

Po kolejnych dwunastu tygodniach i kolejnych trzech operacjach nie był już Victorem Dimorta.

Stał się ucieleśnieniem... Dnia Zakochanych!

Był przystojny.

Był „Walentynką”.

Z klinicznego oddziału pooperacyjnego wyszedł dwudziestego trzeciego sierpnia, trzy i pół roku temu, i rozpoczął to, co traktował jako najdłuższe oczekiwanie. Czekał miesiącami, mieszkając w motelu w małym miasteczku nieopodal Pittsburgha. W tym czasie stracił też wreszcie swą męską niewinność, czyniąc to zresztą z nawiązką. Zaangażował dwie prostytutki, które pracowały w motelowym barze, i zabrał je do swego pokoju. Tam poprosił, by nauczyły go wszystkiego, co potrafią, wszystkiego, co sprawia przyjemność kobiecie; aby wskazały mu każdy sposób, który wprawi kochankę w drżenie od jego dotyku. Spędzał z nimi w łóżku całe weekendy, niekiedy z jedną, a czasami z dwiema naraz, dopóki obie nie zapewniały go, że teraz już nie uprawia jedynie seksu, ale że się z nimi kocha, i że robi to również wyjątkowo dobrze.

Odbывwał też częste pielgrzymki do swego domu w Mill City, który obecnie przypominał porzuconą muszlę ślimaka w szeregu walących się domów na wzgórzu nad umierającym miastem. Musiał być ostrożny, zbliżając się do tego miejsca, bo szukała go stanowa policja, a jednak co kilka tygodni odnajdywał się właśnie tam, zasypiając w swym dziecięcym łóżku i jedząc przy butwiejącym stole w pokrytej kurzem jadalni. Ciągnęło go tam nieustannie i często mieszkał w domu swego dzieciństwa przez kilka tygodni. Sam i przez nikogo nie widziany. To był jego dom; jedyny, jaki kiedykolwiek znał. Teraz, gdy nie było tam rodziców, ten dom okazał się po prostu doskonały.

Wiele czasu Victor spędził na uważnym oglądaniu siebie w dużym lustrze po wewnętrznej stronie drzwi łazienki na górze. Stawał przed nim nagi, napawając się odbiciem tego przystojnego, potężnie zbudowanego, całkiem nowego mężczyzny, jakim się stał; tym pociągającym seksualnie, przyjaznym zwierzęciem, mającym podniecać kobiety uśmiechem i sprawiać im rozkosz własnym ciałem.

Był ucieleśnieniem piękna, seksu i miłości.

Był „Walentynką”.

I zamierzał zabić Żywioty – przedtem uwodzząc każdą z nich.

Dwudziestego szóstego stycznia, trzy lata temu, oczekiwanie dobiegło końca. Poleciał do Los Angeles, wynajął pokój w cichej części miasta i wypożyczył mercedesa. Potem pojechał na Rodeo Drive i kupił nową garderobę. Wreszcie zaś udał się w okolice owego kompleksu domów, w którym mieszkała Sharon Williams i zaczął ją obserwować.

\* \* \*

Gdy wspominał piknik w Los Angeles i to drugie spotkanie – rok później – w Boulder, kelnerka podała mu świeżą kawę.

Uśmiechnął się z satysfakcją.

Cass MacFarland, trzecia na jego liście, okazała się najtrudniejsza do odnalezienia ze wszystkich czterech. Nie mieszkała już w Montclair w



stanie New Jersey. Korzystając ze sposobu, w jaki odnalazł Belinę, postanowił zlokalizować Cass już w sierpniu, całe sześć miesięcy przed Dniem Zakochanych i była to dobra decyzja.

Pojechał do Montclair i rozpoczął poszukiwania. Przez trzy dni sprawdzał każde miejsce obok dawnego domu Cass, gdzie – jak sądził – ludzie mogli ją znać. Pytał wszystkich sąsiadów na jej ulicy i wychodził z niczym. Wypytywał barmanów i bywalców każdej knajpy w promieniu trzech kilometrów. Nic.

W końcu, kierując się przeczuciem opartym na znajomości zainteresowań dziewcząt w Hartley College, wszedł do księgarni położonej najbliżej jej domu.

Strzał w dziesiątkę! Stojące za kontuarem małżeństwo w średnim wieku znało Cassandrę bardzo dobrze. Obserwowali, jak wyrosła z dziewczyny na kobietę. Zawsze była jedną z ich najlepszych klientek, bardzo dużo czytała, prawdopodobnie dlatego, że chciała być pisarką. Często wpadała tu z mężem, przed rozwodem. Potem wyjechała z Montclair. Dokąd, zapytał Victor. No cóż, nie wiedzieli, gdzie się wyprowadziła, ale... David na pewno wie. David to jej starszy brat, aktor, który mieszkał w Nowym Jorku. On i Cass byli sobie bardzo bliscy. To takie przykre, że został wydziedziczony, zauważyła żona księgarza. Rozumie pan, David jest gejem...

W książce telefonicznej Manhattanu było tylko dwóch Davidów MacFarlandów i Victor trafił na właściwego przy pierwszej próbie. Jest dawnym przyjacielem Cass z Hartley College, przyjechał do Nowego Jorku w interesach. Jak mógłby się z nią skontaktować?

Brat Cass zaskoczył go. Cóż, nie mogę tak po prostu powiedzieć tego komuś przez telefon, odparł. Jeśli poda mi pan swoje nazwisko, przekażę je siostrze, gdy następnym razem będę z nią rozmawiać...

Victor odłożył słuchawkę; tego się nie spodziewał. Przeklinając, wyjechał z Montclair i udał się prosto na nowojorską West Forty Street.

Davidem MacFarlandem mógł być albo ten wysoki, smukły, urodziwy mężczyzna o czarnych włosach, albo drugi – nieco niższy, równie

przystojny blondyn z wąsami. Blondyn był wyraźnie chory. Poruszał się powoli, z bólem, opierając się na lasce. Kilka razy Victor widział ich wchodzących i wychodzących. Mieszkali w parterowym apartamencie trzypiętrowego domu dla zamożnych lokatorów.

To było łatwe. Otwierania zamków nauczył Victora Benny, ów stary współwięzień z dożywociem. Podstawy elektroniki natomiast poznał na jednym z kursów fotograficznych. Szybki wypad do sklepu na Broadwayu i miał wszystko.

Rzucił się na jakieś wyrko w hoteliku za rogiem, a potem wrócił do budynku, w którym mieszkał David MacFarland, i czekał. Tego wieczoru ci dwaj mężczyźni wyszli razem i złapali taksówkę. Obydwaj trzymali kolorowo opakowane prezenty. Gdziekolwiek się udawali, myślał, z pewnością spędzą tam trochę czasu. Począł aż taksówka skręci za rogiem.

Drzwi miały szyfrowy zamek. Stał przed nimi rozgoryczony i wściekły, rozglądając się wokół w poszukiwaniu jakiegoś innego sposobu wejścia. Potem roześmiał się i schował narzędzia do kieszeni. Sąsiadujące z drzwiami okno było lekko uchylone, ktoś zapomniał je zamknąć.

Znalazłszy się w środku, najpierw zaczął szukać książki adresowej lub czegoś, co mogło zawierać numery telefonów. Oprawny w skórę notes, który znalazł w sypialni, najwyraźniej należał do przyjaciela Davida i nie było w nim żadnych MacFarlandów. A zatem – plan B. W ciągu dziesięciu minut „pluskwa” tkwiła w słuchawce telefonicznej, a Victor w pokoju za rogiem włączał magnetofon. Uruchomiwszy swój system podsłuchowy, wyszedł na kolację.

Następne trzy dni spędził na zwiedzaniu Krainy Cudów; tego pięknego, ekscytującego miasta, które wcześniej znał jedynie z lektur i filmów. Chodził do muzeów i do Rockefeller Center, zwiedzał Empire State Building i elegancki dom handlowy Macy's. Pierwszy raz zobaczył też broadwayowski musical. Nowy Jork był wprost idealnym miejscem, aby się w nim zagubić, by stać się kimś anonimowym. Zanim minęły te trzy dni, Victor wiedział, że tu zamieszka. Znajdzie jakieś mieszkanie, ale najpierw...

Trzeciego dnia wieczorem wrócił do swego pokoju i włączywszy

magnetofon, cofnął taśmę. W ciągu dwóch minionych dni znajdował na niej tylko zwyczajne, przyziemne rozmowy między przyjacielem Davida, Rickiem – zapewne tym blondynem z laską – a jego matką, która telefonowała codziennie, by się upewnić, że zażywa lekarstwo. Potem David, ów wysoki brunet, uspokajał ją, że Rick ma się dobrze, więc nie ma potrzeby, żeby przyjeżdżała do Nowego Jorku. Słyszał też, jak David rozmawiał z jakąś kobietą, która najwyraźniej była jego agentką teatralną. W tym tygodniu żadnych telefonów, powiedziała, cokolwiek miałyby to oznaczać. Słyszał też różne telefony od jego przyjaciół – mężczyzn i kobiet – którzy zapraszali ich do siebie, gawędzili beztrzesko i zawsze pytali o zdrowie Ricka.

Tego wieczoru miał szczęście. Natychmiast rozpoznał głos Cass MacFarland. Rozmawiała z bratem, potwierdzając poczynione wcześniej plany na następny dzień. O pierwszej David miał wziąć swój samochód z garażu na rogu i pojechać z przyjacielem do New Jersey, aby spędzić razem u niej kilka dni. Jaki jest ten domek, pytał David. Przytulny, odpowiedziała. Jedźcie przez Holland Tunnel, będzie szybciej.

Następnego dnia Victor wymeldował się z hotelu, wyrzucił magnetofon i poszedł do agencji wynajmu samochodów. Potem zaparkował w pobliżu narożnego garażu obok domu Davida i czekał. Obydwaj mężczyźni pojawili się punktualnie o pierwszej, weszli do garażu i kilka minut później wyjechali stamtąd zielonym volvo.

Pojechał za nimi przez tunel, a potem śledził zielone auto na autostradzie Turnpike przecinającej stan New Jersey. Jechali niemal dwie godziny i właśnie wtedy, gdy Victor zaczynał już myśleć, że to niemożliwe, by ten stan rozciągał się dalej, samochód, który miał przed sobą, skręcił w zjazd.

Mniejsza droga szybkiego ruchu doprowadziła ich do niewielkiej miejscowości otoczonej wzgórzami i lasami. Na głównym skrzyżowaniu w centrum miasteczka David skierował się w prawo i skręcił w wąską drogę. Victor przezornie poczekał chwilę na skrzyżowaniu: od tej chwili należało postępować bardzo sprytnie.

Ruszył. Droga wiodła przez lasy i była pełna zakrętów. Tylko raz ujrzał zielony samochód na długim odcinku, daleko przed sobą, ale potem

był zakręt i volvo zniknęło wśród drzew. Musiał trochę przyspieszyć.

Po kilku kilometrach Victor zrozumiał, że nie ma już przed sobą tego auta. Zatrzymał się, zawrócił i powoli ruszył z powrotem tą samą drogą, bacznie przyglądając się kilku skrętom. Przed każdym z nich znajdowała się skrzynka na listy. Podjazdy musiały być długie, bo domy pozostawały niewidoczne z drogi. Trzeci skręt w lewo miał jaskrawą, błyszczącą nową skrzynkę na listy ze starannie wymalowanym nazwiskiem: C. MACFARLAND.

Uśmiechając się, poprosił kelnerkę o porcję szarlotki. Wciąż czuł satysfakcję na wspomnienie własnej pomysłowości przy wyśledzeniu trzeciej ofiary. I na wspaniałe wspomnienie „walentynkowej” nocy, jaką z nią spędził sześć miesięcy później.

Cass MacFarland okazała się przyjemną niespodzianką. W college'u, zawsze z trzema pozostałymi, stanowiła część owego czterogłowego potwora, jakim były Żywioty. Teraz, piętnaście lat później, była spokojną, pełną godności, poważną kobietą. Nie rozmawiała ze swymi rodzicami, o czym powiedziała Victorowi lakonicznie w czasie ich krótkiego związku, i straciła kontakt ze wszystkimi dawnymi przyjaciółmi. Przez sześć lat była żoną człowieka, z którym dorastała, akademickiego instruktora sportowego, ale w końcu odszedł od niej z jedną z swych studentek. Jedynym człowiekiem, z którym utrzymywała stały kontakt, był brat, którego najwyraźniej uwielbiała. Jej ciemnokasztanowe włosy i miły uśmiech uczyliły trzecie zadanie Victora szczególnie przyjemnym.

Ale najpierw musiał nawiązać wstępny kontakt, a sposób, w jaki to zrobił, był niezwykle pomysłowy; równie pomysłowy, jak wszystko, co robił jako „Walentynka”. Wiedział – a któż wiedziałby to lepiej? – że ludzie, którzy izolują się od towarzystwa, są szczególnie wrażliwi na uprzejmość.

W miasteczku była mała restauracja, do której w każdą sobotę Cass przychodziła sama na kolację. Do tego czasu Victor sprowadził się już do Nowego Jorku, ale co jakiś czas przyjeżdżał do tej odległej części New Jersey, by mieć ją na oku. Obserwował samotną Cass w jej domu i

dostrzegł staranny strój i makijaż, jaki robiła na swe wieczorne sobotnie wyprawy do miasteczka.

Widział też przez okno, że siedziała zawsze sama i zawsze przy tym samym stoliku, gawędząc z kelnerką i jej pomocnikiem obsługującym kelnerski wózek. Raz lub dwa właściciel restauracji, korpulentny mężczyzna w średnim wieku, przysiadł się do niej na deser i kawę. Przed opuszczeniem restauracji podchodziła do baru we frontowej części lokalu na jednego drinka i przez pół godziny śmiała się i żartowała z barmanem. Potem, mile wszystkich żegnając, wsiadała do samochodu i powoli jechała do swego domu w lesie.

Obserwował te jej sobotnie wyprawy przez sześć tygodni. W inne dni rzadko opuszczała dom, z wyjątkiem zakupów w supermarkecie, drogerii lub aptece, gdzie zawsze pozostawała nieco dłużej, gawędząc z ekspedientkami albo z farmaceutką. Raz pojechał za nią do małego kina. Cass kupiła jeden bilet na film, jakąś romantyczną opowieść o miłości, której plakaty wywieszane przed kinem nie skąpiły pochwał. Potem przez szklane wejściowe drzwi obserwował jej długą rozmowę ze sprzedawczynią prażonej kukurydzy.

Cass MacFarland czuła się samotna.

Poznanie jej w restauracji okazało się łatwe. Pewnego sobotniego wieczoru, cztery tygodnie przed Dniem świętego Walentego, Victor usiadł przy sąsiednim stoliku w niemal pustej sali i nawiązał rozmowę. Przy deserze zaprosiła go, by się przysiadł.

„Jestem pisarzem, próbuję napisać powieść, powiedział, ale duże miasto jest zbyt hałaśliwe. Przyjaciele poradzili mi, bym przyjeżdżał tutaj na weekendy”. „Zdumiewające, zawołała, ja również jestem pisarką”. „Naprawdę? udał zdziwienie. W czasie weekendów zatrzymuję się w tym małym hoteliku na końcu ulicy. Może zechciałaby pani zjeść ze mną kolację w następną sobotę...?”

W związku z Cass wprowadził nowe, upiększające elementy: anonimowe karty i kwiaty. Przez trzy tygodnie przed Świętem Zakochanych – w dniach, gdy nie spotykał się z Cass – obserwował ją w domu z

pobliskiego lasu. (Po uduszeniu Cass, myśląc o tym z pewnej perspektywy czasowej, doszedł do przekonania, że znacznie większą przyjemność czerpał z obserwowania kobiety niż z pozbawienia jej życia. Przypomniał sobie o tym na etapie Jillian.)

Cass pisała jakąś powieść, a wcześniej wykorzystwała odprawę rozwodową i część swego funduszu powierniczego, by kupić ten odizolowany od świata dom. Resztę pieniędzy dała bratu; jak powiedziała Victorowi, by mógł opiekować się swym kochankiem, który był umierający. Rozmyślnie odseparowała się od świata, by podjąć poważną próbę napisania owej książki. Już w college'u próbowała pisywać powieści, ale tę musiała skończyć. Sześć lat starań, by utrzymać związek z mężem kobieciarzem także wytrąciło ją z rytmu. Teraz, mając trzydzieści sześć lat, czuła, że przyszła pora, by osiągnąć to, co zawsze zamierzała zrobić. Powiedziała to z uśmiechem, dodając, że najwyższy czas, by wyszła naprzeciw swemu prawdziwemu przeznaczeniu.

Tak, przyznał. Z pewnością...

Kiedy pojawiły się karty i kwiaty, natychmiast je sobie skojarzyła... Opowiedziała mu o Victorze Dimorcie, niezdarnym, obleśnym pierwszoročzniku, który w college'u zaatakował ją i jej przyjaciółki. Ani razu nie wspomniała o wstrętnym kawale, jaki urządziły mu w pokoju tamtej nocy. Próbowała skontaktować się z przyjaciółkami pod ich dawnymi adresami i właśnie tak dowiedziała się od matki Sharon, że jej córka zniknęła przed dwoma laty. Nie odnalazła Belindy i nigdy nie wspomniała o Jíllífan Talbot, pozostawiając mu osobliwe wrażenie, iż nie uważała, by Jillian odegrała jakąś rolę w tamtym żarcie. Pomimo to poczuła się wystarczająco zaniepokojona, by kupić rewolwer, który mógł ją ochronić i który mu oczywiście pokazała.

„Nie martw się, uspokajał ją. Ja będę tu z tobą w Dniu świętego Walentego.”

I był.

Ilećroć myślał o płonącym domu w lesie, ogarniało go seksualne podniecenie. Przeczytał o tym w gazetach po powrocie do Nowego Jorku. Fotografie spalonego domu. Zdruzgotany brat. Poszukiwania wysokiego,

ciemnowłosego mężczyzny, z którym, jak napisano, często widywało się denatkę w ciągu ostatnich trzech tygodni życia. Spotykając się z Cass i w hotelu używał nazwiska, którym wcześniej przedstawił się Sharon Williams i właśnie to nazwisko podał policji pracownik recepcji. Nazwisko człowieka, który nigdy nie istniał, zadumał się Victor z uśmiechem.

Jakież to wspaniałe, rozmyślał. Sharon Williams była zakopana. Belinda Rosenberg zginęła, spadając ze strome go stoku. Cass MacFarland została poddana całopaleniu.

Ziemia.

Powietrze.

Ogień.

Teraz, myślał, twoja kolej, Jillian Talbot. Wodo, czwarty żywiole. Możesz uciekać, ale nie możesz się ukryć. Nie przede mną. Nie przed „Walentynką”. Wiem, jak cię odnaleźć.

Jednak najpierw ten detektyw, Barney Fleck, potężny facet z West Twentyfifth Street. Następnego dnia poszedł na policję i przeszukali budynki naprzeciwko jej mieszkania. Tak, ten detektyw...

Nucąc pod nosem swoją ulubioną melodię, Victor wstał i podszedł do kasy. „My Funny Valentine”. Rzucił okiem na własne odbicie w lustrzanej ścianie za dziewczyną przyjmującą pieniądze. Tak, powiedział do siebie, ta psychoanalityczka musiała odejść. Chirurgia plastyczna powinna być zrobić jeszcze więcej. Jillian okazała się najmniej egocentryczna z czterech Żywiołów i czasami myślał, że jako jedyna z nich naprawdę dostrzegła Victora Dimorte. Gdyby jej pamięć została pobudzona, zauważyłaby pod nieznacznymi zmianami podobieństwo. Spojrzałaby na niego i przypomniałaby sobie, a to nie może się zdarzyć. Jeszcze nie.

Zadowolony z życia i świata, Victor uśmiechnął się do kasjerki i wrócił do stolika, by zostawić hojny napiwek. Znow pomyślał o Jillian.

Będzie jego arcydziełem. To zostanie wykonane perfekcyjnie.

Ponownie rozmawiał z nią w myślach.

Jesteś przerażona, Jillian? Boisz się „Walentynki”? Czy taki strach, takie przerażenie czułaś już kiedyś w tym całym swoim głupim, uprzywilejowanym, szczęśliwym życiu?

Moja droga Jillian, twoje przerażenie dopiero się zaczyna...



**IX**

**WODA**

## 14. Wtorek, 10 lutego

Obudziły ją głosy ptaków. Cichy, delikatny świergot powoli rozwiewał jej sen i minęło kilka chwil, zanim Jillian uprzytomniła sobie, gdzie jest. Uświadomiwszy to sobie, wstała, ziewnęła, przeciągnęła się i podeszła do drzwi niewielkiego drewnianego domku. Na zewnątrz powietrze było rześkie i chłodne, a wśród wiecznie zielonych drzew i nad spokojną, szarą wodą jeziora wisiała gęsta, biała mgła.

Jill wzięła długi, głęboki oddech; poczuła świeże, czyste powietrze z posmakiem soli z cieśniny Long Island, która leżała w odległości jakichś czterystu metrów przed nią, za potężnymi wydmami po drugiej stronie owego zacisza. W lesie, wokół największego obiektu położonego najbliżej jeziora czyli domu, w którym mieszkali Gwen i Mike, kryło się dwanaście domków. Ona zajmowała dwunasty, położony najdalej od jeziora i skryty wśród drzew. Był też najbardziej odizolowany i najcichszy. Jego główną część stanowił długi pokój z drzwiami po obydwu stronach. Barak, to było najwłaściwsze określenie. Oczami wyobraźni widziała rząd łóżek przy dwóch dłuższych ścianach – prawdopodobnie dla siedmiu chłopców lub dziewcząt i jednego wychowawcy lub wychowawczynie. Obecnie znajdowało się tu jedno duże, wygodne łóżko z zasłonami, przepastny fotel, a także biurko i krzesło, ustawione pod oknem, które wychodziło na jezioro. Na jednej ze ścian wisiał duży staroświecki zegar z wahadłem, wybijający godziny.

To oczywiście dodatki Gwen, pomyślała. Staromodne okna w drewnianych ramach na zawiasach otwierały się na zewnątrz i należało podpierać je patykiem, żeby pozostały otwarte. Teraz, w lutym, były zamknięte. Łazienka w rogu okazała się jednak w pełni unowocześniona; poprzednio obóz miał wspólne ubikacje i prysznice, a także dużą stołówkę z ogromną kuchnią, która również została rozebrana. Jill uśmiechnęła się, próbując sobie wyobrazić, jak Mike i Seth – leciwy majster do wszystkiego, który najwyraźniej zawsze tutaj pracował – zakładają wszystkie urządzenia

i instalacje. Z pewnością zajęło im to kilka miesięcy.

Woda w maleńkiej kabinie prysznicowej wbudowanej w ciasną łazienkę była lodowata... i to lecąca po odkręceniu kranu z napisem CIEPŁA. Jill umyła się szybko i drżąc zastanawiała się, jaka płynie z tego, na którym widnieje napis ZIMNA. Cóż, myślała, woda z pewnością musi przepływać długą drogę z centralnego zbiornika. Wysuszyła włosy nowiutką suszarką, włożyła nowe dżinsy, nowy sweter oraz nowy płaszcz i dobrze oznakowaną ścieżką wśród drzew zeszła ze wzgórze.

Minęła kilka innych baraków z drewnianych bali, które teraz także przerobiono na domki dla gości i przecięła dużą polanę w centrum ośrodka, gdzie wciąż znajdowało się boisko baseballowe. Nieopodal szatni stał samotny, огоły maszt flagowy, przy którym dawniej dwa razy dziennie setka skautów salutowała w czasie porannych i wieczornych apeli czy capstrzyków. Polana z trzech stron otoczona była drzewami. Przechodząc tamtędy Jill uśmiechnęła się na myśl o astronomicznych ilościach zgubionych, butwiejących piłek, które jeszcze teraz z pewnością tkwią w leśnym poszyciu. Czwarty bok polany stanowił brzeg jeziora z głównym budynkiem i pomostem wchodzącym w wodę. Od strony lasu ku brzegowi wiodła wąska droga z biegnącej w odległości niespełna kilometra autostrady. Znajdowały się tam również miejsca parkingowe. Kiedy Jill zbliżyła się do głównego budynku, z wnętrza dobiegły ją głosy i nęcący zapach smażonego bekonu, który wydawał się zmierzać ku niej na powitanie. Uśmiechnęła się: był to jej czwarty dzień w ośrodku, a od chwili gdy tu przyjechała, ani razu nie poczuła porannych mdłości. Najwyraźniej zostawiła je za sobą, w mieście. Wraz z tyloma innymi sprawami...

Przystanąła na werandzie i rozejrzała się po okolicy. Około trzydziestu metrów dzieliło to miejsce od jeziora, które – jak przypuszczała – było średniej wielkości, ale dziewczynie z miasta mogło wydawać się ogromne. Otaczał je gęsty zielony las, a tu i ówdzie wokół wody widać też było inne małe polanki z kilkoma, siedmioma lub ośmioma, opustoszałymi o tej porze roku letnimi domkami dla zamożnych nowojorczyków.

Najdalsze z owych domów zostały tak usytuowane, aby nie było ich widać. Pomost, który miała tuż przed sobą – solidna, stara drewniana konstrukcja – biegł ku środkowi jeziora na odległość około ośmiu metrów. Na końcu owego pomostu znajdowała się trampolina i drabinka. Wąski pas szarej, teraz zabłoconej plaży obok pomostu zajmowały trzy łódki i dwa kajaki, będące kolejną pozostałością po letnim obozie skautów. Słońce poranka, przedostające się przez mgłę, migotało w wodzie. Jill westchnęła – prześlicznie...

Parter dużego, piętrowego, kamiennie-drewnianego domu wypełniał jeden wielki pokój z mieszczącą się za nim obszerną kuchnią. To rozległe wnętrze spełniało różne funkcje, będąc z jednej strony czymś w rodzaju holu hotelowego, z drugiej zaś – salą jadalną. Wokół długiego niskiego stolika do kawy ustawiono kanapki i wygodne fotele, a w rogu fotel na biegunach, który wydawał się kolegą owych trzech na werandzie. Część jadalną w głębi pokoju, bliżej kuchni, wypełniał największy mahoniowy stół, jaki Jillian kiedykolwiek widziała. Zasiadało przy nim dwanaście osób, ale Gwen powiedziała, że gdyby zaistniała taka potrzeba, dałoby się go rozsunąć, by mogło przy nim zasiąść osiemnastu stołowników. Jedną z bocznych ścian wyłożono kamieniami i wbudowano w nią imponujący kominek, w którym w owych zimowych miesiącach nieustannie palił się ogień. Wzdłuż innej ściany biegły wąskie drewniane schody prowadzące do mieszkania Gwen i Mike'a, które niegdyś należało do właścicieli ośrodka.

Teraz w tym rozległym parterowym pomieszczeniu siedziały przy kominku trzy osoby: samotna kobieta i jakaś para. Z kuchni dochodził szcęk naczyń. To Gwen. Drobna, przystojną, odzianą w tweedy kobietą w średnim wieku była Barbara Benson, autorka poczytnych romansów, od blisko trzydziestu lat stanowiąca coś w rodzaju narodowej instytucji. Miała falujące włosy o lekko błękitnym odcieniu. Jill zauważyła też podwójny sznur pereł i poczuła zapach lawendy. Owe perły i lawenda były „znakami firmowymi” tej pisarki. Barbara wydała już blisko sześćdziesiąt książek i prawdopodobnie była bajecznie bogata. To samo można by sądzić o siedzącym na przeciwko niej niskim, ciemnowłosym mężczyźnie z kozią

bródką: Jeffrey Monk stał się już światowej klasy autorem powieści grozy. Wydawał się dość spięty i Jill zauważyła, że rzadko mówił. Obok Jeffreyego siedziała jego żona Ruth – atrakcyjna, pogodna, zawsze uśmiechnięta kobieta. Tego wieczoru, gdy Jill przyjechała tu z Nowego Jorku, Ruth zrobiła na niej niemałe wrażenie, gdy po kolacji szczerze przyznała się, że nie znosi książek swego męża. Wszyscy troje wprost wychodzili z siebie, by okazać Jill życzliwość, co kazało jej się zastanowić, czy przypadkiem Gwen i Mike nie powiedzieli im czegoś o jej ostatnich przeżyciach. Jill zdawała też sobie sprawę, że zarówno Barbara Benson, jak i Jeffrey Monk, cieszący się takim powodzeniem u czytelników, bez trudu mogli sobie pozwolić na najbardziej luksusowe miejsca i że ich pobyt tutaj w tygodniach otwierających działalność nowego ośrodka był czymś więcej niż przyjacielskim gestem wobec Gwen i Mike'a. Nadali temu ośrodkowi własne piętno, nie mówiąc o tym, że przysparzali mu reklamy. Jill zrozumiała, że Barbara i Jeff starają się pomóc swym młodszym kolegom i natychmiast ich za to polubiła.

– Dzień dobry – powiedziała do wszystkich trojga.

– Witaj, kochanie – miło odrzekła Barbara. – Wyglądasz na dobrze wypoczętą! Tutejsza cisza i spokój są po prostu niebiańskie!

– To prawda – wtrąciła Ruth. – Sądzę, że znaleźliśmy lekarstwo na bezsenność Jeffa.

Autor powieści z uśmiechem zgodził się z żoną.

– Przyłącz się do nas!

Wesoły głos, który rozległ się teraz, należał do pogodnej, niewysokiej blondynki w biało-czarnej sukience w groszki, która wyłoniła się z kuchni z pełną tacą. Postawiła wielką brytfannę jajeczniczy na długim bufecie w pobliżu ogromnego stołu i podeszła do Jill, by cmoknąć ją w policzek.

– Witaj, kochanie.

Jill odpowiedziała jej uśmiechem. Gwen Feldman, była najbardziej energiczną osobą, jaką знаła (może tylko z wyjątkiem jej męża Mike'a). Gdy wszyscy wstali i podeszli do bufetu, Jill zapytała:

– Gdzie jest Mike?

– Pojechał na stację – odpowiedziała jej gospodyni, stawiając talerze i sprawdzając, czy na bufecie znajdują się już wszystkie dania: jajka, szynka, parówki, tosty, owoce, gorąca owsianka i płatki do zimnego mleka. – Miło mi zawiadomić państwa, że niebawem będziemy gościć dwoje nowych „rekrutów”; przyłączą się do nas lada chwila Craig Palmer, autor powieści sensacyjnych... znasz go, prawda, Jill?... i Wendy Singer, która pisze te detektywistyczne opowiadania o pani weterynarz. Dziś rano jeszcze ktoś telefonicznie zarezerwował domek na czwartek. Okaze się, iż będzie nas tu niemały tłum! A skoro o tym mowa: nasze walentynkowe przyjęcie, zaplanowane początkowo na Dzień świętego Walentego, zmienimy w przyjęcie „przedwalentynkowe”, bo pani Barbara Benson oraz państwo Ruth i Jeffrey Monkowie opuszczają nas w sobotnie popołudnie. Szykuj więc nogi do tańca na piątkowy wieczór! Mike będzie discjockeyem, obiecał zaprezentować nam całą swą kolekcję nagrań orkiestrowych. Szampan, loteria fantowa i tance aż do świtu. Zaprosiliśmy także kilku naszych nowych sąsiadów, więc będzie to dla ciebie jedyna okazja poznania kogoś miejscowego. Mam nadzieję, że zechcesz uczestniczyć w naszych rozrywkach Jill. A teraz jedźmy.

Jill, postępując ściśle z zaleceniami swego doktora, powstrzymała się od apetycznie wyglądającego ciężkiego jedzenia i sięgnęła po połówkę grapefruita i miseczkę płatków kukurydzianych. Przyszło jej to z trudem, bo zauważyła, że również apetyt wrócił jej w chwili, gdy wyjechała z Nowego Jorku.

Napełniwszy filiżankę bezkofeinową kawą z dzbanka stojącego na końcu bufetu, usiadła obok Gwen, która zajęła miejsce u szczytu stołu.

Ledwie rozpoczęli posiłek, gdy dobiegł ich warkot nadjeżdżającego mikrobusu, a po chwili otworzyły się drzwi i do środka weszło troje ludzi obciążonych walizkami, roześmianych i wesoło gawędzących. Najwyższym z nich był Mike – we flanelowej koszuli, kombinezonie, kapturze i z czarną brodą zakrywającą mu twarz,

– Jesteśmy na miejscu – zagrzmiął, stawiając bagaże na podłodze i pokazując przybyłym, by zrobili to samo. – Zabierzemy to wszystko później. Najpierw wyzerka!

Ruszyli w stronę bufetu. Jill знаła arystokratycznego, pięćdziesięcioletniego Craiga Palmera; spotykali się przy różnych okazjach, mieli bowiem nie tylko tego samego wydawcę, ale i tego samego redaktora. Sympatyczna młoda Wendy Singer także była jej znana ze spotkań Klubu Autoterek Powieści Kryminalnych, w których sama od czasu do czasu uczestniczyła.

Craig i Wendy zostali przedstawieni pozostałym znakomitościom zasiadającym przy stole, a Mike opadł na krzesło naprzeciwko Jill, koło swojej żony. Gdy rzucił się na śniadanie, Jill pochyliła się ku niemu i zapytała:

- Czy wciąż jesteśmy umówieni na dzisiaj?
- Co? Ach tak, oczywiście. Odpowiada ci godzina trzecia? Do tego czasu uporam się z moimi obowiązkami. Strzelnica jest w lesie, po drugiej stronie boiska baseballowego.
- Dobrze – odrzekła Jill. – O trzeciej. Gwen zmarszczyła brwi, słysząc ich rozmowę.
- Jesteś tego pewna, Jill? Naprawdę tego chcesz?
- Ależ tak! – Uśmiechnęła się, by ułagodzić swą miłującą pokój przyjaciółkę. – Twój mąż pokaże mi, jak mam się bronić.

Barney znów jechał autostradą, kierując na północny wschód od Pittsburgha. Wprawdzie było dziś chłodno, lecz sucho, a wynajęty samochód okazał się wcale nie tak irytujący jak zazwyczaj bywają wynajęte auta. Jeszcze kilka takich wozów i może naprawdę polubi automatyczną zmianę biegów.

Rzucił okiem na leżącą na miejscu dla pasażera mapę z wytyczoną drogą, którą zaznaczył długopisem. Tak... autostradą do zjazdu... a potem przez Mill Road prosto do miasteczka. Tam zapyta, jak dojechać do Franklin Street.

Ziewnął szeroko, zadowolony, że po wyjściu z gmachu więzienia zatrzymał się, by zjeść kanapkę i napić się kawy. Wczesna godzina wylotu z Nowego Jorku sprawiła, że musiał wstać o szóstej rano, a teraz było już wpół do trzeciej. Opuścił przydrożny bar zaledwie dwadzieścia pięć minut temu, a już wydawało mu się, że jedzie kilka godzin.

O tej porze autostrada była niemal pusta, a płaski szary krajobraz południowo-zachodniej Pensylwanii w środku zimy nie miał w sobie niczego nęcącego. Detektyw wyciągnął rękę w kierunku siedzenia pasażera i odsunął na bok mapę ze stacjami benzynowymi. Pod nią leżały wykonane przez sekretarkę naczelnika kopie fotografii Victora Dimorty. Jeszcze raz spojrzął na te zdjęcia. Z profilu i en face; długa, pociągła ospowata twarz o nieciekawym, tępym wyrazie. Cienkie, tłuste włosy. Duże ciemne oczy nie wyrażały niczego prócz nieprzytomnej obojętności. Długi, ostry, niemal haczykowaty nos nad wąską, prostą linią ust. Wypukłość grdyki i wyraźna wklęsłość policzków wskazywały, że ten osiemnastolatek miał niedowagę.

Zupełnie przeciętny, niczym nie wyróżniający się chłopak, pomyślał Barney. Chłopak, którego się nie zauważa; który wygląda dokładnie tak, jak setka chłopaków, jakich każdego dnia widuje się na ulicach Nowego Jorku. A jednak właśnie ten przeciętny, nieokreślony osobnik zamordował swych śpiących rodziców. Zaledwie kilka godzin przed zrobieniem mu tych fotografii...

Zastanawiał się, jak ów chłopak wygląda teraz.

To właśnie naczelnik więzienia, bardzo mądry, życzliwy człowiek, o nazwisku Sanford, zasugerował Barneyowi rozmowę z tym więźniem. Teraz Barney z wdzięcznością myślał o inteligencji naczelnika Sanforda.

Przyprowadzony do biura niski, podstarzały mężczyzna stał, wpatrując się w naczelnika i ogromnego, siwowłosego faceta, siedzącego po drugiej stronie biurka. Nie był zakuty w kajdanki, zauważył Barney, uświadamiając sobie, że ten stary człowiek, który spędził tutaj większą część swego dorosłego życia, nie stanowi żadnego zagrożenia i ma pewne przywileje. Został przedstawiony detektywowi jedynie jako Ed.

Za podsuniętą mu przez naczelnika paczkę papierosów Ed opowiedział Barneyowi wszystko, co wiedział o Victorze Dimorcie. Wydawał się bardzo spokojny, mówił, trzymał się na uboczu, ale był lubiany i szanowany przez innych więźniów, a szczególnie przez tych, których nauczył czytać i pisać. Miał też bliskich przyjaciół; dwóch facetów, których już tu nie ma.



Jeden opuścił więzienie, a drugi – świat żywych. Po zwolnieniu Victor przyjechał tu kiedyś, żeby odwiedzić swoich kumpli i potem na spacer-niaku mówiono, że ma zamiar zrobić sobie operację plastyczną. To było wszystko, co wiedział Ed.

Odprowadzono go do celi, Barney zaś podziękował naczelnikowi i wyjechał do Mill City.

Operacja... myślał, siedząc za kierownicą. Chirurgia plastyczna... Ten facet jest białą kartą: bez twarzy, bez odcisków palców.

W tamtym pokoju naprzeciwko mieszkania Jill rzeczywiście nie było żadnych odcisków palców. Detektyw od dawna znał sierżanta Juana Escalera z Szóstego Komisariatu, więc ten nie sprzeciwiał się obecności Barneya podczas rewizji. W samej rzeczy sierżant powitał go jak starego przyjaciela, za jakiego też sam się uważał.

Stół, popielniczka, klamki... badali wszystko, ale spod proszku pokazywały się tylko fragmentaryczne niewyraźne smugi. Łazienka na półpiętrze pod jego pokojem – dzielona z dwoma starszawymi mężczyznami, którzy mieszkali piętro niżej – została wyszorowana dzień wcześniej i na umywalce znaleziono tylko jeden odcisk palca. Należał on, jak się okazało, do pana Abramsa z mieszkania opatrzonego numerem 6A. Starszy pan jedynie przelotnie widział wysokiego, ciemnowłosego sąsiada z góry.

Sierżant Escalera podziękował wszystkim za współpracę. Potem, serdecznie ściskając dłoń kolegi i żegnając go obietnicą naprawdę rychłego spotkania przy kolacji, wrócił wraz ze swoją ekipą do rozpracowywania innej, bardziej naglącej sprawy; zabójstwa lekarki-psychoterapeutki, która mieszkała przy Tenth Street. Prasa miała o czym pisać! Barney obiecał, że zadzwoni do Escalery, jeśli dowie się czegoś interesującego w Pensylwanii.

Teraz, zmierzając do Mill City, detektyw zastanawiał się, co robi, gdy tam dojedzie. Znajdzie dom. Porozmawia z sąsiadami, z miejscowymi sklepikarzami, ze wszystkimi, którzy mogli znać tę rodzinę. Ze wszystkimi, którzy mogli znać... lub wciąż znają... Victora Dimortę.

Musi zobaczyć nową twarz Victora!

– Początkującym zawsze się udaje! – krzyknął Mike, odpinając papierową tarczę do drewnianego pala w rowie strzeleckim po drugiej stronie leśnego wyrębu. Pokazał Jill biały karton. – Spójrz!

Stała na drewnianej platformie strzelnicy, ściskając w dłoni mały rewolwer i wpatrywała się w arkusz przyniesiony przez Mike'a. Oddała cztery strzały; wszystkie znalazły się w drugim kręgu, a dwa z nich w samym środku.

– Jesteś pewna, że nigdy wcześniej tego nie robiłaś? – zapytał przyjaciel ze śmiechem.

– Najzupelniej – zapewniała go. – Pozwól mi spróbować jeszcze raz.

Skinął głową i poszedł przypiąć kolejną tarczę, a Jill ponownie naładowała rewolwer. Gdy Mike znów stanął obok niej, wyprostowała się, rozsunęła stopy i wyciągnęła rękę przed siebie. W prawej dłoni trzymała broń, a lewą mocno ściskała nadgarstek. Popatrzyła wzdłuż swego ramienia i krótkiej lufy i skierowała je ku niewielkiemu arkuszowi białego papieru, który miała przed sobą w odległości jakichś siedmiu metrów. Nie widziała papieru; wyobraźnia podsunęła jej obraz wysokiego, chudego, ciemnowłosego upiora bez twarzy. Gotowa do strzału, pociągnęła cyngiel.

– Dziesiątka! – krzyknął Mike.

Budynek przy Franklin Street 7 był małym, odrapanym jednopiętrowym, drewnianym domem w nieokreślonym, tylko z pozoru wiktoriańskim stylu. Z frontowej, pochylonej ze starości werandy odpadała niegdyś biała farba. Nawet tablica z napisem NA SPRZEDAŻ, optymistycznie stercząca z błota tuż obok schodów prowadzących na werandę, dawno już wyblakła. Dom był dokładnie taki sam jak pozostałe, stojące wraz z nim w szeregu po jednej stronie wąskiej drogi biegnącej nad kotliną, w której znajdowała się reszta miasteczka. Ponad niewielkim skupiskiem domów tworzących cztery przecznice Barney ujrzał ruiny fabryki papieru: rozsypujący się cementowy szkielet z szeregami powybijanych okien i pustymi kominami sterczącymi w stronę szarego nieba. Szarość,

pomyślał, wszystko tu jest szare. Fabryka, miasteczko, niebo i ten szereg domów przy szarej drodze nad szarą kotliną.

Odwróciwszy się od przygnębiającego widoku, ponownie udał się na drugą stronę ulicy i wszedł na schody werandy domu oznaczonego numerem siódmym. Drzwi i okiennice były zamknięte. Zszedł z ganku i obejrział dom dookoła. Małe, ogrodzone podwórko – takie samo jak wszystkie inne na tej ulicy – zarośnięte było chwastami, a dwa rosnące na nim drzewa wyschły i stały teraz ogołocone z liści. Tylne drzwi również były zamknięte. Wąski, obramowany kamieniami pas czarnej ziemi na tyłach domu obok kuchennych drzwi świadczył, że przed wieloma laty Angela Dimorta podejmowała próby hodowania kwiatów.

Wróciwszy na ulicę, zauważył, że przed kilkoma innymi budynkami po obu stronach stoją samochody. Na werandzie domku stojącego nieopodal siedziała w fotelu na biegunach jakaś leciwa niewiasta z robótką na kolanach. Obserwowała go spokojnym wzrokiem osoby, która widziała już wszystko i niewiele rzeczy może ją zainteresować. Uśmiechnął się i pomachał jej ręką – w odpowiedzi skinęła zyczliwie głową. Detektyw potraktował to jako zachętę i podszedł do jej werandy.

– Dzień dobry – powiedział.

Kobieta ponownie skinęła głową, nie odkładając robótki i dalej po-brzękując drutami.

– Chce pan kupić ten nawiedzony dom?

Uśmiechnął się lekko.

– Ten pod siódmką? Dlaczego tak go pani nazywa?

– Wszyscy go tak nazywają – odparła. – Mieszkał w nim ten zwariowany chłopak; ten, który zabił swoich rodziców. Oni oczywiście też byli zwariowani...

– Pani ich znała? – zapytał.

Spojrzała na niego.

– Jasne. Mój zmarły mąż i „Mocny Joe” Dimorta byli brygadzystami w fabryce papieru.

Barney wszedł na schody.

– A co z tym chłopakiem? Też go pani znała?

– Victora? – Kobieta parsknęła suchym śmiechem. – Zawsze był jakiś dziwny, nawet jako mały dzieciak. Rzucił kamieniami w psy, bo był ciekaw, czy zdoła je trafić. Parę razy go też pogryzły. – Znów się zaśmiała. – Naprzykrzał się też dziewczętom w szkole i inni chłopcy go bili, dokładnie tak jak jego tata. „Mocny Joe” tłukł i syna, i Angelę! Mieszkam dwa domy dalej, a czasami musiałam zakrywać uszy! Victor uciekł z domu, do jakiegoś college'u, ale go stamtąd wyrzucono. Słyszałam, że tam też miał jakieś problemy w związku z dziewczętami. Nie wspomniano o tym w akcie oskarżenia.

– W akcie oskarżenia?! – Barney szeroko otwierał oczy udając słuchacza doskonałego.

– Tak. Po tym, jak ich zamordował. Podciął im gardła, kiedy spali. Poszedł za to do więzienia, ale już go wypuścili. Zwolniono go warunkowo, jednak nie dotrzymał jakichś warunków. Kilka lat temu przyjeżdżali tu z policji stanowej i zadawali różne pytania. Na pana miejscu dwa razy bym się zastanowiła, zanim kupiłabym ten dom.

– Dlaczego?

Kobieta po raz pierwszy przerwała swą robotę. Z rękami na kolanach spojrzała na niego, a potem na ulicę w stronę domu Victora.

– Ten dom jest nawiedzony. Nie widziałam go, ale wydaje mi się, że tam wraca. Od czasu do czasu, niedawno... Olsenowie, ci spod piątki, też tak mówią. Wszyscy to słyszeliśmy, głównie w nocy... Głosy. Czasami muzyka. Widzieliśmy światło w oknach. I takie tam... różne rzeczy...

– Zameldowała pani o tym policji?

Wróciła do swoich drutów.

– Ale tam... To nie moja sprawa.

Barney przyglądał się jej z uwagą.

– Nie boi się go pani?

– Kogo? Victora? – Stara kobieta jeszcze raz się roześmiała. – Dlaczego chciałby zamordować mnie? Nie jestem jego matką!

Barney zmusił się do uśmiechu, słysząc ten jej dowcip. Spojrzał na zegarek: czwarta. Będzie musiał poczekać do zapadnięcia nocy, by zrobić to, co zamierzał.

– Jest tu jakieś miejsce, gdzie mógłbym coś zjeść?

Staruszka wysunęła palec w kierunku autostrady.

– Trzeba jechać na wschód. Następnym zjazdem. Do prawdziwego miasta. Tam jest duże centrum handlowe z mnóstwem restauracji.

– Dziękuję. Do kogo teraz należy ten dom, to znaczy, kto go sprzedaje?

– Siostra „Mocnego Joe”.

Detektyw skinął głową. Gdy zszedł z werandy, kierując się ku drodze, kobieta zawołała za nim:

– To co, kupi pan ten dom?

– Nie, nie sądzę. – Uśmiechnął się przeproszająco. – Nie chciałbym tu mieszkać z nim.

W drodze do samochodu towarzyszył mu jej suchy chichot.

Po odejściu Mike'a Jill jeszcze przez godzinę pozostała w strzelnicy. Wyznaczała sobie własne cele, ładowała rewolwer i strzelała. Przyzwyczajała się do dotyku broni, do jej wyczuwania własną dłonią i rzeczywistość zaczynała jej się podobać poczucie siły, jakie dawał rewolwer. Jeśli zaś chodzi o celność strzałów, to najgorsze z oddanych owego popołudnia zaledwie o włos minęły cel i zdarzyło się to zaledwie dwa razy. Wszystkie pozostałe umieszczała w kręgach tarczy, a niemal połowę z nich w drugim.

Gdy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi i w leśnym wyrębie nie było już światła, włożyła broń do kieszeni i przeszła przez boisko baseballowe obok jeziora do głównego domu ośrodka. Zastała tam jedynie Ruth Monk siedzącą przy kominku z książką, którą – co mile pojechało Jill, – okazało się nowe, broszurowe wydanie jej własnej powieści zatytułowanej *Zabij mnie*. Wszyscy pozostali pisarze prawdopodobnie pracowali teraz w swoich domkach. Jestem tu jedyną osobą nie mającą żadnego planu, pomyślała machając ku Ruth, która pokazała jej, co czyta i z uznaniem uniosła brwi, wracając do lektury. Jill uśmiechnęła się na ten

komplement i podeszła do małego stolika w rogu pokoju, gdzie stał jedyny w tym ośrodku aparat telefoniczny. W domkach nie było telefonów, telewizorów, odbiorników radiowych, ani niczego, co mogłoby rozpraszać autorów. Nie miały tu również wstępu gazety i nawet modemy do komputerów osobistych nie były mile widziane. Jedyny telewizor znajdował się w *sypialni Gwen i Mike'a*. To miejsce było po to, by ludzie, którzy łatwo się rozpraszają, mogli spokojnie i w skupieniu pracować. Ręcznie wykonany napis na kartce przyklejonej do wiklinowego koszyka obok aparatu telefonicznego głosił:

ROZMOWA MOŻE TRWAĆ TYLKO PIĘĆ MINUT!  
 ROZMOWA MIEJSCOWA: 1,00 \$  
 POŁĄCZENIE Z NOWYM JORKIEM: 2,00 \$  
 INNE POŁĄCZENIA ZAMIEJSCOWE; INFORMACJA  
 U GWEN

Jill wrzuciła do koszyka banknot pięciodolarowy i zamówiła dwie rozmowy do Nowego Jorku. Ani Tary, ani Nate'a nie było w domu. Zostawiła krótką wiadomość na automatycznej sekretarce Tary, życząc jej udanej randki dziś wieczorem, ale gdy zamiast Nate'a usłyszała jego nagrany na taśmie głęboki głos, natychmiast odłożyła słuchawkę, przypominając sobie ich rozmowę sprzed dwóch wieczorów.

Złamała wtedy zarządzenie Gwen i rozmawiała przez telefon piętnaście minut, starając się wyjaśnić kochankowi, że nie miała zamiaru go zranić. Wyjechała z miasta tak nagle, bo po prostu chciała uciec na jakiś czas, a nie poprosiła, by Nate jej towarzyszył, ponieważ zbliża się termin jego wernisażu i tylko tym powinien się teraz martwić. Jill udało się już nieco go ułagodzić, kiedy zapytał, skąd dzwoni, a ona odmówiła odpowiedzi. Wtedy znów zaczął wrzeszczeć, więc szybko się pożegnała, obiecując, że wkrótce zatelefonuje i odłożyła słuchawkę.

Teraz nie przychodziła jej na myśl żadna odpowiednia wiadomość, którą mogłaby powierzyć automatycznej sekretarce Nate'a. Nie zamierzała mu wyjaśniać, że ucieka przed kimś, kto włamał się do jej mieszkania, by zostawić tam kolejny przerażający podarunek; kto umieścił urządzenie

podśluchowe w jej aparacie telefonicznym i pod kanapą, i kto na pewno zamordował dwie osoby, a prawdopodobnie również jeszcze trzy. Gdyby Jill opowiedziała mu o tym wszystkim, upierałby się, że chce wiedzieć, gdzie ona teraz jest i przyjechałby tu, żeby ją wspierać, zamiast w Nowym Jorku przygotowywać się do wernisazu, czym powinien się teraz zajmować.

Z lekkim grymasem rozczarowania na twarzy Jill wyjęła z wiklinowego koszyczka banknot pięciodolarowy i zastąpiła go dwoma jednodolarowymi. Później zatelefonuje do Nate'a. Obiecała też sobie, że sama nigdy nie będzie wyciągać od niego żadnych informacji.

Wróciła do kuchni i zaproponowała Gwen pomoc w przygotowaniu kolacji. Jej oferta została przyjęta z wdzięcznością.

Tara właśnie weszła do swego mieszkania, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Odłożyła przyniesioną z pralni czerwoną suknię, którą zamierzała włożyć na dzisiejszą kolację, i podniosła słuchawkę.

- Halo?
- Witaj Taro, mówi Doug.
- Dzień dobry! Właśnie przygotowuję się do...
- Ach, tak... Posłuchaj Taro, obawiam się, że nie będę mógł spotkać się z tobą dziś wieczorem. Coś... coś się stało. Interesy. Naprawdę mi przykro... ale obiecuję, że ci to wynagrodzę.
- Och, jasne, w porządku, rozumiem.
- Dziękuję, że jesteś taka miła. Ja... zadzwonię do ciebie za kilka dni, dobrze?
- Byłoby wspaniale. Mnie też jest przykro w związku z dzisiejszym wieczorem. Nie pracuj za ciężko. Cześć!

Szybko odłożyła słuchawkę, mając nadzieję, że w jej głosie nie zabrzmiała nuta zawodu, że nie było w nim zbyt dużo rozczarowania. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo cieszyła się na ten wieczór.

Spojrzała na osłoniętą folią czerwoną suknię. No cóż, pomyślała, później... Zadzwoni za kilka dni i spróbujemy jeszcze raz. Mam nadzieję.

Po kolacji Jill pomogła Gwen wstawić naczynia do zmywarki i doprowadzić kuchnię do porządku, a następnie obie przeszły do salonu, z dzbanka stojącego na bufecie nalały wody do filiżanek z ziołową herbatą i usiadły na kanapie z dala od innych. Barbara Benson i Craig Palmer grali w szachy przy małym stoliku obok kominka, a Jeffrey Monk dzielił się z Wendy Singer jakimiś tajemniczymi informacjami, które potrzebne jej były do powieści sensacyjnej, którą właśnie pisała. Coś o zatrutych strzałach, jeśli Jill dobrze usłyszała. Ruth Monk znowu czytała powieść Jill, a Mike udał się już na spoczynek.

Sączyły herbatę w miłym, życzliwym milczeniu. W końcu Gwen odezwała się pierwsza. Rzuciwszy szybkie spojrzenie na pozostałych, obróciła się ku Jill i zapytała najcichszym szeptem:

– Jesteś w ciąży?

Jill poruszyła się gwałtownie i ze zdumieniem spojrzała na przyjaciółkę. Początkowo chciała zaprzeczyć, ale potem zdała sobie sprawę z bezsensowności kłamstwa. Skinęła głową.

– Skąd wiesz?

Gwen się roześmiała.

– Och, daj spokój! Nigdy nie poznałaś moich trzech sióstr, w ciągu pięciu lat dały światu siedmioro dzieci. Znam wszystkie najwcześniejsze oznaki. Zawsze lubiłaś wino do kolacji i nagle przestałaś pić jakikolwiek alkohol. Nie chcesz kawy, nie jesz jajek na bekonie ani żadnych takich rzeczy. Kładziesz sobie ręce na brzuchu, nieustannie go dotykasz. Nieważne, skąd wiem. Co masz zamiar zrobić w związku z tym faktem?

– Nie jestem pewna. Myślę, że chcę tego dziecka, ale pragnę, by miało oboje rodziców.

– Czy Nate już wie? – zapytała przyjaciółka.

Jill potrząsnęła głową.

– Jeszcze nie. I to jeden z powodów, dla których tu przyjechałam... Zresztą cóż, to nie jest prawda. Istnieje tylko jeden powód, opowiedziałam o tym wam obojgu. A jeśli chodzi o dziecko, cóż... nie wiem.



- Myślisz, że Nate się z tobą ożeni?
- Tak. Już mnie prosił, żebym za niego wyszła.

Gwen wyciągnęła rękę, by objąć przyjaciółkę.

- A zatem w czym problem?

Jill uśmiechnęła się lekko.

– Nie znasz go. Ty i Mike spotkaliście go tylko raz, na tym przyjęciu w Nowym Jorku przed kilkoma miesiącami. On jest... no cóż, jest artystą. Bardzo zdecydowanym, bardzo skoncentrowanym na swej karierze. A teraz, z tymi nowymi cyklami obrazów, które namalował... Nie sądzę, by była to właściwa pora, aby poruszać z nim taki temat.

Gwen ujęła rękę Jill w drobną, ciepłą dłoń i uśmiechnęła się do niej serdecznym, opiekuńczym uśmiechem.

– Kochanie, poprosił cię o rękę. A ty, oczywiście, chcesz przyjąć jego oświadczyzny. Dziecko to najlepsza wiadomość... dla was obojga. I każda pora jest właściwa.

Jill skinęła głową.

– Oczywiście, masz rację. Pewnego dnia sama będziesz cudowną matką.

Jej przyjaciółka uśmiechnęła się z nadzieją.

– Mam nadzieję, że stanie się to bardzo szybko. Och, Jill, to wspaniała wiadomość! Powiedz Nate'owi. Jestem pewna, że będzie zachwycony.

– Tak... – odrzekła powoli Jill. – Też tak myślę, teraz gdy myślę... gdy zdecydowałam się zdecydować.

– Słucham?

– Och, nic – rzuciła pogodnie. – Tak, myślę, że Nate będzie szczęśliwy. I że okaże się cudownym ojcem.

– Na pewno – przytaknęła Gwen. – Kochanie, gdy wiemy, że coś jest słuszne, wtedy staje się to jedyną rzeczą, jaką musimy wiedzieć. Wszystko inne staje się po prostu nieważne.

Jill bacznie spoglądała na przyjaciółkę, myśląc: tak, to prawda. Kiedy wiemy, że coś jest słuszne...

Postanowiła odbyć z Nate'em długą i szczerą rozmowę. Zaraz po powrocie do Nowego Jorku.



Barney siedział w samochodzie. Czekał. Zaparkował na ulicy, w miejscu, gdzie zaczynał się długi szereg domów, dobre trzydzieści minut temu. Spojrzał na zegarek: prawie jedenasta. Świecił księżyc, a niebo nad zachodnią Pensylwanią było niemal zupełnie czyste. Księżycowa poświata spływała na rząd budynków ciągnących się aż na dalekie wzgórze i zmieniała je swym czarem ze zniszczonych ruder w to, czym były niegdyś: w szereg porządných domów mieszkalnych pracowników fabryki papieru. Kilka światel zamigotało w głębi położonej niżej kotliny w domach byłych robotników fabrycznych, którzy stracili pracę jakieś dwadzieścia lat temu. Przez chwilę zastanawiał się, w jaki sposób ci ludzie teraz zarabiają na życie.

Skorzystał z rady starej kobiety i pojechał do centrum handlowego w sąsiedniej miejscowości. Jakież to szok kulturowy, zadumał się detektyw. Tam, w odległości niespełna czterech kilometrów od owej zapomnianej, prawdziwie upiornej dziury, znalazł pulsujące życiem nieduże miasto, które wraz z kilkoma sąsiadującymi z nim zasobnymi osiedlami było wystarczająco zaludnione, by potrzebować dość dużego centrum handlowego.

Pierwsze kroki skierował do cyfrowego automatu telefonicznego i posługując się kartą, odbył dwie rozmowy. Najpierw zadzwonił do Jane, której powiedział, że spędzi tę noc w Pensylwanii, a do Nowego Jorku przyleci z powrotem jutro lub, najdalej, w czwartek. Odrzekła, by trzymał się ciepło, a on powiedział, że ją kocha. Potem zatelefonował do swego biura i zrelacjonował Vernie, gdzie był i co robił. Polecił jej, by przekazała Jill Talbot, że Victor Dimorta z pewnością poddał się operacji plastycznej. Kazał jej też namówić Jillian, by została tam, gdzie się ukrywa, dopóki nie minie Dzień świętego Walentego. Verna przyrzekła, że wszystko załatwi i poradziła, by trzymał się ciepło. Vernie także powiedział, że ją kocha.

Detektyw bez pośpiechu zjadł kolację w jednej z restauracji centrum handlowego, a potem wafesał się po dużym sklepie z artykułami gospodarstwa domowego, który miał mały dział artykułów żelaznych. Dokonał

dwóch zakupów, a następnie udał się do kina z kilkoma salami projekcyjnymi i w jednej z nich obejrzał naprawdę straszny horror.

Teraz, gdy już zabił dość czasu, znalazł się z powrotem w Mill City, gotowy do akcji. Spojrzał na drogę. Posesje sąsiadujące z domem Dimortów były najwyraźniej opuszczone, ale we frontowym oknie domu tamtej starej kobiety wciąż świeciło się światło. Zaczeka trochę dłużej...

W końcu zgasła lampa w jej saloniku i zapaliło się światło w położonej na piętrze sypialni. Barney poczekał jeszcze dziesięć minut i ono też zgasło. Teraz cały rząd dwunastu domów pogrążony był w ciemności z wyjątkiem świecącej się gdzieś tam lampy na ganku.

Detektyw wysiadł z samochodu. Uderzony nagłym podmuchem zimnego powietrza, ciasniej otulił się płaszczem i dokładnie go zapiął. Potem najciszej, jak mógł, poszedł ulicą do domu oznaczonego numerem siedem. Znalazłszy się tam, obrzucił szybkim spojrzeniem drogę biegnącą obok wzgórza. Przejmująco zimny wiatr sprawiał, iż rosnące wzdłuż niej ogołoczone z liści drzewa kołysały się i szeleściły nagimi gałęziami. Wydawało mu się, że coś zobaczył, jakiś ruch w zaroślach obok werandy następnego domu. Kiedy jednak przyjrzał się bacznie temu miejscu, z kępy krzaków wyslizgnał się i pognął ulicą chudy, zabiedzony kot. Był więc tutaj sam, sam z kilkoma śpiącymi sąsiadami i zagłodzonym kotem.

Ostrożnie poruszając się w ciemności, skierował się do tylnego wejścia od strony podwórka. Tania kłódka na tylnych drzwiach była widoczna w świetle księżycy. Barney wyciągnął z kieszeni nowo nabyty śrubokręt i przystąpił do pracy. Dwie minuty później drzwi otworzyły się cicho.

Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Potem sięgnął do drugiej kieszeni i wyciągnął z niej inny nabytek. Szybkim ruchem włączył latarkę i znalazł się w kręgu jej jaskrawego światła. Był w kuchni, małym wąskim pomieszczeniu wyłożonym białymi plastikowymi kafelkami w złote cętki i wyposażonym w tanie urządzenia: lodówkę, kuchenkę gazową i dużą, staroświecką okrągłą pralkę z wyżymaczką, stojącą w jednym rogu. W drugim znajdował się drewniany stół z krzesłami, tworzący kącik do jedzenia. Barney próbował wyobrazić sobie chłopca siedzącego między groźnie wyglądającym majstrem z fabryki i milczącą kobietą, którzy

ignorowali jego obecność.

Ruszył do przodu przez wahadłowe kuchenne drzwi i znalazł się w obszernym frontowym pokoju. Tuż przed nim stał duży stół, a za owym stałem kanapa z dwoma fotelami, przykrytymi teraz prześcieradłami. Barney oświetli latarką powierzchnię stołu. Nie był osłonięty: prześcieradło użyte wcześniej w tym celu leżało teraz zgniecione w kącie pokoju. Na stole stały dwie świece w porcelanowych lichtarzach. Barney wyciągnął rękę, by przesunąć palcem po blacie. Okazało się, że nie ma na nim kurzu. Jego uwagę przyciągnęła błyszcząca brunatna plama na jasnym drewnie. Pochylił się i powąchał: ketchup. Tak, pomyślał, tamta kobieta miała rację, ktoś jadł przy tym stole. I to całkiem niedawno.

Część wypoczynkowa saloniku była ciasna i niezbyt pociągająca. Detektyw uniósł prześcieradło okrywające kanapę i zobaczył to, czego się spodziewał: tanią, wyświechtaną tapicerkę. Na jednym z foteli prześcieradło nie zwisało luźno, lecz było wciśnięte w siedzisko, jakby ktoś odpoczywał na nim niedawno, nie zwracając sobie głowy poprawianiem tego okrycia. W kącie stało również osłonięte pianino, a. nad stolikiem, gdzie prawdopodobnie kiedyś znajdował się telewizor, wisiał jeden obraz – kiczowaty wizerunek Chrystusa spoglądającego ze smutkiem na ten pokój oczami, w których odbijało się jedynie Jego cierpienie, lecz nie było w nich łaskawości i miłosierdzia. Barney wzdrygnął się i ruszył ku schodom.

To, co spodziewał się ujrzeć, zobaczył również i wtedy, gdy snop światła skierował na stopnie. Pokrywał je kurz, ale na każdym widać było ślady stóp. Kiwając głową, detektyw wszedł na górę.

Na piętrze znajdował się krótki korytarz z jednymi dużymi drzwiami po lewej stronie i dwoma mniejszymi po prawej. Na ścianie przed Barneyem widniało duże okno wychodzące na puste podwórko. W dali widać było światła sąsiedniego miasteczka. Przez chwilę spoglądał na drzwi zastanawiając się, które wybrać. Następnie podszedł do tych dużych i otworzył je.

Tak, miał rację: była to sypialnia właścicieli. Wielka mosiężna rama małżeńskiego łóżka zajaśniała w świetle latarki ogołoconymi sprężynami. Komoda, toaletka z pękniętym okrągłym lustrem, dwudrzwiowa szafa. I

kolejny wizerunek Chrystusa, tym razem na krzyżu na górze Kalwarii, z udręczoną twarzą wzniesioną ku niebu. Ściany pokryto obecnie zmatowiałą, zielono-żółtą tapetą w paski.

A więc wydarzyło się to właśnie tutaj, pomyślał detektyw. Byli w łóżku, pogrążeni we śnie, gdy Victor bezgłośnie zakradł się do pokoju. Błysnął zaciśnięty w dłoni i uniesiony ku górze kuchenny nóż. Materaców i poduszek oczywiście już nie było, z pewnością zostały zniszczone. Flek podszedł bliżej, oświetlając latarką ścianę nad ozdobną mosiężną ramą małżeńskiego łóżka. W kilku miejscach prążkowana tapeta wydawała się wyraźnie jaśniejsza od reszty ściany, jakby ktoś ją wyszorował. Barney pokiwał głową. Tak, z pewnością wszędzie tu była krew.

Opuściwszy małżeńską sypialnię, przeszedł przez korytarz. Małe drzwi po lewej stronie prowadziły do ciasnej, wyłożonej białymi kafelkami łazienki z tanią, podziurawioną plastikową zasłoną prysznicową, czarną od pleśni. Śmierdziało nią całe to pomieszczenie. Szybko je zamknął i zainteresował się następnym.

Więc w końcu tu dotarł... Pchnął drzwi i skierował światło latarki w ciemną głębię pokoju, świecąc nim prosto w oczy jakiejś ślicznej młodej dziewczynie. Odruchowo cofnął się o krok.

Nagły poryw wiatru uderzył w szyby okna znajdującego się tuż za nim na owym górnym korytarzu, a cały dom zaskrzypiał i zadrżał. Barney wstrzymał oddech, nasłuchując uważnie. Czy to jakiś hałas na parterze? Nie, to tylko wiatr. Te stare, drewniane konstrukcje jęczą i uginają się pod nawet najłżejszym dotknięciem sił natury. Oświetlając sobie drogą, detektyw wszedł do sypialni Victora Dimorty.

Piękna młoda kobieta wpatrywała się w niego zapraszająco z przeciwległej ściany niewielkiego pokoju, a otaczały ją jeszcze inne. Cała ściana pokryta była fotografiami. Niektóre z nich miały wielkość plakatu, inne najwyraźniej wycięto z kolorowych magazynów i żurnali. Blondynki, brunetki, rude... Setki młodych pięknych kobiet. Opierały się o drzwi, biegały po plaży, unosiły w dłoniach kieliszki wina, prezentowały piękne stroje... Nie wszystkie były zawodowymi modelkami. Wśród wielu zdjęć Barney dostrzegł cztery fotografie z tego samego akademickiego

rocznika: Sharon Williams, Belinda Rosenberg, Cass MacFarland.

I Jill. Jej zdjęć było znacznie więcej niż fotografii pozostałych dziewcząt. Przyglądając się uważnie, detektyw zorientował się, że nie wszystkie naprawdę przedstawiały Jillian Talbot. Na kilku zdjęciach była inna młoda kobieta; najwyraźniej zawodowa modelka o uderzającym podobieństwie do jego klientki.

Podszedł bliżej, by przyjrzeć się fotografiom jeszcze uważniej i odsunął się z niesmakiem. Wszystkie zdjęcia zostały porysowane grubym czerwonym flamastrem; każda z dziewcząt miała długą szramę czerwieni przecinającą gardło. Z „ran” wypływały jaskrawo czerwone krople flamastrów krwi.

Och, Victorze, pomyślał Barney, wpatrując się w ów makabryczny fresk. Czy właśnie o tym marzysz?

Oderwał wzrok od tej okropnej twórczości i oświetlił latarką resztę pokoju. Przekrzywiona komódka. Niewielkie, zabite deskami okno zasłonięte koronkowymi firankami na mosiężnym pręcie. Drewniane biurko i krzesło. Kolejny wizerunek Jezusa, tym razem o bardziej dobrotliwym obliczu. Chrystus siedzący z małą dziewczynką na kolanach i z niewielką przyćmioną lampką u stóp. W rogu, za biurkiem – drzwi do schowka na ubrania.

Barney wpatrywał się w nie, myśląc: to właśnie tu cię zamykał, Victorze? To właśnie tu trzymał cię przez trzy dni po przyjeździe z Vermontu? To tutaj siedziałeś w ciemności, snując swe upiorne plany?

Kolejny gwałtowny podmuch porywistego wiatru zatrzęsł domem. Detektyw nasłuchiwał: coś jeszcze bardziej zaskrzypiało. Jedna większa burza, a cały ten dom po prostu się zawalił. Podszedł i otworzył drzwi do schowka.

Początkowo sądził, że nic tu nie ma. Jedyłą rzeczą, jaką zobaczył w świetle latarki, był pręt, z którego zwisały dwa metalowe wieszaki. Niewielka półka znajdująca się powyżej, także świeciła pustkami.

Spojrzał w dół.

Stał w drzwiach schowka i przeszukując go wzrokiem, opuszczał się

powoli na kolana. Pochylony do przodu, z wolna oświetlał zawartość dolnej części wnętrza. Musiało ich być dziesiątki, uznał. Wszystkie inne, a jednak takie same. Jakież to chore. Jak niewiarygodnie chore!

O Boże, pomyślał zaszokowany Barney. Jill!

Właśnie wtedy chwyciła go z tyłu czyjaś dłoń. Ktoś ze złością pociągnął go za włosy i odchylił mu głowę. Jakiś pochylony ciemny kształt zamachnął się czymś ku niemu. Detektyw poczuł nagły, ostry ból pod brodą, a potem ciepłą, rozlewającą się ciecz i oswobodzenie ciągniętych włosów. Bluzgając krwią, opadł do wnętrza schowka. Obrócił się na plecy i skierował snop światła na twarz stojącego nad nim mężczyzny, a potem wypuścił z dłoni latarkę i sięgnął za poję płaszcz, szukając przypiętego do ramienia rewolweru. Wiedział, że gardło ma pełne jakiejś cieczy. Próbując złapać oddech, zaczął się dławić i wtedy z ciemności wynurzył się but, który jednym kopnięciem odtrącił mu dłoń od rewolweru.

Wszystko odpływało powoli, a Barney spadał w otchłań coraz niżej i niżej, myśląc: Och, Jill... Verna... Jane...

Znów brzmiała muzyka i trzy kobiety tańczyły w mrocznej kawiarence. Siedziała przy okrągłym stoliku obok okna, spoglądając na zaśnieżony krajobraz, niezdolna, by odwrócić głowę i spojrzeć na wnętrze. Jakby wiedziała, co miało się z nimi stać...

Potem na salę opadł jakiś cień i tańczące za jej plecami kobiety zaczęły krzyżeć. Objęła brzuch obiema rękami, bezgłośnie powtarzając: Moje dziecko. Moje dziecko...!

Siedziała na wielkim łóżku i stopniowo wracając ku jawie, która wdarła się w jej rozgorączkowaną świadomość, zaczynała rozumieć, gdzie jest. Domek numer dwanaście w należącem do Gwen i Mike'a ośrodku pracy twórczej w Peconic w stanie New Island. Bardzo daleko od mieszkania w Greenwich Village. Nikt nie wie, gdzie ona jest; „Walentyńska” nie wie, że jest właśnie tutaj.

Wstała i poszła do małej łazienki. Lodowata woda z kranu nad umywalką przepływała przez jej usta zwilżając wysuszone gardło. Jill spryskała

twarz, by się ochłodzić, zgasiła światło w łazience i wróciła do ciepłego łóżka, powtarzając sobie w myślach: „Walentynka” nie wie, gdzie jestem.

Po kilku chwilach pogrążyła się we śnie. Spała całą noc i już nie niepokoiły jej żadne majaki.

Uporawszy się ze wszystkim w ogrodzie za domem, Victor zabrał łopatę do kuchni i ponownie umieścił ją w schowku z narzędziami gospodarczymi. Potem poszedł na górę i zmył krew.

Na wieszaku w łazience wisiały trzy stare nieświeże ręczniki. Włożył je do umywalki i polał na nie trochę zimnej, rdzawej wody, a potem poszedł do swej sypialni. Robiąc to wszystko, myślał z uśmiechem: nie wiedział, że tu jestem. Przez cały dzień, ani razu mnie nie zauważył: w samolocie, w wypożyczalni samochodów, przed więzieniem, na drodze ani w restauracji. Nie miał pojęcia, że w kinie siedziałem pięć rzędów przed nim, pogryzając prażoną kukurydzę i wpatrując się w ekran, na którym te dzieciaki zostały poćwiartowane przez pacjenta – uciekiniera ze szpitala psychiatrycznego. Nie zauważył też mojego auta na niższej drodze w klinice, gdy sam siedział w swoim samochodzie, zanim wszedł do domu.

Rozejrzał się po swej dawnej sypialni, myśląc: Patrzył na moje fotografie, a potem, zaglądając do schowka, naruszył moją prywatność. Przyszedł tu nieproszony, tłumaczył sobie, więc musiał odejść. Tak jak ta lekarka...

Schodząc na dół, zaczął pogwizdywać. Obejrzał mieszkanie, by się upewnić, czy wszystko znów jest na swoim miejscu, tak jak lubił. Zauważywszy niewielką plamkę na stole w jadalni, wytarł ją rękawem. Potem skierował się do wyjścia i z powrotem zawiesił ostrożnie kłódkę na kuchennych drzwiach. Cicho okrążywszy dom, przebiegł omiataną wiatrem ulicą do samochodu detektywa. Wcześniej wyjął mu kluczyki z kieszeni spodni, więc teraz pojechał do centrum handlowego i zaparkował auto wśród mnóstwa innych. Minie wiele dni, może tygodni, zanim ktoś je zauważy. Potem, korzystając ze skrótów, które pamiętał z dzieciństwa, wrócił do wypożyczonego przez siebie samochodu, który stał na skraju Mill City.



Teraz, pomyślał, z powrotem do Nowego Jorku. Z powrotem do Jillian Talbot. Cztery dni. Tylko cztery dni pozostało do Dnia Zakochanych, do Walentynek...

Prowadząc wóz przez cienie owej nocy, zaczął śpiewać.

## 15. Czwartek, 12 lutego

Halo?

- Tara? Mówi Jill. – Cześć!!
- Cześć. Nie spodziewałam się, że będziesz w domu i zamierzałam zostawić wiadomość na automatycznej sekretarce. Nie nagrywasz żadnego serialu.
- Mam kilka dni wolnych. Moja bohaterka wyjechała do Lourdes.
- Do Lourdes?! Ach tak, jakaś choroba, o której się nie mówi.
- No właśnie. Jak się miewasz, Jill?
- Wspaniale. Tutaj w... tu gdzie jestem, jest bardzo spokojnie. Jak ci się udało wtorkowa randka?
- Nie pytaj. Doug zatelefonował i odwołał nasze spotkanie. Praca czy coś takiego, jak powiedział...
- Powiedział: coś takiego?
- Tak... Nie wiem, Jill. Mam wrażenie, że wcale nie jest mną zainteresowany. A może się mnie boi? I jeszcze coś: czy zauważyłaś w jaki sposób zawsze patrzy na ciebie? Może to ty jesteś kobietą, której pragnie.
- Och, Taro, nie bądź śmieszna. Przecież sama mówiłaś, że jestem podobna do jego zmarłej żony, więc jeśli on się kogoś boi, to właśnie mnie.
- Hmm. No cóż, zobaczymy, czy zadzwoni.
- Chcę cię prosić o przysługę. Chciałabym, abyś w moim imieniu zatelefonowała do Nate'a. Upewnij się, proszę, czy u niego wszystko w porządku. Przygotowuje się do wernisażu, który odbędzie się w przyszłym tygodniu, a ja wiem, że kiedy jest tak zapracowany, to czasami zapomina o spaniu i jedzeniu.
- Oczywiście, Jill. I tak miałam zamiar do niego zadzwonić. Może zabiorę go dzisiaj na lunch.
- To byłoby wspaniałe! Muszę ci coś powiedzieć. Podjęłam decyzję, wyjdę za niego.

- Och, Jill. To fantastycznie! A zatem będzie was troje, prawda?
- Skąd... skąd wiesz?
- Daj spokój, Jill! Mary i ja wiedziałyśmy to już wieki temu! A przynajmniej podejrzewałyśmy. To cudowne!
- Tak, ja też zaczynam tak myśleć. Ale pamiętaj: jeśli pójdziecie na lunch, nie mów o tym ani słowa. Sama chcę mu to powiedzieć.
- Masz to u mnie. Mężczyźni zawsze dowiadują się na końcu, prawda?
- Tak... Posłuchaj, muszę pogadać z Barneyem Fleckiem, więc...
- Och, w poniedziałek przysłał jakichś ludzi, specjalistów od ochrony. Zaprowadziłam ich do twojego mieszkania i teraz masz w nim system alarmowy.
- Doskonale. Pozdrów ode mnie Nate'a.
- Nie rozmawiałaś z nim?
- Nie, od kilku dni. Trudno z nim rozmawiać, nie opowiadając mu o... no, wiesz, o wszystkim, co się wydarzyło.
- Sądzę, że powinnaś mu powiedzieć, Jill.
- Zrobię to... niebawem. Naprawdę. Cześć.
- Do widzenia.

Tara pomachała ku niemu od stolika w rogu zatłoczonej restauracji w dolnej części Broadwayu. Nate z uśmiechem ogarnął wzrokiem palmy w doniczkach i krzykliwe malowidła przedstawiające tropikalne krajobrazy, które stanowiły dekorację tego modnego lokalu w stylu zachodnio-indiańskim. Muzyka calypso tworzyła tło dla gwaru rozmów. Przechodząc między stolikami, ruszył, w jej stronę, by usiąść naprzeciwko w rattanowym fotelu przy jaskrawożółtym wiklinowym stole.

Tara rzuciła na niego jedno spojrzenie i zaczęła się śmiać.

- Masz farbę na twarzy.
- Uniósł rękę do policzka.
- To nie farba – wyjaśnił. – To wywabiacz. Pracowałem nad ramami do obrazów. Dziękuję za telefon. Tracę głowę.

– To te opary i zapachy.  
 – Prawdopodobnie. Co u ciebie, Taro?  
 – Wszystko w porządku, dziękuję. Weźmy sobie jakieś tropikalne danie, dobrze?

– Jasne – Nate przywołał kelnerkę w kwiecistym stroju i złożyli zamówienie. – Widziałaś się ostatnio z Dougiem?

– Nie – odparła Tara. – Właśnie miałam ci zadać to samo pytanie. Odwołał naszą ostatnią randkę...

– Hmm. Cóż, wspominał o jakiejś pracy, mówił coś o reportażu do jakiegoś miesięcznika...

– Och, nie przejmuj się, Nate. Jestem pewna, że mi to wyjaśni. Nie po to cię tutaj zaprosiłam.

– Doprawdy?

Podano im drinki. Upił niewielki łyk, krzywiąc się od słodczy piennej mikstury kokosowo-ananasowej. Tara natomiast niemal pochłonęła swoją szklaneczkę.

– Tak... – zaczęła. – Obawiam się, że to wścibstwo, ale sądzę, że postępuję słusznie. Wiem, że jesteś zajęty przygotowaniem do wystawy, ale... cóż, chodzi o Jill.

Pochylił się do przodu, odstawiając szklanekę.

– Co z nią? Czy czuje się dobrze? Gdzie, do diabła, ona jest?

Tara uniosła rękę, by powstrzymać lawinę pytań, a potem wszystko mu opowiedziała.

Siedział w rattanowym fotelu w tej niedorzecznej restauracji w dolnej części Broadwayu, słuchając całej historii. Włamanie, szkatułka. Pluskwa w aparacie telefonicznym, urządzenie podsłuchowe pod kanapą, muzyka płynąca z aparatury stereo. Potem opowiedziała mu wszystko, co zrozumiała z rozmowy Jill z detektywem Barneyem Fleckiem. Victor Dimorta zamordował własnych rodziców, a Jill sądziła, że zabił także te trzy pozostałe dziewczyny, z którymi chodziła do college'u. Wszystkie cztery odegrały jakąś rolę w spletanym mu figlu, on zaś systematycznie je mordował. Zawsze w Dniu świętego Walentego.

Nate przez chwilę nie mógł się ruszyć, cała sala zawirowała wokół

niego. Potem wstał, zaciskając dłonie na krawędzi wiklinowego stolika.

– Gdzie ona jest, Taro?

Potrząsnęła głową.

– Nie... nie wiem. Ale Mary wie. Pewnego dnia Jill powiedziała, że Mary podsunęła jej taką myśl.

– Dziękuję za drinka, ale prawdopodobnie nie mógłbym teraz jeść. Muszę... muszę zatelefonować do Mary.

– Sądziłam, że powinieneś o tym wiedzieć, Nate.

– Dzięki. Postąpiłaś słusznie – rzekł, zмирzając już pospiesznie do drzwi.

Po lunchu Jill zatelefonowała do biura Barneya Flecka. Sekretarka podniosła słuchawkę po drugim dzwonku.

– Agencja detektywa Flecka, słucham.

– Dzień dobry, pani Poole. Mówi Jillian Talbot. Zastanawiam się czy pan Fleck wrócił już z Pensylwanii.

– Nie, pani Talbot, nie wrócił. Powiedział, że prawdopodobnie wróci dopiero dzisiaj, ale dzwonił we wtorek z wiadomością dla pani.

Jill wysłuchiwała informacji przekazanej przez sekretarkę Flecka, potem podziękowała i odłożyła słuchawkę. Usiadła w salonie domu nad jeziorem i wpatrywała się w ogień.

Operacja plastyczna... Victor Dimorta ma nową twarz.

Uśmiechnęła się na myśl o drugiej części wiadomości od detektywa: ma pozostać w ukryciu, dopóki nie minie Dzień świętego Walentego.

Dobrze, Barney, pomyślała, na pewno zostanę. Zaufaj mi. Nigdzie się nie wybieram!

\* \* \*

W pracowni na dole ramiarz przybijał coś młotkiem i szlifował, Nate zakrył więc wolną ręką ucho, by osłonić je przed hałasem.

– Dzień dobry, Mary. Mówi Nate.

– Witaj, jak ci idzie z malowaniem?

– Dziękuję, dobrze. Posłuchaj Mary, chcę wiedzieć, gdzie jest Jill.

Po drugiej stronie słuchawki chwila ciszy poprzedziła odpowiedź.

– O rany, Nate ona mnie zabije. Powiedziała, że nikt nie może...

– Wiem, co powiedziała. Ale myślę, no cóż... nie chcę, by zabrzmiało to melodramatycznie... ale myślę, że może być w niebezpieczeństwie.

Kolejna pauza.

– Masz na myśli tego walentynkowego faceta?

– Tak. On zrobił jakieś straszne rzeczy; rzeczy, o których Jill Wcale nam nie powiedziała – rzekł i krótko opowiedział jej o włamaniu i urzędzeniach podsłuchowych.

– O mój Boże, nie miałam pojęcia! Nate, to straszne!

Z dołu dobiegło głośne stukanie młotkiem. Zdenerwowany, wyciągnął rękę i zatrzasnął drzwi od mieszkania.

– Posłuchaj, chcę żebyś mi powiedziała, gdzie jest Jillian. Czułbym się lepiej, gdybym był z nią. Jutro muszę zawieźć swoje obrazy do galerii, ale potem mogę do niej pojechać. Czy to daleko stąd?

Tym razem Mary się nie wahała.

– Nie, poczekaj chwilę. – Usłyszał szelest papieru, a potem mówiła dalej. – Jest u naszych przyjaciół w ośrodku pracy twórczej dla pisarzy w Long Island. Mieści się w Peconic. Kawał drogi, na końcu North Fork. Wiesz, gdzie to jest?

– Znajdę. – Nate westchnął z ulgą. – Dzięki, Mary.

– Czy policja wie o tym wszystkim?

– O Boże, Mary, byliśmy na policji. Nie mogli nic zrobić, bo nie spełnił żadnego konkretnego przestępstwa.

– Skoro włamał się do jej mieszkania...

– Tak, wiem. Jednak potem wyjechała, nikomu o tym nie mówiąc.

– Słusznie, to podobne do Jill. Prawdę mówiąc, Nate, bardzo się cieszę, że jest w tym ośrodku; to miasto chyba zmierza ku szaleństwu. Właśnie przeczytałam o lekarce, którą zamordowano pewnego dnia, o tej psychoanalizy...

– Już niemal od tygodnia nie czytałem gazet.

– A wiesz, to tuż koło Jill, w Greenwich Village. Więc mówisz, że możesz tam pojechać jutro wieczorem?

- Tak, gdy tylko uporam się z pracą w galerii.
- To dobrze. Pozdrów ją ode mnie.
- Dziękuję, pozdrowię. Do widzenia, Mary.

Odkładając słuchawkę, niemal drżał z ulgi. W porządku, mówił do siebie, uspokój się, zajmij się pracą. Jutrzejszej nocy będziesz przy niej. Pomyślał, że powinien znaleźć numer telefonu do tego domu w Peconic i zadzwonić do Jill, ale szybko porzucił tę myśl. Znow będzie protestować. Po prostu pojedzie tam i już.

Pluskwy, pomyślał potem, urządzenia podsłuchowe? Co, do diabła...?

Potrząsając głową, zszedł do pracowni, by dopilnować ramowania obrazów.

Nowy gość przyłączył się do nich tuż przed kolacją.

Jill przez całe popołudnie siedziała w wygodnym fotelu przy kominku, patrząc w ogień i oddając się najskuteczniejszemu ćwiczeniu obronnemu, jakim było układanie fabuły nowej powieści.

Ochota do pracy ogarnęła ją nagle, niemal w tym samym momencie, w którym podjęła decyzję dotyczącą Nate'a i dziecka. Przekonała się, iż to fascynujące, że jej umysł pracuje w taki sposób: rozwiąż jeden problem, a pozostałe również natychmiast wydadzą ci się prostsze. Nawet Victor Dimorta znajdował się daleko; daleko od tego spokojnego, kojącego miejsca. Teraz, gdy była pewna, co przyniesie jej przyszłość, wszystko wydawało się możliwe. Przyjmie oświadczyzny Nate'a i urodzi dziecko. Wkrótce porozmawia również z Barneyem Fleckiem i wspólnie zrobią coś z „Walentyńką”.

Ale teraz... teraz zacznij pisać nową powieść. Już wiedziała, jaką. Akcja będzie się toczyć w świecie Nate'a; w artystycznym środowisku East Village. Nate'owi wyrwał się ostatnio jakiś żart, bezceremonialna uwaga o pewnym malarzu, który więcej będzie wart po śmierci niż za życia. Śmiała się z tego, ale równocześnie była też świadoma owego małego dzwoneczka alarmowego, który dźwięczał w jej mózgu, gdy nadchodziły różne pomysły, i wyrzuciła go z pamięci. Wszystkie myśli, jakie poświęcała

teraz kochankowi i zbliżającej się wystawie jego obrazów, przypomniały jej o tym.

A więc tak... młoda kobieta, malarka... jej nauczyciel i mistrz, powszechnie znany artysta... tajemniczy wypadek... seria innych „wypadków”...

Właśnie zaczynała budować misterną sieć akcji konstruując międzynarodowy spiszek, gdy otworzyły się drzwi i do wnętrza wpadł podmuch lodowatego wiatru. Drżąc, zacisnęła ramiona i odwróciła się, by zobaczyć, kto wszedł.

Mike Feldman, niosący brązową walizkę nowego gościa, odwrócił się, zapraszając przybyłego do środka.

– Proszę tędy, już za chwilę się pan rozgrzeje.

Potem Jill zobaczyła jednego z najbardziej atrakcyjnych mężczyzn, jakiego kiedykolwiek widziała. Wysoki, a nawet bardzo wysoki, smukły, ciemnowłosy i ciemnooki, w ciemnobrązowym płaszczu z wielbłądziej wełny. Brązowy kapelusz stanowił jeden z tych szykownych dodatków, jakie noszą mężczyźni po czterdziestce.

Tuż za ową refleksją pojawiło się ukłucie winy. Nate. No cóż, Nate jest naprawdę równie przystojny jak ten facet, ale nie ma go tutaj, by mógł się obronić. Skarciła się w duchu za tę lekką niewierność.

Mike klepnął przybysza po ramieniu i podprowadził go bliżej.

– Jillian, pozwól sobie przedstawić: oto pan Richard Farnum.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

– Miło mi.

Popatrzył uważnie na Jill; stała teraz wystarczająco blisko, by mogła się przekonać, iż uroda tego mężczyzny, choć uderzająca, nie jest jednak absolutnie doskonała. W jego twarzy kryło się jakieś napięcie, wyraz zmęczenia, jakby ostatnio nie sypiał zbyt dobrze. Ale najbardziej przyciągały wzrok wielkie, brązowe oczy nowo przybyłego. Spojrzała w nie i zobaczyła uderzającą niezwykłą siłę duchową, która przepełniła ją niewyraźnym wprost uczuciem smutku. Także i to czyniło mężczyznę jeszcze bardziej pociągającym, co wprawilo Jill w jeszcze głębsze zakłopotanie.



Uśmiechnął się i wtedy owo przelotne wrażenie smutku, jakie początkowo odniosła, zniknęło w jego olśniewającym uśmiechu i bieli zębów.

– Dzień dobry – powiedział, ujmując jej dłoń. – To dla mnie zaszczyt, że mogę panią poznać, pani Talbot. Jestem pani wielbicielem.

Zaczerwieniła się, czując fale ciepła, jakim zdawał się promieniować.

– Doprawdy?

– Ależ tak. Przeczytałem wszystkie pani książki.

– Ach... – Uśmiechała się bezradnie, nie bardzo wiedząc, jak odpowiadać na takie coraz częstsze wyznania nieznanym ludzi. – To miłe – powiedziała w końcu, krzywiąc się na własny brak polotu.

Richard Farnum uśmiechnął się ponownie i poczuła, że jej skrępowanie zniknęło.

Mike wziął ich pod rękę.

– Chodźcie, dzieci, czas na cocktail.

Mike Feldman, wzięwszy płaszcz, kapelusz i rękawiczki od nowego gościa, szykował już piwo, Farnum stał więc teraz w małym barku nieopodal kuchni i rozglądał się wokół. Jedyne najwyższym wysiłkiem woli udawało mu się powstrzymać od jawnego wpatrywania się w kobietę, która siedziała obok niego.

Kiedy trzy szklaneczki były już gotowe, sięgnął po sok pomarańczowy i wręczył jej ów napój. Uśmiechnęła się; spotkali się oczami. Sam wziął jedno z dwóch piw i wszyscy troje stuknęli się szklankami.

– Wszystkiego dobrego – huknął Mike.

– Na zdrowie – mruknęła Jill.

– Za miły pobyt – wyszeptał Richard Farnum.

Czuł na sobie zaciekawiony, pytający wzrok młodej kobiety. Spojrzał na nią i uśmiechnął się jeszcze raz.

– A zatem – odezwała się – co pan pisze, panie Farnum?

– Richardzie – poprawił ją. – Piszę powieść sensacyjną... a przynajmniej taki mam plan. Właśnie zacząłem swoją pierwszą książkę i chcę się przekonać, czy potrafię ją skończyć.

Roześmiała się, kiwając głową.

– Znam to uczucie. Czy to powieść detektywistyczna czy...

– Tak – odrzekł. – Mój detektyw jest piłkarzem. Skrzydłowym, który w pewien sposób wplątuje się w... cóż, chyba nie chce pani słuchać tego wszystkiego...

– Gra pan w football? – zapytał Mike, podprowadzając ich do komin-ka.

– Grałem. W szkole średniej – powiedział Richard stojąc, podczas gdy Jill wróciła na swoje poprzednie miejsce w fotelu, a Mike opadł na najbliższe krzesło. Z uśmiechem rozglądał się wokoło. Ładnie tu, pomyślał. Wygodnie. Potem jeszcze raz spojrzął na młodą kobietę. – Czy pracuje pani nad jakąś nową książką, pani Talbot?

Odpowiedziała mu uśmiechem, jej ciemne włosy lśniły w blasku komin-ka.

– Mam na imię Jillian, Richardzie. I jeśli chodzi o ścisłość, właśnie coś przychodziło mi do głowy, kiedy przyjechaliście.

Roześmiał się, jeszcze raz rozglądając się wokół.

– Tak... Przypuszczam, że w tak spokojnym miejscu pomysły przy-chożą całkiem naturalnie. To prawdziwa samotnia. Zdumiewające: dwie godziny jazdy pociągiem, a Nowy Jork może stać się odległą planetą! W mieście mam kłopoty z pisaniem.

Jill ponownie pokiwała głową. Ma miły uśmiech, pomyślała.

– Znam również to uczucie, Richardzie – odrzekła. – W mieście za bardzo się rozpraszamy.

– Oto, co przemawia za tym miejscem! – roześmiał się Mike Feld-man. – Spokój i cisza, jakiej potrzebuje każdy pisarz. Z wyjątkiem dzisiej-szego wieczoru, oczywiście. Wydajemy przyjęcie, ale to tylko chwilowe oderwanie się od pracy. Mam wspaniałą kolekcję dawnych przebojów i spodziewam się, że oboje lubicie tańczyć.

– Ja tak – zapewnił go Richard, a potem zwrócił się do Jill: – Czy mogę liczyć na taniec z tobą?

– Cóż, oczywiście... – odrzekła. – Będzie mi bardzo miło – dodała z uśmiechem.

Tak, pomyślał, ma śliczny uśmiech...

Tańce, rozmarzyła się Jillian. Tak... Taka byłam ostatnio zdenerwowana, spięta... Przyjście Gwen będzie doskonałą rozrywką. Odpręż się, Jill. Jesteś bezpieczna, jesteś wśród przyjaciół, nikt nie wie, gdzie jesteś...

On nie wie gdzie jesteś...

Wzruszyła ramionami i uśmiechnąwszy się do nowego wielbiciela, odpędziła tę myśl.

Tara, zwinięta na kanapie w swym ulubionym czerwonym kimonie, wymieniała właśnie przez telefon pomysły z projektantką kostiumów do telenoweli *Dzieci jutra*, gdy rozległ się dzwonek domofonu.

– Poczekaj chwilę, Enido. Ktoś dzwoni do drzwi. – Odłożyła słuchawkę i podeszła do domofonu. – Słucham – nacisnęła odpowiedni guzik, ale początkowo nie słyszała nic oprócz hałasów z ulicy i czyjegoś oddechu. Potem, gdy już zaczynała myśleć, że ktoś przypadkowo nacisnął niewłaściwy przycisk, usłyszała ten niski, szlachetnie brzmiący głos. Zamrugała oczami, a jednocześnie przeniknął ją dreszcz oczekiwania. – Tak – powiedziała. – Tak, oczywiście – dodała, naciskając przycisk otwierający drzwi klatki schodowej.

Nie na darmo była aktorką. Chwyciła słuchawkę telefonu i obiecując Enidzie, że zadzwoni najszybciej jak będzie mogła, wyłączyła się natychmiast i wprost pofrunęła do sypialni. Czerwone kimono opadło na podłogę. Gdy rozlegał się dzwonek do drzwi, pojawiła się na najlepszych džinsach, sportowej bluzie i sandałkach. Piękne włosy przełożyła na jedno ramię à la Meryl Streep, wzięła głęboki oddech, nadała ustom wyraz olśniewającego uśmiechu i otworzyła drzwi.

Doug Baron, w skórzanym płaszczu, wąskim krawacie i džinsach, stał przed nią z tuzinem długich, czerwonych „amerykańskich piękności”. Wyraz nerwowego oczekiwania zniknął z jego twarzy w chwili, gdy zobaczył, że Tara uśmiecha się z zadowoleniem.

– Okłamałem cię – powiedział – wtedy przez telefon. W rzeczywistości wcale nie byłem zajęty. Ja tylko... Ja tylko... – Ściągnął brwi zastanawiając się, by znaleźć odpowiednie słowa.

Tara Summers, aktorka, otworzyła drzwi szeroko i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Nie wejdiesz? – wyszeptała.

Jill, gawędząc z Richardem Farnumem, nieoczekiwanie złapała się na tym, że myśli o Tarze i Dougu Baronie. Byłam tak zaabsorbowana własnymi problemami, uświadomiła sobie nagle, że ani jednej myśli nie poświęcałam innym. Nie wolno mi dopuszczać do czegoś takiego. Na świecie są też inni ludzie.

Uśmiechnęła się na kolejny żart opowiedziany przez Richarda. Muszę zadzwonić do Nate'a, pomyślała. Może on potrafi doprowadzić do porządku tego Douga. Może Nate i ja wystąpilibyśmy w roli Kupidynda...

Richard Farnum wprost się w nią wpatrywał. Zarumieniona Jill podniosła do ust szklankę soku pomarańczowego.

Obserwował pozostałych gości schodzących się na kolację i niską blondynkę, prawdopodobnie Gwen, panią tego domu, z którą rozmawiał przez telefon, gdy dokonywał rezerwacji, gdy wyszła z kuchni, żeby nakryć do stołu. Jill przeprosiła go na chwilę, wstała z fotela i poszła jej pomóc. Ich gospodarz także wstał, gotów przyjmować zamówienia na drinki od mężczyzny i kobiety, którzy właśnie weszli. Przeprasząc Farnuma, znowu klepnął go w ramię.

– Cóż, Richardzie, mam nadzieję, że skończysz tu swoje dzieło.

– Z pewnością – odparł. – Mam właśnie taki zamiar...

Nie przestawał się uśmiechać, najpierw do Mike'a Feldmana, potem do owej pięknej kobiety nakrywającej do stołu wraz z jego żoną. Obserwując ją, nie przestawał myśleć.

Tak, Jillian Talbot... Jak miło widzieć cię znowu... tak blisko i własnymi oczami.

Własnymi oczami, a nie przez lornetkę.

## 16. Piątek, 13 lutego

Śnieg zaczął padać o drugiej po południu i niespełna półtorej godziny później wszystko spowite było w biel. Grzejnik w domku z numerem dwanaście niezbyt ochoczo wywiązywał się ze swoich obowiązków, więc Jill włożyła płaszcz, szal i nowe zimowe buty, wzięła ze sobą blok żółtych kartek, na których pisała pospiesznie przez ostatnie trzy godziny i ruszyła w drogę, brnąc przez ośnieżony las i białą otwartą przestrzeń do głównego budynku ośrodka.

Centralne ogrzewanie świeżo zainstalowane przez leciwego majstra i dwóch miejscowych pomocników było najwyraźniej powszechnym problemem, zgromadzili się tu bowiem niemal wszyscy goście pisarskiego ośrodka, siadając ze swymi notesami bądź podręcznymi komputerami przy stoliku do kart oraz wokół dużego stołu, przy którym jadano posiłki. Barbara Benson i Wendy Singer zajęły stolik karciany, pracując na wprost siebie w przyjaznym sąsiedztwie. Craig Palmer siedział na kanapie naprzeciwko Ruth Monk przy dzielącym ich stoliku szachowym. Brakowało jedynie autora horrorów, należało więc przypuszczać, że grzejnik w domu państwa Monków działał wystarczająco skutecznie.

Richard Farnum siedział sam przy dużym stole, pisząc na luźnych kartkach papieru. Miał na sobie czekoladowo-brązowy golf – w kolorze swoich oczu – oraz dzinsy i zimowe buty. Palił papierosa. Stojąca przed nim popielniczka była już pełna, co świadczyło, że znajdował się tu już od jakiegoś czasu. Tylko on podniósł wzrok i uśmiechnął się, gdy Jill weszła do pokoju. Zajęła miejsce naprzeciwko niego.

- Cześć! – odezwał się cicho.
- Dzień dobry – odpowiedziała z uśmiechem.
- Zdaje się, że to rodzaj publicznej czytelnicy. Zostałem skazany na banicję przy stole z powodu tego – wyjaśnił, wskazując na paczkę marlboro i zapalniczkę. – Mam nadzieję, że tobie to nie przeszkadza.

Potrząsnęła głową.

- Jak się miewa twój skrzydłowy?
- Co? Ach, tak... Skrzydłowy miewa się dobrze. Jeśli można mieć dobre samopoczucie, nieustannie uciekając przed dwoma facetami z bronią.

Oboje się roześmiali.

- Oto głos twojego sumienia: wracaj do pracy – powiedziała wskazując na leżący przed nim stosik papieru.

– Tak jest, madame – rzekł powracając do pisania.

Początkowo trudno jej było się skupić, gdy siedziała na wprost tego przystojnego mężczyzny, który od czasu do czasu podnosił wzrok i obserwowował ją z uwagą. Przypomniała sobie, że robił to również poprzedniego wieczoru przy kolacji. Jednak już wkrótce, jak zwykle, gdy pracowała nad nową powieścią, całkowicie zagłębiła się w swój własny świat.

Jej bohaterka będzie miała na imię Tara. Miała nadzieję, że sprawi tym przyjaciółce przyjemność. Tara Winters... Tara Winters to utalentowana młoda malarka posiadająca mieszkanie i pracownię... Takie jak Nate... Mistrzem młodej malarki będzie ekscentryczny starszy mężczyzna wzorujący się na de Kooningu, tylko mniej sławny. De Kooning ma dom... nieopodal... w Hampton... Nie, dam mu farmę w stanie Vermont, podobną do tej, która leżała blisko Hartley College... Tara Winters odwiedza starego malarza w chwili, gdy ulega on wypadkowi... Wypadek... Jakiemu tajemniczemu wypadkowi można ulec w Vermoncie? Cóż, narciarskiemu, oczywiście...

Narty...

Jill odłożyła długopis i spoglądała w dal. Narty... Belinda Rosenberg zjeżdżała na nartach. On musiał być tam również. Musiał coś zrobić. Znalazł jakiś sposób, by ją oszukać i sprowadzić na krawędź urwiska. Musi być bardzo pomysłowy i sprytny.

Nie! Nie będę o tym myśleć. Nie teraz. Skoncentruję się na fabule.

Richard Farnum znów się w nią wpatrywał. Spojrzała na niego, zastanawiając się, czy mówiła głośno do siebie lub może zrobiła jakiś gwałtowny ruch. Nie. Była pewna, że nie uczyniła niczego, co mogłoby

przyciągnąć jego uwagę. Więc dlaczego...

Ze słabym uśmiechem i wyrazem desperacji na twarzy, skierowanym ku własnym arkuszom papieru, wstała i podeszła do telefonu. Wrzuciwszy do koszyka dwie jednodolarówki, wystukała numer.

– Agencja Detektywistyczna Barneya Flecka.

– Dzień dobry, panii Poole. To znowu ja, Jillian Talbot. Czy Barney już wrócił?

– Nie, pani Talbot, i prawdę mówiąc, jestem trochę zaniepokojona, podobnie jak Jane, to znaczy pani Fleck. Telefonowała już kilka razy. Powinien być w Nowym Jorku najpóźniej wczoraj, tak nam powiedział. Żadna z nas już trzeci dzień nie ma od niego wiadomości.

– Ma pani jakiś numer do niego... do tego miejsca, w którym się zatrzymał?

– Nie. We wtorek powiedział mi, że spędzi tam przynajmniej jedną noc i że znalazł jakiś motel, a później już nie zadzwonił. Ostatnią informacją, jaką przekazał, zanim zniknął, było to, że jedzie do domu Victora Dimorty w Mill City. Mniej więcej przed godziną zatelefonowałam na policję w tym miasteczku i poprosiłam, by pojechali do domu przy Franklin Street pod numerem siódmym i rozejrzeli się trochę. Żeby sprawdzić, czy jest jakiś... jakiś ślad, że Barney tam był. Czekam teraz na wiadomość od nich.

Jill osunęła się na krzesło stojące obok stolika z telefonem. Powoli przenikał ją lodowaty dreszcz.

– Rozumiem – powiedziała, gdy w końcu udało jej się wydusić z siebie jakieś słowo, a potem starając się zachować spokój, dodała – Jestem pewna, że nic się nie stało, pani Poole. Zadzwonię później.

Wolno odłożyła słuchawkę, nie mogąc otrząsnąć się z przerażenia, które nagle ją ogarnęło. Rozejrzała się wokół. Wszyscy byli zajęci pisaniem lub grą w szachy. Tylko Richard Farnum z dziwnie zaciekawionym wyrazem twarzy obserwował ją zza stołu. Szybko uciekła od niego wzrokiem i spoglądając na telefon pomyślała:

Gdzie jesteś, Barney?

W Mill City było tylko dwóch policjantów: szeryf i jego zastępca. Szeryf, z którym rozmawiała Verna, pracował tam od dawna i pamiętał czasy fabryki papieru. Jego zastępca, jak zapewnił Vernę, jest bardzo rozgarniętym i bystrym młodzieńcem. Pośle więc Fergusa do starego, położonego na wzgórzu domu Dimortów, by się tam rozejrzył.

Godzinę później szeryf zatelefonował do Verny. Są dwie rzeczy, powiedział. Dobierano się bardzo niedawno do kłódki na tylnych drzwiach domu Dimortów, a stara pani Wells mieszkająca dwie posesje dalej przypomniała sobie, że we wtorek po południu rozmawiała z mężczyzną, który odpowiadał opisowi detektywa. Obydwaj, szeryf i Fergus, mieli sprawdzić wszystkie motele w okolicy. Na usilną prośbę Verny szeryf obiecał też, że sprawdzi również wszystkie szpitale. Potem zapytał o samochód, jakim jeździł Barney Fleck. Wypożyczonym, usłyszał w odpowiedzi.

Ta kwestia podsunęła Vernie pewien pomysł. Gdy tylko szeryf odłożył słuchawkę, zadzwoniła do wypożyczalni samochodów na lotnisku w Pittsburghu. Powiedziała, że jest żoną Barneya Flecka i szuka męża, którego nie ma od trzech dni. Niepokój w jej głosie był prawdziwy, co spowodowało, że jej rozmówczyni złamała zasady obowiązujące w wypożyczalni i udzieliła jej informacji. Wypożyczony samochód znaleziono na parkingu przed centrum handlowym w Oakdale, ale Barneya Flecka nie było. Verna szybko zapytała, czy miejscowość Oakdale leży blisko Mill City. Po sprawdzeniu na mapie stanu kobieta z wypożyczalni wróciła do telefonu i powiedziała, że tak; w odległości kilku kilometrów.

Verna odłożyła słuchawkę i ponownie zadzwoniła do szeryfa. W milczeniu wysłuchał wiadomości o porzuconym samochodzie. Wyjaśniła szeryfowi, co ma zamiar zrobić, a on się zgodził. Następnie zadzwoniła do Jane Fleck. Tak, powiedziała Jane, ona także pojedzie.

Następną godzinę Verna spędziła na telefonowaniu do różnych linii lotniczych. Wszystkie miejsca były zarezerwowane na „walentynkowy” weekend, ale w końcu znalazła małe północno-wschodnie towarzystwo lotnicze, które mogło zaoferować im dwa miejsca na dzisiejszy ostatni



lot. O dziewiątej wieczorem. Zarezerwowała te miejsca, zadzwoniła do Jane, a potem poszła do domu, żeby się spakować.

Jill skończyła pierwszy surowy szkic o wpół do siódmej. Przyjęcie miało się zacząć o ósmej, więc pospiesznie zebrała wszystkie rzeczy i ponownie ruszyła przez śnieg do domku z numerem dwanaście, by przygotować się na wieczór. Wprawdzie po wyjeździe z domu opieki, gdzie odwiedziła matkę, kupiła solnie w Port Jefferson sukienkę, ale pogoda przekreśliła ten pomysł. Będą musieli się pogodzić z jej flanelową koszulą, dzinsami i zimowymi butami. Zresztą, sądząc z ilości śniegu, który nie przestawał padać, prawdopodobnie wszyscy będą tak ubrani.

Mike i Seth najwyraźniej wzięli się do dzieła i teraz ogrzewanie działało dobrze, a w łazience była nawet ciepła woda. Postawiła czajnik na elektrycznej płytce w rogu, by ugotować wodę na kawę, zdjęła przemoczone rzeczy i weszła pod prysznic.

Myjąc włosy, myślała o matce. Scena, jaka rozegrała się w wychodzącej na zatokę Long Island oranżerii domu opieki, była przykrym rozczarowaniem. Jill jechała tam z nadzieją, iż ujrzy matkę w lepszym stanie i zje lunch z nią i jej dwiema przyjaciółkami, ale kiedy dotarła na miejsce, przełożona pielęgniarek powiedziała, że jedna z owych przyjaciółek zmarła, a drugą zabrano do domu, by resztę swych dni spędziła z rodziną. Jill zastała matkę w oranżerii; siedziała tam w fotelu, spoglądając na wody zatoki. Miała całkiem siwe włosy, a owinięta w pledy i wełniany płaszcz, który Jill podarowała jej przed laty na Boże Narodzenie, wydawała się taka maleńka i krucha... Drżała z zimna nawet w dobrze ogrzanej oranżerii, otoczona rzędami doniczkowych roślin, ogrzewanych sztucznie różnymi urządzeniami, z których żadne nie mieściło się dalej niż w odległości metra od fotela starszej pani. Jill, przebywając w tym nagrzanym, wilgotnym pomieszczeniu, musiała zdjąć swój zimowy płaszcz.

Usiadła w wiklinowym fotelu naprzeciwko matki, która podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niej, ale nic nie powiedziała. Jill wdała się więc w monolog: o Nacie, o ciąży, o swej pisarskiej karierze i, w końcu, o Victorze Dimorcie. Opowiadała to wszystko kobiecie, której problemy to

właśnie ona sama zawsze dźwigała, zdając sobie przy tym sprawę, że ani jedno jej słowo nie jest przez matkę odbierane. Chora wciąż spoglądała na wody zatoki rozciągającej się za szklanymi ścianami oranżerii. W końcu Jill, nie wiedząc już, co jeszcze mogłaby powiedzieć, wstała z fotela i położyła na kolanach matki pudełko, które przywiozła ze sobą; jej ulubione czekoladki. Dopiero wtedy, gdy już zbierała się do wyjścia, pani Talbot podniosła wzrok i poznała córkę.

– Och Jill, jesteś tutaj – odezwała się z uśmiechem, wyciągając rękę, by pogłaskać jej dłoń. – Ojciec wkrótce wróci do domu, czy zechcesz mi pomóc przy kolacji?

Spoglądała na matkę ze łzami w oczach. Potem, siląc się również na uśmiech, odpowiedziała:

– Oczywiście, mamo. Oczywiście, że ci pomogę.

– Dziękuję ci, moja droga. Przygotuję wołowinę, tak jak lubi. Czyż nie będzie zadowolony?

Zapewniając matkę, że tatuś będzie bardzo, ale to bardzo zadowolony, pocałowała ją w czoło i uciekła z tego miejsca. Nie zatrzymała się, dopóki nie dobiegła do wypożyczonego samochodu, który zaparkowała przed owym domem. Potem oparła się o kierownicę i zapłakała.

Centrum handlowe było nieciekawe, ale pojechała do domu towarowego Macy's, gdzie wybrała przybory toaletowe i ubrania, które, jak sądziła, będą jej potrzebne, i wręczyła kasjerowi kartę płatniczą. Potem ta długa droga do Peconic... Zatrzymała się tylko raz, po paliwo, i przyjechała na miejsce akurat wtedy, gdy Gwen, Mike i inni zasiadali do kolacji.

To było w sobotę, uświadomiła sobie, wychodząc spod prysznic. Zaledwie sześć dni temu. I w ciągu owych sześciu dni to spokojne, kojące miejsce bardzo jej pomogło. Wiedziała, że już nic nie może zrobić dla matki, ale przecież są inne sprawy, inne możliwości. Nieograniczone możliwości. Jest Nate, kochany Nate. I dziecko. I przyjaciele. I nowy pomysł na książkę. Barney Fleck przepadł gdzieś daleko, ale była pewna, że niebawem pojawi się z jakimiś konkretnymi wiadomościami o „Walentyńce”, o Victorze Dimorcie. Już Barney i policja bez wątplenia go odnajdą; tego też była pewna.

Kiedy weszła do głównego pokoju swego domku, żeby wypić kawę, zegar nad biurkiem wybił siedem razy. Szczęśliwa siódemka! Po raz pierwszy od kilku tygodni Jill przyszło do głowy, że może wszystko będzie dobrze.

Furgonetka, którą wypożyczył Henry Jason, przyjechała o siódmej, zaledwie kilka minut po tym, jak Nate wraz z ramiarzem skończyli pakować dwanaście właśnie oprawionych obrazów. Załadowali je do samochodu najszybciej, jak było to możliwe. Potem Nate wskoczył na swój motocykl i pojechał za furgonetką do galerii przy Spring Street.

Ustaw tylko te cholerne obrazy, mówił sobie po drodze, potem będziesz mógł stąd wyjechać. Peconic...

– Och, Nate, cieszę się, że tu jesteś! – zawołał Henry, gdy tylko dojechali do galerii. – Wcześniej była tu ta najokropniejsza zdzira!

W istocie była. Stał, rozglądając się wokół, gdy młoda kobieta, poprzednia użytkowniczka galerii, biegła tam i z powrotem, wydając głośne polecenia Johnowi, ostatniemu kochankowi Henry'ego, i dwóm pomocnikom. Męskie akty panny Diany Lustig wciąż jeszcze tutaj były, zaledwie zdjęte ze ścian i przygotowane do wyniesienia.

– Co jest, do cholery? – zawołał Nate.

– To moja wina! – usprawiedliwiał się Henry. – Diana twierdzi, że powiedziałem jej „w piątek wieczorem”, a ja mógłbym przysiąc, iż mówiłem o czwartku. Wczoraj, gdy się nie zjawiła...

– Daj spokój – mruknął. – Wynośmy jej prace i wieszajmy moje.

– Masz rację – przyznał właściciel galerii. – Wyobraź sobie: dziś jest piątek i trzynasty!

Klnąc pod nosem, wziął się do pracy.

Gwen przeszła samą siebie, mając do swej dyspozycji dużą salę zaledwie przez godzinę. Z pomocą Mike'a i starego majstra udekorowała ją czerwonymi i białymi serpentynami. Na stole i stolikach leżały też białe obrusy w czerwone serduszka i takie same serwetki oraz podobnie ozdobione plastikowe nakrycia. Przekąski i dania czekały już na dużym stole,

a z sufitu wokół lustrzanej kuli zwisały baloniki w kształcie serc. Dziesiątki czerwonych świeczek, których blask wzmocniony był ogniem z kominka i połyskliwą lustrzaną kulą, stanowiły teraz jedyne oświetlenie tego wnętrza.

Jill skuliła się w środku na widok walentynkowo przyozdobionego pokoju, nie dlatego, by owa dekoracja była krzykliwa, ale z powodu tamtych dwóch kartek, które przywodziła jej na myśl. Upomniała samą siebie; przecież starannie unikała opisywania Gwen i Mike'owi ze szczegółami swych ostatnich ciężkich przeżyć. Gwen nigdy nie przyszłoby do głowy zrobić coś takiego, gdyby o wszystkim wiedziała.

– Jak ładnie! – zawołała Jill, podchodząc do przyjaciółki w zatłoczonym już pokoju.

Gwen roześmiała się serdecznie.

– Och, mów prawdę, Jill. Przecież to najbardziej tandetny kicz, jaki kiedykolwiek widziałas! Niczym zabawy w licealnej sali gimnastycznej! Nie mogliśmy sobie pozwolić na kryształ, srebra i wytworne dania, więc skierowałam się ku drugiej skrajności. Wszystko, co tu widzisz, kosztowało około pięćdziesięciu dolców, bo tylko tyle mogłam wygospondarować ze swego budżetu. Będziemy się więc bawić w dobrym, staroświeckim, licealnym stylu!

Entuzjazm przyjaciółki przepłoszył z pamięci Jill wszystkie myśli o minionych dwóch tygodniach w Nowym Jorku. Poczwała się zrelaksowana.

– Oczywiście – powiedziała, ściskając rękę Gwen.

Pozostali pisarze już tu byli. Wszyscy, oprócz jednego, zauważyła Jill. Kilka par, których wcześniej nie widziała, przechadzało się i przedstawiało gościom ośrodka. Prawdziwy tłum otaczał Barbarę Benson i Jeffreya Monka, najbardziej znanych autorów. Dwóch miejscowych nastolatków, najwyraźniej zatrudnionych na ten wieczór, serwowało drinki, podając je na tacy, a trzeci stał za barkiem w rogu. W tle rozbrzmiewała obiecująca przez Mike'a muzyka.

– Zanieś płaszcz na górę do naszej sypialni. – Głos Gwen rozlegał się ponad gwarem. – Potem cię oprowadzę i przedstawię wszystkim.

Jill skinęła głową i skierowała się ku schodom.

Stał nagi przed dużym lustrem umieszczonym na drzwiach łazienki domku numer pięć i nasłuchiwał. Słyszał gwar i dźwięki muzyki Benny Goodmana dochodzące przez las i pustą polanę z centrum ośrodka. Przyjęcie się zaczęło.

Wytarł się szorstkim ręcznikiem i dokładnie oglądał swoje ciało. Mam bladą i wymizerowaną twarz, jestem również zbyt szczupły, stwierdził. No cóż, teraz nie mogę się tym przejmować. Mam tu coś do zrobienia.

Jillian Talbot.

Nie przypomina mnie sobie, pomyślał. Ani z ulicy tamtego dnia, ani sprzed budki telefonicznej, gdy słucałem, jak rozmawiała z Gwen Feldman, powtarzając sobie, jak dojechać do Peconic. Nie mogła mnie także zapamiętać z tej restauracji na parterze jej domu. Zawsze nosiłem tamto przebranie, dla bezpieczeństwa...

A więc jestem tutaj. Z Jillian Talbot...

Myśląc o niej i o tym, co przyniesie dzisiejsza noc, powoli zaczął się ubierać. Włożył slipki, skarpetki, białą koszulę, szare spodnie, krawat i buty, a potem dwurzędową granatową marynarkę i gruby zimowy płaszcz. Pistolet, beretta, zmieścił mu się w kieszeni.

Wyszedł z domku numer pięć i przez padający śnieg ruszył ku światłom głównego domu ośrodka.

Jill odstawiła napój imbirowy i spojrzała na zegarek: dziewiąta. O tak później porze Verny Poole z pewnością nie ma już w biurze. Z westchnieniem sięgnęła do torebki po portfel, wyjęła wizytówkę Barneya oraz dwa dolary, a następnie podeszła do telefonu i wystukała numer prywatnego telefonu detektywa w domu na Brooklynie. Nikogo.

Odłożyła słuchawkę, zastanawiając się czy powinna zadzwonić do Nate'a, gdy nagle ktoś dotknął jej ramienia i poprosił do tańca. Odwróciła się, pospiesznie przywołując na twarz uprzejmy uśmiech, by równie uprzejmie odmówić.

Stojący przed nią Richard Farnum w dwurzędowej marynarce i

szarych spodniach wyglądał jeszcze bardziej pociągająco niż zwykle.

Z promiennym uśmiechem Jill przyjęła jego zaproszenie do tańca.

Nate nie zdołał wyjść z galerii niemal do wpół do dziesiątej. Wraz z pomocnikami ostrożnie zawiesił wielki ostatni obraz, „Życie”, umieszczając go na osobnej ścianie, by właśnie tym dziełem podsumować całą wystawę. Gdy tylko owo płótno, ku powszechnemu zadowoleniu, znalazło się na miejscu, chwycił kurtkę i ruszył ku drzwiom.

– Nie zapomnij! – wołał za nim Henry Jason. – Wernisaż jest o siódmej w najbliższą środę. O siódmej!

Skinął głową i wskoczył na motocykl. Pięć minut później podjechał pod własny dom i wbiegł na piętro do mieszkania. Chwycił rzeczy, które były mu potrzebne, wcisnął je do torby i pognął na ulicę.

Dziewiąta trzydzieści, pomyślał, zapinając kask. Pada śnieg, więc będę musiał jechać wolniej. Powinienem mieć samochód. Najpierw przez Williamsburg Bridge, potem na drogę szybkiego ruchu Brooklyn-Queens, stamtąd szosą przez Long Island do Riverhead, a następnie autostradą numer dwadzieścia pięć do Cutchogue i z Cutchogue do Peconic...

Włączył silnik i ruszył przez Seventh Street do Second Avenue, a potem na południe w stronę Delancey Street.

Zastanawiała się, gdzie nauczył się tego tańca. Gdy go rozpoczęli, wkrótce wszyscy poszli w ich ślady, podrygując i kołysząc się tak, jakby robili to przez całe życie. Nawet Barbara Benson, która – sądząc z jej wieku – prawdopodobnie znała to już wcześniej, podskakiwała wokół salonu z kolejnymi partnerami. Jill uśmiechnęła się na myśl o komentarzu Gwen. Zabawa w licealnej sali gimnastycznej... Dziś wieczorem wszyscy bawili się znacznie lepiej, tańcząc przy muzyce z płyt Mike'a, gdy za oknami wciąż padał śnieg.

O wpół do jedenastej Gwen klasnęła w dłonie, prosząc o ciszę i ogłaszając rozpoczęcie serduszkowej loterii. Wszystkie panie miały napisać własne imiona na małych karteczkach i wrzucić je do miski. Następnie panowie mieli ciągnąć owe losy, pocałować wylosowaną damę i zatańczyć z nią.

Sięgnięto po karteczki. Te z nazwiskiem Jill wyciągnął Craig Palmer. Pocałował ją w policzek i poprowadził na „parkiet”. Rozejrzawszy się wokół, zobaczyła, że Richard Farnum robi to samo z jakąś śliczną miejscową młodą kobietą. Mrugnął do Jill, unosząc swą partnerkę w ramionach.

Musiała przerwać taniec, by złapać oddech. Usiadła na kanapie obok telefonu i spojrzała na zegarek. Za piętnaście jedenasta. Zapłacę później, zdecydowała i sięgnęła po słuchawkę. Wystukała numer.

Odczekała dziesięć dzwonek. Automatyczna sekretarka nie jest włączona, zauważyła. No cóż, Nate z pewnością musiał gdzieś wyjść. Zadzwoń do niego jutro...

\* \* \*

Obserwował, jak odkłada słuchawkę. Wziął z tacy dwa ozdobione serduszkami plastikowe kubeczki szampana i ruszył w stronę kanapy. Siadając obok Jill, wyciągnął ku niej jeden.

- Nie, dziękuję – powiedziała. – Nie piję.
- Tylko jedną szklaneczkę – nalegał. – Z okazji walentynek.

Uśmiechnęła się i sięgnęła po szampana. Wzniesli toast, upiła niewielki łyk i odstawiła kubeczek.

– Jeśli o mnie chodzi, to wystarczy – oświadczyła. – Wolałabym coś zjeść, jestem głodna.

- Ja też – odparł.

Z uśmiechem sięgnął po dłoń Jill i już po chwili, trzymając swą partnerkę za rękę, prowadził ją przez pokój do dużego stołu.

Zjedli po kawałku zimnego indyka z sosem szparagowym i sałata. On popił swoją porcję szampanem, ona – napojem imbirowym. Śmiali się, a potem znowu z nim zatańczyła. Unosząc się wolno w ramionach Richarda Farnuma, myślała o Nacie. Ile mieli za sobą takich wieczorów... Przecież właśnie tak się poznali: w klubie tanecznym w Greenwich Village, gdy wylał na siebie drinka, o ona zaoferowała mu serwetkę. Będą ich razem mieli znacznie więcej, sama myśl o tym napawała Jill szczęściem. Ten

mężczyzna wydaje się bardzo miły, pomyślała, ale dla mnie liczy się tylko Nate.

Urodzę jego dziecko. Nasze dziecko. Zabawne; to, co jeszcze niedawno wydawało się takim problemem, teraz okazuje się niemal błogosławieństwem.

Uśmiechnęła się do Richarda Farnuma, mówiąc w myślach: Kocham cię, Nate.

Musiał się zatrzymać przy stacji benzynowej w Ronkonkoma i wydawało mu się, że zaspanemu chłopakowi potrzebna będzie cała wieczność, żeby wyszedł z ciepłego kantoru i napełnił mu bak. Cisnął chłopakowi dwudziestodolarówkę i pospieszył dalej, szukając estakady, która wyprowadziłaby go ponownie na autostradę Long Island. W końcu ją znalazł i motocykl zaryczał znowu. Minął Holbrook, potem do Manorville i dalej do Riverhead.

Spojrzał na zegarek: dziesięć po jedenastej.

Przybyło jeszcze kilka osób i przyjęcie rozkręciło się na dobre. Gwen obwieściła, że konkurs taneczny odbędzie się o północy, w pierwszej minucie Dnia Zakochanych. Pierwsza nagroda: butelka Dom Perignon. Druga nagroda: pudełko czekoladek Godiva. Sędziami konkursu będą Gwen, Mike i Barbara Benson. Wszyscy bili brawo.

Po chwili Gwen ruszyła ku Jill. Kiedy do niej podeszła, ta uniosła dłoń, by ukryć ziewnięcie.

– Właśnie przyniosłam gorące napoje – powiedziała przyjaciółka, wskazując na termosy na barze. – Zdaje się, że przydałaby ci się filiżanka kawy. Mnie zresztą też, prawdę mówiąc.

Śmiejąc się, podeszły do baru, gdzie Gwen napełniła obie filiżanki kawą bezkofeinową.

– Przepraszam cię, Gwen – rzekła Jill. – To przyjęcie jest naprawdę urocze, ale nagle poczułam się zmęczona.

– Chcesz powiedzieć, że nie będziesz uczestniczyć w konkursie?



– Och, po prostu nie mogłabym. Mam zamiar dobrze się wyspać i jutro wziąć się do pracy nad nową powieścią.

Gwen skinęła głową.

– Powodzenia! – powiedziała. – Ale znam kogoś, kto będzie bardzo rozczarowany – dodała, wskazując palcem Richarda Farnuma.

– Tak – odrzekła śmiejąc się Jill. – Jest bardzo miły, ale to nie dla mnie. Ja już wybrałam partnera do tańca.

Przyjaciółka odpowiedziała jej uśmiechem.

– Tak mi się też wydaje.

Rozglądał się wokół, myśląc, gdzie może być Jill. Potem zobaczył ją przy barze, z Gwen Feldman. Przyjaciółki gawędziły, popijając kawę. Przeprosił państwa Monków i ruszył przez salę, by się do nich przyłączyć.

– Czy mogę również dostać filiżankę kawy? – zapytał z uśmiechem.

– Oczywiście – odpowiedziała pani domu, spełniając jego prośbę.

– A więc – zwrócił się do Jill – czy będziesz moją partnerką w konkursie tanecznym?

Przecząco potrząsnęła głową.

– Przepraszam. Moja czarodziejska karetka zamieniła się w dynię mniej więcej przed pięcioma minutami. Umieram ze zmęczenia.

Uniósł brwi ze zdumienia nad formą wymówki, ale szybko pozbierał się w sobie.

– Chyba cię nie przekonam, prawda?

– Nie, naprawdę. Ale bardzo dziękuję. Za kilka minut wracam do swego domu.

Ach, tak... pomyślał.

– Odprowadzę cię – zaproponował. – Jest ciemno, a śnieg ciągle pada...

– Naprawdę nie musisz tego robić – odparła żywo. – Gwen dała lartarki każdemu, kto mieszka w domku położonym nieco dalej. Mam swoją w kieszeni. Dam sobie radę.

– Nalegam – powiedział ze swym olśniewającym uśmiechem.

Ten chwyt podzielał. Widział chwilowe wahanie Jill, po którym skapitulowała.

- Cóż, jeśli naprawdę chcesz...
- Naprawdę chcę. A teraz jeszcze jeden taniec... na pożegnanie.

Jill rzuciła okiem na Gwen Feldman, która znów się uśmiechała.

- No dobrze. Na pożegnanie. Z przyjemnością.
- Cała przyjemność po mojej stronie – wyszeptał i poprowadził ją na parkiet.

Ujmując dłoń Jillian, spojrział na zegarek: jedenasta trzydzieści pięć.

Dwadzieścia pięć minut, pomyślał.

Dwadzieścia pięć minut do Dnia świętego Walentego, do Dnia Zakochanych...

Siostry Andrews śpiewały swój przebój „Boogie Woogie Bugle Boy”, gdy Richard w szalonym rytmie kręcił nią na parkiecie, nie darując sobie żadnej figury, podnoszenia i opuszczania wraz z całą resztą rockowej choreografii. Sala zaczęła wirować wokół Jill i uświadomiła sobie, że wszyscy przestali tańczyć, by im się przyglądać. Oczarowana, poddała się owemu wirowi, pozwalając prowadzić się przez wszystkie kroki. Gdy piosenka się skończyła, partner pocałował ją w policzek, a zebrani wokół goście nagrodzili ich brawami.

Podziękowała wszystkim uśmiechem, zamierzając zejść z parkietu, ale nie zrobiła tego, bo Mike nastawił kolejną płytę i cała sala nagle skąpała się w łagodnych tonach jej ulubionej piosenki zatytułowanej: „Dancing in the Dark”. Richard znów wziął ją w ramiona i wszyscy wokół zaczęli tańczyć, gdy kobieta o niskim, stłumionym głosie śpiewała ten stary przebój.

Richard Farnum trzymał Jill blisko i czuła ciepło bijące z jego ciała. Odprężona, pogodziła się z nieuchronnością kolejnego tańca. To naprawdę nie było złe; piosenka przypominała jej rodziców. Gdy była małą dziewczynką, ojciec nastawiał zawsze tę płytę w ich saloniku w domu przy Central Park West. Pewnego razu, gdy rodzice myśleli, że Jill już śpi,

wyszła na palcach ze swojego pokoju i stała w drzwiach pokoju, patrząc jak matka i ojciec tańczą powoli w rytm właśnie tej piosenki.

Lustrzana kula pod sufitem obracała się dokoła rozrzucając wokół nich milion połyskujących kropelek światła. Zamknęła oczy i nuciła razem z płytą, wspominając rodziców i tamto dziecko – małe, chronione i bezpieczne. Oparta o tego wysokiego, ciemnowłosego, urodziwego mężczyznę myślała: Nate. Nate. Nate...

Jamesport i Mattituck przepłynęły obok niego niczym obłoki światła wzdłuż autostrady. Niemał przegapił zjazd do Cutchogue, skręcając w prawo zamiast w lewo i jechał tak kilka minut, zanim zobaczył tablicę z napisem PECONIC i strzałkę skierowaną w przeciwną stronę. Ścisnąwszy ręczny hamulec prawie wpadł w poślizg na ośnieżonej podrzędnej drodze. Potem zakręcił i przyspieszył, powracając szosą, którą przyjechał.

Teraz płaskie, otwarte tereny okręgu Suffolk zniknęły i wzdłuż drogi wyrósł gęsty ciemny las. Zwolnił, szukając znaków i tablic drogowych. Mapa wskazywała, iż zjazd do jeziora Peconic znajduje się gdzieś tutaj, po lewej stronie, jeszcze przed miasteczkiem o tej samej nazwie. Wyteżał wzrok, szukając go przez padające płatki śniegu. Jest! Dwa grube drewniane pale z poprzeczną deską, na której wymalowano strzałkę w dół: Ośrodek Pisarzy Peconic.

Boczną drogę wiodącą daleko od szosy przez gęsty las pokrywała gruba warstwa śniegu i nie było sposobu, aby motocykl mógł ją pokonać. Wyłączył silnik, zeskoczył z siodelka i zepchnął pojazd z drogi między drzewa obok drewnianej tablicy informacyjnej. Przeszedłszy kilka metrów przystanął, postawił motocykl, zsunął z głowy kask i założył łańcuch na przednie koło. Potem zdjął również torbę z bagażnika i zarzuciwszy ją sobie na ramię, ruszył przed siebie pieszo, brnąc przez zasy w kierunku jeziora. Szedł w ciemności, ostrożnie stawiając stopy jedną po drugiej. Zatapiając buty w głębokim śniegu, spojrzał na zegarek.

Jedenasta czterdzieści pięć.

Gdy piosenka dobiegła końca, Jill uśmiechnęła się i delikatnie odsunęła od Richarda Farnuma.

- Dziękuję – powiedział.
- Było bardzo miło – odrzekła.

W tej samej chwili salę wypełnił grzmiący głos Mike'a.

- A teraz, kochani, wpływmy tanecznie w Dzień Zakochanych!

Znowu zabrzmiała muzyka. Jill stała przez chwilę jak skamieniała, nie wierząc własnym uszom. Potem, sekundę później, przypomniała sobie, że nie opowiedziała dwójce przyjaciół wszystkiego, Mike i Gwen usłyszeli tylko podstawową, naszkicowaną w ogólnych zarysach wersję jej ostatnich przeżyć. Przedstawiając im tę historię, nigdy nie wspomniała ani o Dniu Zakochanych, ani o roli, jaką w tych przeżyciach odegrała owa piosenka. Nie było to nagranie Sarah Vaughan. Teraz śpiewała jakaś inna kobieta.

„My Funny Valentine”.

Chwilowy szok minął i Jill uświadomiła sobie, że Richard Farnum bacznie przygląda się jej twarzy.

- Co się stało? – zapytał szeptem.

Zdołała opanować się na tyle, by potrząsnąć głową.

– Nic, naprawdę nic. Jestem... jestem bardzo zmęczona. Myślę, że teraz wrócę już do swego domku...

– Oczywiście – powiedział. – Odprowadzę cię. Poczekaj chwilę. Przyszłaś w tym białym wełnianym płaszczu, w tym, który nosiłaś dzisiaj przed południem, tak?

Skinęła głową, a potem przyglądała się, jak szybko przeciska się przez tłum gości i wskakuje na schody prowadzące do mieszkania Mike'a i Gwen.

– Kochanie, czy dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha!

Odwróciła się w stronę, z której dochodził głos. Na twarzy stojącej obok Gwen malował się wyraz niepokoju.

– Wszystko w porządku – zapewniła przyjaciółkę Jill, zmuszając się do uśmiechu. – Jestem tylko zmęczona. Richard poszedł po nasze płaszcze. Niechętnie opuszczam was w ten sposób, ale...

– Och, nie przejmuj się. Rozumiem. Wróć do siebie i dobrze się wyśpij. Ta zabawa prawdopodobnie potrwa jeszcze jakiś czas, Mike nie zaprezentował jeszcze nawet połowy swojej płytkoteki, a nie ustanie, dopóki nie przegra wszystkich płyt.

Stwierdziła, że się śmieje i istotnie śmiała się wraz z Gwen, gdy Richard zjawił się przed nimi z okryciami, a muzyka coraz bardziej mąciła jej świadomość. Richard pomagał jej włożyć płaszczy, a ona uśmiechała się dość niemądrze do wszystkich. Potem delikatnie wyjął jej z ręki latarkę.

– Ja to wezmę – powiedział. Gwen pocałowała ją w policzek.

– Dobranoc, kochanie, śpij dobrze.

Ujął ją pod rękę i wyprowadził przez tańczący tłum na werandę i ganek w zimną, śnieżną noc.

\* \* \*

Trzymał ją za łokieć, rzucając obojgu pod nogi potężny snop światła, gdy powoli i ostrożnie szli przez śnieżną zawieję ku ścieżce na skraju lasu. Teraz, znalazłszy się na zewnątrz, Jill wydawała się spokojniejsza i nawet zażartowała kilka razy, gdy brnęli przez otwartą przestrzeń.

– Mam nadzieję, że Gwen ma pod ręką dużo śpiworów – powiedziała.

Spojrzał we wskazanym przez nią kierunku i oboje się roześmiali. Parking przy jeziorze był tak zatłoczony, że furgonetki gospodarzy i samochodów gości ośrodka prawie nie było widać.

– Och, z pewnością jakoś sobie poradzą.

Znajdowali się już na końcu polany. Teraz zagłębili się w ciemność lasu i powoli weszli na ścieżkę wiodącą do domku numer dwanaście.

– Przykro mi, że popsułam ci zabawę – odezwała się Jill, patrząc pod nogi, w krąg światła latarki, aby nie upaść w drzewa, które majaczyły po obu stronach wąskiej ścieżki. – Mam nadzieję, że znajdziesz dobrą partnerkę do konkursu tańca.

– Och, myślę, że już dość się wytańczyłem jak na jeden wieczór – odrzekł. – Poza tym ja również jestem trochę zmęczony. Odprowadzę cię do drzwi, a potem chyba też pójdę spać.

– Tak – powiedziała. – Tak będzie pewnie najlepiej.

– Jeszcze tylko kilka kroków – rzekł uspokajająco.

Usłyszał przed sobą muzykę, a zza drzew zobaczył światła. Jakieś przyjęcie, pomyślał. Urządzili sobie jakieś przyjęcie. Szedł w stronę parkingu znajdującego się na końcu długiego, bardzo długiego podjazdu. Był teraz na skraju lasu, wpatrywał się w duży dom, ośnieżone boisko baseballowe i ciche, ciemne jezioro.

Właśnie wtedy zobaczył po swojej lewej stronie wstęgę światła latarki, poruszającą się na ścieżce wśród drzew. Całkiem blisko usłyszał też dwa głosy: mężczyzny i kobiety.

Jill.

Przystanął, ściskając w lewej ręce kask; na prawym ramieniu niósł torbę z bagażnika. Jeszcze raz spojrzął na rozświetlony dom obok jeziora. Prawdopodobnie wszyscy pozostali są właśnie tam, pomyślał. Ale Jill była tutaj, widział ją na wąskiej pokrytej śniegiem ścieżce. Szła gdzieś przez las. Był z nią jakiś mężczyzna...

Zszedł z drogi i zagłębił się między drzewa, idąc w kierunku połyskliwej wstęgi światła i dwóch głosów.

– Cóż, jesteśmy – powiedział Richard, gdy dotarli do drzwi domku z numerem dwanaście.

Stali teraz razem w kręgu światła z żarówki nad drzwiami.

– Dziękuję za odprowadzenie mnie na miejsce.

– Polecam się... – odrzekł mężczyzna z uśmiechem. – Oczywiście, tak się składa, że nie masz tu nic ciepłego do picia, prawda?

– Nie. Przepraszam. Ja naprawdę chcę po prostu iść spać. Dziękuję jeszcze raz.

Otworzyła drzwi domku, widząc, że Richard się ociąga. Nie odwróciła się, miała jednak nieodparte wrażenie, iż ją obserwuje. O Boże, pomyślała

z westchnieniem, mam nadzieję, że nie będzie uparty...

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Stojąc na progu, zobaczyła, że Richard naprawdę wciąż bacznie się jej przygląda.

– Dobrej nocy – powiedziała, uśmiechając się ponownie.

Spoglądali na siebie przez chwilę, potem on uśmiechnął się także.

– Dobranoc – rzekł, unosząc dłoń, by skinąć nią lekko na pożegnanie, a potem wyciągnął drugą rękę, oddając Jill latarkę.

– Pewnie będziesz jej potrzebował, by wrócić do swego domku – powiedziała. – Wezmę ją od ciebie jutro.

– Dobrze. Do zobaczenia. – Odwrócił się i ruszył ku ścieżce.

Z lekkim westchnieniem ulgi zamknęła drzwi.

Szedł ośnieżoną ścieżką, oświetlając sobie drogę latarką. Odchodząc dalej w głąb lasu, znów rzucił okiem na zegarek.

Dwie minuty, pomyślał. Dwie minuty do walentynkowego święta.

Gdy miał już pewność, że nie może być widoczny z okna domu, zgasił latarkę i zszedł ze ścieżki między drzewa.

Jill powoli zdjęła płaszcz i położyła go w nogach łóżka. Ziewnęła i przeciągnęła się myśląc, że dawno nie miała tyle gimnastyki. Tara chodziła na zajęcia do klubu za rogiem i namawiała Jill, by zaczęła ćwiczyć razem z nią. Może rzeczywiście powinna tam się zapisać? Szczególnie teraz, skoro ma urodzić dziecko...

Rozważając tę sprawę, pochyliła się, by zdjąć kapę z łóżka.

Obserwował nieznanego mężczyznę idącego ścieżką i migający przed nim snop światła latarki. Gdy tamten zniknął wśród drzew, ruszył w stronę oświetlonego domku. Zastanawiał się, kim jest ten człowiek...

Potem porzucił tę myśl. Boże, mówił sam do siebie, cała ta sprawa przypomina mi o paranoję. Wielkie nieba, to po prostu jakiś pisarz, który również tu mieszka i teraz odprowadził ją do domu. Przestań panikować!

Dotarł do kręgu światła przed jej domkiem, ciesząc się w przewidywaniu zdumienia i zachwytu, jaki zobaczy na twarzy Jill, gdy otworzy mu drzwi. Z uśmiechem wyciągnął rękę i zapukał.



Zdrętwiała, ściskając w dłoni brzeg watowanej kołdry. O Boże, wołał jej umysł. Co, u licha...

Już po chwili uprzytomniła sobie, kto mógł pukać do jej drzwi. Nie uszedł więcej niż kilka metrów, a już postanowił dać kolejną szansę swym umiejętnościom uwodziciela. Zmarszczyła groźnie brwi i ruszyła do drzwi.

– Kto tam? – zawołała, starając się, by w jej głosie zabrzmiało zdziwienie.

– Jill, otwórz, to ja, Nate!

Wpatrywała się w zamknięte drzwi ze zdumieniem.

– Co?!

– To ja, Nate. Jill, nie pamiętasz mnie? Niespodzianka!

Najpierw poczuła ulgę, a potem, natychmiast ogarnęła ją fala ogromnej radości.

– Nate!

Szeroko otworzyła drzwi. To on, z tym swoim trochę krzywym uśmiechem, z torbą na ramieniu i kaskiem w dłoni. Przemoknięty do suchej nitki.

– Nate! – wykrzyknęła jeszcze raz i rzuciła mu się w ramiona.

Przyściśnięty do pnia wielkiego drzewa, stał w odległości około trzydziestu metrów, ukryty w ciemności lasu. Z niedowierzaniem wpatrywał się, jak ten jej chłopak, Nate, wyłonił się z drzew i stanął w kręgu światła przed domkiem.

Co, u diabła, pomyślał, co, u diabła on tutaj robi?

Przybysz zapukał do drzwi, a Jill po chwili otworzyła. Wykrzykując głośno imię kochanka, rzuciła mu się w ramiona.

Nie do wiary, pomyślał. On wszystko popsuje!

Potem, w następnej sekundzie, przyszła mu jednak do głowy kolejna myśl.

Nie... Być może nie... Prawdopodobnie nie popsuje...





– Och, Nate! Tak się cieszę, że cię widzę! – Jill wciąż obejmowała go w drzwiach, a wirujące płatki śniegu wraz z zimnym wiatrem wpadały do pokoju. – Jak mnie znalazłeś?

Roześmiał się, wchodząc do środka.

– Poczekaj chwilę, jestem przemarznięty!

Pozwoliła mu wejść, i sama poszła za nim. Nate zatrzasnął za sobą drzwi i zamknął zasuwkę. Potem ponownie wziął Jill w ramiona i pocałował.

Biorąc oddech, odsunęła się odeń na chwilę i podniosła wzrok ku jego twarzy. Mokre włosy opadały mu na oczy. Roześmiała się, ucieszona częściowo widokiem Nate'a, częściowo zaś samą jego ciepłą obecnością, i pobiegła do łazienki po ręcznik. Gdy wróciła, pochylał się nad przemoczoną torbą, którą postawił na biurku obok również ociekającego wodą kasku. Jill podała mu ręcznik; ze śmiechem zawiesił go sobie na szyi.

– Och! – odetchnął głęboko. – Możesz być pewna, że trudno cię znaleźć!

Uśmiechnęła się czule.

– Mam nadzieję, iż było warto. A swoją drogą, jak mnie znalazłeś?

Sięgnął po ręcznik, by wytrzeć włosy.

– Mary, oczywiście... No cóż, zaczęło się od Tary. Niepokoiła się o ciebie... tak jak powinna... Wyjawiła mi wszystko pewnego wieczoru, gdy wyjechałaś, nie mówiąc nikomu, dokąd się udajesz. Skarbie, powinnaś była coś powiedzieć...

Jill poczuła, że policzki jej oblewa gorący rumieniec.

– Wiem, kochanie, ale byłeś taki zajęty swoją wystawą, że sądziłam...

– Sądziłaś, że jest dla mnie coś ważniejszego od ciebie?! – zawołał.

– No cóż, chyba... chyba nie myślałam o tym tak...

Roześmiał się.

– No dobrze, ja to powiem! Zważywszy na okoliczności, to całkiem zrozumiałe.

Jill przysunęła się bliżej, by znowu go objąć.

– Och, Nate, to było okropne! Ale teraz jesteś tu ze mną, daleko, daleko od niego! – Oparła twarz o jego pierś.

Pogłaskał ją po włosach.

– Tak, jestem tutaj i wszystko będzie dobrze – powiedział łagodnie, a

potem delikatnie odsunął ją od siebie. – Ale najpierw mam dla ciebie niespodziankę.

Z uśmiechem wzięła od niego mokry ręcznik.

– Niespodziankę? Wystarczy, że tu jesteś!

Odwrócił się i pochylił do przodu, aby zajrzeć do torby.

– Wiem, ale pokonałem całą tę drogę, więc...

Nate wyjął coś i postawił na biurku, ale Jill nie mogła zobaczyć, co to jest, bo zasłonił ów przedmiot swoim ciałem. Potem jeszcze raz sięgnął do torby.

W tym momencie zegar nad biurkiem zaczął wybijać północ.

Oboje podnieśli wzrok.

I wtedy usłyszała; ten głos dochodził zza pleców Nate'a.

Sarah Vaughan.

„My Funny Valentine”.

– Co...? – wyjąkała Jill. – Nate, co to znaczy...

Odwrócił się do niej, wyciągając ręce. Trzymał w nich jaskraworóżowe pudełko czekoladek.

Jill spojrzała w oczy kochanka. Już się nie uśmiechał.

– Wszystkiego najlepszego w Dniu Zakochanych! – powiedział.

## 17. Sobota, 14 lutego Walentynki - Dzień Zakochanych

David MacFarland stał koło drzewa, trzydzieści metrów od domku numer dwanaście, wpatrując się w drzwi i ów krąg światła, który spływał na nie z góry. Byli w środku, Jillian Tabolt i jej przyjaciel.

Jej przyjaciel!

Pominał go, jako człowieka nie wchodzącego w rachubę, podobnie jak nie brał pod uwagę jego przyjaciela Douga Barona, tego fotografa. Śledził ich nawet kiedyś na Spring Street, ale nie zauważył niczego podejrzanego.

Jej przyjaciel. Był z nią od kilku miesięcy, niemal od roku...

Wtedy pomyślał o własnej siostrze, o Cass. Ona też miała jakiegoś przyjaciela, na kilka tygodni przed... Miał na imię Neil czy jakoś tak...

Neil Avnet.

Nie udało mu się trafić na ślad Sharon Williams, gdy zniknęła w tajemniczy sposób, ale ta druga, Belinda, na stoku narciarskim... Tak, tam również był jakiś nieznajomy mężczyzna. Pisano i o nim w doniesieniach prasowych. Leonard jakiś tam... Jakieś włoskie nazwisko... Morelli... Vanelli... Vaneti.

Leonard Vaneti, w skrócie: Len.

O mój Boże! pomyślał.

Len Vaneti.

Neil Avnet.

Walent...!!!

Słaniając się na nogach, oderwał się od drzewa i ruszył do przodu. Przedzierając się przez gęstwinę lasu, biegł na oślep w stronę światła, w stronę tego domku. W głowie huczało mu jedno imię i nazwisko:

Nate Levin!

– Co...? Co...? – powtarzała niemądrze oszołomiona Jill, gdyż jej umysł stał się nagle niezdolny do działania i jak gdyby odmówił posłuszeństwa.

– Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Zakochanych! – powiedział jeszcze raz Nate.

Instynktownie cofnęła się o krok; od niego, od tej muzyki i od bombonierki w kształcie serca.

– Nate!

Po długiej, strasznej chwili powolny uśmiech pojawił się na jego twarzy. Nigdy, przez wszystkie miesiące, kiedy byli razem, nie widziała u niego takiego uśmiechu. Nie był to uśmiech jej Nate'a czy też kogoś, kogo znała. Ten uśmiech był nieludzki.

– Nie jestem Nate'em – odezwał się, a w jego dziwnym, strasznym głosie również zadźwięczał przerażający śmiech. – Nie istnieje żaden Nate. Nate Levin to... anagram, ty głupia, zła suko. Nazywam się Victor Dimorta! – Powoli uniósł bombonierkę i podsunął czekoladki w jej stronę. – Wszystkiego najlepszego...

Przebiegł ją dreszcz. Wpatrywała się, zahipnotyzowana, jak w rytm melodii nie kończącej się piosenki z uśmiechem zbliża się ku niej śmierć, trzymająca przed sobą pudełko czekoladek, a ona nie mogła myśleć, nie mogła oddychać, nie mogła nic zrobić, po prostu nie mogła nawet drgnąć... Nie... mogła... się... ruszyć...

Nagle...!

Nagle coś potężnego i silnego uderzyło w drzwi znajdujące się niepełna metr za mężczyzną, jakby ktoś się na nie rzucił. Zaskoczony, odwrócił się w stronę owego hałasu. W tej samej chwili przestał działać zły urok i w umyśle Jill odezwał się zbawienny głos:

– Ruszaj!

Z całą siłą zrodzoną z szoku, wściekłości i przerażenia odepchnęła szaleńca, posyłając go wprost na drzwi. Stracił równowagę i upadł na kolana; pudełko z czekoladkami wysunęło mu się z rąk.

Broń!

Rewolwer był w torebce. Torebka! Torebka! Gdzież, do diabła, jest torebka?!

Na stoliku w kącie. Musi przejść obok tego człowieka, by ją wziąć.

Rzuciła się już do przodu w kierunku torebki, gdy dłoń Victora zacisnęła się na jej nadgarstku.

Zdażył się już podnieść i stał teraz przed nią, wznosząc w górę drugą dłoń, zwiniętą w pięść, aby zadać cios.

Obezwładnić!

Wykręciła nadgarstek z jego uścisku i cofnęła się o krok. Odsunęła prawą nogę i tak, jak uczył instruktor, wyprostowała ją w kolanie. Następnie z całej siły wyrzuciła stopę do przodu. Jej but osiągnął cel, trafiając mężczyznę dokładnie między nogi.

Twarz skrzywiła mu się w grymasie bólu: upadł ciężko na plecy...

Torebka. Rewolwer.

Ruszaj!

Biegła, uciekała, byle dalej od niego, przez pokój, do zamkniętych drzwi.

Otworzyć zamek i zasuwkę!

Jill wyciągnęła rękę, odsunęła zapadkę, pchnęła drzwi. Otwarte! Wypadła z nich na śnieg, twarzą w biały puch, po omacku podpierając się rękami. Była teraz na kolanach. Wstań, wstań i uciekaj. Biegła, gnała przez ciemność, przez leśną gęstwinę, za domek, gdzie nie było ścieżki ani światła, ani niczego oprócz czerni i uderzających ciężkich stóp tuż za nią. Boże, uciekać!

David MacFarland ocknął się w głębokim śniegu. Leżał w kręgu światła przed drzwiami domku Jill. Krew, najwyraźniej z jego własnego nosa, zdażyła już zamarznąć mu na szyi i policzku. Gołe dłonie były zdrętwiałe; w piersi i ramionach czuł piekący ból. Słyszał cichą, dobiegającą gdzieś z daleka muzykę.

Minęła chwila, zanim sobie przypomniał, a wtedy wszystko wróciło: usiłował wyważyć drzwi. Uderzył w nie z taką siłą, że sam został czasowo znokautowany.

W następnej chwili skojarzył sobie całą resztę.

„Walentyńka”!

Wstał, nie zważając na ból, krew i odrętwienie, i zaczął pięściami walić w drzwi. Potem przestał i nasłuchiwał.

Teraz usłyszał muzykę, która dochodziła z wnętrza domku. Głos jakiejś kobiety łagodnie śpiewał „My Funny Valentine”. I nic oprócz owego głosu. Nawet szmeru oddechów. Nic.

Bez namysłu, odruchowo, wręcz instynktownie, rzucił się ku bocznej ścianie domku, zatrzymując się przy drewnianym oknie tylko na ułamek chwili, by się upewnić, że jest zamknięte. Spróbował od tyłu i zobaczył drugie, otwarte drzwi oraz ślady stóp wiodące w las. Szybkie spojrzenie do wnętrza powiedziało mu, że domek jest pusty.

Wyciągnął z kieszeni płaszcz berettę i zanurzył się w ciemny las.

Jill biegła bez celu, między nie kończącymi się pniami drzew, ogarnięta paniką. Jej ciało stało się maszyną, mechanizmem w nieustannym ruchu, napędzanym przez instynkt przeżycia. Nie zatrzymuj się, powtarzał ten wewnętrzny głos. Tylko się nie zatrzymuj!

Gnała więc przez las, unosząc ręce, by chronić twarz przed mrocznymi kształtami, które nieustannie przed nią wyrastały. Przewracała się w śnieg i wstawiała, wciąż wstawiała i biegła dalej. Słyszała za sobą różne odgłosy, skrzypienia, trzaski, zdyszany oddech. Wiedziała, że dzieli ją od niej, może metry, że jest tuż za nią, że ją dogania. Biegnij, wołał w niej wewnętrzny głos. Uciekaj!

Nie miał przed sobą nikogo; tego był pewien. David zatrzymał się, by złapać oddech. Dogoni ich, w to nie wątpił. Był to jedyny cel, jaki miał teraz na tej ziemi.

Odnalazł „Walentynkę” i teraz go zabije.

Właśnie taką cichą przysięgę złożył przy jej trumnie. Cass...

Kochana Cass, która pozostała przy nim, gdy wszyscy inni się odwrócili. Rodzice odrzucili go, gdy mając osiemnaście lat wyjawiał, że jest gejem. Przyjaciele ze szkoły średniej także go unikali, nawet ci z drużyny footballowej. Przez dwa lata był ich najlepszym napastnikiem, prowadził szkołę do bezprecedensowej liczby zwycięstw – nie miało to jednak dla

nich znaczenia; był homo, pedałem, ciotą i tylko to się liczyło. Tylko Cass pozostała lojalna i wierna. Tylko ona nie przestała go kochać.

Teraz ją pomści!

Odwrócił się w ośnieżonym lesie, ruszając w kierunku słabych odgłosów, które dobiegały zza drzew. Gdzieś tam był Victor Dimorta, i David musi go dopaść. Jeśli zdołałby ocalić również Jillian Talbot, to dobrze, ale to była dodatkowa sprawa i miała drugorzędne znaczenie.

Nawet teraz, gdy biegł przez ciemny las, uśmiechał się na myśl o satysfakcji, jaką miałby jego kochanek, wiedząc o roli, którą mimowolnie odegrał. Nazwisko Richarda Farnuma, równie mu bliskie jak jego własne, było pseudonimem, jakiego użył, by dostać się to tego miejsca. Teraz Richarda Farnuma... Ricka... już nie było.

Biegając przypomniał sobie ostatnią rozmowę telefoniczną z Cass. Właśnie otrzymała kwiaty, po trzech kartach walentynkowych, i w końcu się domyśliła. Victor Dimorta, oznajmiła, teraz już wiemy, kto to robi. Potem opowiedziała bratu o owym figlu, jaki ona i jej przyjaciółki mu spletały. Zaproponował, że przyjedzie; że pojedzie do jej domu w New Jersey, aby być razem z nią, aby ją chronić. Nie martw się, odparła. Mam broń i wiem, jak się nią posługiwać, a za kilka minut będzie tu Neil Avnet, mój nowy przyjaciel. To był czternasty dzień lutego. Dzień Zakochanych. Walentynki.

Kilka tygodni po jej śmierci David dowiedział się o Sharon Williams i Belindzie Rosenberg. Zostawił Ricka pod troskliwą opieką jego matki i pojechał do Hartley College, gdzie zapoznał się z oficjalnymi protokołami dotyczącymi owego incydentu w sypialni, który doprowadził do relegowania Victora Dimorty. Potem udał się do Mill City w stanie Pensylwania i dowiedział się reszty. Kolejne tygodnie i miesiące przeżył w stanie gorączkowej aktywności: telefon do matki Sharon Williams w Kalifornii i żmudne poszukiwania rodziny Belindy pod ich nowym adresem w Buffalo. Pani Williams opowiedziała mu o zniknięciu swej córki przed dwoma laty, w połowie lutego. W połowie lutego, pomyślał. Czternastego lutego...

Dzień Zakochanych, walentynki.

Matka Belindy opowiedziała mu o wypadku narciarskim, do jakiego doszło przed rokiem. Wymieniła też dzień, w którym to się stało.

Dzień Zakochanych...

Według dokumentów zachowanych w Hartley College, w ów incydent była też zamieszana czwarta dziewczyna. Archiwista z dumą poinformował go, że owa dziewczyna to Jillian Talbot, obecnie ceniona autorka powieści kryminalnych, mieszkająca w Nowym Jorku. W pierwszym odruchu chciał zatelefonować i ostrzec ją, ale potem przyszedł mu do głowy nowy pomysł.

Uświadomił sobie, że Jillian Talbot jest jego przynętą, jedynym możliwym dojściem do Victora Dimorty. Cass i Belinda nie żyły, Sharon Williams prawdopodobnie także była martwa. Jillian Talbot była więc jedyną z czterech dziewcząt, która pozostała przy życiu. A teraz, David to wiedział, przyszła jej kolej. Miał ją spotkać ten sam los, co Cass i pozostałe kobiety.

Dzień Zakochanych...

Przed czterema tygodniami przyjechał więc do Greenwich Village, żeby czekać. Czekał na pojawienie się Victora Dimorty, śledził tę kobietę i założył w jej mieszkaniu urządzenia podsłuchowe. Nie dał jej znać o sobie, z obawy, że tamten mógłby coś wywęszyć i zniknąć, nie ujawniwszy swej tożsamości. Obserwował Jill w jej własnym mieszkaniu, zdenerwowaną z powodu tych okropnych dowcipów: walentynkowych kartek i kwiatów. Chodził za nią na policję i do prywatnego detektywa, wręcz zmuszając się do zachowania milczenia. Czasami czuł, że mógłby zrobić wszystko, by pomścić swoją siostrę.

Zacisnął dłoń na pistolecie. Słyszał swojego wroga, miał go gdzieś wśród drzew, przed sobą. Wziął głęboki oddech i znowu zaczął biec.

Wciąż miała przed sobą drzewa, coraz więcej drzew. I nagle zniknęły. Nie było już ani jednego. Wybiegła z lasu na drogę. Podjazd, poinformował ją ogarnięty paniką mózg. Jesteś na głównej drodze prowadzącej do ośrodka.



W którą stronę...?

Przystanęła na jedną, jakże cenną sekundę, nasłuchując. Tak, dalekie, słabe odgłosy muzyki dochodziły z lewej strony. Główny dom. Biegnij tam, rozkazał instynkt przetrwania. Biegnij tam. Dostań się jak najbliżej, a potem krzycz. Krzycz z całych sił. Stąd cię nie usłyszą, nie przy tej muzyce! Biegnij! Natychmiast! Już!

Skręciła w stronę odgłosów dochodzących z salonu i zaczęła biec.

Nie zdołała uczynić nawet trzech kroków. W jednej, mrozącej krew w żyłach, sekundzie poczuła szarpnięcie za włosy. Potężna siła odwróciła ją gwałtownie. Nate... Victor Dimorta... stał przed nią ze strasznym grymasem szczerzącej się w uśmiechu śmierci, przyklejonym do brzydkiej teraz twarzy. Zamachnął się i pięścią zadał jej cios w twarz.

Usłyszała głuchy dźwięk tego uderzenia i zobaczyła oślepiające białe światło, padając, długo padając w śnieg i płynąc ku jakiemuś niewiadomemu przeznaczeniu. Potem ogarnęła ją ciemność...

Victor Dimorta podniósł nieprzytomną kobietę. Brnąc powoli w głębokim śniegu i trzymając się mrocznych obrzeży lasu, niósł Jillian Talbot do jeziora.

Woda. Czwarty Żywioł.

Uśmiechał się, gdy padające płatki śniegu, osiadając mu na twarzy, natychmiast się topiły. Słyszał za sobą jakieś odgłosy, ktoś próbował go gonić, ale zgubił drogę. Nie przejmując się tymi dźwiękami, mozolnie podążał dalej.

Myślał o pluskwie w telefonie Jill i urządzeniu podsłuchowym, o którym opowiedziała mu Tara. To z pewnością ów prywatny detektyw, Fleck. Musiał zainstalować całą tę aparaturę bez zgody Jill, w jakiejś kiepskiej próbie ujęcia „Walentynki”.

Roześmiał się. Jakby ten idiota... jakby w ogóle ktokolwiek... mógł złapać „Walentynkę”? Jest na to zbyt sprytny: czyż nie udało mu się zwieść tych wszystkich kobiet? Czyż nie oszukiwał Jillian Talbot przez d z i e s i ę ć m i e s i ę c y ? Czyż nie– Tak, jestem tutaj i wszystko będzie dobrze – powiedział łagodnie, a był dość przebiegły, gdy zapłacił temu

włóczędze, temu narkomanowi, by wszedł do kwiaciarni i zamówił róże? Jak można sądzić, że da się go złapać? Jest nieuchwytny. Niewidzialny. Niezwyciężony.

A Fleck jest już nawozem, w ogródku kwiatowym matki!

Tara, aktorka, ani razu nie podejrzewała tak blisko siebie obecności znacznie lepszego artysty. Mary Daley lubiła go i darzyła takim zaufaniem, że wyjawiała mu kryjówkę Jillian. Doktor Philbin uległa jego urokowi przez telefon i wpuściła go do swego gabinetu. Doug Baron zaś, wdowiec po Stacy Green, nie miał pojęcia, że mężczyzna, który zaprzyjaźnił się z nim po przypadkowym spotkaniu w galerii Henry'ego Jasona, uczynił to tylko z powodu Stacy; żeby być bliżej kogoś, kto naprawdę sypiał z tą modelką, tak bardzo podobną do Jillian; ze zmarłą modelką, której zdjęcia wielokrotnie plugawił na więziennej pryczy. A przede wszystkim – żeby delektować się swoją siłą, siłą „Walentynki”, i przewagą nad nimi wszystkimi...

Matką.

Ojcem.

Sharon Williams.

Belindą Rosenberg.

Cass MacFarland.

I teraz – Jillian Talbot.

Nad wrogami „Walentynki”.

Ani jednej myśli nie poświęcił Dorothy Philbin czy Barneyowi Fleckowi. Byli dla niego nikim, zaledwie przeszkodami. Kamieniami na drodze.

Z uśmiechem rzucił okiem na piękną twarz nieprzytomnej kobiety. Jego miłość do niej już dawno zmieniła się w nienawiść. Była ostatnia i dziś pójdzie tą samą drogą, jaką odeszły pozostałe. I tak dopełni się jego zemsta.

Opanował śmiech. Muzykę słycać było teraz głośniejsz. Gdy doszedł do brzegu jeziora, z lewej strony wyłonił się przed nim główny dom

ośrodka dla pisarzy. Będzie musiał poruszać się bardzo cicho; tak samo jak tamtej nocy, gdy szedł przez hol do sypialni rodziców. Cicho, och, jak cicho...

Wstrzymując oddech, ostrożnie – by nie wydać żadnego dźwięku – skierował się do przystani.

Płynęła w powietrzu, unoszona w potężnych ramionach. W ramionach Nate'a. Zjawił się tu, by ją ocalić; był tutaj, aby chronić ją przed...

Nie! wołał jej mózg. Nate nie jest Nate'em, Nate nie istnieje. Nie ma żadnego Nate'a, powiedział.

Nate jest „Walentynką”.

Nate to Victor Dimorta.

Szok przywrócił Jill pełnię świadomości. Jednak ów słaby głos, który jej nie opuścił, kazał jej pozostać cicho i nie otwierać oczu. Muzyka brzmiała teraz bardzo blisko; musieli być nieopodal domu. Jeśli postawi mnie na ziemi, myślała, będę mogła uciekać. Zacznę krzyczeć...

Właśnie wtedy usłyszała z dołu głuchoe dźwięki; ciężkie dudnienie jego butów na deskach.

O Boże, pomost!

Zamierza wrzucić mnie do jeziora!

Wybiegł z lasu na otwartą przestrzeń i zgiął się wpół, chwytając powietrze. Mimo przejmującego zimna strasznie się pocił. Uspokoiwszy oddech, starał się wyłapać jakiegokolwiek dźwięki, które mogłyby wskazać, gdzie oni są, ale słyszał jedynie daleki śmiech i muzykę z gramofonu.

Zatrzymał się i rozejrzał dookoła. Ośnieżone pole, boisko, ogrodzenie z metalowej siatki. Boisko baseballowe! Zaraz za nim był główny dom ośrodka, a obok, w dole...

Jezioro.

Zobaczył smukły, czarny kształt wyłaniający się z cienia obok jeziora i wchodzący na pomost. Nawet z tak dużej odległości i mimo padającego śniegu widział, że ów człowiek niesie coś na rękach. Niesie kogoś: Jillian Talbot.

Znowu ruszył biegiem.

Trwoga zmusiła Jill do otwarcia oczu; zeszywniała w jego ramionach. Nigdy nie nauczyła się pływać i woda ją przerażała. Utopi się!

Nie! krzyknął jej mózg; uniosła dłonie z długimi paznokciami i wbiła je w twarz mordercy. Paznokieć palca wskazującego trafił w lewe oko, pozostałe rozkrwawiły mu policzek.

Mężczyzna wydał z siebie chrapliwy, przerażający krzyk i puścił ją. Jill z głuchym odgłosem upadła na pomost. Z trudem podniosła się na kolana i przerażona rozglądała się dookoła. Byli na samym końcu pomostu; jego krawędź znajdowała się zaledwie kilkanaście centymetrów od niej, a Nate... Victor... stał nad nią, oddzielając ją swym ciałem od bezpiecznego brzegu.

Podrapała go do krwi, a to przyprawiło go o wściekłość. Wstawała, gdy padł następny cios; teraz ból był większy niż jakikolwiek, którego wcześniej doświadczyła. Z całą przerażającą siłą uderzył ją pięścią w brzuch. Sparaliżowana z bólu, upadła twarzą na deski. Po chwili odzyskała wzrok i znów w odległości zaledwie kilku centymetrów przez oczami widziała krawędź drewnianego pomostu. Gdy ponownie zdołała się poruszyć, obróciła się na bok i podwinęła nogi pod siebie, krzyżując ręce na brzuchu. Moje dziecko, myślała, moje dziecko...

– Teraz umrzesz, Jillian Talbot. Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Zakochanych!

Początkowo myślała, że tylko wyobraziła sobie te słowa, ale w następnej chwili zrozumiała, że zostały wypowiedziane gdzieś nad nią. Po nich zaś rozległ się najokropniejszy odgłos, jaki kiedykolwiek słyszała: przesywający, piskliwy śmiech Victora Dimorty. Wtedy cichy głos w jej mózgu, który przedarł się przez ból i przez ten przeraźliwy śmiech, wydał ostatnie rozkazy.

Wstań!

Wzięta głęboki oddech i nie zważając na złamaną szczękę i ów największy, dojmujący ból, podciągnęła się na kolana, zwracając się twarzą do zabójcy. Jej stopy zwisały ze znajdującej się tuż obok krawędzi pomostu.

Mów!

Spojrzała mu w oczy; w oczy człowieka, którego kochają. Ale tego człowieka już nie było, na jego miejscu pojawił się potwór w ludzkim ciele. Przeszywał ją wzrokiem; czuła falę nienawiści bijącej od niego. Od tego. Kimkolwiek był. Zaś za nim, za tym zobaczyła jakąś zamgloną, ciemną postać, która bezszelestnie wysunęła się z cienia na pomost.

Mów!

Kłęcząc wyciągnęła ku niemu ręce w niedorzecznej parodii błagania.

– Vic... Victorze – mamrotała, desperacko starając się mówić wyraźnie pomimo złamanej szczęki. – Victorze, powiedziałam wtedy dziekanowi, co ci zrobiły. Próbowałam ci pomóc. Proszę, proszę... nie... nie krzywdź mnie.

Nie przestawał się w nią wpatrywać. I znów rozległ się ów upiorny głos, przypominający piskliwe szczekanie hieny i chichot małego dziecka. Za nim, po drugiej stronie pomostu, ciemna sylwetka uniosła ramię.

– Och, jasne, próbowałaś mi pomóc! Kiedyż to któraś z was próbowała mi pomóc?! Jesteś martwa, suko!

Mówiąc to, wyciągnął ręce, by pchnąć ją do jeziora. Musiał działać szybko, nawet gwałtownie, ale w rozgorączkowanych oczach Jill zdawało się trwać to całą wieczność, jakby poruszał się z niewłaściwą szybkością, w zwolnionym tempie. Miała nawet czas na ostatnią racjonalną myśl: a więc to właśnie jest śmierć... Zamknęła oczy i uchyliła się. Będzie z nim walczyć. Pokona go. Nie umrze. Nie wolno jej umrzeć. Nie w taki sposób. Nie teraz. Odrażające oczy szaleńca wpatrywały się w nią hipnotyzująco, wielkie ręce były coraz bliżej. Skurczyła się w bolesnym odruchu i zwinęła dłonie w pięści...

Strzał, który rozdarł ciemność i echem odbił się po jeziorze, rozerwał głowę Victora Dimorty.

W pierwszej chwili nawet tego nie dostrzegła; jej umysł nie pojmował, co się stało. Potem otworzyła oczy i zrozumiała. Wpatrywała się w niego, w to, co z niego pozostało, gdy krew, kości i tkanka mózgowa mordercy

trysnęły na nią. Unosiła ręce, by osłonić się przed atakiem, gdy jego ciało opadło, jej na piersi, a potem... spadała, spadała, spadała... i usłyszała plusk... i drętwiała... i...

Wilgoć. Była w wodzie, pod wodą, a niemal bezgłowy tułów Victora przyciskał ją, przygniatając do dołu i pchając na dno jeziora. Jill wzdrygnęła się, próbując zrzucić z siebie ten ciężar, ale usta miała pełne wody i dławiała się, nie mogąc oddychać. Woda, woda, coraz więcej wody, a ona jest małą dziewczynką, która stoi w drzwiach pokoju i przygląda się tańczącym rodzicom. I śmieje się, wszystko jest bardzo jasne, a potem robi się ciemno i chłód znika, znika, znika, a ona płynie... płynie... płynie...

David opuścił rękę, a beretta ciężko upadła na pomost. Zamknął oczy i wstrzymał oddech, świadomy tej osobliwej ciszy. Pomost, jezioro, padający śnieg. I nic innego, żadnego głosu, jakby cały świat nagle całkiem się zatrzymał.

Cass, pomyślał. To dla ciebie. Ta cisza jest dla ciebie.

Potem dotarła do niego muzyka. Z pewnością rozbrzmiewała przez cały czas, przypuszczał, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy; jakże niesamowity podkład muzyczny dla sceny na pomoście. Niemal roześmiał się na głos: diabeł jest martwy, siostra została pomszczona, świat znów stał się normalny... a wszystko to przy dźwiękach „Chattanooga Choo-Choo”.

Z dźwiękami muzyki dotarła do niego reszta. Przerażone okrzyki z domu za jego plecami. Trzaskanie drzwi i nadbiegające kroki. Nagły, niemal elektryczny wstrząs, gdy w końcu jego stan psychiczny powrócił do normy. I ten inny głos: ten, który dobiegł go z głębi własnego wnętrza i wydarł mu się z ust:

– Nie!!!

Ruszył biegiem; rzucił się przed siebie, przez całą długość pomostu, krzycząc to jedno słowo: N i e !!! Cass odeszła i nic nie może sprowadzić jej z powrotem, nawet jego miłość. N i e !!! Nie wrócą też Sharon Williams i Belinda Rosenberg-Kessler, których nie znał ani nie spotkał, ale które przez innych były kochane tak, jak Cass przez niego. Nie!!! A teraz

ta kobieta, Jillian Talbot, tonęła w jeziorze, była pod wodą, tuż przed nim. Ciężarna kobieta, która miała matkę, kochających przyjaciół i całe życie przed sobą; życie z wyraźnie określonym celem. Pełne, prawdziwe życie. Nie !!!

Biegł z tym ostatnim krzykiem, a potem skoczył i zanurkował w czarnej, lodowatą wodę.

Odrętwienie pochwyliło go natychmiast, gdy tylko zimno zaatakowało jego zmysły, ale niemal tego nie zauważył. Z całej siły uderzał rękami i nogami, zmuszając się do zagłębienia w czarną toń. Jakaś dziwna siła, jakaś niepojęta władza niemal poza nim przejęła kontrolę nad jego ciałem. Jeszcze raz uderzył ramionami myśląc: Nie !!! Ta kobieta nie umrze.

Wyciągniętą ręką dotknął czegoś miękkiego i śliskiego – odsłoniętego mózgu Victora Dimorty. Wstrząśnięty, cofnął rękę i sięgnął dalej, ku ramionom. Odepchnął je z całej siły i krwawiący tułów odsunął się na bok, powoli odpływając w ciemność. Teraz David sięgnął głębiej prawą ręką i zanurzył ją w mule. Przesuwał ją po omacku dookoła na dnie jeziora, dopóki w końcu nie natknął się na Jill. Przyciągnąwszy ją za włosy do siebie, podłożył jej rękę pod brodę i wypchnął nogami z dna jeziora. Oboje szybko wzniesli się w górę, ku powierzchni wody.

Zaczerpnąwszy wielki haust powietrza, jak szalony rozglądał się wokół siebie, starając się zorientować, w którą stronę płynąć, lecz w śnieżnej ciemności nic nie widział. Opierająca się na nim całym ciężarem Jillian nie poruszała się ani nie oddychała, ale właśnie wtedy, gdy zaczynał ulegać panice, usłyszał najcudowniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszał: ogłuszający plusk, z którym coś wielkiego poruszało się w wodzie i nagle wyciągnęły się ku niemu potężne, silne ramiona. Teraz wspólnie z Mikiem Feldmanem przeciągnęli ją przez ostatnie pięć lub sześć metrów do pomostu. David chwycił najbliższy pal i przyłgnął do niego, gdy ów potężny mężczyzna uniósł jej ciało, a z góry wyciągnęły się po nie inne ramiona. Mike chwycił Davida i pomógł mu wejść na drabinę. David mamrotał coś o ciele w jeziorze i wskazywał miejsce, gdzie wraz z Jill wypłynął na powierzchnię, ale potem wciągnął się po szczeblach drabinki i padł twarzą na pomost. Słyszał krzyki i odgłosy biegających wokół

stóp, oraz plusk wody, gdy na drabinkę wspiął się Mike. Nie był pewny, jak długo leżał; wydawało mu się, że stracił poczucie mijającego czasu. Miękki śnieg wciąż padał, gdy czyjeś delikatne ręce okrywały go kocem. Stopniowo docierały do niego inne dźwięki: przesywające noc odgłosy syren.

To przenikliwe zawroźnienie syren osłabło i ucichło, niemal natychmiast zastąpione odgłosami innych stóp, które pojawiły się i biegły po pomoście. Podparłszy się rękami i klękawszy na deskach, ujrzał kilka postaci w jaskrawopomarańczowych kombinezonach wokół bezwładnego ciała Jillian Talbot.

Usłyszał też zduszone dudnienie i ostre głosy wydające polecenia, ale niczego nie mógł zobaczyć przez zasłonę z pomarańczowych kurtek. Delikatne dłonie jeszcze staranniej okrywały go kocem, a gdy podniósł wzrok, zobaczył nad sobą miłą, zatroskaną, wprost śliczną twarz Gwen Feldman.

– Mój Boże – wyszeptała. – Co się stało, Richardzie?

Wpatrywał się w nią myśląc intensywnie: Richardzie?! Kto jest Richardem...? Potem sobie przypomniał. To było jedyne imię, pod jakim znali go ci ludzie. Richard, jego kochanek, nie żył.

David szczykał zębami tak gwałtownie, że przez chwilę nie mógł mówić. Spojrzał znów na pomarańczowe kurtki, a potem jego wzrok powędrował wzdłuż pomostu, gdzie pojawiły się dwie osoby w białych uniformach, dźwigające nosze. Za nimi, na werandzie głównego domu i na pochyłym pagórku nad pomostem, stali przyglądając się pozostali uczestnicy przyjęcia, a owemu osobliwemu, ośnieżonemu obrazowi towarzyszyła absurdalna muzyka, która, nie słuchana już przez nikogo, wciąż jednak rozbrzmiewała z gramofonu w sali za nimi.

– Co się stało, Richardzie? – ponownie zapytała Gwen.

Spojrzał na nią i wzruszył ramionami.

– „Walentyńka” – wyszeptał.

– „Walentyńka”? – Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. – O czym ty mówisz?!



David potrząsnął głową, nie mogąc znaleźć sił, by to wyjaśnić. Potem spojrział na ludzi krzątających się na pomoście. Jillian Talbot była już na noszach, a kilku sanitariuszy pospiesznie ruszyło z nimi do karetki. Jeden z nich trzymał przezroczystą maskę na jej nosie i ustach. Właśnie wtedy udało mu się dostrzec to, na co z nadzieją czekał i o co się modlił.

Miała otwarte oczy. Oddychała.

Gwen i Mike pomogli mu wstać. Gdy zrobił pierwszy krok, grupa mężczyzn w niebieskich mundurach minęła nosze, zmierzając w jego stronę. Przypuszczał, że przybyli tu po to, by go aresztować. Zatrzymali się przed nimi trojgiem, a człowiek, który wyglądał na dowódcę, zrobił krok do przodu. Był to potężny, masywny mężczyzna po pięćdziesiątce, o stalowo-siwych włosach i wąsach. Jego wzrok powędrował ku trzęsącemu się w kocu Davidowi oraz mężczyźnie i kobiecie, którzy stali obok. Mike powiedział coś policjantom i wskazał na jezioro. Mężczyzna z powagą skinął głową i odwrócił do swych podwładnych.

– Wilson i Lopez, zabierzcie tych ludzi do domu. Pozostali idą ze mną – polecił, a potem odwracając się przez ramię, zawołał do odzianej na niebiesko postaci na brzegu: – Weź łódź, tę dużą.

– Jeśli to samo nie wypłynie, będą nam potrzebni nurkowie – powiedział jeden z jego ludzi i sięgnąwszy po nadajnik radiowy, zaczął mówić.

David myślał, że mówi o łodzi. Co miały jednak znaczyć słowa: „jeśli nie wypłynie”, zastanawiał się. Dlaczego łódź miałaby...

Wtedy zrozumiał, co miał na myśli ów gliniarz. To. Ciało. Victor Dimorta. „Walentynka”. Będą musieli go wyciągnąć; wyłowić to, co zeń pozostało. Całkiem o nim zapomniał...

Ciąśniej otulił kocem swe drżące ciało i wraz z dwoma funkcjonariuszami zszedł za Gwen i Mikiem z pomostu. Po drodze minęli jeszcze jednego funkcjonariusza, który na klęczkach pilnował porzuconej beretty. Spojrział w stronę parkingu i zobaczył, że sanitariusze umieszczają nosze w karetce. Gdy z wyciem syreny i błyskiem świateł odjechała do szpitala, poruszał ustami w bezgłośniejszej modlitwie za Jillian Talbot. Nie przestał się za nią modlić, gdy przez tłum uczestników przyjęcia ruszyli do domu.

Nie było już muzyki; po raz pierwszy tej nocy staroświecki gramofon umilkł. Mike natychmiast podszedł do kominka, by ponownie rozpalić ogień, a Gwen przyniosła mu szklaneczkę brandy. David ze znajdującymi się po obu jego stronach policjantami usiadł na kanapie blisko iskrzących płomieni kominka i czekał, by móc opowiedzieć całą historię.

**EPILOG**  
**CZERWIEC**

Stała na wąskim pasie plaży obok pomostu i czekając, spoglądała na jezioro. Lekka bluza, którą założyła na kostium kąpielowy, wystarczająco chroniła ją przed wczesnoporannym chłodem lasu. Mimo to Jillian, wspominając zimowe wydarzenia ciaśniej otuliła się tą bluzą, przytrzymując ją ramionami.

Gwen i Mike, którzy robili teraz śniadanie dla gości, zaproponowali, żeby została tu, jak długo zechce i Jill była im wdzięczna za tę możliwość odosobnienia w ośrodku dla pisarzy. Policja zakończyła swoje czynności przed miesiącem, ale prasa okazała się niez mordowana. Już sama owa historia była wystarczająco okropna, ale pojawienie się tamtego banalnego reportażu w miesięczniku *New York* w dwa dni po pierwszych doniesieniach w ogólnokrajowych dziennikach jeszcze bardziej rozdmuchało całą sprawę. Gwen w końcu wyłączyła jedyny telefon w domu, dziwiąc się głośno, w jaki sposób tak wielu reporterom z całej Ameryki udało się dostać jej zastrzeżony numer. Teraz mieli już nowy, również zastrzeżony numer telefonu i zastanawiali się, jak długo pozostanie nieznany. Jill uśmiechnęła się na myśl o Gwen. Miała dobrych przyjaciół...

Tara i Doug. Doug w końcu przyjechał, by wyjaśnić, dlaczego wtedy odwołał randkę... krótko przed Dniem Zakochanych, niemal cztery miesiące temu. Odwołał tamto spotkanie z powodu Jill, jej widok przywodził mu na myśl bolesne wspomnienia. Bał się. Jednak kolejne wydarzenia przekonały Douga – i ich wszystkich – jak kruche i cenne jest życie. Właśnie tak powiedział Tarze. I nie musiał jej przyrzekać, że dłużej już nie będzie opłakiwać swej zamordowanej żony.

I przecież trzeba było opłakiwać także innych ludzi.

Po pierwsze, Barneya Flecka. Na samą myśl o nim Jill zbierało się na płacz. Pani Fleck i Verna Poole pojechały do Mill City gnane ponurą determinacją. Wraz z szeryfem i jego zastępcą przeszukały dom Dimortów od piwnicy aż po dach i znalazły ślady krwi w schowku na piętrze, przed obrazami. Jill widziała później w gazetach fotograficzne reprodukcje owych dzieł: straszne, chore płótna, przedstawiające kobiety w różnych stadiach rozkawałkowania ich ciał. No, dobrze... nie kobiety... jedną kobietę. Właśnie ją. Opanowany tą wizją, Victor podpisywał swe straszne

dzieła nazwiskiem „Nate Levin”. Te obrazy były prawdopodobnie ostatnimi rzeczami, jakie Barney zobaczył przed śmiercią.

Bystrooki młody zastępca szeryfa zauważył świeżo poruszoną ziemię w ogródku za domem i właśnie tak go odnaleźli. Barneyowi urządzono w Brooklynie pogrzeb ze wszystkimi policyjnymi honorami. Jill stała z boku i drżąc z własnego świeżego bólu, patrzyła na Jane Fleck i Vernę Poole oraz rodzinę i przyjaciół detektywa. Gdy komisarz pełnomocny wręczył wdowie amerykańską flagę i nad cmentarzem rozległa się honorowa salwa, Jill pomodliła się za Barneya. I za doktor Philbin. I za wszystkie inne ofiary Victora, łącznie z jej własnym, nie narodzonym dzieckiem.

To był chłopiec – powiedziano jej, gdy tego zażądała. Poroniła; jak tłumaczyli lekarze, było to bezpośrednim rezultatem ciosu w brzuch i zbyt długiego braku tlenu w lodowatym jeziorze; ów brak tlenu niemal ją zabił. Nate... Victor Dimorta... zażądał ostatniej ofiary. Własnego syna.

Nate... nie! Nie umiała, nie myślała już o nim w ten sposób. Nazywał się Victor Dimorta, „Walentynka”. Zamordował siedmioro ludzi. Ośmioro, włączając dziecko. Pozostawił za sobą ich rodziny i przyjaciół, mogących jedynie opłakiwać swych bliskich i stojących się w ten sposób kolejnymi ofiarami szaleńca. Jedynymi ludźmi uszczęśliwionymi całą tą sprawą byli japońscy biznesmeni, którzy rzucili się na ostatnią kolekcję obrazów z galerii Henry'ego Jasona, kupując wszystkie za nie ujawnioną sumę. „Życie”, pomyślała Jill, obraz wieńczący serię. Potrząsnęła głową na straszną ironię tego tytułu.

Czekając teraz w tym samym miejscu, wspominała całą tę straszną historię. Głupi kawał wymyślony przez trzy beztroskie młode studentki... no dobrze, przez cztery nierozważne młode kobiety... to właśnie ów dowcip w jakiś osobliwy sposób zapoczątkował późniejszą tragedię. Jednak nie, naprawdę rozpoczęła się ona osiemnaście lat wcześniej: w dniu, w którym Victor Dimorta przyszedł na świat.

Mary Daley odwiedziła Jill w minioną sobotę, z Tarą i Dougiem. Oznajmiła, że w końcu zabiera się do pisania książki... za zgodą swej klientki. Będzie to biografia Victora Dimorty.

Tak, powiedziała Jill, napisz ją. Przecież na świecie są inni chłopcy tacy jak Victor Dimorta i inne dziewczęta takie jak Jill Talbot. Tak, powtórzyła, opisz tę historię.

Skrzywiła się z bólu, gdy pomyślała o własnym pisaniu. Przebywała tutaj, w owym ośrodku pracy twórczej dla pisarzy już blisko cztery miesiące, odzyskując siły i kryjąc się przed światem. Ale wkrótce wyjedzie. Wróci do Nowego Jorku, do jakiegoś nowego mieszkania. Sprzedała tamto przy Barrow Street, tak jak niegdyś sprzedała owo pierwsze przy Central Park West, z tego samego powodu. Nadszedł czas, by zacząć jeszcze raz. Nadszedł czas, by znowu pisać. Nie wykorzystwała pomysłu, nad którym wcześniej zaczęła pracować; pomysłu na dreszczowiec, którego akcja dzieje się w świecie artystycznym, z faktami zapożyczonymi z życia Nate'a. Victora Dimorty, powtórzyła sobie jeszcze raz. On się nazywał Victor Dimorta.

Jest jeszcze jedna sprawa.

Zabierze jej to dużo czasu, ale da sobie radę. Nauczy się i dzięki temu stanie się silniejsza. To zaczyna się natychmiast, dzisiaj rano. Właśnie dlatego Jill znalazła się tutaj czekając.

Jakby w odpowiedzi obok niej na plaży pojawił się David MacFarland. Na kostiumie kąpielowym miał bawełniany podkoszulek i wydawał się zaskakująco beztroski jak na kogoś, kto wywinął się z tak trudnej sytuacji. Jill zapłaciła kaucję, podobnie jak opłacała jego obrońców. W przyszłym tygodniu miano postawić Davida w stan oskarżenia, ale adwokaci zapewniali, że uda się im odeprzeć wszystkie zarzuty. David się nie przejmował: gotów był spędzić jakiś czas w więzieniu. Dla Cass, powiedział, zrobiłby nawet to.

Podszedł cicho, stanął tuż obok Jill i pocałował ją w policzek.

– Dzień dobry – powiedział, ściągając przez głowę podkoszulek. – Gotowa do pierwszej lekcji?

Uśmiechnęła się i rzuciła bluzę na brzeg.

– Tak, Davidzie, jestem gotowa. Przyjrzał się jej uważnie.

– Nie boisz się?

– Nie – odpowiedziała, spoglądając na szare jezioro. Tak czuła i to właśnie miała na myśli, dodając: – Nie boję się niczego.

Trzymając Davida za rękę, Jillian Talbot z uśmiechem weszła do wody.

# Podziękowania

Każdy mieszkaniec Nowego Jorku chętnie powie wam, że chociaż budynek, w którym mieszkała Jill Talbot, rzeczywiście istnieje, to jednak, zgodnie z przepisami obowiązującymi w Greenwich Village, dzielnicy będącej punktem orientacyjnym Nowego Jorku, ma tylko pięć pięter, zaś dom stojący naprzeciwko, po północnej stronie Barrow Street ma tylko trzy piętra, co znacznie utrudniałoby śledzenie jej (nawet gdyby mieszkała na dachu!). W Pensylwanii nie ma miejscowości o nazwie Mill City, nie istnieje też Hartley College, ani żaden ośrodek pracy twórczej dla pisarzy w Peconic. Nie ma też takiego narciarskiego kurortu, jaki opisałem, nadając mu nazwę Boulder w stanie Kolorado.

Chciałbym podziękować następującym ludziom za pomoc w przygotowaniu tej książki:

Moim kolegom z Murder Ink, moim przyjaciółom i mojej rodzinie – za niesłabnącą zachętę i wsparcie.

Judith Albert, Renee Cyr, Terry Hall, Jennifer Jaffee, Steve'owi Millerowi, dr Arlene Pack, Larry'emu Pontillo, Sharon Ragan, Ann Romeo i Elizabeth Ubell, którzy odpowiedzieli na wiele pytań i dostarczyli mi informacji prawnych i medycznych. Wszelkie błędy są wyłącznie moimi potknięciami, nie zaś błędami ich.

Dziękuję również mojemu agentowi, Stuartowi Krichevsky'emu, za to, że wydobyl ze mnie tę książkę i za to, że jest moim najzarliwszym entuzjastą.

Dziękuję przyjaciółom z „Little, Brown and Company”, a szczególnie Frederice Friedman, za jej wspaniałą opiekę i rady.

Przede wszystkim jednak dziękuję ludziom – przyjaciółom, znajomym, a nawet nieznanym – którzy opowiedzieli mi swoje własne historie wiążące się z tematem tej powieści. Najnowszy telewizyjny film dokumentalny Katie Couric na ten temat był najwierniejszy, ponieważ udokumentowany świadectwem ludzi, którzy w nim wystąpili i rozmawiali z autorką.



Jestem pełen największego podziwu i szacunku dla Theresy Saldana, aktorki, która przeżyła, a także dla „Ofiar dla Ofiar” – organizacji, którą założyła po przejściu swego własnego, ciężkiego doświadczenia.

Wszystkie postacie i wydarzenia przedstawione w tej powieści są fikcyjne, ale niebezpieczeństwo, w jakim znalazła się Jill Talbot, jest – niestety – całkiem prawdopodobne. Widziałem statystyki, z którymi trudno się pogodzić: zastraszanie i nękanie jest jednym z najpowszechniejszych – i potencjalnie łatwych do ukrycia – przestępstw współczesnego świata. Mam nadzieję, że z nowymi i surowszymi prawami, które mamy obecnie, będziemy mogli coś z tym zrobić.

*T.S.*